

ELŻBIETA SIDOROWICZ

$$\frac{\sqrt{n^2+6}-n}{\sqrt{n^2+2}-n} = \lim_{n \rightarrow \infty} \frac{\sqrt{n^2+6}-n}{\sqrt{n^2+2}-n}$$
$$\lim_{n \rightarrow \infty} \frac{(n^2+6-n^2)(\sqrt{n^2+2}+n)}{(n^2+2-n^2)(\sqrt{n^2+6}+n)}$$
$$\lim_{n \rightarrow \infty} \frac{3\cancel{n}(\sqrt{1+\frac{6}{n^2}}+1)}{\cancel{n}(\sqrt{1+\frac{2}{n^2}}+1)} = \frac{3(\sqrt{1+0}+1)}{(\sqrt{1+0}+1)} = \frac{6}{2} = 3$$

$$P(A) = \frac{C_{12}^1 \cdot C_{18}^3 + C_{12}^2 \cdot C_{18}^2 + C_{12}^3 \cdot C_{18}^1 + C_{12}^4 \cdot C_{18}^0}{C_{30}^4}$$

$$P(A) = \frac{\binom{12}{1} \cdot \binom{18}{3} + \binom{12}{2} \cdot \binom{18}{2} + \binom{12}{3} \cdot \binom{18}{1} + \binom{12}{4} \cdot \binom{18}{0}}{\binom{30}{4}}$$

OKRUCHY

GORZKIEJ CZEKOLADY

*Rachunek nieprawdopodobieństwa | 2*

VIDEOGRAF

$$P(A) \approx 88,87\%$$



ELŻBIETA SIDOROWICZ

# OKRUCHY

GORZKIEJ CZEKOLADY

*Rachunek nieprawdopodobieństwa | 2*

V I D E O G R A F

Redakcja

*Anna Jeziorska*

Projekt okładki

*Elżbieta Sidorowicz*

Fotografie na okładce

© ArtOfPhotos / shutterstock.com

Redakcja techniczna, skład i łamanie

*Damian Walasek*

Przygotowanie wersji elektronicznej

*Maksym Leki*

Korekta

*Urszula Bańcerk*

Marketing

*Anna Jeziorska*

*promocja.videograf@gmail.com*

Wydanie I, Chorzów 2021

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3 C

tel. 600 472 609, 664 330 229

*office@videograf.pl*

*www.videograf.pl*

Dystrybucja: LIBER SA

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

*dystrybucja@liber.pl*

*dystrybucja.liber.pl*

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2020

Tekst © Elżbieta Sidorowicz

ISBN 978-83-7835-886-2

*Oleńce*

17 lutego

Ledwie wróciłem, przyatakowała mnie telefonicznie pani Barska.

– Panie Pawle – powiedziała lekko zdenerwowana. – Przepraszam, że ścigam pana w czasie ferii, ale musimy się spotkać.

– Naturalnie – zgodziłem się grzecznie. – Czy mam do pani podjechać?

– Gdyby to nie sprawiło panu kłopotu...

Nie sprawiło mi kłopotu. W banku pojawiałem się jak zwykle po południu, ranki miałem jeszcze wolne. Takie dwa tygodnie odpoczynku od szkoły to była naprawdę super sprawa.

– Panie Pawle – zaczęła pani Barska, gdy już usiedliśmy w fotelach. – Dzwoniłam do pana od kilku dni, ale chyba nie było pana w Warszawie?

– Wyskoczyłem na tydzień na narty – powiedziałem zdziwiony tą nieoczekiwaną kontrolą.

– A Ania... – pani Barska zawahała się na chwilę – była z panem?

Wyprostowałem się odruchowo i spojrzałem jej w oczy.

– Jak to? – spytałem. – Ze mną...?

– Przepraszam, że o to pytam, ale przez moment myślałam... – przerwała zmieszana. – Od początku ferii nie mogłam się do niej dodzwonić, wydawało mi się, że wyjechała. Bardzo byłam zaniepokojona...

– Jak to i dotąd jej nie ma? – Poderwało mnie.

– Nie, nie – powiedziała uspokajająco pani Barska. – Wysłałam do niej Sebastiana, mojego wnuka, był tam przedwczoraj. Ania po prostu wyłączyła telefon... tak mówiła. Ale ponieważ pana nie było, więc przez moment myślałam... Bardzo pana przepraszam.

– Nie – powiedziałem. – Przecież... złożyłem przyrzeczenie. Nie, nie było jej ze mną. Słowo daję. Pojechałem sam, wróciłem wczoraj późnym wieczorem.

– Tak, wiem, przepraszam jeszcze raz. To prawda, Ania nie kłamie. A pan dotrzymuje słowa. A jak... rozwija się wasza znajomość? – spytała cicho.

– Ustabilizowała się – powiedziałem. – Jesteśmy w przyjaźni. Nie posuwam się dalej, ponieważ nie dostałem od niej żadnego znaku, który by sugerował, że chce... pogłębienia tych stosunków.

– Prawdopodobnie pan tego znaku nie dostanie... – powiedziała cicho pani Barska.

– Czy pani... – Aż mnie zatchnęło. – Czy pani coś wie? Czy Ania coś pani mówiła? O mnie?

– Nie, nic nie mówiła. Nie, nie, źle pan zrozumiał moje słowa. Nie chodzi mi o to, że dowiedziałam się czegoś, na przykład, że jest kimś zainteresowana. Miałam raczej na myśli to, że Ania nie jest typem kobiety, która pierwsza robiłaby jakiś krok. Inicjatywa leży po stronie mężczyzny i Ania prawdopodobnie została tak wychowana.

– Czy sugeruje mi pani... – zacząłem ledwo żywy.

– Nie. Absolutnie. Jest pan, jak pan powiedział, zobligowany przyrzeczeniem.

– Więc co mam robić, na miłość boską? – spytałem cicho. – Ja nie łamię przyrzeczeń, chyba że dostanę od niej jakiś sygnał, jakiś znak... Wtedy, przepraszam, ale nic mnie nie powstrzyma, chcę, żeby pani to wiedziała. Wtedy po prostu będę miał wobec Ani zobowiązanie, które będzie dla mnie stokroć ważniejsze od wcześniejszych zobowiązań wobec dyrektora Andrzejewskiego. Pani to rozumie. Prawda?

– Tak – powiedziała pani Barska po chwili. – Tylko tak może pan postąpić. Proszę się nie martwić o dyrektora...

– Nie martwię się zupełnie – odparłem stanowczo. – Martwię się tylko o jedno... Czy Ania kiedykolwiek...

– Mam nadzieję, że tak – dokończyła cicho pani Barska. – Trudno mi z nią o tym rozmawiać, jej serce jest tajemnicą i nawet nie mam prawa tam się wdierać. Oczywiście wie pan, że ma pan rywala? Michał Krassowski jest w niej bez pamięci zakochany...

– A ona?

– Jak mówię – nie wiem. Ale mam wrażenie, że gdyby coś się między nimi miało dziać, to już by się działo. Myślę, że Ania potrzebuje czasu. Przeżyła wielką tragedię, jej serce zostało złamane i teraz dopiero powoli, powoli dochodzi do siebie. Proszę być jej dobrym przyjacielem, proszę ją wspierać, być gotowym i się nie zniechęcać. No i proszę być bardzo wyczulonym na jakikolwiek sygnał z jej strony. On może być prawie niewidoczny. I taki prawdopodobnie będzie. Ania jest dumna. Proszę o tym cały czas pamiętać. Cały, cały czas.

Skinąłem głową.

– Ale w zasadzie zaprosiłam pana z innego powodu. Potrzebuję pana pomocy w bardzo delikatnej kwestii. Czy Ania opowiadała panu kiedykolwiek o swoim domu?

– Nie, nigdy.

– Czyli pan nic nie wie?

– O czym?

Pani Barska skrzyżowała nogi i przez chwilę wyglądała jak mała zażenowana dziewczynka.

– Widzi pan, to absurdalne... – zaczęła. – Nie wiem, jak mam o tym panu powiedzieć.

Patrzyłem na nią bez słowa. Kawa zdążyła nam już wystygnąć, półmisek z ciastem zignorowałem. Najchętniej bym zapalił, ale ze zrozumiałych względów powstrzymałem się przed tym. Pani Barska pochyliła się lekko w fotelu.

– Muszę znaleźć księdza, który zgodziłby się odprawić egzorcyzmy – powiedziała nieoczekiwanie.

– A kto... kto jest opętany? – spytałem, postanawiając znieść wszystko i niczemu się nie dziwić.

– Ania dowiedziała się ostatnio, że na jej dom rzucono klątwę. Na dom i wszystkich jego mieszkańców. W obliczu śmierci jej rodziców trudno to bagatelizować. Panie Pawle, zdaję sobie sprawę, że pan prawdopodobnie nie wierzy w takie rzeczy...

– Wierzę – powiedziałem wstrząśnięty. – Wierzę, bo to absurd...

Ponad blatem stołu rzuciła mi pospieszny, blady uśmiech.

– Jestem przerażona – powiedziała. – Ania też. Dowiedziała się tego w przedziwny sposób, proszę nie kazać mi tego tłumaczyć. Nie umiem tego wytłumaczyć. Rozmawiałam z panią Klementyną Krzyżanowską, najbliższą sąsiadką Ani. Pani Klementyna rozmawiała z księdzem z parafii, który nie uznał potrzeby egzorcyzmów. Musimy znaleźć jak najprędzej jakiegoś księdza, który będzie do tego uprawniony i zgodzi się przeprowadzić tę ceremonię. Klątwa jest rzeczą... absurdalną, nieistniejącą, jest zabobonem, trudno w nią uwierzyć i brać ją na poważnie, ale w tej sytuacji trzeba stanąć na głowie, by spróbować z nią walczyć. Głównie dla Ani. Ona musi się czuć bezpiecznie. Żyję już tak długo, że wiem, co może z nami zrobić podświadomość. I samospełniająca się przepowiednia. Nigdy tego nie lekceważę... Musimy chronić Anię przed jej strachem, nawet jeśli nie wierzymy w takie rzeczy jak klątwa. Proszę mi pomóc. Czy pan lub może ktoś z pana rodziny zna jakiegoś księdza, do którego można by było zwrócić się z tym problemem?



Siedziałem jak skamieniały podczas całej jej przemowy, a teraz leciutko pokręciłem głową.

– Zwróciłam się z tym do pana, bo potrzebuję wsparcia. Ania prosiła mnie o dyskrecję, więc pan absolutnie nie może dać jej poznać, że coś wie. Dlatego też nie włączam do tej sprawy innych osób, to my jesteśmy za Anię odpowiedzialni i my musimy jej pomóc. Proszę się zastanowić, porozmawiać z rodziną, może ktoś wie, jak załatwia się takie sprawy. Ja rozpytam w mojej parafii, ale chodzi mi o jak najszersze działanie. Musimy to zrobić i to szybko. Ania jest w panice, wiem o tym, bo ją znam, mimo że stara się tę sprawę lekceważyć.

Wyjąłem te nieszczęsne papierosy zupełnie odruchowo i dopiero połąpałem się, co zrobiłem.

– Proszę, niech pan zapali – powiedziała nieoczekiwanie pani Barska. – Ja też jestem zdenerwowana. Proszę, niech się pan nie krępuje.

– Nie, nie. – Podniosłem się. – Wyjdę na klatkę schodową.

– Mam dość kłótliwych sąsiadów, gdyby...

Przyjrzałem jej się ze zdziwieniem. Gdyby mi się teraz jakiś sąsiad nawinął pod rękę, to pewnie długo by to popamiętał...

– Proszę się nie niepokoić – powiedziałem. – Zaraz wrócę.

Na klatce schodowej przypomniał mi się ksiądz, który przyszedł do mnie po kolędzie i wprost zmartwiałem, gdy uzmysłowiłem sobie, że w ferworze dyskusji zapomniałem mu dać jakąkolwiek ofiarę... Pięknie. Nie dość, że przedstawiłem mu się jako ateista, to jeszcze pieprzony skąpiec...

Potem przypomniało mi się, że dostałem od niego wizytówkę. Dobrze, to był rozsądny, wykształcony człowiek, z którym można pogadać. Postanowiłem pojechać do niego jeszcze dzisiaj. I do mamy. Może mama wie, jak załatwia się takie dziwne sprawy. Poza tym nikomu więcej postanowiłem nic nie mówić.

Wróciłem do mieszkania i poprosiłem panią Barską:

– Czy mogłaby mi pani trochę więcej o całej sprawie opowiedzieć?

W domu wyjąłem wizytówkę od księdza. *Jan Trzaskowski, proboszcz parafii...* Coś takiego.

Nie spodziewałem się, że sam proboszcz pofatyguje się do mnie i będę mu przedstawiał moją autorską wersję Pana na wysokościach.

Na wizytówce był numer telefonu, więc zadzwoniłem.

– Przykro mi – powiedział czyjś głos. – Ksiądz proboszcz jest poza Warszawą z wizytą duszpasterską. Wróci za kilka dni.

A niech to diabli... to znaczy... tego... Okazuje się, że nagle człowiek ma problem z najprostszym w takim wypadku słowem. „*Shit*” trochę nie pasuje, „o kurwa” jeszcze mniej... „Szlag by to trafił” – to chyba najłagodniej. O, mam: „niech to dunder świśnie”. Z wizytą duszpasterską. Cholera.

Nie miałem więcej znajomości w tych kręgach, zadzwoniłem do mamy. Przejęła się ogromnie, poprosiła, żeby jej dać numer do pani Barskiej. No, jak one sobie obie siądą przy kawie i pojedą po mnie, to... Już na samą myśl ścierpła mi skóra, poczułem się nagi, bezbronny i jak chłopczyk z przedszkola – z kieszeniami pełnymi proc, guzików, kapsli, z wiaderkiem do piasku i łopatką. Nie ma co, jak im dobrze pójdzie...

To znaczy – nagle sobie uświadomiłem – jak dobrze pójdzie, to przecież w przyszłości będziemy wszyscy rodziną. Będziemy z Anią przyjeżdżać do pani Barskiej na święta, na imieniny, z bukietami kwiatów, ciastem i dzieciakami... Aż mi się zrobiło słabo od samego wyobrażenia sobie takiej sytuacji. Z Anią. Z dziećmi.

Nasze dzieci będą cudowne. Śliczne, zwariowane, z poczuciem humoru, bystre, żywe, wysportowane, z pięknymi umysłami, ze skrytą poezją, z uchem do języków, będą dobre, mądre, wdzięczne i prawie jak ona, niepokorne i rozrabiające jak ja, będą miały serce i duszę, i będziemy je kochać nad życie.

Nie mogłem o tym myśleć, bo zaraz zaczynały mi się trząść ręce, tak jakbym naprawdę już był alkoholikiem, a nie dopiero zmierzał w tym pięknym kierunku.

Nie mogłem o tym myśleć, a jednak myślałem, myślałem przed snem i rano po obudzeniu, w najmniej spodziewanych momentach przychodziła do mnie Ania, przychodziła, stała naprzeciw mnie w powycieranych dżinsach, w czarnej koszulce, z burzą jasnych włosów, rzucała mi spojrzenie spod rzęs, a potem odwracała się i odchodziła ode mnie, nie odwracając się nigdy.

Mądra Ania, którą lada chwila stracę nieodwołalnie, pójdzie ode mnie bez wahania, bez odwrócenia głowy ...

Nie ma co, jeśli chodzi o umiejętność samodołowania, jestem niewątpliwie w czołówce światowej. Bez wahania zaliczam depresję po depresji.

18 lutego

Mama zadzwoniła do mnie późnym wieczorem, relacjonując przebieg szukania odpowiedniego księdza. To znaczy przebieg się odbył, nie przyniósł natomiast żadnych pozytywnych wyników. Zarówno w parafii pani Barskiej, jak i mamy, księża zgodnie odmówili usługi, twierdząc, że sytuacja się nie kwalifikuje. Ciekawe, co kwalifikuje do odprawienia egzorcyzmów...

Co może myśleć sobie Ania, siedząc samotnie w wielkim pustym domu na odludziu, z przerażającą informacją, że na ten dom rzucona została klątwa? Przecież ona ma osiemnaście lat, no dobrze, osiemnaście i pół, ale chyba nie zmienia to diametralnie sytuacji? Siedzi tam sama, spodziewając się najgorszego, bo przecież już raz się zdarzyło... Jak mogę ją ratować przed nią samą? Pani Barska opowiedziała mi zupełnie nieprawdopodobną historię o zmarłej rzeźbiarce. Kimkolwiek była kobieta, rozmawiająca wtedy z Anią, mogła sprawić, że normalnemu człowiekowi pomieszają się zmysły. Pani Eberhardt-Wolny i jej tańcząca zmarła córka... Przypomniałem sobie dreszcz, biegnący mi po kręgosłupie na widok oczu kamiennej rzeźby z obrazu Ani i znów się wzdrygnąłem. Nie. To nie może być tak zostawione. Po moim trupie.

Postanowiłem pójść do księdza proboszcza i w ostateczności rzucić się na podłogę, jak Rejtan. A jeśli będę wyglądał na opętanego, to tym lepiej.

Atakowałem telefonicznie plebanię codziennie i wreszcie doczekałem się powrotu księdza z rekolekcji w Rzymie. Z determinacją umówiłem się na spotkanie.

– No jak to? – spytał z zainteresowaniem ksiądz Trzaskowski. – Zastanawia się pan, czy wierzyć w Boga, za to bez zastanowienia wierzy pan w rzuconą klątwę?

Siedziałem w jego gabinecie w parafii, na szczęście przy okolicznościowym stoliku, a nie przed rozłożystym biurkiem, i było mi niewymownie głupio z powodu cyrków, jakie odstawiałem przed nim dwa tygodnie wcześniej. Uiściłem już ofiarę, pokajałem się, co księdza dość rozbawiło, ale teraz przeszliśmy do meritum i zrobiło się grubo.

– W klątwę też nie wierzę – powiedziałem szczerze. – To znaczy w klątwę nie wierzę z całą pewnością, natomiast w Boga... wierzę, choć może mój obraz Najwyższego rozmija się trochę z wizerunkiem, do którego ksiądz jest przyzwyczajony...

– Każdy z nas ma swój obraz Boga – odpowiedział. – Zdaję sobie sprawę, że istota boska wymyka się naszemu poznaniu, nie tylko pan ma

wątpliwości i poszukuje, no ale o tym już rozmawialiśmy. Ważne, że pan w ogóle wierzy. Natomiast co do klątwy...

No tak. Kolejny. Poczulem, że za chwilę zderzę się z tą samą ścianą.

– Wiem, że brzmi to absurdalnie – powiedziałem z determinacją, żeby uprzedzić to wszystko, co on miałby do powiedzenia.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Nie można rzucić klątwy – powiedział spokojnie. – To przesąd, zabobon.

OK, w takim razie ja się zaraz rzucę... Rzucę się pod drzwi, rozedrę tę koszulę na piersiach i nie dam się wynieść, chyba że w kaftanie przez panów z karetki.

– Proszę księdza – powiedziałem z rozpaczą. – Ja zdaję sobie sprawę, że ksiądz ma rację. Ale proszę się postawić w położeniu tej młodej dziewczyny. Ni z tego, ni z owego zginęli jej rodzice, została zupełnie sama. Nie ma kogo się poradzić, nie ma nikogo, kto mógłby ją uspokoić. Mieszka sama w wielkim domu na zadupiu... o, przepraszam najmocniej.

Ksiądz proboszcz znów się uśmiechnął.

– Mieszka tam zupełnie sama i raptem dowiedziała się, że na dom rzucona jest klątwa. Jak ksiądz czułby się na jej miejscu? Ona jest wystraszona, spanikowana, cały czas czekająca na najgorsze. Nawet jeśli nie spełni się żadna klątwa, to ona się wykończy z nerwów, z samego stresu... Ja jestem dorosły facet i myślę racjonalnie, nie dam się zastraszyć, ale ona...

– Gdyby pokładała ufność w Bogu...

Podniosłem głowę i popatrzyłem na niego.

– Proszę księdza – powiedziałem powoli. – Ona straciła rodziców. Jej wiara w Boga, w Jego miłość i miłosierdzie ma prawo być zachwiana. I trudno się temu dziwić. To znaczy może ksiądz się dziwi, ale ja nie. Ja ją rozumiem.

– A dlaczego ona mieszka zupełnie sama? – spytał ksiądz, pomijając moją wypowiedź. – Przecież to dziecko, z tego co pan mówił.

– Jest pełnoletnia – odparłem. – Pełnoletnia, dorosła, ale bardzo młoda. Została sama. Zwykłym, chrześcijańskim obowiązkiem ludzi, którzy ją otaczają – jej przyjaciół, nauczycieli, sąsiadów, a także księży – zatrzymałem się na moment – jest dać jej takie oparcie, jakie jest tylko możliwe. Proszę księdza. – Pochyliłem się do przodu, patrząc mu stanowczo w oczy. – Jestem jej nauczycielem i opiekunem szkolnym. Ja i

jej wychowawczyni. Zdarzało się już, że naginaliśmy trochę przepisy, biorąc to na swoje sumienie. Nie wszystko da się załatwić suchym paragrafem, ustawą. Jesteśmy ludźmi. Błądzimy, szukamy, jesteśmy poddawani wątpliwościom, ale jest w nas też przyzwoitość, odruchowa chęć opieki, zwykłe ludzkie dobro. To wszystko, co świadczy o naszym człowieczeństwie. To, o co spyta nas Bóg, gdy staniemy przed Nim. To, bez czego nie wyobrażam sobie wiary – znów zatrzymałem się na chwilę.

Ksiądz patrzył na mnie bez słowa, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i zdałem sobie sprawę, że nie da się wziąć pod włos takim bezczelnym sposobem, niewątpliwie ordynarnym, zwłaszcza biorąc pod uwagę poziom jego inteligencji.

– Wiem – powiedziałem otwarcie. – Pojechałem z najgrubszej rury. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale proszę mi wierzyć, że nie stosuję żadnego psychicznego szantażu ani manipulacji. Proszę księdza o pomoc.

Ksiądz Trzaskowski odwrócił ode mnie uważne spojrzenie i zamyślił się.

– Przy stwierdzonym opętaniu przez złego ducha odprawiane są egzorcyzmy uroczyste – powiedział powoli. – Odprawia je tylko ksiądz egzorcysta, mianowany na stałe przez biskupa, wedle zaleceń Rytuału Rzymskiego. W sytuacjach, gdy nie zostaje stwierdzone opętanie, odprawia się egzorcyzm prosty, który może wykonać każdy kapłan, a jest to modlitwa o błogosławieństwo i modlitwa o uwolnienie. Choć te modlitwy mają za zadanie uwolnienie od wpływów demonicznych, to jednak nie są egzorcyzmami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Myślę, że w opisanej przez pana sytuacji ten egzorcyzm prywatny będzie najwłaściwszy.

– Czyli jak to będzie wyglądało? – spytałem, pogubiony kompletnie.

– Mogę zaproponować wizytę księdza w domu pana podopiecznej. Ksiądz odmówi modlitwy wstawiennicze, które nie zawierają formuł egzorcyzmu uroczystego, może też użyć egzorcyzmowanej wody, oleju, soli i kadzidła. Będzie działał jako egzorcysta w imieniu i autorytecie Kościoła, na mocy władzy otrzymanej w święceniach kapłańskich oraz za zezwoleniem ordynariusza diecezji.

– Czyli de facto odprawi egzorcyzmy?

– Tak, egzorcyzmy proste, tak zwane prywatne.

– Przed chwilą ksiądz mówił, że nie są one egzorcyzmami w ścisłym tego słowa znaczeniu...

– A czy zostało stwierdzone opętanie? – zagadnął mnie ksiądz.

Pokręciłem głową.

– Więc proszę przystać na moją propozycję. Będzie ona wymagała współuczestnictwa pana podopiecznej, ponieważ właściwym celem egzorcyzmu nie jest samo wyrzucenie złego ducha i odcięcie jego wpływów, ale przede wszystkim nawrócenie człowieka na drogę żywej wiary. Ufność pokładana w Bogu i częsta modlitwa na pewno uspokoi pana wychowanekę.

– Tak ksiądz sądzi? – spytałem cicho.

– Jestem o tym przekonany. Ponieważ zależy panu na czasie, mogę zaproponować spotkanie z księdzem w najbliższą niedzielę. Proszę, aby ktoś przyjechał tu po niego, a następnie po skończonej ceremonii odwiózł go do parafii. Jest to usługa całkowicie bezpłatna.

– Naturalnie złożę ofiarę na kościół – odparłem natychmiast. – Ale... nie o to chodzi. Proszę księdza. Słowa niosą w sobie wielką moc. Inaczej brzmi słowo „egzorcyzm”, inaczej „modlitwa o błogosławieństwo”. Czy możemy w naszym przypadku mówić wyraźnie o odprawionym egzorcyzmie? Ja rozumiem to wszystko, co ksiądz do mnie powiedział. Broń Boże, nie podchodzę do tego w sposób błahy czy powierzchowny. Ale dla dodatkowego spokoju tej dziewczyny, wolałbym używać terminu „egzorcyzm”.

– Dobrze – westchnął ksiądz Trzaskowski. – Egzorcyzm prosty. Najwłaściwszy w takiej sytuacji. Proszę mi jednak wierzyć, że głęboka, szczerza modlitwa przyniesie jej więcej spokoju, niż termin taki czy inny.

– Zgoda – powiedziałem. – Ksiądz ma niewątpliwie rację. A zatem uzgodnijmy szczegóły...

wieczorem

– To wspaniale, że znalazł pan księdza – powiedziała pani Barska, gdy zdałem jej dokładną relację. – Świetnie, że odbędzie się to tak szybko. I jestem przekonana, że ksiądz, z którym pan rozmawiał, miał absolutną rację. Ale... – zawahała się. – Ania nie może się o tym nigdy dowiedzieć. Musi mieć wewnętrzną pewność, że ksiądz, który do niej przyjedzie, zdejmie klątwę nałożoną na jej dom i... jej życie. Musi zostać w tym utwierdzona. Musi zyskać pewność i spokój. Nie może żyć ze świadomością, że to jednak nierozwiązany problem...

– Wie pani, co ksiądz Trzaskowski powiedział mi na pożegnanie? – spytałem cicho. – Nie mów Bogu, że masz wielki problem. Powiedz swojemu problemowi, że masz wielkiego Boga...

– To mądry człowiek – powiedziała pani Barska. – I ma swoją wielką prawdę. Ale my... my mamy też swoją rację. W domu Ani odbędą się egzorcyzmy. Książd zdejmie rzuconą przed laty klątwę, dom zostanie oczyszczony i oczyszczone zostanie jej serce i dusza. Pan w tym wszystkim w ogóle nigdy nie występował. Ja biorę na siebie przekonanie jej, że wszystko jest dokładnie tak, jak trzeba. Naturalnie ja też wierzę w uzdrawiającą moc modlitwy – dodała i się rozłączyła.

27 lutego

Po tych wszystkich rozmowach na temat domu Ani, pierwszy raz zwróciłem uwagę na dwa niewielkie obrazki, wiszące w jej salonie. Siedzieliśmy tam razem, Ania męczyła się z zadaniami, a ja podszedłem do ściany i przyjrzałem się obrazom z bliska. Oba podobnej wielkości, na obu namalowane były domy.

Dom Ani rozpoznałem natychmiast – w srebrnych łąkach, z siwą ścianą lasu na horyzoncie, ze splukaną bielą fasady, kolumnami na ganku. Otoczony przez drzewa, samotny, wyniosły, okaleczony, ale dumny, wielki pusty dom na odludziu...

Drugi dom był dla mnie zupełną niewiadomą. Też stary dwór, ale chyba w bardziej rozległej krainie... Stary dwór z przeszłością.

– To Kielany – powiedziała Ania cicho, odkładając długopis. – Dom moich dziadków. A właściwie pamięć po nim.

– Już nie istnieje? – spytałem.

– O, nie. Zniknął, przynajmniej fizycznie. Bo tak naprawdę został. Tu, na obrazie Stanisławskiego. I w moim sercu. Bo nie w pamięci. Nie widziałam go nigdy.

– A gdzie był? – spytałem.

– W powiecie smorgońskim, mniej więcej w połowie drogi między Wilnem a Mińskiem. Niedaleko majątku Zalesie, należącego kiedyś do księcia Michała Ogińskiego, wie pan, tego który napisał poloneza *Pożegnanie Ojczyzny*. W czasach, gdy mieszkali tam moi dziadkowie, majątek ten dzierżawiła pani profesorowa Żebrowska i prowadziła tam bardzo elegancki pensjonat dla wybranego towarzystwa. Przyjaźniła się z moimi dziadkami, którzy byli jej najbliższymi sąsiadami. Dziadkowie mieli konie, często dla gości pensjonatu urządzali zawody hippiczne i corsa kwiatowe... – Zamyśliła się. – Czasem tak myślę, że może choć część ducha tamtego miejsca przypadło teraz temu domowi...

Spojrzałem na nią uważnie, czy powie mi coś o klątwie, o swoim niepokoju, czy zwierzy się z czegokolwiek. Ania odgarnęła włosy, podniosła się i podeszła do obrazów.

– Ten namalowałam teraz na jesieni – powiedziała. – To była moja druga jesień tutaj. Zimno, deszcz, samotność... Więc chyba chciałam jakoś odwołać się do domu rodzinnego, tak jakby mógł wziąć mnie w opiekę. Kielany były... są... czymś niesłychanie ważnym w moim życiu. Pamięcią. Tożsamością. Oparciem w rodzinie, której już nie mam. Oparciem... w domu, którego już nie ma. A jednak gdzieś ponad wszystkim – jest. Pusty sześcian powietrza. I sześcian tego domu. Malowaniem zaklinam go, by jak tamten – otoczył mnie bezpieczeństwem.

Przełknąłem ślinę. Ani słowa o klątwie. A przecież wie o niej. Czy nie jest dla niej ważna? Czy ja nie jestem dość ważny, by mi o tym powiedzieć? Więc chyba nie mówiłaby tego, co mówi.

– Przepraszam – powiedziała nagle. – Jeśli już o braniu w opiekę mówimy, to znaczy o bezpieczeństwie...

Nadstawiłem uszu.

– Zamek od tego okna kompletnie się rozleciał – powiedziała, pokazując mi latającą luźno klamkę. – Właściwie tego okna nie da się zamknąć. Czy mógłby pan...

– Jasne – przerwałem jej i znów przełknąłem ślinę.

Więc nie. Nie powie. Dlaczego?

Obejrzałem dokładnie framugę i zepsuty zamek.

– W takim razie umówmy się, że wpadnę do ciebie jutro, dobrze? – powiedziałem. – Tylko tak dość późno wieczorem, bo mam jeszcze zajęcia. Wymienię ten zamek, mam nadzieję, że szybko pójdzie. Nie możesz mieszkać z niezabezpieczonym oknem.

– A o której pan jutro będzie?

Zastanowiłem się chwilę. Teoretycznie w piątki powinienem siedzieć w banku do dwudziestej drugiej. Ale Emilka nigdy nie komentowała godzin mojej pracy, jej samej też zdarzało się wychodzić wcześniej. Zresztą od mojego powrotu z nart Emilka wyraźnie się uspokoiła. Czasem jeszcze strzelała jakąś złośliwością, ale raczej po to, by nie wyjść z wprawy.

– Będę u ciebie koło dziewiątej. To znaczy dwudziestej pierwszej. Może być? – spytałem.

28 lutego



No i teraz muszę opisać tę noc, najdziwniejszą, najtrudniejszą i słodką zarazem, jedyną noc, którą spędziłem u Ani.

Nigdy nie sądziłem, że coś takiego będzie możliwe, taka noc nie mieściła się w żadnych planach ani nadziejach, wiedziałem, że mi nie wolno u niej zostać, a jednak zostałem. Było to po długim i cholernie męczącym dniu, co prawda w szkole miałem tylko trzy lekcje, ale potem utknąłem w banku i gdy dojechałem ostatecznie do Ani, zrobiło się już sporo po dziewiątej. Cały czas lał deszcz, byłem mokry, zziębnięty, umordowany ponad wszelkie granice i głodny jak wściekłe zwierzę.

– Aniu, zrób mi coś ciepłego do picia – poprosiłem od progu. – Jestem tak zmęczony, że się zaraz przewrócę.

Ania spojrzała tylko na mnie i zniknęła w kuchni.

Zająłem się oknem. Cały zamek trzeba było wyjąć i wstawić nowy, miałem ten nowy ze sobą, kupiłem w mieście parę godzin wcześniej. Szarpałem się z tym dość długo, wszystko musiałem rozkręcać, stary zamek pokryty był niezliczoną ilością warstw farby i siedział na mur, nowy okazał się trochę innym typem i musiałem pruć nowe dziury, a potem jeszcze docinać framugę. Przestałem doceniać jakiegokolwiek uroku sytuacji i ogólnie rzecz biorąc, miałem wszystkiego dość. W międzyczasie Ania przyniosła mi bez słowa gorącą kawę, którą pochłonałem z wdzięcznością, i wreszcie, już o wpół do jedenastej, nastąpił kres udręku.

Pozamiatałem trociny i przyszedłem do kuchni z pełną szufelką, żeby wyrzucić wszystko do kosza.

Czarny stół nakryty był na dwie osoby, na środku, na korkowej podstawce dymiła ogromna miska zapiekanki, obok stała druga, równie wielka, pełna sałaty.

Spojrzałem na miskę prawie z niedowierzaniem, gdyż wizja zielonej, polanej oliwą sałaty chodziła za mną uporczywie już od kilku dni. Wszystko przez pamiętnik Andrzeja Bobkowskiego, bo właśnie byłem w trakcie jego lektury. Mama podsunęła nam tę książkę, najpierw zachwycił się nią Piotrek, a teraz zachwycałem się ja... Jest to jeden z najpiękniej napisanych diariuszy ever, facet pisze go w ogarniętej wojną Francji, przebijając się z południa, gdzie został ewakuowany, z powrotem do Paryża i robi tę imponującą trasę na rowerze.

Cała ta część książki to niesłychany pean na cześć urody istnienia, piękna świata, zmysłowej intensywności przeżyć... Bogiem a prawdą Bobkowski jechał przez kraj względnie bezpieczny, bo za sprawą rządu Vichy, a

właściwie jego hańbiącej kolaboracji z nazistami, Francja została prawie nietkniętą krainą, w której nie dostrzegało się wojny. Podróż jawiła się jako arcyciekawa awantura – dla młodego intelektualisty, wychowanego w orbicie tradycji francuskiej, znającego francuską kulturę, historię i język, była wycieczką przez znajomy kraj, ofiarowujący piękno krajobrazu, życzliwość ludzką, możliwość prawdziwej afirmacji życia... No zaraz, właściwie chciałem napisać o tej sałacie, przecież nie o Bobkowskim, choć uważam go za jednego z największych nieobecnych polskiej literatury, ale, na Boga, nie piszę eseju literackiego, tylko dość kulawy dziennik.

Więc sałata – gdy Bobkowski z kumplem jechali przez zachodnią część Masywu Centralnego, przyszło im nocować na farmie, gdzie akurat patroni jedli kolację i na stole stała wielka miska sałaty, o listkach ociekających oliwą. Opis ten był tak apetyczny, że opanował moją wyobraźnię bez żadnego trudu, odtąd marzyłem o sałacie w oliwie, *et voilà!* Na stole, czeka na mnie! Rzuciłem się na zielone liście, napalony jak zółw. O tej godzinie to i motorykę chyba miałem do tego zółwia zbliżoną...

Poczułem, że zaczyna ze mnie schodzić całe zmęczenie i napięcie dnia, i gdy wreszcie, już po jedenastej, udało mi się przełamać potworną niechęć do ruszenia się dokądkolwiek i wyszedłem przed dom w strugi deszczu, okazało się, że identyczną niechęć musiał odczuwać mój piekielny samochód, bo pomimo wszelkich prób, nie zdołałem go odpalić. Wilgoć jest dla niego rzeczą morderczą, klnąc pod nosem strasznymi słowy, pomyślałem, że będę go musiał brać na hol, ale to już jutro, a dzisiaj... Właśnie.

A dzisiaj, dotarło do mnie, jestem uwięziony na amen.

Właśnie zdarzyła się ta nieprawdopodobna sytuacja, której nigdy nie brałem pod uwagę: autobusy przestały jeździć, linii nocnej tu nie ma, ani żadnej możliwości złapania taksówki. Można by było zadzwonić do jakiegokolwiek kumpla albo do radio-taxi, ale telefon Ani jest zalany. Telefon jest także na poczcie i w knajpie, ale i poczta, i knajpa są już od dawna zamknięte. Posprawałem nerwowo, czy mam służbową komórkę, lecz naturalnie zostawiłem ją w domu. Nie było nawet ostatniej deski ratunku w postaci samochodu Ani, gdyż dwa dni temu odstawiła swojego wartburga do mechanika, ja sam kazałem jej to zrobić, bo strasznie waliły zawory.

Aha. No to fajnie. Deszcz lał coraz większy, postanowiłem z determinacją, że pójdę na piechotę. Na Ursynów dolecę pewnie za dwie

godziny, trudno, nie ma rady.

Zakomunikowałem Ani tę odkrywczą decyzję, stojąc w progu, bo ze spodni lał mi się na podłogę strumień wody. Ania popatrzyła na mnie ze zgrozą.

– Panie profesorze, bardzo pana przepraszam, ale czy pan zupełnie zwariował? Na miłość boską, przecież tu jest mnóstwo miejsca, prześpi się pan u mnie, tak robią wszyscy moi znajomi, mam zapasowe pościele, mam dodatkowe posłania, niechże się pan nie wygłupia... To znaczy przepraszam, ale w życiu nie słyszałam tak głupiego pomysłu...

– Nie ma mowy, Aniu, nie będę u ciebie nocował.

– Owszem, będzie pan. Czy naprawdę pan sądzi, że pana wypuszcze na taką ulewę? Żeby się pan na śmierć zaziębił?

– Nic mi nie będzie – zaprotestowałem słabo, bo sam czułem, że jestem mokry na wylot.

– Proszę, niech pan wejdzie.

– Ale...

– Proszę.

Poddałem się.

– Niech się pan aż tak tym nie przejmuje – powiedziała Ania, uśmiechając się do mnie. – To naprawdę nie jest nic strasznego, nocleg u mnie.

„Rzeczywiście” – pomyślałem sarkastycznie. – „Nic a nic”.

– Proszę, niech pan zdejmie te mokre rzeczy, dam panu ręcznik. Gdzieś tu jest taka duża piżama, jeszcze mojego taty... zaraz ją znajdę... – Grzebała w szafie.

Stałem zupełnie spłoszony i nie wiedziałem, co powiedzieć. Pewnie, ślicznie będę wyglądał w takiej piżamie. Szczególnie jej taty.

– Proszę – powiedziała Ania. – Sytuacja jest krytyczna, zostaje nam tylko zachowanie poczucia humoru. Odrzucamy konwenanse i ratujemy własne głowy.

Poszedłem do łazienki ratować własną głowę. W życiu nie czułem się tak głupio.

Kanapa w salonie okazała się rozkładana i Ania przygotowała mi na niej pościel. Wlazłem pokornitko pod pachnącą lawendą kołdrę. Co miałem robić?

– Ja też się kładę – powiedziała Ania. – Już wpół do pierwszej. Tylko wpuszczę Zadymę i pozamykam wszystko. Dobranoc.

Słyszałem jeszcze przez chwilę jej krzątanie, szum wody w łazience, potem zgasło światło i zapanowała cisza. Leżałem w tej ciszy, w miękkim łóżku pośrodku ogromnego pokoju, w szeleście tykania zegara, w piżamie ojca Ani i czułem, że nie zmrużę oka.

Stało się. Jestem u niej w domu, zaledwie kilka metrów od jej pokoju, od jej śpiącego, drobnego ciała, jestem dość przerażony, dygoczę i pragnę jej tak, że chyba za chwilę zwariuję. Leżałem w ciemnościach, bojąc się poruszyć. Te wszystkie problemy, które miałem ze sobą w jej obecności, wszystkie moje dygoty i niespodziewane podniecenia, to był pikus w porównaniu ze stanem, który przeżywałem teraz. Matko Przenajświętsza, po co tu zostałem, przecież nie uda mi się wytrzymać tego ciśnienia...

Wiedziałem, że nie wejdę do jej pokoju, choćbym miał nawet umrzeć i zastanawiałem się, czy w takim razie nie lepiej byłoby rzeczywiście umrzeć. Potem myślałem o Michale i o jego nocy w tym domu i zastanawiałem się, co musiał wtedy przeżywać, i wiedziałem z całą pewnością, że ja nie potrafiłbym sprostać takiemu wyzwaniu, nie dałbym po prostu rady. Nade wszystko na świecie pragnąłem trzymać Anię w ramionach, trząsałem się cały, szczękały mi zęby i bałem się, że pęknę w kawałki.

Leżałem okropnie długo, Ania musiała już od dawna spać, gdy wreszcie odważyłem się wstać z łóżka. Podszedłem do okna, oparłem czoło o zimną szybę i starałem się uspokoić.

Nagle w pokoju obok usłyszałem jakiś szmer, potem szcęknięty cicho drzwi na korytarz. Przeraziłem się, że Ania tu wejdzie i zobaczy mnie pod oknem w drgawkach, w pełni rozkwitu podniecenia, szybko chwyciłem marynarkę, niby to dla ochrony przed zimnem, a właściwie, by utworzyć osłaniający namiot nad swoim niepokornym ciałem.

W korytarzu panowała cisza. Odważyłem się podejść cicho do drzwi i otworzyć je.

W progu swojego pokoju, oddzielona ode mnie czarną przestrzenią korytarza, stała Ania. Mieliśmy na sobie takie same piżamy w paski, ja większą, ona mniejszą, i wyglądaliśmy oboje dość idiotycznie, jak dwie przestraszone zebry, w dodatku jedna w marynarce.

– Nie mogę spać – powiedziała Ania szeptem.

– Ja też – odszepnąłem.

Staliśmy w dalszym ciągu, patrzyliśmy na siebie, ja patrzyłem na nią na dół, ona na mnie do góry i wiedziałem, że muszę sprostać tej okropnej

sytuacji. Najchętniej zrobiłbym to, co kiedyś Michał, ale wiedziałem, że choćby mnie kroili na kawałki i solili, to nie będę kopiował czyichś gestów. Chciałem do niej podejść i wziąć ją na ręce, kochać się z nią całą noc, a zamiast tego stałem, dygotałem i nie mogłem wykrztusić ani słowa.

– To może siądziemy sobie gdzieś i pogadamy? – zaproponowała nieśmiało Ania.

Widziałem, że jest zawstydzona, trochę przerażona i nie bardzo wie co robić.

– Dobrze. Chodź tu, do pokoju. – Gestem zaprosiłem ją do salonu. – Może rozpalimy sobie ogień na kominku, pogadamy i pogramy?

– W karty? – spytała Ania, szczękając zębami.

– Nie – parsknąłem śmiechem, chyba trochę histerycznie. – Na gitarze.

– Dobrze. Tylko... wie pan co? Ta marynarka to na nic, zaraz się pogniecie, a poza tym jest cała mokra. Przyniosę panu jakiś sweter.

Zniknęła w swoim pokoju.

Zapaliłem małą lampkę koło kominka i kucnąłem na dywanie koło kosza z drewnem, starając się jakoś tak osłonić, żeby nic nie było widać. Marynarkę trzymałem cały czas za poły, trochę, zdaje się, kurczowo.

– No, myślę, że w ten sweter się pan zmieści – usłyszałem głos Ani.

Spojrzałem. Podawała mi ogromny, czarny, włochaty sweter, obszerny i długi. Dla niej to chyba musiała być sukienka. Przyjąłem go z wdzięcznością, starając się manewr przebierania przeprowadzić maksymalnie szybko, skutkiem czego zaplątałem się w rękawy. Sweter miał pod szyją wycięcie w szpic, na samej krawędzi tego szpica był punkt, w który padła kropla perfum Ani, całą głowę owionął mi ten delikatny, zmysłowy zapach, z którego przez chwilę nie mogłem się wyplątać, i poczułem, że właśnie już kończę, bez jednego dotknięcia z jej strony.

Chwila była straszna. Upiorna, pełna męczarni i słodyczy.

Ania zaczęła przygotowywać kominek, a ja poczułem, że mam czoło mokre od potu, nieszczęsne spodnie od piżamy też mokre w paru miejscach, że trzęsą mi się ręce, nie mogę na nią patrzeć, chcę rozpaczliwie papierosa i w ogóle nie wiem, co się ze mną dzieje. Było to coś nieprawdopodobnego, miałem wcześniej tyle dziewczyn, kochałem się w nich, pragnąłem, ale nigdy nie przeżywałem takich emocji jak teraz, gdy jestem dorosłym facetem, naukowcem, nauczycielem, potwornym profesorem od matmy, przed którym trzęsą się wszyscy, a ja siedzę u tej ślicznej, długonogiej, niebieskookiej małolaty, mojej uczennicy, napalony

jak szesnastoletni prawiczek, udręczony do kresu sił i bliski śmiertelnego zejścia lub po prostu plunięcia na wszystkie przysięgi i utopienia się w morzu jej włosów.

Papierosy i zapalniczka leżały na małym stoliku koło pościelonej kanapy, wiedziałem, że nie mogę się podnieść i pójść po nie, bo zdradzę się całkowicie, o ile już i tak wszystkiego nie odgadła, widząc mój dygot. Potrzeba zapalenia fajki o mało nie zadreżyła mnie na śmierć. Ania trzaskała zapalkami. Zdecydowałem się ryzykować, obciągając jednocześnie sweter i, zasłaniając się jego fałdami, zacząłem boczkim dążyć do upragnionej paczki cameli i doczołgałem się wreszcie do niej, wijąc się jak zaskroniec w ataku epilepsji. Cholerna zapalniczka nie chciała się zapalić w moich rozdygotanych dłoniach i poczułem raptem, że Ania na mnie patrzy.

– Aha – powiedziała. – Zaraz. – I szybko wyszła.

Zostałem z tym „aha”, próbując stłumić eksplozję przerażenia, „zaraz” brzmiało równie złowieszczo, ale wtedy Ania wróciła, podając mi w wyciągniętej ręce parę wełnianych skarpetek.

Przez długą chwilę stałem ze skarpetkami w dłoni, nie wiedząc co powiedzieć, wzruszony tak, że ścisnęło mi się gardło i gdy próbowałem to ściśnięcie przepchnąć odrobiną śliny, okazało się, że nie mam i śliny.

– Proszę, niech pan zakłada skarpetki, tu jest naprawdę chłodno – powiedziała Ania.

Ona też miała na sobie gruby sweter i skarpetki, na nogach płócienne pantofle na gumowej podeszwie. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona.

– Zaraz się nagrzej od kominka – powiedziałem, wyciągając dłonie w stronę płomieni.

Już było lepiej. Z papierosa snuła się cieniutka smużka. Gdyby tak jeszcze...

– Co pan woli: grzane wino z korzeniami, czy grzane piwo i kogel-mogel? – spytała nagle, jakby odgadując moje myśli.

Wybrałem piwo. Przygotowanie zajęło trochę czasu, nie szedłem za nią, usiadłem na fotelu koło kominka, z wdzięcznością przyjmując od losu niespodziewany prezent. Miałem czas na dojście do siebie.

Och ty pętaku, ty cholerny pętaku – śpiewała mi w głowie łagodna piosenka – nie ma nic gorszego, niż to, co robisz. Nie trzeba było przyjmować jej zaproszenia, gdy nie jesteś pewny siebie, trzeba było oprzeć

się, pójść w deszcz i płakać z żalu, *und weinte bitterlich*<sup>4</sup>, ale pójść od niej, od tych wielkich oczu, w których jest niewinność i grzech, lub sięgnąć po ten grzech, wyznać jej wszystko, wyrzucić z siebie to kłębowisko obsesji, ten bulgoczący dół pełen smrodliwych wyziewów i najwyższych uniesień, i spytać: czy tego chcesz, czy tego właśnie chcesz? Bo jeśli nie, to nie dręcz mnie, błagam, nie ściel mi łóżek, nie dawaj swoich swetrów, wyrzuć mnie stąd, bo oszaleję od twego zapachu, widoku twoich szczupłych łopatek i linii pochylonej szyi, i twego profilu w cieniu o metr od moich ust. Och ty pętaku, pętaku – śpiewała piosenka – postawiłeś taką wielką budowlę na powietrzu, na westchnieniu powietrza, czy naprawdę sądzisz, że potem tak po prostu przeniesiesz ten pałac na twardą skałę, że wszystko stanie się proste i nieuniknione? Skąd wiesz, co w niej jest? A może w niej jest tylko sympatia i przyjaźń, i więcej nie ma nic? Skąd wiesz, że jest w niej ta sama ciemność i marzenie? Że raptem się odnajdą, dlatego, że ty tak chcesz?

Ani cały czas nie było, siedziałem w fotelu przed kominkiem, zamknąłem oczy i otworzyłem je z dziwnym uczuciem – że nie tyle nie wiem, gdzie jestem, ile że pozycję mam jakąś niewygodną. Istotnie, okazało się, że zajmuję stanowisko w fotelu przed wygasającym kominkiem, przykryty jestem kocem i generalnie bołą mnie wszystkie gnaty, a za oknem jest biały dzień. No to pięknie. Musiałem z niezwykłym taktem zasnąć podczas naszej pogawędki, a Ania nie chciała mnie budzić, więc zostawiła mnie w fotelu, przykrywając kocem. Przykryła mnie... Pomyślałem, że jestem taki stary koń, nikt już od dawna tak o mnie nie dbał, a jednak jest to ten rodzaj gestów, które nieodmiennie powodują moje wzruszenie.

Zerknąłem na zegarek. Było po dziesiątej. Z kuchni dolatywał cudowny zapach świeżej kawy i grzanek, poczułem, że jestem głodny jak wilk, tak jak już od dawna nie bywałem głodny. Podniosłem się, pozbierałem swoje rzeczy, które zdążyły na szczęście wyschnąć i przemknąłem do łazienki. Z kuchni dobiegała cichutka muzyka, pewnie z radia, i przyciszony głos Ani. Więc ktoś u niej był... Żołądek natychmiast wykonał we mnie dziwną akrobację i przestałem być głodny. Żeby to diabli wzięli...

Wróciłem znów do pokoju, poskładałem koc, przedmiotko zapakowałem spodnie od piżamy ze śladami swego grzechu, postanawiając uprać je dokładnie i udawać, że zaplątały się w mych rzeczach przez pomyłkę. Potem uznałem, że należy stawić czoło niebezpieczeństwu. Na miękkich nogach podszedłem do kuchni i zatrzymałem się. Czajnik na gazie

pofukiwał pracowicie, radio szemrało, a Ania siedziała w kucki koło Zadymy, mówiąc do niej przyciszonym głosem:

– Przecież ci mówiłam, żebyś nie szlajała się po deszczu, zobacz, całe futro masz mokre – odwróciła się po ścierkę, zobaczyła mnie i się uśmiechnęła.

Nie umiem opisać tego uśmiechu. Było to tak, jakby cała jej twarz rozpromieniła się ciepłem i radością, uśmiech obejmował oczy, ruch brwi, usta, policzki, skronie i włosy.

Ja też się do niej uśmiechnąłem. Ciepłe dłonie obejmowały moje serce, mój uspokojony żołądek, całe moje wnętrze.

– Przepraszam, zasnąłem wczoraj podczas rozmowy – powiedziałem.

Ania roześmiała się.

– To ja przepraszam. Był pan strasznie zmęczony, a ja nie dawałam panu spokojnie zasnąć.

„W rzeczy samej nie dawałaś” – pomyślałem. – „Mój cudzie...”.

– Czy ma pan ochotę na jajka na śniadanie?

– Z rozkoszą. Wszystko, co mi dasz, pożrę z rozkoszą.

– Pięciominutówki? – spytała.

– Słucham?

– Jakie pan lubi jajka? Białko ścięte, żółtko płynne?

– Dokładnie takie. Ale ja gotuję trzy minuty..

– Kwestia techniki. Pan pewnie wkłada do zimnej wody?

Przytaknąłem.

– A ja do wrzątku.

Jajka stukotały o siebie w garnuszku i pomyślałem, że mam już chyba trwałe zboczenie, gdyż rozmowa wydała mi się nieco erotyczna. Zresztą, co tu ukrywać, wszystko mi się wydawało erotyczne, gdy chodziło o Anię.

Zadyma skończyła wylizywanie mokrej sierści i ułożyła się na jednym z krzeseł na poduszce, mrużąc głośno. Pomyślałem sobie, że wszystko jest tu takie ciepłe i domowe, i zdałem sobie sprawę, że tęsknię za takim ciepłem, za swoim własnym domem, w którym byłaby Ania, kot, dzieci, jajka na śniadanie i melodia czajnika. Tymczasem były dwa puste domy, dwa okruchy życia wciąż rozłączające się, zabierane przez jakieś obce prądy jak statki na morzu, były gesty i niewiadoma.

Miałem trzydzieści lat, za sobą sporo doświadczeń i nigdy dotąd nie pragnąłem ustabilizowania życia, wyśmiewając wręcz te mieszczańskie



marzenia. Widocznie jednak nawet największe wilki-samotniki dojrzewają do takiego stanu.

Wiedziałem, że muszę się wyrwać stąd jak najszybciej, że to, co robię, to właśnie rozhartowywanie się, usilna praca nad burzeniem własnych fortyfikacji obronnych i że potem będzie znacznie gorzej, niż było. Ale nie potrafiłem uciekać, jadłem jajka na śniadanie, patrzyłem jej w oczy i słuchałem mruczanda Zadymy, przeklinając w duchu własną słabość i czepiając się tych kilku chwil jak rozbitek kawałka lądu w bezmiarze oceanu.

– Kawa czy herbata? – spytała tradycyjnie Ania.

Krótkim błyskiem pamięci przypomniał mi się film, który kiedyś przez przypadek oglądałem, film z gatunku harlequinowych romansideł, niewart z pewnością oglądania, no, może dla samej Sharon Stone. A właściwie dla jednej sceny, gdy Sharon, owinięta w prześcieradło, rozchyła je, ukazując widzowi jedynie płaszczyznę bieli, zaś swemu filmowemu partnerowi całe swe, niewątpliwie nagie, ciało. Rzecz ma miejsce rankiem i Sharon pyta: „Co najpierw: kawa czy gwałt?”.

Uśmiechnąłem się w duchu do tej sceny i odpowiedziałem:

– Kawa.

Wypiliśmy kawę, zrobiło się po jedenastej, trzeba było zacząć się zbierać.

Już w przedpokoju rzuciłem niebacznie spojrzenie w lustro.

– Boże, wyglądam jak zbój – mruknąłem, pocierając dłonią ostry, nieogolony zarost.

– Do twarzy panu z tą brodą – powiedziała nagle Ania.

Spojrzałem na nią szybko. W jej oczach przez ułamek sekundy mignął ten wyraz, który mężczyzna zawsze pozna – wyraz uznania, aprobaty, wyraz świadczący o tym, że się jej podobam.

– Mam tak zostawić? – spytałem odruchowo, bez żadnego namysłu.

Uciekliśmy oczami, po chwili zerknęliśmy na siebie okropnie zmieszani.

Muszę iść, muszę uciekać stąd jak najprędzej, już i tak za dużo wydarzyło się tej nocy.

1 niem. I gorzko zapłakał

1 marca

Piotrek obiecał, że zholuje mnie spod Ani domu i istotnie przeprowadziliśmy akcję zabrania samochodu wczesnym popołudniem. Pod bramą ciężko było manewrować, uliczka była wąska, a po bokach chaszczce, więc ustawienie obu samochodów, podpięcie colta na hol i wydostanie się stamtąd zajęło nam trochę czasu.

Nie dzwoniłem już do Ani i ona też nie wyszła z domu, mimo iż ryczeliśmy silnikiem tak, że głuchy by usłyszał. Może jej nie było? Może spała? Nie chciała otworzyć?

Piotrek dowiózł mnie na mój parking przed domem i zaczęliśmy sprawdzać, co się stało. Sprawa okazała się banalna, po prostu zalało bezpieczniki, więc wymontowaliśmy całą skrzynkę i zaczęliśmy suszyć.

– A w tym domu, pod którym utknąłeś, to kto mieszka? – spytał Piotrek, nie patrząc na mnie.

– Ania – odpowiedziałem krótko.

– I co? – zainteresował się. – Nocowałeś u niej?

Skinałem głową.

– No to, kurwa, pięknie. – Uśmiechnął się. – Chcesz mi powiedzieć, że całą noc stukąłeś niewinną nastolatkę, a rano urządzasz głośne przedstawienie pod jej domem, żeby wszyscy sąsiedzi się dowiedzieli?

– Czyś ty oszalał? – zawarczałem. – Nikogo nie stukałem!

– To co robiłeś?

– Spałem w fotelu...

– A łóżka tam nie było?

– Było. Siadłem w fotelu i zasnąłem. No i z czego masz bekę?

– Ty, królewicz, weź się ogarnij, bo ci się księżniczka zniechęci. Od faceta oczekuje się raczej czego innego, niż żeby spał w fotelu.

– Piotrek, przestań się mnie czepiać. Jadę już na rezerwie.

– Tak, właśnie widzę, że ci się pali czerwona kontrolka na czole... Serio. Nieszczęśliwie wyglądasz. Jesteś chory?

– Jeszcze nie wiem. Strasznie mnie wczoraj deszcz zlał i trochę przemarzłem. Dobra, detal.

– To idź ty człowieku do chałupy i połóż się do łóżka.

Popatrzyłem na niego.

– Zaraz idę, tylko chcę to wysuszyć. Muszę mieć wóz na chodzie, bo bez niego nigdzie się nie wyrobię czasowo.

– OK. A tak serio, to jak z tą Anią? Powiedziałeś jej? I co ona na to?  
Potrząsnąłem głową.

– Co ty, masz parkinsona? Rozmawiałeś z nią w ogóle?

– Nie – przyznałem.

Piotrek odłożył wszystko, co trzymał w rękach i spojrzał na mnie, tym razem z prawdziwym zdumieniem.

– Paweł, proszę cię, chcesz powiedzieć, że w ogóle nie podjąłeś z nią żadnej rozmowy? Czy ciebie pogięło dokumentnie? Stary! Spójrz na mnie.

Spojrzałem.

– Kurwa, ty idioto. Osuszamy te bezpieczniki i wracasz do niej. Idź do kwiaciarni, kup kwiaty, ogol się i ruszaj, do cholery! Rozum ci odebrało?

– Tak... już dawno.

– No właśnie widzę. Czego ty chcesz od tej dziewczyny, żeby była jasnowidzem? Żeby sobie z fusów wywróżyła, że ją kochasz? Dlaczego jej jeszcze nic nie powiedziałeś?

– Piotrek, daj mi spokój – jęknąłem. – Nie mogę jej jeszcze powiedzieć. Obiecałem.

– Co żeś, kurwa, obiecał?

– Że się nie spoufalę...

Piotrek zamilkł i spojrzał na mnie ze zgrozą.

– Spo-u-fa-lę? – spytał sylabami. – Czy ty w ogóle jesteś normalny? Komu obiecywałeś taką bzdurę?

– Dyrektorowi liceum. Wezwał mnie na rozmowę i oznajmił, że nie życzy sobie skandalu...

– Co cię to obchodzi, czego on sobie życzy? Zwariowałeś?

Spojrzałem na niego ponuro. W głowie mi trochę szumiało i generalnie czułem się, jak wypluty.

– Dobra – powiedziałem. – Sytuacja jest taka: gdybym jej cokolwiek powiedział, to musiałbym zrezygnować z pracy w szkole...

– So, what?

– A to, że tak naprawdę... nie wiem, czy ona...

– Nie wiesz, czy cię kocha?

Popatrzyłem jeszcze bardziej ponuro.

– Chyba dałaby jakoś znać... A ona nic. Więc tak – wyznam, zderzę się ze ścianą i będę musiał zrezygnować z pracy. W ten sposób może mi się w ogóle urwać kontakt z nią. Póki jestem jej profesorem, mam pretekst do widywania jej. Do nauczania jej matematyki. Do pomagania. Do bycia...

koło niej. Płynie czas, może to uczucie w niej będzie miało szansę się... rozwinąć.

– Ty idioto. Z tego, co słyszę, to po prostu boisz się konfrontacji.

– Masz rację – westchnąłem. – Boję się. Tak. Co możesz mi poradzić, Wujku Dobra Rada?

– Ogot się, kup kwiaty...

– Czy ty jesteś głuchy?

– A ty?

Znów zderzyliśmy się spojrzeniami.

– Paweł – powiedział cicho Piotrek. – Ty idioto. Wariujesz z miłości i jej tego nie powiesz? Zasłaniasz się jakąś zasną przysięgą? To jej powinienes przysięgać. Że jej nie opuścisz aż do śmierci, czy jak to tam szło... Człowieku, rób coś, bo to się źle skończy. Ona nie będzie miała tyle cierpliwości. Kobiety kochają zdobywców, a nie potłuczonych frajerów.

– Dzięki.

– Paweł, przecież ja bym sobie krwi dla ciebie utoczył... Posłuchaj rady starszego, mądrego brata, który ci dobrze życzy. Kwiatki, ogol się, jedź i już w progu padaj na kolana. I mów wszystko jak na świętej spowiedzi, żeby wytłumaczyć, dlaczego tak długo byłeś idiotą. Może ci przebaczy... Przepraszać możesz na klęczkach, to zawsze robi dobre wrażenie. Czego się trzęsiesz? – spytał.

Czułem, że zaczyna mi rosnać gorączka, telepało mnie od środka i łeb miałem jak z kamienia. Wczorajsze przemarznięcie chyba zaczynało rozwijać się w coś poważniejszego. Piotrek szybkim ruchem dotknął mojego czoła.

– O, cholera – powiedział. – No dobra, to najpierw idź do łóżka i się podkuruj trochę. Chyba cię jednak bierze. Idź do domu i pomyśl sobie o tym, co ci powiedziałem. Słyszysz? Połóż się do łóżka i sobie pomyśl. Może coś wymyślisz...

później

Co właściwie miałem wymyślić, siedząc w ciszy pustego pokoju, otepiały, nieszczęśliwy, z zaczynającą mnie toczyć podgrypką, łamiącą mnie tu i ówdzie, cholerny nieszczęśnik wpatrzony w zdjęcie, na którym pół twarzy Ani i blask na jej włosach wyłaniały się z drżących kreseczek i plam bezlistnego drzewa.

„Co właściwie mam zrobić?” – myślałem, wpatrując się z kolei w lustro i we własne oczy podpalone gorączką, iść do niej i powiedzieć jej wszystko, nie wymagać nic, żadnej decyzji, tylko aby wiedziała...? Gdyby to była normalna dziewczyna, nie byłoby w ogóle problemu. Poszedłbym do jej matki i powiedział jej o wszystkim, poprosiłbym o rękę Ani, przysięgłbym na klęczkach, że nigdy jej nie zawiodę, wiadomo przecież, co bym powiedział.

W obliczu tej sytuacji byłem bezradny.

Piotrek mógł sobie kpić, ale ja wiedziałem, że nie złamię słowa danego dyrektorowi, bo nie po to daje się słowo, by je łamać... Nie zrobię żadnego skandalu, nie popełnię żadnej niestosowności, wciąż będę grał przed Anią obojętność, aż ją utracę, utracę ją na zawsze, bo nie zdążę jej zdobyć. Gdyby Ania... Gdyby Ania choć jednym znakiem dała mi do zrozumienia, że myśli o mnie, przecież to się czuje, plunąłbym na wszystko, zażądał od dyra anulowania przysięgi, w ostateczności zabił go, no nie, zupełnie mi na mózg padło... Gdyby Ania choć raz spojrzała tak na mnie... Jest bardzo ciepła, jest bardzo kobieca, obdarza mnie prawdziwą przyjaźnią, zabiera bez wahania w swoje tajemnicze labirynty, ale nigdy... Bo czy można za wyznanie brać jedną uwagę: „Do twarzy panu z tą brodą”? Co mam zrobić, na miłość boską, czy mam ZAPUŚCIĆ BRODĘ?

To przechodzi naprawdę ludzkie pojęcie. Jestem takim starym draniem, przeszendałem się w życiu przez tyle łóżek, nie żebym był specjalnym dziwkarem, ale lubiłem zawsze te klocki, jak każdy normalny facet, a tu...

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że jednocześnie chcę, by zrozumiała, odczytała z moich oczu tę miłość, a z drugiej strony robię wszystko, by całą rzecz zachować w tajemnicy, bo do tego zobowiązuje mnie przyrzeczenie. CHCIAŁBYM zapuścić brodę, gdyż byłby to dla Ani znak, że liczę się z jej zdaniem i chcę się jej podobać, a właśnie tego nie zrobię, z przyczyn jak powyżej. Nie wiem, jak dałem się wplątać w taki nonsens.

Pomijając już całą sferę doznań psychicznych, jestem też doszczętnie zrujnowany fizycznie – mało śpiam po nocach, nie bardzo mogę przyjmować pokarm dla ciała, chudnę na wiór i spaliam się w ogniu własnego pożądania, stanowczo niezdrowego, bo bez ujścia... Cóż z tego, że czytam sam sobie: „Jest czas pieszczot miłosnych i czas wstrzymywania się od nich”, gdy mam już dość wygłaszania tych umęczonych homilii,

które nie wiem, czy mogą nieść pociechę, tym bardziej że zaraz w następnym wersie można przeczytać: „czas szukania i czas tracenia”...

Czas szukania mam już za sobą, teraz nieuchronnie zbliża się coś, czemu nie będę umiał przeciwdziałać...

Powinienem się zachować jak dorosły, dojrzały facet, to znaczy wyznać jej wszystko szczerze i uczciwie, niech wie, bo ma prawo wiedzieć i niech zadecyduje, co chce zrobić z tym pasztetem. Tymczasem nie mogę tego zrobić, bo jako dorosły i dojrzały facet dałem słowo, że... wiadomo, a nie będę sobie robił z pyska cholewy. Prócz jednego, jedyne wyjątku – gdyby Ania mnie kochała... Gdyby Ania mnie kochała, byłbym ostatnim gnojkiem i pętakiem, starając się dochować bezsensownych przyrzeczeń, a raczej rozmówiłbym się z Andrzejewskim!

No tak, ale Ania mnie nie kocha, a ja czytam po raz kolejny słowa: „Zaklinam was na gązle i na łanie pól: nie budźcie ze snu, nie rozbudzajcie ukochanej, póki nie zechce sama”, uwikłany w to bardziej, niż chciałbym się przyznać, wściekły, bezradny, z zaczynającą się gorączką, z zaczynającym się cierpkim zrozumieniem tego, czego nie chcę zrozumieć i mam do wyboru: myśleć o Ani, pracować nad nowym modułem, sprawdzić wreszcie ten cholerny stos klasówek, spróbować ogarnąć jakoś dziki bałagan w mieszkaniu, umówić się z Leszkiem, pić.

Myśleć o Ani i pić.

w nocy

Długo nie mogłem zasnąć, telepała mnie trochę gorączka, leżałem z rękami nad głową i nagle, znów zniemacka, przyszło to wspomnienie...

\*

Czasem graliśmy z Majką w grę, którą ona w swym chorym poczuciu humoru nazywała *Hände hoch!* – gra polegała na tym, że kładłem się na wznak, dawałem ręce nad głowę i pozwalałem, by Majka robiła ze mną, co tylko chciała, przy czym nie wolno mi było się ruszyć. Przyznaję, że czasem chwytalem się ukradkowo ramy łóżka, bo trudno było to nieruchomo wytrzymać... Majka przejawiała niezwykłą seksualną pomysłowość, a mnie nie wolno było nawet otworzyć oczu. Raz to zrobiłem i omal nie umarłem z przerażenia, ponieważ Majka pieściła właśnie nagą brzytwą okolice mego splotu słonecznego... Choć przyznaję,

że nie zraniła mnie nigdy, nigdy nie zadała mi żadnego bólu, to znaczy jeśli chodzi o cielesną powłokę... bo z duszą było już gorzej...

Z tych gier pamiętam dzisiaj moje uniesienia i jej bezprzykładny samarytanizm, jej chęć dopieszczenia mnie we wszystkich szczegółach, cudownie i namiętnie, z niezrównaną swobodą i pomysłowością przekraczającą daleko progi mojej wyobraźni. Doceniam to, że nigdy mnie nie związała i nigdy nie założyła mi opaski na oczy, ufając w moje przyrzeczenie, które tylko raz niegodnie złamałem i omal z tego powodu nie wykończyłem się w jej ramionach...

*Hände hoch* – wymyślna gra, którą grała tylko w jedną stronę, mnie nigdy na nią nie pozwoliła, gdyż dawała zbyt dużo władzy nad drugą osobą. Ja oddawałem się Majce we władanie, bo gdy kochałem – oddawałem się we wszystkim, spełniałem jej każdy kaprys czy zachciankę.

*Hände hoch* – wróciła do mnie nieoczekiwanie, nasza wariacka namiętność, zmysłowy pożar ciała, uległość i władanie, gra na jednym instrumencie... Do dziś robi mi się miękko w środku, gdy pomyślę o tych chwilach – ręce nad głową, ciało wydane na miłość, na pieszczotę, na pocałunek, dotknięcie, na ciężar drugiego ciała, na moment, gdy raptem jestem w ciele Majki, a ona kołysze mnie, wznieca i uspokaja, poddaje swojemu rytmowi, zabiera ze sobą dalej, niż chciałbym dojść, a wtedy okazuje się, że chciałem tam dojść, że miała rację wzniecając mnie dłonią, ustami, dotykiem całego ciała, kochając mnie bez zmiłowania, bez odpoczynku, bez jakiegokolwiek innej myśli, tak jakby świat miał się jutro skończyć...

Tylko dzięki tym chwilom żyje we mnie aż do teraz, karmię ją swoją krwią i swoją pamięcią, tego upiora, przerażającą strzygę, rudowłosą Majkę, która mówiła: „Zawsze będziesz o mnie pamiętał”.

13 marca

Zaaplikowałem sobie końską dawkę wszystkich leków na grypę z przyległościami i udało mi się jakimś cudem od choroby wywinąć. To znaczy zamiast leżeć w betach i umierać, walczyłem tylko z wściekłym katarem, a to dało się przeżyć. Przez tydzień wydmuchiwałem z siebie hektolitry smarków, na koniec zaś miałem uczucie, że wydmuchuję z zapalem własny mózg. Po tygodniu zostałem z cudownie czystą głową, szczęśliwy jak Głupi Jasio z ludowej bajki i zdałem sobie sprawę, że nadmiar mózgu jest potwornie męczącą rzeczą, a w dodatku, żeby osiągnąć

jaką taką równowagę, nie można za bardzo gmerać ani w nim, ani w pamięci...

Gdy przyjechałem do Ani w czwartkowy wieczór, byłem już po chorobie, po wydmuchaniu mózgu i z nieśmiałą nadzieją Głupiego Jasia, że może to wszystko razem nie skończy się aż tak tragicznie, jak wyglądało.

U Ani trafiłem na podbramkową sytuację – jej sąsiadka pojechała z babcią do lekarza, a Ania miała na głowie Oleńkę i przeproszała, że nie udało jej się mnie powiadomić. Jak dla mnie nie był to jakiś wielki problem, lubię dzieci, a ta mała sąsiadów była samą słodyczą. Przez sekundę miałem niezwykle wrażenie, że czas jakimś dziwnym trafem przesunął się do przodu, że jesteśmy już od dawna z Anią razem, a to nasza mała córeczka... Gdy siedziała tak na pupie na złożonym kocu i warczała śmiesznie, udając samochód, czułem, jak we mnie otwierają się po kolei jakieś szczelnie zamknięte szuflady, kolejne zasuwy, drzwi, tajne skrytki... Siedziałem z tą małą jak ogłupiały, ze ściśniętym sercem, myśląc o Uli i Piotрку, o Leszku i Patrycji, o Ani, o Ani, o Ani...

Przyszła do nas zobaczyć, co robimy. Robiliśmy wyścig samochodowy po zjeżdżalniach z brystolu, Ola puszczała samochodziki, ja je łapałem, a Ania spojrzała na nas z góry tak kobieco, że przez sekundę poczułem się jak mąż i ojciec.

Zapisuję tę scenę z wielkim trudem i koślawo, nie potrafię jej jeszcze w sobie ogarnąć... Ból i tęsknota, smutek i czułość, gorzki ersatz, smak marzenia, które nigdy, nigdy się nie spełni...

Gdy przyjechała Joasia z babcią, byłem znów w stanie totalnego rozkładu, znów z nadmiarem mózgu, ochoczo podejmującego kolejną porcję udręczeń, znów rozklekotany, z sercem zatrzymującym się co chwila... potłuczony nieszczęśnik, trzymający kurczowo nad głową sztandar honoru i już chyba niczego więcej.

– Aniu, przedstaw mi proszę pana – powiedziała starsza pani, babcia Klementyna, jak ją Ania nazywała, szczuplutka, drobniutka, siwowłosa staruszka o przenikliwych oczach.

Ania dokonała prezentacji, schyliłem się nad kruchą dłonią o wystających kosteczkach.

– To miło, że pomaga pan Ani w matematyce i w... innych sprawach – powiedziała pani Klementyna. – Ania jest dzielną dziewczynką i wszyscy bardzo ją kochamy...

Podniosłem głowę i spojrzałem jej prosto w oczy.



Kłątwa, egzorcyzmy, wszystkie obiady, którymi poczęstowała mnie Ania, wszystkie chwile i święta, które spędziła wraz z nimi, ich ciepło, rodzinność, opieka, moja trudna miłość, wszystko to stanęło mi w oczach i powiedziałem bezgłośnie:

– Ja też ją kocham. Kocham ją do obłędu, kocham ją najmocniej, jak się da, małą Anię, dzielną dziewczynkę, waszą sąsiadkę, waszą Anię, moją Anię...

Babcia uśmiechnęła się leciutko i skinęła mi głową.

– Wiem, że pan ją kocha – powiedziała mi bez słów. – Niech pan będzie przy niej i nigdy jej nie zawiedzie.

– Nigdy jej nie zawiodę.

– Niech się pan pospieszy – powiedziała babcia tylko do mnie, a potem powiedziała głośno: – Bardzo miło było mi pana poznać. Joasiu, kochanie, chętnie bym się już położyła...

Wyszły i spojrzałem na Anię, moją Anię, moją żonę i matkę naszego dziecka z przyszłości, małą Anię, dzielną dziewczynkę, której nie byłem znów w stanie nic powiedzieć, bo jak można mówić o miłości z kobietą, która jest dziewczynką, z dziewczynką, która jest kobietą, moją kobietą, panią mego serca i duszy...

– To co, robimy te przykłady? – spytałem beznadziejnie i Ania odwróciła ode mnie uważne spojrzenie.

Zaczęliśmy robić przykłady, każde z nas myślami gdzie indziej, ja myślałem: „Wszyscy, wszyscy mi już to powiedzieli”. Leszek, Piotrek, pan Stefański, babcia, pani Barska, mama, Jasio Wędrowniczek i wszystkie wódki, jakie piłem w tym roku, każda z nich mówiła mi to samo – na co jeszcze czekasz, ruszaj, powiedz jej to... Nie zasłaniaj się przysięgą, nie zważaj na nią. Tylko to się liczy, Ania i miłość... Ania i miłość.

\*

Wszędzie, wszędzie, gdy widziałem Anię, był przy niej Michał, nie chciałem tego widzieć, ale widziałem, ich wzajemną bliskość, naturalność ich kontaktu, głęboką więź, która ich łączyła, z której chyba nawet nie zdawali sobie sprawy. Wysoki, pięknie zbudowany, przystojny Michał, zwariowany i zakochany, hardy i dumny jak ona, z tej samej bajki, tej samej legendy, poruszający się płynnie po obszarach, po których i ona się poruszała, rozumiejący ją w pół słowa. Michał, nieodstępny towarzysz,

kumpel, brat, facet, ktoś, kto musiał być kimś cholernie ważnym w jej życiu. Czy kochała Michała?

O tym nie wiedziałem, ale czułem, że ta znajomość to coś więcej niż koleżeństwo, niż przyjaźń...

Tak, mogłem ją zabrać Michałowi. Tak, wiedziałem dokładnie, jak to zrobić. Potrafiłem zawrócić jej w głowie, zwalczyć wszystkie przeszkody. Tak, wiedziałem, jak zwyciężyć. Powierzchnownie.

A ja chciałem, by jej decyzja była głęboka i przemyślana, by – jeśli zdecyduje się na mnie – nie żałowała nigdy tego kroku. Jeśli miałem być z Anią, to ona musiała zabić i pochować Michała w swoim sercu, musiała od niego odejść na zawsze, bo doszedłem już do takiego etapu w swoim życiu, że nie mogłbym, nie potrafił znieść kolejnego rywala, nie zniósłbym, aby budziła się przy mnie z jego imieniem na ustach... by w głębi jej serca tkwiła jak cierń świadomość, że to jednak on zna ją lepiej, lepiej ją rozumie, jest bardziej godny jej miłości...

Kochałem kobiety masochistycznie, zawsze każda z nich odwracała się i odchodziła ode mnie, mimo że dzieliła ze mną życie i dom, i łóżko... Pewnie dlatego, że gardziłem wszelką manipulacją, chciałem kochać i być kochany, nie chciałem walczyć, ścigać się, udowadniać, że jestem wielbłądem, albo odwrotnie, że nie jestem wielbłądem, że jestem lepszy w łóżku, bogatszy i piękniejszy, niż jakikolwiek mój rywal... Życie w nieustannej walce, gdy wciąż, na każdym kroku słyszałem: sprawdzam! i wciąż musiałem wykładać swoje karty, było męką i stresem, nie chciałem tak żyć... Pewnie dlatego byłem sam, mimo że miałem wszelkie predyspozycje, by być w związku, tylko tego jednego nie umiałem – iść na kompromisy. Michał był takim kompromisem i wiedziałem, że jeśli nie pokonam go definitywnie, tak by Ania o tym wiedziała i on o tym wiedział, jeśli nie położy przede mną swojego króla na znak poddania – nic z tego nie będzie.

Nie wejść w kolejną miłość z niezłatwioną sprawą, z niepokonanym przeciwnikiem, z jakąś zmorą, ciągnącą się i niedającą zakończyć. Jak długo Michał był w grze, mogłem walczyć, ale nie zwyciężyć. Jak długo była przy nim, koło niego, w dotknięciu jego ręki, w jego na poły braterskim pocałunku, w jego... przytuleniu, jak wtedy na studniówce, jak długo się na to godziła lub nie zwracała na to uwagi – tak długo nie mogłem wygrać, nawet gdybym powiedział jej wszystko.

Tak, wiązały mnie przysięga i niezłomność zasad. Tak, wiązały mnie upór i hardość, brak uznania kompromisów. Tak, wiązała mnie godność, tym większa, im bardziej byłem na straconej pozycji... A byłem na takiej, bo Ania nigdy, nigdy, najmniejszym nawet znakiem nie dała mi odczuć, że myśli o mnie, że jestem dla niej kimś więcej, niż przyjacielem, opiekunem, starszym bratem.

„Do twarzy panu z tą brodą”... Cóż to znaczy? Jestem idiotą, gdy czepiam się takich słów, gdy na nich buduję przyszłość. To nic nie znaczy, to lekkie słowa, rzucone od niechcienia, zabawa, może delikatny flirt, a może i tyle nie.

Więc co mam robić? Jak mam pokonać Michała, gdy nie wolno mi używać żadnej z mych sztuk walki, a nie używam ich, bo nie chcę się ośmieszyć w jej oczach. Tak, lubi mnie. Tak, ufa mi. Tak, nie wzbrania się przed moją obecnością. Ale to za mało, za mało, by mieć jakiegokolwiek podstawy do marzeń, do działania, do ...zwycięstwa.

Stałem tyłem do niej w pokoju, w którym siedziała i rozwiązywała zadania matematyczne, patrzyłem przez okno na frontową aleję, wiodącą do ulicy Puławskiej, patrzyłem na kamienne słupki bramy wjazdowej, na ślad podjazdu pod jej domem, na krzaki róż, owinięte wciąż jeszcze słomianymi chochołami, na smutek przedwiośnia, błoto i bajora przed gankiem i myślałem: „Co mam robić, maleńka? Oddać ci się w ręce, powiedziec – wybieraj? Ale jeśli wybierzesz... jeśli już wybierzesz, to na zawsze”. Jak mogłem tego żądać, gdy sam... nie dałem jej jeszcze nic? Wiedziałem, co mi odpowie i podświadomie chciałem odsunąć ten moment, dać nam więcej czasu, dać jej więcej czasu... To jeszcze dwa miesiące. Na początku maja zda maturę i przestaną mnie obowiązywać jakiegokolwiek przyrzeczenia. Dzień po maturze z matematyki upadnę przed nią na środku auli, na środku ulicy i powiem – będę czekał tak, jak czekałem dotąd. Ułóż się z Michałem i swoim sercem. Wybierz albo jego, albo mnie. Obaj cię kochamy. On czeka i ja też czekam. Twoja jest decyzja.

Zimne mrówki latały mi wzdłuż kręgosłupa i trzęsło mnie, jakbym wciąż jeszcze był chory, jakby nie zeszła ze mnie cała gorączka, bo nie zeszła, tliła się gdzieś głęboko, podskórnice, tliła się jak próchno, gotowe w każdej chwili wystrzelić płomieniem.

– Podobno zrobiłaś sesję zdjęciową z Martą Kowalczyk? – rzuciłem, nie patrząc na nią, byle co, przeklinając się w duchu, że wciąż nie potrafię mówić z nią o sprawach najważniejszych.

Sesja z Martą... Tak, cała klasa huczała od plotek, domysłów, zazdrości, zawiści, dociekań...

– A skąd pan wie? – spytała zaskoczona.

Bo wiem wszystko o tobie, albo prawie wszystko... Wiem o twojej samotności i o twojej kłatwie, o Michale, o pracy, o tym, jak walczysz z samochodem, nieprzejezdną drogą, z matematyką, o tym, że łączy cię coś z Michałem i jego siostrą, jakieś działanie, wspólny cel, więc jak mógłbym nie wiedzieć o sesji z Martą?

– Cała twoja klasa aż huczy – powiedziałem, odwracając się wreszcie od okna. – Kiedy to się ukáže?

– Nie ukáže się.

Jak przekłuty nagle balon, jak lampa wyłączona z kontaktu...

– Dlaczego? – spytałem zdumiony.

Po raz pierwszy mi opowiedziała o czymś tak szczerze, bez ukrywania czegokolwiek. Po raz pierwszy mi się zwierzyła. Tak, jakbym był jej bratem, ojcem, bliską osobą, przed którą nie wstyd przyznać się do porażki. Patrzyłem na nią, na wyraz jej oczu, gdy opowiadała mi o wszystkim, o tym wyzwaniu i ciężkiej pracy, o odważnym podjęciu trudu i niewiadomej, o borykaniu się z Martą, sesją fotograficzną, o grupie ludzi, która nie wsparła jej w niczym, która po prostu czekała na to, co ona z tym zrobi, w jaki sposób rozbudzi modelkę w wymyślonych przez siebie stylizacjach, w wyszukanych przez siebie strojach, w załatwionym przez nią planie zdjęciowym, a na koniec przyglądała się z niewzruszonym wyrazem twarzy, jak dostaje kopniaka, trudną lekcję od życia, jak zalicza niezasłużoną porażkę...

Gniew wzbierał we mnie jak fala, czułem, że lada chwila wybuchnę i źle się to skończy, źle dla tych wszystkich ludzi i dla mnie przede wszystkim.

– Jak się nazywa ta pani redaktor? – spytałem spokojnie, choć dymiło mi się z uszu.

– Natalia Hartman z *Charme* – powiedziała cicho.

– W takim razie ja sobie z nią porozmawiam – powiedziałem przez zęby.  
– Odechce jej się zabaw.

– Proszę... nie. Proszę pana. Nie.

– Dlaczego chcesz to tak zostawić? – spytałem.

– Nic pan nie wskóra.

Aha. Nic więcej nie musiała mówić. Czułem, jak wszystko we mnie zakleszcza się i zamyka nieodwołalnie. Koniec. Nawet gdybym miał ich

tam wszystkich pozabijać...

– Zobaczmy – powiedziałem, nie odrywając od siebie szczerze zaciśniętych zębów.

14 marca

No więc dzisiaj powędrowałem sobie do tej redakcji. Po trzech godzinach w szkole miałem mnóstwo czasu, żeby wysadzić ten budynek w powietrze, bez specjalnego sprawdzania, czy nastąpiła wcześniej jakakolwiek ewakuacja mieszkańców.

Redakcja *Charme* mieściła się w centrum, w starej kamienicy. Na parterze, w przestronnym holu wisiała duża tablica informacyjna. Zerknąłem na nią kontrolnie, jeśli już miałem komuś urwać łeb i napluć do środka, to raczej wolałem mieć do czynienia z facetem. Naturalnie, pani Hartman była głupią suką i w pełni jej się to należało, ale wychowanie, które otrzymałem, hamowało mnie trochę w mych zapędach.

Redaktorem naczelnym *Charme* był – bingo! – facet. Jego gabinet mieścił się na pierwszym piętrze, więc nie zważając na nic, podążyłem schodami do góry. Wszedłem do gabinetu nieumówiony, nieoczekiwany i bez pukania.

Facet nazywał się Stanisław Piórkiewicz, pomyślałem, że pióra to zaraz polecą, dotarłem do środka pomieszczenia i zatrzymałem się przed jego biurkiem. Był gdzieś w okolicach czterdziestki, elegancko ubrany, wylizany na twarzy. Małe oczka spoczęły na mnie z oburzeniem.

– Czemu mam przypisać to wtargnięcie do mojego gabinetu? – parsknął, odkładając na blat papierową teczkę.

Z boku stało krzesło, przyciągnąłem je sobie i usiadłem. Dzielilo nas biurko i kilka jeszcze niewypowiedzianych zdań.

– Pani Natalia Hartman jest pana podwładną? – spytałem lodowato.

– Słucham, o co chodzi.

Na końcu nie było pytajnika, przez co zdanie miało posmak zniecierpliwienia. Olałem to.

– Pani Natalia Hartman wykorzystwała moją wychowankę, uczennicę szkoły, w której pracuję – powiedziałem powoli. – Zleciła jej zaaranżowanie i nadzór nad sesją zdjęciową, nie podpisując z nią uprzednio umowy. Po wykonaniu zlecenia oznajmiła, że nie zapłaci ani grosza. Dziewczyna ma osiemnaście lat. Spięła się i wykonała wszystko, o co ją poproszono. Zna pan prawdopodobnie dział w pana piśmie, *Od Nowa*,

prawda? Otóż oznajmiam panu, że moja uczennica w dobrej wierze wykonała zlecenie i została przez pana podwładną najbezczelniej oszukana. Chciałbym usłyszeć, co ma pan w tej sprawie do powiedzenia.

– Nic – odparł spokojnie, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Zagotowałem się cały, ale nie zmieniłem uprzejmego wyrazu twarzy.

– Czy mógłby pan rozszerzyć swoją wypowiedź?

– Nie widzę takiej potrzeby. Czy mógłby pan opuścić mój gabinet?

– Nie – powiedziałem, cały czas spokojnie.

Wiedziałem, że mnie prowokuje i za chwilę oskarży o spowodowanie awantury, nie chciałem dawać mu podstaw.

– Jak pan tu w ogóle wszedł? – spytał. – Ochrona pana nie zatrzymała?

– Jak pan widzi. A skoro już tu jestem, proszę o odpowiedź.

– Nie mam nic do powiedzenia. Ufam moim współpracownikom, jeśli pani redaktor odpowiedzialna za ten dział uznała, że nie przyjmie materiału, to ja nie mam zamiaru wchodzić w jej kompetencje.

– Na jawne oszustwo również nie będzie pan reagował?

– Jakie oszustwo?

– Dziewczyna została skuszona propozycją stałej współpracy, ustalono stawkę honorarium, nota bene śmiesznie niską. Nikt nie wypłacił jej ani złotówki. Czy to jest według pana uczciwe zachowanie?

– Czy ma pan ślad tych ustaleń w postaci umowy?

Przyjrzałem mu się. Był nie do zgięcia.

– Dobrze pan wie, że pani Hartman nie podpisała z moją wychowanką umowy, aby mieć wolne ręce. Czy to stały proceder w pana piśmie?

– Sposób prowadzenia przeze mnie pisma nie jest pana sprawą. Czy chce pan wnieść oficjalne oskarżenie? Zaraz zawołam naszego prawnika.

– Proszę pana. – Pochyliłem się do przodu. – Od moich rodziców otrzymałem bardzo staranne wychowanie, a także garść dobrych rad i życiowych mądrości. Szczególnie jedną dobrze pamiętam i z całą pewnością udzielię jej również mojej uczennicy i wychowance. Ta rada brzmi: nie zadawaj się nigdy z gnojkami, cwanyimi skurwysynami i ordynarnymi oszustami. – Wstałem z trzaskiem z krzesła.

Krzesło przewróciło się i nie podniosłem go.

Pan Piórkiewicz zrobił się bordowy na pysku, jakby go miała zaraz trafić apopleksja.

– Jest pan bezzelny – powiedział szeptem. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, co mówi artykuł 212, paragraf 1 kodeksu karnego o

zniesławieniu?

– Owszem, zdaję sobie sprawę. A czy pan wie, co mówi artykuł 212, paragraf 1, nowelizacja z dnia siódmego stycznia dziewięćdziesiątego szóstego roku? Że może mnie pan pocałować w dupę.

Uśmiechnąłem się uprzejmie i wyszedłem.

15 marca

Zaraz z samego rana zadzwonił do mnie Leszek w stanie totalnej paniki.

– Słuchaj, stary, dzwonię natychmiast, żebyś wiedział. Właśnie odwiedziła mnie Marysia.

\*

Majka.

A więc przyszła do mnie znowu, wróciła jak strzyga, mimo że odeszła ode mnie w Bieszczadach, odeszła ode mnie w domu, odeszła z mojego serca... Marysia.

Tyle razy przechodziła już przez karty tego dziennika, mimo mojej uporczywej decyzji, że nie będę o niej pisał. Może więc trzeba jeszcze raz zmierzyć się z przeszłością?

Marysia. Śliczna, o prostych rudych włosach, dwa lata młodsza ode mnie, inteligentna, pragmatyczna, twarda jak kamień i wyzbyta wielu przesądów, prócz jednego, że w dobrym tonie jest mieć przystojnego (podobno), wysokiego (na pewno) i męskiego (?) faceta. Tym facetem miałem być ja. I byłem, przez ponad dwa lata, dwadzieścia sześć miesięcy, z których większość upłynęła na wzajemnych naciskach, bezpardonowej walce, zazdrości, obłudzie, podchodach, manipulacjach i ekstatycznych chwilach najbardziej szalonych łóżkowych uniesień, nieszczęsnym magnesie, który trzymał to wszystko wbrew rozsądkowi, wbrew jakiegokolwiek przytomnej myśli, wbrew mnie i pewnie także wbrew niej.

Leszek jest jedynym, który z uporem używał i używa nadal jej prawdziwego imienia, wszyscy inni, nie wyłączając mnie, zwracali się do niej Majka lub Majówka.

Gdy rozstawaliśmy się w czerwcu zeszłego roku, Majka była w trakcie rozgrzebanego doktoratu z biologii (zajmowała się feromonami, substancjami chemicznymi odpowiedzialnymi za wywoływanie popędu seksualnego u owadów, stąd nie sposób było wybrać się z nią na spacer w plener, gdyż stale otoczona była kłębami jakichś cholernych muszek, komarów czy motylków) i na etapie kompletnie rozgrzebanego życia uczuciowego, każącego jej przerzucać się ze skrajności w skrajność, co przejawiało się typowo pijacką huśtawką nastrojów od „kocham” do „nienawidzę”, bez stanów pośrednich.



Udręczony ponad wszelką miarę zaproponowałem definitywne rozstanie, które kosztowało mnie chyba tyle co ją, gdyż naprawdę miałem wrażenie, że żywię do niej... gównem tam. Po prostu ją kochałem.

Potem zaliczyliśmy niechlubny powrót, który zakończył się najgorzej jak się da...

Od tamtego czasu już się nie widywaliśmy, pozostał mi w szufladach plik zdjęć z wypraw na żagle – jej ogromna pasja, miała patent sternika morskiego, co nieodmiennie wzbudzało mój podziw – i z wyjazdów na narty – nasza wspólna pasja – gdzie Majka, szybka, sucha, szalenie wygimnastykowana, wyczyniała mrozące krew w żyłach akrobacje na oblodzonych stokach, o ekspozycji zbliżonej do kąta siedemdziesięciu stopni.

Lubiłem Majkę.

Jej dosadne słownictwo, umiejętność nieliczenia się z utartymi konwenansami i większością przesądów, jej zaradność, a nawet bezpardonowość w walce o zdobycie ulubionych zabawek.

Nie lubiłem w Majce jej kategorycznej twardości, nieumiejętności odpuśczenia choć na moment, tej szczelnej skorupy, gładkiej jak kula, kamienia, do którego drzwi wciąż pukałem, aż okazało się wreszcie, że ten kamień nie ma drzwi. Gdy doda się do tego wszystkiego jej szachrajstwa, numery, które mi wykręcała z rozbijającą wręcz regularnością, nie dziwię się, że powiedziałem w końcu: „Cześć, bambina, to nie dla mnie te pokrętne szaty, znajdź innego frajera, ja wypadam z gry”...

Wypadłem w samotność, korzystałem z pszczołek, było to tuż po aferze u Garlickiego i ostatecznie wylądowałem w szkole, w której miesiąc po rozpoczęciu pracy podniosłem z korytarza nieprzytomną Anię i Stało Się. Czego teraz może chcieć ode mnie Majka?

\*

– No i czego chciała? – spytałem Leszka.

– Wybacz mi, stary, ale ja chyba pokpiłem sprawę... – Leszek był zdenerwowany i wściekły.

– Jak pokpiłeś?

– Słuchaj. No więc ona koniecznie chciała dowiedzieć się czegoś o Ani.

Zrobiło mi się zimno. W głowie i wszędzie. Majka była bezlitosna i musiałem to wziąć pod uwagę.

– Powiedziałeś jej?

– Właśnie nie. Nic jej nie chciałem powiedzieć, ale ona coś wiedziała.

– Leszek, słuchaj, powiedz to wszystko za jednym zamachem, niech ja nie muszę się z tobą kotłować ani wyciągać z ciebie wiadomości po kawałku. Co ona wie, co ty jej powiedziałeś, proszę bardzo, streść tę rozmowę, tylko aby dokładnie.

– Dokładnie. Służę uprzejmie. Przyjechała do mnie wczoraj, Ania, jak wiesz jest u mnie w soboty, więc nie było jej, byłem sam. No i zaczęła mnie molestować. Żeby jeszcze seksualnie to pół biedy, całe życie lubiłem być molestowany, ale ona ma zdaje się ciebie wbitego w głowę i to na amen. Zaczęła od tego, że wie, iż masz nową dziewczynę. Ja na to, że niezupełnie, to nie jest de facto twoja dziewczyna. Ona na to: „Jak to, dowiedziałam się, że ma śliczną, młodziutką nałożnicę, swoją uczennicę, żeby było do rymu”. Spytałem, skąd ma te rewelacyjne informacje, ale odparła z właściwym sobie wdziękiem, że gównu mnie to obchodzi. Ja na to, że też mnie gównu obchodzi, iż spragniona jest informacji, ode mnie się niczego o Ani nie dowie. No i tu właśnie dałem dupy, że bardziej nie można, ona nie знаła imienia Ani, a teraz już zna.

– Myślisz, że może się z nią skontaktować?

– Niewykluczone.

– O, kurwa.

– No właśnie. Strasznie cię, stary, przepraszam, wymusnęło mi się zupełnie bezmyślnie.

– Trudno. Chyba powinienem uprzedzić atak i zadzwonić do niej...

– Ona do ciebie zadzwoni. Chce się czegoś dowiedzieć o Ani i nie spocznie, póki się nie dowie.

– Co jej raptem odbiło?

– Nie mam pojęcia. Była dość wściekła, zdeterminowana i wyglądała jak złapana w potrzask. Prócz tego wszystkiego wyładniała.

– A dajże mi spokój. Co mnie to obchodzi?

– Obawiam się, że ona chce do ciebie wrócić.

– Obawiam się, że ja nie mam na to ochoty.

– Wiesz... może próbować wyciąć jakiś numer. Jeśli ma na ciebie jakiegokolwiek haka, to możesz być pewien, że to wykorzysta, i to na oczach Ani.

– Daj spokój, nie ma żadnego haka.

– Choćby to, że jesteś dziwkarz.

– Ja jestem dziwkarz? Czy ty masz pierdolca?

- Ja wiem, że nie, ale fakty...
  - Każdy facet ma w życiu parę panienek.
  - Ale Majka może to rozbudować do dowolnych wymiarów.
  - No więc co, uważasz że powinienem popełnić morderstwo, czy samobójstwo?
  - Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać i próbować ją nakłonić, aby odstąpiła. Masz kupę wdzięku.
  - Odpieprz się, dobra? Nie będę szedł z nią do łóżka, nie będę jej nic obiecywał i nie poddam się żadnym szantażom. To ja mam na nią parę haków i choć naprawdę chciałbym uniknąć otwartej wojny, to w razie konieczności zrobię to. Ale do końca będę próbował ją przekonać na drodze rokowań i negocjacji, bo to, co chcę zrobić, to prawdziwe bydlę i nade wszystko nie chciałbym się do tego posuwać...
  - Paweł... pamiętaj. Ona nie będzie miała żadnych skrupułów. Żadnego momentu zawahania. Jeśli będzie mogła cię zniszczyć, to zniszczy. Wygraj to.
  - Spróbuję. Dzięki, stary.
  - Nie dziękuj, powinieneś mnie raczej opierdolić.
  - A, daj spokój. I tak by się dowiedziała, jak nie od ciebie, to od kogoś innego. Jeśli ona chce coś wiedzieć, to się dowie, możesz być pewien.
- Odłożyłem słuchawkę.

\*

Majka, Majka.

Jak żywy stanął mi przed oczami ten moment, gdy byłem z nią... ostatni raz. Wtedy, gdy już nie miałem najmniejszych wątpliwości, że mnie zdradza...

Wróciłem do domu w środku dnia, Majka w leciutkim szlafroczku, pod spodem nic. Nie, żadnego faceta nie spotkałem, na to była zbyt cwana, może zresztą wisiał za balkonem... I tak wiedziałem wszystko, i tak już ta rozmowa się między nami odbyła, moja zimna furia i jej uporczywe zaprzeczanie do końca. Teraz znów – w środku dnia, kompletnie naga...

Podeszła do mnie szybko i przytuliła się całym ciałem. Całym nagim, gorącym ciałem, gorącym od pragnienia, tylko czy pragnęła mnie, czy tamtego, który zdążył wyjść? Odwróciłem ją i pchnąłem tak, że oparła się dłońmi o biurko. Położyłem jej dłoń na karku i nacisnąłem silnie, aż pochyliła się bardziej i bardziej, zmusiłem ją do położenia się piersiami na

blacie. Wziętem ją od tyłu i zacząłem uderzać w nią mocnymi, krótkimi pchnięciami, coraz ostrzej. Gdy zaczęła jęczeć, doprowadzona już prawie do końca – przerwałem. Przerwałem, pochyliłem się do przodu, położyłem delikatnie całym ciałem na jej plecach. Dłonie wsunąłem pod nią i objąłem jej piersi. Doszedłem bardzo głęboko, do samego końca, potem bardzo powoli wysunąłem się niemal całkowicie, znów wszedłem, a potem przestałem się ruszać. Majka wiła się pode mną, ale trzymałem ją mocno, nie pozwalając na nic. Potem podniosłem się, chwyciłem ją za pośladki i znów ruszyłem brutalnymi, mocnymi sztychami, zmieniając siłę uderzenia i tempo. Majka zaczęła krzyczeć, nie przestawałem, zmiękła raptem pode mną, poczułem, że mi się poddaje, całej sile moich uderzeń, poczułem, że doszła, ale wciąż nie przestawałem, nie pozwalałem jej zejść ze szczytu w żadną dolinę i tak trzy razy, raz za razem, doprowadziłem ją do orgazmu, sam nie kończąc.

A potem zostawiłem ją, leżącą na biurku, zapiąłem spodnie i powiedziałem:

– Pakuj się i wynoś stąd. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Odwróciłem się i wyszedłem.

Tego samego dnia wieczorem ledwie mnie odratowali na OIOM-ie.

\*

Gdy doszedłem do siebie... to znaczy, gdy zacząłem sprawiać wrażenie, że doszedłem do siebie i Leszek odważył się mnie zostawić samego... pierwszego dnia... wyniosłem z domu biurko, zwiozłem na dół i zostawiłem koło śmietnika. Tak jakby to mogło uratować moją duszę. Moją potrzaskaną duszę, która składa się z kawałków aż do teraz i zawsze jakiś jeden kawałek nie pasuje, wyskakuje z układanki, jak zepsute kóleczo werku... Tyle właśnie mi zostało po związku z Majką.

\*

Zadzwoiła do mnie następnego dnia.

16 marca

– Paweł, chciałam się z tobą umówić nade wszystko w świecie, więc twoje „nie” absolutnie nie wchodzi w grę, pertraktacje mogą się zaczynać wyłącznie w odniesieniu do miejsca spotkania.

– Majówka – powiedziałem. – Widzę, że zostałaś bezkompromisowa, jak za dawnych czasów. Więc gdzie? U ciebie, u mnie, w kawiarni czy na ławce w parku?

– Może być też na przystanku autobusowym, w kinie, w McDonalddie lub w szalecie miejskim. Ale tym razem wyjątkowo nie chodzi mi o seks. Mogę do ciebie wpaść?

– Teraz?

– Zaraz.

– Jeśli przyrzekniesz, że nie chodzi o seks.

– Gówno, kochanie, nic ci nie przyrzeknę. Będę za pół godziny i nie waż się nie otworzyć drzwi.

Nie ważyłem się. Leszek miał rację, Majka wypiękniała. Zawsze reprezentowała dość chłodną, klasyczną urodę, ale teraz jej wygląd zbliżył się niemal do doskonałości – wąska, wyrafinowana elegancja, ogromne szarzielone oczy w oprawie czarnych rzęs, rude włosy gładko przylegające do głowy. Przez skórę niemalże prześwitywała idealnie sklepiona czaszka, palce dłoni pozostały jak dawniej długie i zręczne, ramiona i plecy proste, prześliczny żywy manekin stworzony do noszenia prześlicznej garderoby.

– Witaj, Majówka – powiedziałem. – Czy od razu chcesz przystąpić do rzeczy, czy może wcześniej czegoś się napijesz?

– Napiję. I przystąpię do rzeczy. – Wpatrywała się we mnie z niezrozumiałym natężeniem. – Cholera, Paweł, jesteś jeszcze przystojniejszy, niż pamiętałam. Chyba zeszczuplałeś?

– Dziękuję. Zeszczuplałem istotnie. Ty zresztą także. I także jesteś znacznie piękniejsza...

Majka powolutku zapaliła papierosa, nie spuszczając ze mnie wzroku, dmuchnęła dymem w sufit i roześmiała się.

– W porządku. Komplementom stało się zadość. „Nasze wilki ziewają przed otwartą klatką”. Czy mogę przystąpić do rzeczy?

To Majka nauczyła mnie poezji Szymborskiej. Byłem jej za to wdzięczny, choć nieco zdziwiony.

– Proszę.

– Masz nową dziewczynę?

– Nie.

– Kochanie, umówmy się, że nie będziemy zaczynać od kłamstwa.

– Nie zaczynamy. Nie mam dziewczyny.

– Słyszałam...

- Od kogo?
  - To nie ma nic do rzeczy.
  - Owszem, ma. Jak widać ta osoba nie jest specjalnie dobrze poinformowana.
  - Być może. Przyszedłem więc po informacje do samego źródła.
  - Majeczko... ale powiedz, po co ci te informacje?
  - Chcę wiedzieć.
  - Minęło sporo czasu od naszego rozstania...
  - Tak, pamiętam, jak mnie wypierdoliłeś i wyrzuciłeś z domu.
  - Mieliśmy już oboje innych partnerów. – Z najwyższym trudem nie pozwoliłem się wytrącić z równowagi. – Powiedz, o co ci chodzi?
  - Proszę cię o odrobinę szczerości. Czy naprawdę nie możesz tego dla mnie zrobić?
  - Wolałbym nie.
  - Kurwa, jesteś naprawdę pierdolonym skurwysynem.
- Majka, jako jedna z nielicznych znanych mi osób, miała wrodzony dar używania najcięższych przekleństw w sposób tak pełen wdzięku i uroku, że uchodziło jej to zupełnie bezkarnie.
- Roześmiałem się. Kosteczki lodu dzwoniły w drinkach, nasze papierosy smużyły się cieniutką, wonną mgiełką, pachniały perfumy Majki, nie wiedziałem, czego ode mnie chce i jak mam się przed nią bronić.
- Więc kto to jest Ania? – spytała.
  - Dziewczyna, którą kocham – odparłem.
- Opór na nic by się nie zdał, mógł ją tylko rozjuszyć.
- Więc jednak masz dziewczynę?
  - Przecież ci powiedziałem, że nie mam. Nie jestem z Anią. Kocham ją. To różnica.
- Oparła się wygodniej i założyła nogę na nogę. Miała śliczne nogi i umiała to podkreślać. Wszystko umiała podkreślać. Nie było w niej błędu.
- Więc z kim jesteś?
  - Z nikim.
  - Chcesz mi powiedzieć, że kochasz tę Anię platonicznie? I że jeszcze jej nie zerząłeś?
  - Majówka, jestem jak zwykle pod urokiem twojej nonszalancji językowej, ale proszę cię, odpuść, dobra?
  - Zaraz odpuszczę. Tylko mi odpowiedz. Z nikim nie chodzisz do łóżka?
  - O co ci chodzi?

– Z nikim?

– Majka, o co ci chodzi?

Leciutko drgnęły jej powieki. Nie zrobiła żadnego ruchu, nie zmieniła pozycji nawet o włos, a jednak wiedziałem.

– O nic – odparła lekko. – O nic mi nie chodzi.

– Jeśli chcesz odegrać scenę pod tytułem *Kuszenie świętego Antoniego*, to mówię ci z góry, że twój trud jest daremny.

– Och, doprawdy? Jakies kłopoty z potencją?

– Majówka, nie zniżaj się do takich gier. Nie. I wiesz dobrze, że nie.

– Będziemy to sobie udowadniać?

– Nie będziemy.

– Więc jesteś aż tak pewien, że ją kochasz?

– Najzupełniej. Jest to obecnie jedyna absolutnie pewna rzecz w moim życiu.

– I czy nie ma żadnych... żadnych szans, abys...?

– Żadnych. Majeczko, przeciez ty wiesz, że między nami juz nigdy nie będzie powrotów.

Miała naprawdę ogromne oczy, była prześliczna i dokładnie taka, jak powiedział Leszek: złapana w potrzask.

– Czułam, że coś się święci. Dlatego przyszłam – powiedziała.

– Dlaczego przyszłaś?

– Bo poczułam, że nagle stało się. Znałam te twoje późniejsze panienki i wiedziałam doskonale, że one nie są żadnym zagrożeniem...

– Zagrożeniem dla kogo?

– Dla mnie.

– Majówka, wyjaśniliśmy już sobie.

– PROSZĘ, nie przerywaj mi. Wiesz, że cię kocham i oczywiście jesteś na tyle bydlakiem, aby mnie zmuszać do wypowiedzenia tego głośno. Nie chciałam tego robić, ale... nie przerywaj mi... muszę to wreszcie powiedzieć, i tak nie mam nic do stracenia, a ty i tak wiesz o mnie same najgorsze rzeczy, więc to jedno upokorzenie więcej nic mi nie zaszkodzi, aczkolwiek mógłbyś się zdobyć na odrobinę dżentelmenerii i przerwać mi wreszcie...

– Czy już mogę? Majówka, bardzo mi przykro. Naprawdę mi przykro, wybac, nie chciałem cię ranić...

– Och, mam cię w dupie.

– Świetnie. Cenię w tobie to kaskaderstwo i boski wiatr, ale nie mogę ci pomóc. Wiem, że mówienie, iż jest mi przykro jest żałośnie banalne, ale to prawda. Lubię cię cholernie, mam mnóstwo wspaniałych wspomnień związanych z tobą, zawdzięczam ci sporo różnych rzeczy, ale nie wymagaj ode mnie miłości. W ogóle niczego ode mnie nie wymagaj. Nic ci już nie mogę dać.

– Naprawdę ją kochasz – stwierdziła.

Nie płakała, siedziała wciąż tak samo wdzięcznie wyprostowana, z nogami złożonymi pod idealnym kątem, z kolejnym papierosem w długich palcach o lakierowanych paznokciach, pozornie nietknięta i nieporuszona, w istocie przeorana na wskroś tym wszystkim, czego jej nie mogłem oszczędzić. Wiedziałem o tym. Znałem ją. Naprawdę było mi jej żal.

– Tak – powiedziałem cicho. – Kocham ją. Nic już na to nie mogę poradzić. I w imię tego wszystkiego pięknego, co kiedyś było między nami, proszę cię, abyś odstepiała.

– Słucham?

– Abyś odstepiała. Nie próbowała żadnego ze swych osławionych numerów. Zostawiła Anię w spokoju.

– Sądzisz, że to zrobię?

– Nie sądzę. Ale cię proszę.

– Nie masz o mnie zbyt dobrego zdania.

– Przepraszam cię, Majka. Ale, jak sama powiedziałaś, istotnie znam cię też z gorszej strony. I ta wiedza każe mi zachować nieufność. I przeczność.

– Nie ufasz mi?

– Nie ufam ci. Nie wierzę ci. Być może powinienem, ale sparzyłem się pewnie o jeden raz za dużo. Wybacz mi, jeśli się mylę.

– Być może się mylisz. Ale wybaczę ci pod jednym warunkiem. Powiedz mi, o co właściwie mnie podejrzewasz? O jakie działanie?

– Że będziesz chciała poznać Anię.

– Istotnie. Będę chciała.

– Nie ma mowy.

– Czyżby? A dlaczego nie? Przecież przed chwilą przepraszałeś mnie, że nie miałeś do mnie zaufania.

– No więc był to prawdopodobnie zwrot czysto retoryczny. W istocie nie mam do ciebie zaufania.

– Pięknie. Mam wrażenie, że cała nasza rozmowa jest takim zwrotem retorycznym, grzecznym biciem piany. Wiem, że się czegoś boisz. Że



mogłabym powiedzieć tej twojej Ani coś takiego, co otworzyłoby jej oczy. Wiem bardzo niewiele, ale czuję, że nawet w tym „niewiele” jest coś, czego nie chciałbyś jej oznajmić. Czy się mylę?

– Zawsze byłem pełen podziwu dla twojej inteligencji.

– Dla mojej inteligencji... Bardzo to budujące. Więc, jak sądzisz, czy ta inteligencja nie podpowie mi, w jaki sposób mogę zniszczyć ciebie, Anię i to, co chciałbyś, aby między wami było? Wiesz, że mogę dowiedzieć się wszystkiego, jeśli będę chciała. Mogę naopowiadać tej Ani kupę prześlicznych historii o pozycjach, które lubisz najbardziej, o regularności zmieniania przez ciebie pańienek, o twoich wszystkich rozkosznych wadach, prawdziwych i urojonych, bo niby czemu miałabym się hamować? Wiem, że ciebie i tak nie odzyskam, więc dlaczego nie miałabym przez zemstę zrobić wszystkiego, aby Ania nigdy cię nie zechciała?

Starannie ugniatałem papierosa.

– No cóż, bardzo interesujące było to *exposé*. Ale teraz powiedz, proszę, do czego zmierzasz?

Majka odchyliła się w fotelu, odstawiając pustą szklanę. Znałem ten jej gest, bliski leniwego przeciągnięcia się. Przez długi czas robił na mnie wrażenie. Teraz skierowany był przeciwko mnie, a jednak poczułem wzruszenie, że pamiętała.

– Paweł, chcę do ciebie wrócić – powiedziała.

– Nie.

– Więc chcę się z tobą kochać.

– Nie.

– Dlaczego?

– Majka, nie. Czy to nie wystarcza?

– A jeśli obiecuję, że zrezygnuję z wszelkich działań?

– Za kogo mnie masz? Nie. I wiesz dobrze, że nie.

– „Nawet rozbity na części będziesz szczelnie zamknięty”... Więc chcesz wojny?

– Jeśli w ten sposób stawiasz sprawę, to tak. Chcę wojny.

Popatrzyła na mnie przeciągle. Z szarzielonych oczu zniknęły iskierki, został smutek.

– Powiedziałeś, że jesteś pełen podziwu dla mojej inteligencji – odezwała się powoli. – Szkoda, że tego samego nie możesz powiedzieć o moim charakterze. Gdyż ja właśnie chciałam ci udowodnić, że ten charakter nie jest aż tak tragiczny, jak przypuszczasz.

– W jaki sposób chcesz to udowodnić?

– W bardzo prosty.

Patrzyła na mnie. Milczałem. Gdzieś podświadomie czułem, co chce zrobić. Choć w to nie wierzyłem.

– Nie bój się – powiedziała cicho. – Odstępuję. Rozumiesz? Mówię pas.

– Dlaczego?

– Być może nie jestem aż taką kurwą, na jaką wyglądam.

– Doskonale, samokrytykę zostaw na boku. Dlaczego to robisz?

– Wiesz dobrze dlaczego. Oczywiście nie jestem siostrą miłosierdzia ani dobrą wróżką, jesteśmy już oboje na tyle pozbawieni złudzeń, by w ogóle nie wierzyć w istnienie takich tworów. Robię to z wyrachowania. Do tej pory znałeś mnie jako dziwkę bez serca, dość ładną i odważną w łóżku, ale rozumiem, że to nie mogło zaspokoić wszystkich potrzeb. Więc teraz chcę, abyś poznał, że oprócz wymienionych walorów mam jeszcze coś... jak by to można nazwać?

– Drzwiami kamienia...

– Drzwiami kamienia. Ładnie powiedziane. Więc pamiętaj, że ten kamień ma drzwi. Może jeszcze przyjdzie taki moment, że zaciekawi cię, co za nimi jest. To w tej chwili moja jedyna szansa i, jak widzisz, skrupulatnie ją wykorzystuję. Jak również mówię ci o tym bez ogródek, gdyż znamy się zbyt dobrze, by wygłupiać się w stosowanie kamuflaży. Czy to wszystko, co powiedziałam, miało jakiś sens?

– Tak.

– No więc dobrze, sprawa została wyjaśniona. Mogę teraz spokojnie wrócić do domu i dostać zawału.

– Majówka, nie wygłupiaj się. Chcę ci podziękować.

– Wypchaj się. Aha. Jeszcze jedno. Chcę ją zobaczyć. Nie muszę z nią rozmawiać. Tylko chcę ją zobaczyć. Zorganizuj to.

– Dobrze. Przyjdź jutro do szkoły w czasie dużej przerwy, o wpół do dwunastej. Pokażę ci ją.

– Gest za gest?

– Nie. Podziękowanie za dużą rzecz. Czy tak będzie OK?

– Nie. Kurewsko daleko od OK. To też cytat z *Pulp Fiction*. Przyjemny film. Widziałeś?

– Tak.

– Więc nie będę ci proponować swego towarzystwa. Idę.

– Do jutra, Majówka.

– Pa.

17 marca

Przyszła rzeczywiście, choć przez chwilę byłem prawie pewien, że sobie odpuści. W hałasie i tłoku na korytarzu stanęła raptem obok mnie, idealna, świetnie ubrana, spokojna.

– W ostatniej chwili – powiedziałem. – Przerwa niedługo się kończy.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Nieważne. Słuchaj, czy mówiłam ci wczoraj, że jadę na rok do Kanady?

– Jedziesz? Nie, nic o tym nie wiem.

– Na uniwersytet w Guelph. Żadne ekscesy.... No nie, przesadzam, w pewnym sensie będzie to kontynuacja tego, z czego robiłam doktorat.

– Obroniłaś się już? Gratulacje, nie wiedziałem.

– Skąd miałeś wiedzieć? Miesiąc temu.

– A kiedy wyjeżdżasz?

– Pojutrze. Nieważne. No i gdzie ta Ania?

Ani nie było widać. Staliśmy na samym środku auli, wystawieni dokładnie pod ostrzał wszystkich oczu, próbując prowadzić normalną konwersację i rozglądając się mimochodem.

Pomyślałem, że Majka pewnie do końca życia będzie mnie zadziwiać. Jeśli wszystko miała już zaplanowane i ustalone, to czemu służyła nasza wczorajsza rozmowa? I jeśli wszystko miała zaplanowane i ustalone, to może nie wolno ufać jej deklaracjom o nieagresji? Właśnie zdążyłem pogubić się dokładnie we własnych domysłach, gdy nagle zobaczyłem Anię. Szła szybko przez środek auli, najwyraźniej nas nie widząc, i sytuacja raptem wyklarowała się definitywnie – my nie zdążymy się usunąć, ona nie zdąży nas ominąć. Odwróciłem się z determinacją do Majki.

– Nie chciałem... – powiedziałem i Ania na nas wpadła.

– Och, przepraszam, panie profesorze, byłam zamyślona.

– Nie szkodzi. To właśnie jest Ania. Aniu, to Maria, moja znajoma.

Wymieniły uścisk dłoni. Stały naprzeciw siebie, obie prawie tego samego wzrostu, wysokie, szczupłe i piękne, Majka w beżach i kasztanach, Ania w dymnych szarościach, ja obok nich, wydany całkowicie w ręce Majki i doskonale o tym wiedzący.

Jeśli Majka chciała poprawić sobie samopoczucie, to raczej niespecjalnie jej się to udało. Ania uczesana była w kok, ubrana we właściwym sobie stylu niedbalej młodej lady, charakteryzującym się starannie

zakomponowanym luzem i fantazją, przy których ubrania wszystkich innych osób wydawały się zawsze jakieś „za” – za grzeczne, za nudne, za serio, za modne, po prostu nieudane i tandetne. Majka potrafiła się przed tym obronić, jej marynarka, spódnica, miękki płaszcz były genialnie proste, ale i bez tej odrobiny humoru, która zawsze cechowała strój Ani.

Znów pomyślałem, że Majka jest jak cudowna modelka, bezbłędna w każdym calu, lecz bez dotknięcia choćby odrobiny ciepła w twarzy. Ania w kolorach mgiełek i astrów, o włosach naznaczonych platynowym błyskiem, była tak bardzo kobieca, naturalna i pełna wdzięku, że wiedziałem, iż Majka popełniła błąd. Ona też to wiedziała.

– Przepraszam, ale na mnie już czas – powiedziała. – Dziękuję ci za twoją uprzejmość, jak zdążę, to zadzwonię przed wyjazdem, ale jeśli nie zdążę, to nie miej do mnie żalu. Napiszę do ciebie z Kanady. Cześć. Do widzenia – zwróciła się do Ani.

Odeszła.

Więc jednak odeszła. Naprawdę poczułem ulgę. Rdzawy płaszcz, ręce w kieszeniach, opanowana, bardzo pewna siebie. Do końca jej nie wierzyłem.

– Moja dawna znajoma – zwróciłem się do Ani. – Nie widzieliśmy się od dawna. Pojutrze leci na rok do Kanady.

Ania uśmiechnęła się leciutko.

– Jest bardzo piękna. Bardzo piękna – powiedziała.

Zabrzmiał dzwonek.

18 marca

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle: już! Nie ma Majki.

Chyba musiałem się z nią spotkać, pierwszy raz od tamtego czasu, spotkałem, piękniejszą niż kiedykolwiek i uświadomiłem sobie tak do końca, że uwolniłem się od niej, nigdy już nie przyjdzie do mojej pamięci, mojego snu, do mojego pragnienia. Uwolniłem się od Majki. Pożegnałem ją.

Majka, dziękuję ci za wszystko piękne, za wszystko, co mi kiedyś dałaś.

Nie mam do ciebie żalu, pozbierałem się już.

Kochałem cię. Nie będę o tobie pamiętał.

Żegnaj, maleńka.

19 marca

Późnym wieczorem, gdy sprawdzałem klasówki, zadzwoniła moja komórka. Głos, którego miałem nigdy nie zapomnieć, przesładujący mnie w koszmarnych snach, powiedział cicho:

– Dobry wieczór, panie Pawle. Miło mi pana słyszeć.

Lodowate zimno ogarnęło moje policzki, tchawica ścisnęła się boleśnie. Przełknąłem ślinę, odłożyłem pióro i zapaliłem papierosa.

– Czego pan sobie życzy? – spytałem.

– Poznaje mnie pan, prawda? – głos Kurskiego, a w tle uśmiech, który doskonale było słyhać.

Robiło mi się na zmianę zimno i gorąco.

– Słucham, o co chodzi? – powtórzyłem.

– Podobno pisze pan teraz oprogramowanie dla banku?

Jawna kpina, przecież dzwonił na moją służbową komórkę.

– Więc może wrócimy do naszej przerwanej rozmowy?

– Nasza rozmowa została zakończona.

– Panie Pawle – powiedział lekko karcąco. – Naprawdę nie upierałbym się tak na pana miejscu. Powiedzmy, że wymazujemy naszą poprzednią rozmowę, zaczynamy od punktu wyjścia. Interesuje mnie mały backdoor w pisanym przez pana programie.

– Nie zrobię tego – powiedziałem tak, jak odpowiedziałem poprzednio.

– Obawiam się, że może pan utracić kolejne miejsce pracy. Obawiam się również, że będziemy musieli powrócić do tamtej, zatuszowanej przeze mnie sprawy. Artykuł sto pięćdziesiąt osiem kodeksu karnego. Trzy lata odosobnienia. Proszę się namyśleć.

– Nie muszę się namyślać. Proszę zostawić mnie w spokoju.

– Jeszcze do pana nie dotarło, że stworzy pan dla mnie tę lukę? Nie ma pan wyjścia, przyjacielu. Proszę nie brykać, bo stracę do pana cierpliwość.

– Ja już od dawna straciłem cierpliwość do pana i pana propozycji – powiedziałem i poczułem, że zaczyna mi się palić przedfiltrze. Szybko zgasilem papierosa.

– Rozłączę się teraz, żebyśmy nie zabrnęli za daleko – powiedział Kurski. – Pan ochłonie i zastanowi się, czy chce pan, abym zniszczył panu życie. Proszę przemyśleć moje słowa. Zadzwonię wkrótce. – Rozłączył się.

Kto to był ten pojebus i jak mogłem się od niego uwolnić? Umówić się na spotkanie, wziąć spluwę i po prostu go zastrzelić? Co by to dało, przecież pan Adrian Kurski na pewno nie istnieje w próżni. Ma

mocodawców, jest w jakimś układzie, zbyt silnym, by przeciwstawiać mu się w sposób, w jaki próbuję to robić...

Zdaje się, że nie ma bata, czeka mnie więzienie. Podobno dobry adwokat potrafi działać cuda. I już chyba należałoby zacząć się za nim rozglądać.

Z całą pewnością muszę zrezygnować z pracy w banku. Natychmiast, nieodwołalnie, żeby wytrącić Kurskiemu z rąk możliwość kolejnego szantażu. Zrezygnować z banku, Emilka już sama powinna dać sobie radę, roboty były tak podciągnięte, że zespół beze mnie spokojnie mógł to ogarnąć.

Co pomyśli Ania, gdy zamkną mnie na trzy lata? A Leszek, Piotrek? Mama?

Nikommu dotychczas nie powiedziałem całej prawdy, wiedzieli tylko, że Garlicki wyrzucił mnie po bójce w knajpie. O szantażu nie wspomniałem dotąd nikomu ani słowa. Z takich rzeczy nie zwierzam się nawet najbliższym. Z takich rzeczy nie zwierzam się, bo nie potrafię. Więc zostanę znów sam, przeciwko tajemniczej organizacji, która nie będzie się bawiła, która odstrzeli mnie, gdy nie uda jej się osiągnąć zamierzonego celu. A nie uda się jej... To był akurat ten rodzaj kompromisu, na który nie szedłem w życiu nigdy i w dalszym ciągu nie zamierzałem iść. Wiedziałem też niestety, że jeśli uda mi się wyjść z tego cało, to całe pokolenia będą o tym pieśni śpiewać...

Smutny porąbany, niezłomny dupek, tak, cześć! To ja.

W całej rozciągłości.

20 marca

Termin oddania projektu w banku upływał za dwa tygodnie, ale byliśmy trochę spóźnieni i ścigaliśmy się z czasem. W tej sytuacji rezygnacja z pracy była... bardzo słabym posunięciem, tym bardziej że nikomu nie mogłem wyjawiać prawdziwych przyczyn odejścia. Nie było jednak rady, wiedziałem, że tylko tak mogę wymknąć się Kurskiemu z rąk, a przynajmniej próbować.

Postanowiłem, że trudno, w poniedziałek będę musiał złożyć rezygnację. Przepraszę Emilkę, chłopaków... Pewnie wściekną się na mnie tak, że zerwiemy wszystkie kontakty. Było mi głupio zwłaszcza w stosunku do Mikiego, który mnie ściągnął do banku i zaręczył za mnie, i w stosunku do Emilki, z którą razem odpowiedzialni byliśmy za naszą część. Na szczęście była już prawie skończona.

\*

Dziś podjechałem do Ani wcześniej niż zazwyczaj, bo musiałem jej zmienić opony na letnie. Nie było już szansy na atak zimy, pomyślałem, że zanim nieodwołalnie dopadnie mnie coś, nad czym nie będę miał kontroli, pozalutuję wszystko, co się da. Choćby te opony.

Zrobiło się całkiem ciepło, pracowałem w garażu w samym swetrze, na koniec poprosiłem Anię, żeby otworzyła bramę, bo chciałem przejechać się kawałek i zobaczyć, czy wszystko jest OK. Ania wyszła przed front domu, ja pozbierałem narzędzia, otworzyłem drzwi garażowe i już chciałem cofnąć się do wnętrza samochodu, gdy przypadkiem rzuciłem okiem w stronę bramy i zobaczyłem Anię, szarpiącą się z jakimś niedwuznacznie wyglądającym osobnikiem...

Nawet nie zdążyłem pomyśleć, a już wystartowałem. Nie wiem, czy facet mógł się tego spodziewać, prawdopodobnie tak, bo gdy go dopadłem, sięgnął ręką do kieszeni i błyskawicznie wyrwał z niej nóż. Nie zatrzymało mnie to, kątem oka zarejestrowałem, że to nóż wyrzutowy, nie sprężynowy, a reszty nie pamiętam. W każdym razie w momencie, gdy opadła mi mgła z oczu, okazało się, że siedzę z wyszczerzonymi zębami na obrośniętym drabie, którego zniekształcony pysk przypomina befszytk, nieźle już zjeżdżony przez Tatara pod siodłem, facet wyje i trzyma się za jaja, więc chyba tam mu musiałem w pierwszym rzędzie strzelić kopa, a poza tym go duszę i pomijając całkowicie konduktę jego mamy, powtarzam mu z precyzyjną systematycznością: „Ty kutasie zasrany”, nie wnikając specjalnie w sens własnej wypowiedzi.

Tak na dobrą sprawę, to ja jestem teraz dość zrównoważony facet, owszem, naparzałem się za młodu, co nie znaczy, żebym czuł się staro, ale, powiedzmy, za większego młodu, naparzania były różne, częstokroć w strefach górnych stanów średnich, ale tego faceta myślałem, że zabiję.

Wyczołgał się wreszcie jakoś spode mnie, pewnie pozwoliłem mu się wyczołgać, powtarzając uparcie, co mu jeszcze zrobię, gdyby kiedykolwiek się odważył, więc kuśtykając i wypluwając po drodze zęby, zniknął w chaszczach przy drodze, obejrzałem kompletnie rozpruty rękaw i wtedy Ania powiedziała:

– Teraz już wiem, co kulturalny, miły pan profesor mówi do przygodnie spotkanego chuligana...

Odniesienie do jakiejś dawnej mojej wypowiedzi było w tej sytuacji tak absurdalne, że aż komiczne. Parsknąłem zduszonym śmiechem.



– Wybacz – powiedziałem, gdy udało mi się rozerwać ściśnięte szczęki. – Przykro mi, że byłaś tego świadkiem.

– Nic panu nie jest? Nie poranił pana? – spytała Ania trzęsącym się głosem.

Zastanowiłem się przez chwilę. Strzał adrenaliny był tak silny, że kompletnie nic nie czułem, ale niewykluczone, że na samym początku zahaczył mnie gdzieś tym nożem...

– Nie wiem – powiedziałem bezradnie.

– To chodźmy do domu – poprosiła.

W kuchni zdjąłem sweter i podwinąłem rękawy koszuli, by przekonać się, że rzeczywiście na lewym przedramieniu mam krótką głęboką ranę. Ania spojrzała na mnie tak przerażonymi oczami, że aż zrobiło mi się głupio.

– Masz może jakiś środek dezynfekujący?

Po oczach zobaczyłem, że nie.

– Wódkę?

Wyjąłem jej z ręki butelkę, polałem sobie nad zlewem ranę. Ramię zapaliło się ostrym, krótkim ogniem. Ania przyniosła plaster i bandaż, próbowała mi zrobić jakiś opatrunek. Wołałem, żeby mnie za długo nie dotykała, ból nie ból, dotyk jej dłoni przebijał każdy ból, pierwszy raz dotykała pospiesznie, delikatnie mojej ręki i czułem, że mogę nad sobą nie zapanować. Szybko obciągnąłem rękaw koszuli. Zerknąłem na rozpruty rękaw i zrobiło mi się cholernie przykro. Ten sweter podarowała mi Ula na Gwiazdkę i bez trudu zwyciężył w kategorii na mój najbardziej ulubiony ciuch.

– Zobacz, da się jakoś naprawić? – spytałem. – Szkoda mi go, dostałem go od Uli.

Powiedziałem to zupełnie odruchowo, nie pamiętając, że przecież Ania nic nie wie o Uli. Wydawała mi się tak bliska, jakby była już w naszej rodzinie od dawna.

– Kto to jest Ula? – spytała cicho, nie odrywając oczu od swetra.

– Żona mojego brata – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Bardzo fajna dziewczyna. No i ma cierpliwość, że z nami wszystkimi wytrzymuje.

– Tak często się pan bije?

Zastanowiłem się. Całe moje życie usiane było właściwie jakimiś bójkami, byłem niepoprawny, impetyczny i zdarzało mi się tracić kontrolę.

Jak to powiedziała kiedyś Emilka? „Po co się kłócić, jak się można pobić...”.

– Nie biję się – powiedziałem do Ani.

Ania przyjrzała mi się uważnie, a potem przeniosła spojrzenie na podarty sweter.

– Nie wiem... – odezwała się po chwili z wahaniem. – Niech pan spojrzysz, cały rękaw. – Przyjrzała się bliżej.

– A właściwie dlaczego ten sweter wygląda jak przecięty nożem? – spytała.

– Bo on miał nóż – przyznałem z westchnieniem. – Dlatego tak dostał. Żeby nie miał już siły. Facet z nożem może być niebezpieczny.

Oczy Ani zrobiły się jeszcze większe, choć myślałem, że to niemożliwe. Znów patrzyła na mnie jak na pieprzonego superbohatera, pogromcę wampirów czy innego herosa. Proszę bardzo, załatwiłem faceta z nożem w jej obronie... Pomyślałem, że mogę się bić jeszcze raz i jeszcze, i kolejny... aż mnie wreszcie ktoś na śmierć zatłucze... ale będę się o nią bił, byle tylko z jej oczu nie zniknął ten wyraz.

Zamknąłem na chwilę powieki, przypomniałem sobie solennie wszystkie postanowienia i przysięgi. Przełknąłem ślinę, otworzyłem oczy i powiedziałem:

– Mnie za to co innego interesuje. Jak on się tu dostał? Furtka była otwarta?

– Nie pamiętam – powiedziała Ania bezradnie. – Chyba za panem zamknęłam... Teraz jej nie otwierałam.

– Górą nie przeszedł. Musiał mieć klucz lub wytrych. Może trzeba by było zmienić zamek?

– No, jak ma wytrych...

Co racja, to racja. Jak ma wytrych, to nie pomoże zmiana zamka.

– Okręcaj furtkę łańcuchem z kłódką – powiedziałem ciężko, wiedząc, że to główniane zabezpieczenie. – Gdyby chciał wejść, zajmie mu to dużo czasu i ktoś go może zobaczyć. Poproś sąsiadów, żeby mieli oko. Chyba że się przeniesiesz? Do pani Barskiej?

Ania przez chwilę patrzyła na mnie, potem powoli pokręciła głową.

– Z Zadymą się nie przeniosę. Poza tym nie będzie mnie nikt wypędzał z mojego domu.

Tak, wiedziałem, że tak odpowie. Dzielna Ania, niezłomna jak skała. Jak mam jej powiedzieć, że umieram ze strachu o nią? Przenieść się do niej,

warować pod jej drzwiami? Zabrać ją do siebie razem z kotem, wbrew wszystkiemu, wbrew jej oporowi, wbrew konwenansom i przyzwoitości?

– Dam ci jutro gaz łzawiący – powiedziałem w końcu beznadziejnie, wiedząc, że to co mówię, to bzdura, żadne zabezpieczenie, że o prawdziwym zabezpieczeniu to dopiero będę musiał pomyśleć...

– Gaz łzawiący będzie super – powiedziała odważnie Ania, starając się ukryć panikę w oczach. – Ja się nie boję.

– Ale ja się boję – szepnąłem. – Bądź ostrożna, proszę.

21 marca

Następnego dnia podjechałem pod swój dom około dziesiątej wieczorem, jak zwykle. Zostawiłem samochód na parkingu i kończąc papierosa, ruszyłem w stronę klatki schodowej.

Niezauważalnie jakichś dwóch pojawiło się za mną, trochę z boku. Zerknąłem przez ramię i nieszczególnie mi się spodobali – młode bydlaki w skórach, w wieku najbardziej awanturniczym. Przez ten czas dwóch innych zaszło mi drogę z przodu. Poczułem, że jest kiepsko, paliła się jedna latarnia, gdzieś na obrzeżach światła plątał się jakiś cień z psem na wieczornym siusiu, ja byłem sam.

Szedłem cały czas, a oni zaczęli się wokół mnie zacieśniać. Wreszcie, gdy już nie miałem przejścia, stanąłem. Otoczyli mnie jak wilki. Czterech w skórach i wtedy zobaczyłem piątego. Piąty miał pysk sinofioletowy i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to ten potraktowany przeze mnie mało pieszczotliwie pod Ani domem. Aha. Zebrał kumpli. Pięciu, nie mam najmniejszych szans, zaraz dostanę taki wpierdol, że proszę siadać.

Podniosłem ogarek papierosa do ust i jeszcze raz się zaciągnąłem. Całą głowę obejmowało mi lodowate zimno.

– No i co, kutasie zasrany? – spytałem od niechcienia, wypuszczając mu strugę dymu prosto w twarz.

Zainkasowałem pierwszy cios i sam jeszcze zdążyłem go strzelić. Drugiemu od tyłu doładowałem łokciem, odwinąłem się i przysunąłem mu rozpaczliwym prostym, po czym dostałem w brzuch. Zwinąłem się, jeden z nich wyprostował mnie kolejnym strzałem w zęby. Czuję, że dwóch chwyciło mnie pod ręce, trzeci walił we mnie raz z prawa, raz z lewa, jak w worek treningowy. Potem puścili mnie, upadłem na ziemię i wiedziałem już, że wezmą mnie pod obcasy. Twarz nie bolała mnie właściwie,

najwięcej brzuch, starałem się osłonić go jakoś przed kopniakami, potem straciłem przytomność.

Ocknąłem się, ich nie było. Czułem, że widzę niewyraźnie, pomaleńku odwracałem głowę w różne strony, ale naprawdę nie było nikogo. Ktoś ich przepłoszył lub doszli do wniosku, że już mnie dostatecznie sflekowali.

Asfalt był porowaty, twardy, pachniał smołą, lodowatym chłodem i krwią. Zdaje się, że trochę dostałem. Ale przynajmniej sam się o to poprosiłem. Ślicznie. Czy naprawdę zamierzam odgrywać fragmenty pod wspólnym tytułem *Dzikość serca*? Jeśli nawet, to z całą pewnością nie pokazała mi się Dobra Wróżka. Leżałem, dławiąc się własną krwią, która spływała mi tymczasem do przetyku, zbyt obolały, by móc się ruszyć.

Ania.

To raptem wystarczyło, by poderwać mnie, to znaczy o tyle, o ile. Udało mi się przekręcić na czworaka, wyplułem krew i pomacałem językiem, czy mam zęby. O dziwo, były.

Ania jest tam sama. Jeśli fioletowy kutas dotarł do mnie, choć naprawdę nie wiem, jak to zrobił, to tym bardziej dotrze do niej. Wie, gdzie jej szukać. Dźwignąłem się na kolana, a potem, chwiejnie, podniosłem. Nawet nie starałem się wyprostować, minął szok adrenalinowy, wszystko zaczynało mnie poważnie boleć. Dokuśtykałem do windy. Z nosa lała mi się strumieniem krew, czułem, że zamiast ust mam miazgę i coś tam jeszcze w głowie, i ten cholerny brzuch. Wyciągnąłem rękę do guzika w windzie i nieco się zdziwiłem. Ręka też była cała we krwi, leciała mi z kostek, startych do żywego mięsa. Och, jak ja lubię takie spotkania.

Dotarłem do domu, wciąż znacząc za sobą krwawy ślad. W łazience zamoczyłem ręcznik w lodowatej wodzie i przyłożyłem do twarzy. Trzęsło mną zimno, cała głowa pulsowała. Nie odczułem żadnej ulgi.

Zaraz. Najpierw policja. W słuchawce: „Pogotowie policyjne, proszę czekać, pogotowie policyjne”... Pomyślałem, że zanim się doczekam, tamte skurwysyny mogą zdążyć dojechać do Ani, więc przerwałem połączenie. Jej telefon nie odpowiadał. Ogarnęła mnie panika. Zdążyli... Boże przenajświętszy, tylko nie to!

Na zmianę modląc się i klnąc najgorszymi słowami, trzymałem słuchawkę i wreszcie na drugim końcu usłyszałem zniecierpliwione:

– Słucham!

Usiadłem na krześle.

– Aniu – powiedziałem, czując, że mówię strasznie niewyraźnie, górna warga puchła, cała twarz mnie bolała.

– Słucham, kto mówi?

– Paweł Jeż. Aniu, czy wszystko w porządku?

– Panie profesorze! Nie poznałam... Co się stało?

Więc jeszcze nic... nie dotarli. Zdążyłem.

– Aniu. Słuchaj mnie uważnie i zrób dokładnie tak jak mówię. Pozamykaj dokładnie wszystkie drzwi. Pozamykaj okna i załóż okiennice. Nie otwieraj nikomu i czekaj na mój telefon.

– Co się stało? – Głos miała poważny, skupiony, ale bez strachu i bez hysterii. Pomyślałem, że naprawdę jest odważna.

– Miałem przed chwilą spotkanie z tym oberwanym, który ciebie zaczepił, i z jego kumplami.

– Jezus, Maria! Czy oni pana pobili?

– Tak, trochę. Dlatego proszę, żebyś zrobiła dokładnie tak, jak mówię...

– Jadę do pana!

– Ani się waż! – Aż mnie uniosło z krzesła. – Nie ruszaj się z domu. Mnie nic nie jest, żyję jak słyszysz. Pozamykaj się i czekaj na telefon. Może panikuję, ale lepiej być za bardzo ostrożnym, niż za mało.

– Panie profesorze, jak pan się czuje? Może mogłabym...

– Wykluczone. Wszystko jest w porządku. Proszę, przyrzeknij, że zrobisz, jak powiedziałem.

– Ale...

– Aniu.

– Przyrzekam...

– Dobrze. Zaraz do ciebie zadzwonię.

Rozłączyłem się. Ręcznik był już dokładnie cały we krwi, mogłem go wyżyłować. Czułem się dość nieszczególnie, tłumacząc sobie jednocześnie, że to głównie reakcja na widok własnej krwi. Krew jest czerwona i to przede wszystkim robi niemiłe wrażenie. Pewnie, lepiej by było, gdyby była biała...

Zadzwoniłem do Piotrka i poprosiłem, żeby do mnie przyjechał. Nie mogłem zatamować tego cholernego krwotoku z nosa. Włosy miałem całe posklejane i wolałem nie sprawdzać, co mam na głowie, niewątpliwie jakąś ranę tłuczoną. Wziąłem drugi ręcznik, pochyliłem głowę do tyłu. Wiedziałem, że Piotrek zaraz przyjedzie, przerazi się i szlag go trafi w jednym momencie.

Tym razem udało mi się dodzwonić do policji. Nie wdawałem się w szczegółowe wyjaśnienia, zgłosiłem wypadek i poprosiłem, żeby szybko przyjechali, aczkolwiek wiedziałem, jak w ich wykonaniu wygląda takie „szybko”.

Co teraz? Pogotowie? Nie, zaraz, na pogotowie jeszcze zdążę zadzwonić. Teraz do Leszka.

Wyłuszczyłem Leszkowi całą sprawę, przykładając ręcznik na zmianę do nosa i do wargi. Leszek nie zadawał żadnych pytań, wysłuchał mnie do końca.

– Stary, błagam cię, jedź tam do niej i przenocuj, niech ja nie muszę umierać ze strachu, że jej coś zrobią.

– Jasne. Już jadę. Ale wiesz, jeśli jest jak mówisz, to jest to rozwiązanie doraźne. Skąd wiesz, czy nie dopadną jej jutro, pojutrze?

– Wiem. Coś trzeba będzie...

– Nawet wiem co. Poczekaj, muszę podzwonić.

– O rany, jedź do niej.

– Zaraz. Z tego, co zrozumiałem, to jest zamknięta. Spokojnie. Spokojnie. Zaraz jadę. Wiesz, mam paru kumpli po AWF-ie. Mam kumpli w prywatnej agencji ochrony. Zrobią to dla mnie, jeśli nie za darmo, to za symboliczne pieniądze. Wykładasz?

– Nawet według stawek.

– Według stawek to będziesz niewypłacalny. Ale nie ma takiej potrzeby, jak mówię. Czekaj. Wykonam parę telefonów i jadę. A z tobą co? Jak się czujesz?

– Nietęgo – powiedziałem z westchnieniem i Leszek parsknął śmiechem.

Mieliśmy swoje słowne szyfry, między innymi ten, jeszcze z czasów studiów: „Coś nie idzie ci to tego, skurwysynu, niedołego!”.

– Wpadnę jutro do ciebie. Wszystko będzie w porządku.

– Dzięki, stary. Aha. Czekaj. Zadzwoń do niej dwa razy. I niech ona nie wychodzi do furtki. Możesz chyba przejść górą?

– Boże, Boże, czy ja muszę mieć za przyjaciela szaleńca? Naprawdę sądzisz... No dobrze. Jak się łatwo możesz domyślić, przejście górą dla kaskadera, nawet w stanie spoczynku, nie jest rzeczą niewykonalną. Tylko gdybyś mi jeszcze ewentualnie podał adres...

Podaliśmy mu adres i natychmiast zadzwoniłem do Ani.

– Aniu. Zaraz przyjedzie do ciebie Leszek i będzie nocował.

– Dobrze. Mnie już nic nie zdziwi.

– Prawdopodobnie nie ma niebezpieczeństwa, ale ja wolę się nie denerwować. Zadzwoń do ciebie dwa razy i przejdzie przez płot, więc ty tylko otworzysz drzwi od domu.

– Panie profesorze. Czy pan naprawdę sądzi...

– Nie – skłamałem. – Sądzę, że nic ci nie grozi, ale wolę się ubezpieczyć, jak mówiłem.

– Czy oni pana bardzo...

– Trochę. Nie martw się tym, Aniu. Do zobaczenia.

Musiałem zakończyć rozmowę, bo Piotrek zdążył tymczasem otworzyć drzwi swoim kluczem i stał nade mną, wymachując rękami.

– Czyś ty oszalał? – wrzasnął. – Pogawędki sobie urządzasz? Mam nadzieję, że na pogotowie zadzwoniłeś?

– Jeszcze nie...

– Noż kurwa mać! Leje się z ciebie jak z wieprza i zabawiasz się w telefony? Kładź się na podłogę. Nie tu, najlepiej w łazience, łatwiej będzie można wytrzeć i woda pod ręką...

Jako starszy brat zawsze działał na mnie tonizująco. Teraz widziałem, że był trochę przerażony i dlatego pokrywał to szorstkością. Grzecznie położyłem się w łazience, dostałem na łeb kolejny ręcznik, a Piotrek wezwał pogotowie. Udało nam się opanować krwotok z nosa, doprowadziłem do porządku górną wargę i właśnie Piotrek zaczął oglądać dokładnie tył mojej głowy, gdy przyjechała policja. Powiedziałem wszystko w pozycji horyzontalnej, poprosiłem o opiekę nad Anią, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie niewiele mogą zrobić. Obejrzelni mnie sobie, pokrwawionego jak nieboskie nieszczęście, i poszli.

– A o ochronę dla siebie nie prosisz? – spytał Piotrek, któremu ręce latały z wściekłości.

– Stary, wiesz tak samo dobrze, jak ja, co to za ochrona. Poza tym mnie się to już nie zdarzy.

– Tak?

– Tak. Mam pistolet. I przysięgam, że jak ich jeszcze kiedykolwiek zobaczę, to pozabijam bez najmniejszych skrupułów.

– Uważaj.

– Uważam. Nie bój się. Nie w biały dzień i nie na oczach ludzi. Och, daj mi spokój. Trochę się chujowo czuję.

Zaraz po tym przyjechało pogotowie. Ogólny wyrok: podejrzenie pęknięcia nosa, górna warga przecięta na wylot, rany tłuczone głowy i

ramion, podejrzenie wstrząsu mózgu i obrażenia wewnętrzne. Przy okazji obejrzeli mój brzuch, z mozaiką podeszłych krwią śladów. Prawa łapa bolała aż do barku. Ekstra. Lubię być wożony karetką.

Tę noc spędziłem w szpitalu. Na szczęście podejrzenie o wstrząs mózgu i obrażenia wewnętrzne upadło, lekarz długo zastanawiał się, czy wpychać mi do nosa tampony, czy dać spokój, ale po namyśle dał spokój. Następnego dnia wypisałem się do domu.

Nie chciałem nikogo widzieć, wpuściłem tylko Leszka. Przywiózł mi piwo i wiadomość, że Ania koniecznie wyrywa się tutaj, w charakterze pielęgniarki prawdopodobnie.

– Niech przyjedzie – zaproponował Leszek. – Jak cię zobaczy, niewątpliwie zyskasz kilkadziesiąt punktów. Na twój widok każda baba się wzruszy.

Uśmiechnąłem się, ale pokręciłem głową.

– Wykręć mi numer do niej – poprosiłem, bo był to dzień drugi, kryzysowy i nie władałem specjalnie własnym ciałem.

– Aniu – powiedziałem, zapewne nieco przez zęby. – Właśnie jest tu u mnie Leszek i mówi, że chcesz przyjechać. Proszę, abys sobie wybiła to z głowy. Mnie nic nie jest, mam tu opiekę i nie ma najmniejszego powodu, by którykolwiek z tej bandy miał cię zobaczyć pod moim domem. Mój dom jest trefny. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek cię tutaj oglądał. Czy to jest jasne?

– Jasne.

– To bardzo dobrze. Moje życzenie należy do gatunku kategoriycznych, więc to na tyle.

– Panie profesorze. Jak pan się czuje?

– Ja? Świetnie. Prawdopodobnie przez najbliższy tydzień będziecie mieli matematykę z głowy, możesz rozpuścić dobrą wiadomość.

– Czy pan musi?...

– Muszę. Aha, w szkole podam, że miałem wypadek samochodowy. Nie dementuj tego, proszę. Dobrze?

– Dobrze.

– To cześć.

Leszek podał mi puszkę i przyciągnął sobie krzesło.

– Bardzo to chwalebne, że rzniesz gieroja – powiedział. – Ale między nami to wyglądasz dość nieszczególnie.

– Też byś tak wyglądał po spotkaniu z miłą piątką.



- Ale co oni właściwie do ciebie mieli?
- No przecież ci mówiłem. Trochę sflekowałem ich kumpla.
- I to w rewanżu?

Skinałem głową. Leszek przypatrzył mi się.

- Tak mi się zdaje, że musiałeś im jeszcze coś zaszurać.
- Zaszurałem – przyznałem się.
- Taak. Znamy się nie od dziś... Nigdy nie zmądrzejesz?
- Nigdy.

– Wiesz dobrze, co to jest zadzierać z takim elementem.

– Leszek. – Spróbowałem upić łyk piwa. Górna warga bolała jak jasna cholera. – Przecież tobie tego nie muszę tłumaczyć. Ja o tym wiem i ty też wiesz doskonale. Już od dość dawna przestaliśmy wierzyć w Old Shatterhanda i zdążyliśmy rozejrzeć się trochę po tym najpiękniejszym ze światów, ale została nam przynajmniej jedna rzecz. Niezgoda. Niezgoda na to, co się dzieje, a na co nie mamy praktycznie żadnego wpływu, ale niezgoda, dzięki której można sobie potem spojrzeć w oczy. Więc wiesz, dlaczego tak robię i będę tak robił, bo jeśli jestem nawet do reszty pozbawiony złudzeń co do efektywności takich działań, to wciąż jeszcze wierzę w ich sensowność.

– Wiem. Bunt w imię niezależności. I bez prawa litości nad sobą...

– Bez prawa litości nad sobą – westchnąłem.

– Mój Boże, Paweł. Jesteśmy wymierającym gatunkiem. Starych romantyków spod znaku Ravica.

– O, właśnie. Jeśli już, to otwórz tamtą szafkę, mam butelkę calvadosu, bo jak to kiedyś powiedziała Ania, „taki strzał dobrze nam zrobi”.

– Służę najuprzejmiej. Tylko jak? Rurkę ci dać?

– A Boże broń. Rurką uwalę się w pół minuty. Tak jakoś popróbuje.

– To Ania ma wdzięczne określenia.

– Ania ma wszystko wdzięczne. Słuchaj, czy twoi kumple...

– Tak. Moi kumple mają oko. Czterech na zmianę i będą jej pilnować przynajmniej przez tydzień. Ona o niczym nie będzie wiedziała. Czarek miał wobec mnie dług wdzięczności, więc wziął zlecenie bez problemu. Nie martw się, to jest cholernie bystry facet i w razie konieczności pozbawiony skrupułów.

– To dobrze. W tym wypadku skrupuły nie są do niczego potrzebne. I całe szczęście.

– Właśnie. Szkoda, że człowiek nie jest w stanie rozciągnąć tego braku skrupułów i na inne dziedziny.

– Co zrobić? Tak to już jest.

Wiedziałem, że mówi o Ani. Pociągnęliśmy ze szklanek, ja z wysiłkiem, bo wargę paliła żywym ogniem. Leszek nic więcej nie powiedział i byłem mu za to wdzięczny. W ogóle właściwie niewiele rozmawialiśmy o Ani, prócz tego razu, gdy w ogóle o niej powiedziałem i tego dnia, gdy ją do niego przywiozłem. Potem jeszcze było kilka rozmów, między innymi ta o ogierach i sublimacji. Leszek powiedział mi wtedy, co myśli, i więcej do tego nie wracał, uznając, że jest to moja sprawa.

Istotnie była. Mogłem się z Leszkiem zgadzać co do tego, że działam głupio, a jednocześnie wiedziałem, że tylko tak mogę postępować. Była to kwestia tej samej niezgody na ułatwianie sobie życia tam, gdzie nie wolno, nosząca ogólnie miano uczciwości i niesprzeniewierzenia się sobie. Bardzo to pięknie i egzaltowanie zabrzmiało – dla ścisłości: nie byłem nigdy wzorem cnót i wiele rzeczy, które robiłem, było nad wyraz niemoralne, bywałem bezczelny, zuchwały, nieogłędny w słowach, obcesowy, czasem na bakier z prawem, ale przeczulony byłem do przesady na jedną rzecz – przyzwoitość i uczciwość wobec siebie. Miałem takie hobby, że lubiłem patrzeć przy porannym goleniu bez obrzydzenia w oczy faceta w lustrze. Dla Ani oszalałem niewątpliwie, ale nawet w tym szaleństwie wciąż pracowała nieprzerwanie zasada lojalności wobec własnych przyrzeczeń, choćby były mi maksymalnie nie na rękę. A że były takie w istocie, więc traciłem rozum, co przejawiało się głównie puszczeniem emocji, bo też sytuacja była neurotyczna. Staralem się to wszystko opanować, być może mi się nawet udawało, co przeżywałem, to moje. Na zewnątrz? Nie wiem, czy było coś widać na zewnątrz. Nawet z Leszkiem o tym nie rozmawiałem. Spisywanie wszystkiego pomagało mi cały proces wewnętrznie uporządkować.

Upiłem kolejny łyk calvadosu i spojrzałem na Leszka. On też na mnie spojrzał.

– Sądzisz pewnie, że ja potępiam to wszystko, w coś się uwikłał z Anią – powiedział nagle. – Więc nie. Wiesz, ja cię po prostu rozumiem. Dostałeś kompletnego zajoba, to prawda, ale... cóż w ogóle byłoby warte, gdyby nie możliwość dostania takiego zajoba i umiejętność przeżycia go. Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo to nie jest temat na rozmowę, to jest wyłącznie temat na myślenie. I nic ci już więcej nie powiem, tylko jeszcze ostatnie zdanie.

Pewnie ci się wydaje, że ta cała huśtawka emocjonalna w tobie to typowy kobiecy zespół napięcia przedmiesiączkowego, ale mnie się wydaje... Mnie się wydaje, że jeśli facet w całym swoim życiu nie jest w stanie przeżyć takiego pierdolonego opętania wraz z wszystkimi atrakcjami towarzyszącymi i ze wszystkimi niebezpieczeństwami, które to nieuchronnie obwarowują, to taki facet nie jest prawdziwym facetem, to smutny dupek bez jaj, impotent, biedak chory na ciele i umyśle. Więc jakkolwiek by się to skończyło, możesz sobie składać gratulacje.

Rozejrzał się, starannie omijając mnie wzrokiem. Leżałem jak kłoda i wybałuszałem się na niego.

– Kurwa, co ja pierdolę – powiedział Leszek, dopił jednym łykiem calvadosa, klepnął mnie po ramieniu, aż wgniotło mnie z bólu w poduszki – i wyszedł.

23 marca

Niedziela była dniem goszczenia całej mojej rodziny, to znaczy ja leżałem w betach, a Piotrek, Ula i mama przyszli z całym nabojem żarcia, poza tym mama musiała trochę nade mną pozałamywać ręce. Pomyślałem, że naprawdę dostarczam jej w życiu bardzo dużo urozmaiconych atrakcji... Biedna mama. Bójki i wagary w szkołach, karne relegowanie w podstawówce, w liceum była notorycznie wzywana do mojego wychowawcy, który mówił jej: „No ja rozumiem, no genialny matematyk, no historyk też, no świetnie z polskiego, ale droga pani... pali papierosy, pije na wyjazdach klasowych, proszę porozmawiać z synem... To bardzo ciekawy człowiek, ale jeśli mam być szczery, to wołałbym, żeby już skończył tę szkołę...”.

Potem Piotrek starał się spacyfikować mój nadmiar energii, wciągnął mnie w rajdy samochodowe, w strzelanie, skończyłem studia, potem Garlicki... Ewa... Majka. Afera w pierwszej pracy. Szkoła, Ania i znowu teraz... Bójka z menelami. Biedna mama. Jestem niepoprawny i trudno już liczyć na to, że się zmienię. Choć przecież tu nie miałem wyjścia.

Ula patrzyła na mnie ze współczuciem, Piotrek obmacywał mi kości, mama milczała.

Potem mama i Ula zostały w dużym pokoju, a Piotrek pomógł mi dojść na materac i przysiadł się do mnie.

– Zabiją cię kiedyś – powiedział poważnie. – Nie masz już dwudziestu lat.

– Co mają lata do tego? – stęknąłem.

– Pora spoważnieć. Nie wszystko da się załatwić mordobiciem.

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Wezwał policję.

– Wezwałem.

– Post factum.

– Człowieku – powiedziałem wstrząśnięty. – Wyobraź sobie, że Ulę szarpie jakiś menel z nożem. Co robisz? Dzwonisz na policję? Mówisz mu uprzejmie: „Proszę zostawić moją żonę? Proszę chwilę poczekać, zaraz przyjedzie patrol”? Czy go zabijasz?

– Zabijam. Ale potem dzwonię na policję. Nie dopuszczam do odwetu. Przecież o mało cię nie wykończyli.

– Bez przesady...

– Paweł. Nie wyglądało to wczoraj dobrze. Może potrzebna ci ochrona?

– Ochrona to jest potrzebna Ani. Leszek obiecał coś zorganizować. Inaczej umrę ze strachu.

– Leszek... no dobra.

– Co?

– Ci kumple Leszka z agencji ochrony to... wiesz. No, to trochę szemrane towarzystwo.

– Przesadzasz.

– Mówię ci. Nie twierdzę, że wszyscy. Ale nie wchodź z nimi w układy. To nie twoja bajka.

– Zrozum, potrzebuję ochrony dla Ani.

– A dla siebie?

Przyjrzałem mu się.

– Mnie już się to nie zdarzy. Mówiłem ci.

– Naprawdę masz zamiar używać spluwy? Stary, nie będę ci nosił cebuli do pierdła... Gadałeś z Anią?

– O czym?

– Wiesz co, ty mnie czasami naprawdę wkurwiasz.

– Dzięki.

– Wiesz, że cię kocham?

– Wiem.

Zamilkliśmy. Piotrek siedział na brzegu mojego materaca i zmieniał mi zimne kompresy na nosie i kości policzkowej.

– Jak Ula? – spytałem cicho.

– Jest OK – powiedział i uśmiechnął się tym swoim cudownym, zabójczym uśmiechem.

Baby zawsze traciły głowę dla mojego brata, wystarczyło, że się uśmiechnął. Obaj byliśmy przystojni, tak nam mówiono, ale Piotrek to już zupełnie wyjątkowo.

– Wiesz co, umierałem, jak był pierwszy trymestr. Minał czwarty miesiąc, teraz jest piąty... Mama wie... właściwie od początku. Nie mówiliśmy jej, a ona i tak wiedziała... Niesamowite, nie?

– Chłopczyk? Dziewczynka?

– Dziecko. Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Tylko żeby przeżyło...

– Przeżyje. Zobaczysz. Kocham was, wiesz? Wszystko będzie dobrze.

– Nie mogę w to uwierzyć... To mnie przerasta, serio. Ten ciągły lęk, ciągły niepokój, trzęsę się o nią... o nich. Codziennie odkreślam dni w

kalendarzu. Ale wszystko jest... nadspodziewanie dobrze. Dociera do ciebie, że może zostaniesz wujkiem?

Pokręciłem głową i spróbowałem się uśmiechnąć. Twarz bolała, kołowało mi się w głowie.

– Ciekawe, czy będę miał takiego świra na punkcie waszego dziecka jak Leszek na punkcie swoich siostrzenic...

– Zaraz będziesz miał własne...

Zakryłem oczy kompresem, nie chciałem, żeby na mnie patrzył. Byłem osłabiony, rozwalony i nie panowałem nad sobą, a po jego uwadze łyzy zakreśliły mi się w oczach. Piotrek leciutko pogłaskał mnie po obolałej głowie.

– Paweł... Będzie dobrze, mały. Słyszysz? Dogadasz się z nią, to przecież wrażliwa dziewczyna. Trudno zignorować taką miłość. Będzie dobrze. Czuję to.

Podał mi paczkę chustek higienicznych i wyszedł do mamy i Uli.

Następnego dnia zacząłem się trochę podnosić.

24 marca

Leszek zadzwonił zaraz potem.

– Słuchaj, Czarek chce się z tobą skontaktować. Mówi, że coś ma. Dać mu na ciebie namiary?

– Jasne. Powiedz, że czekam.

Dzwonek zabrzmiał krótko i zdecydowanie, jak szczenięcie. Otworzyłem drzwi. Za nimi stał wysoki chłopak, nonszalancko oparty o futrynę, mniej więcej w moim wieku, z dłońmi w kieszeniach kurtki i w lustrzanych okularach na nosie.

– Ty nadałeś zlecenie? – spytał.

Głos miał niski i sympatyczny w brzmieniu. Skinąłem głową. Chłopak oderwał się od futryny, wszedł, w progu podał mi rękę.

– Czarek.

– Paweł.

Zlustrował pokój szybkim spojrzeniem, potem popatrzył na mnie i powoli zdjął okulary. Miał przenikliwe oczy, z uśmiechem, ale chłodne.

– O? – powiedział tylko na widok mojej twarzy w świetle padającym z okna.

– O – odpowiedziałem. – Masz coś dla mnie?

Rozpiął kurtkę i wyjął gruby notes. Gestem zaprosił go, by usiadł.

– Napijesz się?

– Dzięki, nie.

Usiadłem naprzeciwko niego.

– Więc?

– Mam tu dokładny rejestr jej poczynań od momentu nadania zlecenia, od... soboty od osiemnastej wieczorem. Trzeba przyznać, że jest dość ruchliwa, jeździ ostro jak na dziewczynę i nie okazuje specjalnej przesady w respektowaniu przepisów ruchu drogowego. Gdyby miała lepszy samochód, to musiałbym wziąć jeszcze jednego człowieka.

Uśmiechnąłem się.

– Całe szczęście, że nie ma. Ale nie chodzi mi o nią. Nie muszę wiedzieć, co robi, byleby była bezpieczna. Czy zorientowała się, że ma opiekunów?

Czarek wyjął paczkę papierosów.

– Można?

– Jasne.

Podsunał mi. Też palił camele. Zaciągnęliśmy się dymem.

– Rozmawiasz z zawodowcem – powiedział i wypuścił dym bokiem, poza moim ramieniem. – Nie zorientowała się i nie zorientuje. Dobra. Skoro to cię nie interesuje, przechodzimy do punktu drugiego. Zdaje się, że wyczałem tych facetów.

– Mam ich rozpoznać? – Uniosłem się z fotela.

– Siadaj. Masz. – Rzucił mi plik zdjęć.

Spojrzałem na zdjęcia i na niego.

– Istotnie jesteś zawodowcem.

– Do usług. Poznajesz któregoś?

Fioletowego poznałem bez najmniejszych wahań i jeszcze jednego, cholernie jasnego blondyna o czerwonym pysku, wpadł mi w oko. Co do reszty miałem wątpliwości, było ciemno, akcja trwała krótko, nie dawała czasu na bardziej wnikliwe obserwacje. Pokazałem Czarkowi tych, których rozpoznałem.

– Dobra. No to ich mamy. Tam jest na rogu hurtownia materiałów budowlanych, prowadzi ją nieprawdopodobna baba i stale płacze się ta właśnie grupa pijaczków, zdaje się, że jej podkomendni. Na mój nos to cholernie lewy interes, miałem za mało czasu, żeby zbadać. Ciśniemy?

– Czekaj – powiedziałem. – Jedną rzecz musimy sobie z góry wyjaśnić. Nie będziesz odwałał tej roboty za friko.

– Nie odwalam. Mam układy z Leszkiem i o to cię nie musi boleć głowa. W porządku?

– Nie. Taki układ mi się nie podoba.

– Dlaczego?

– Mnie wasze przyjacielskie przysługi mało obchodzą. W ramach przyjacielskiej przysługi robisz to, co robiłeś do tej pory. Miałeś oko na dziewczynę. Teraz, kiedy zaczynamy drażyć w jakimś układzie, zmienia się też skala trudności i, powiedzmy, niebezpieczeństwa. Więc jeśli wchodzimy dalej, to na innych warunkach. Innymi słowy nie zmuszaj mnie, bym przyjmował od ciebie prezenty, bo to stawia mnie w sytuacji dziwki lub żebraka, a obie profesje niespecjalnie mi się podobają.

Czarek patrzył na mnie, bębniąc palcami w oparcie fotela.

– Dobra. Jesteś ostry, ale ja lubię ostrych. Na razie nie precyzuj ofert, bo jeszcze nie wiadomo, ile będę wart. Czyli co? Sondujemy ten układ?

– Sondujemy.

– OK. – Podniósł się z fotela, ja też wstałem.

Całe ciało wciąż mnie bolało. Podaliśmy sobie ręce.

– Nieźle cię załatwili, bracie – powiedział Czarek, zakładając okulary. Skinąłem głową.

– Jutro albo pojutrze dam ci znać. Cześć.

Zamknąłem za nim drzwi.

\*

Objawił się dopiero na drugi dzień wieczorem. Przyszedł tak samo, jak wtedy, znów odmówił picia czegokolwiek, wyjął notes.

– Tak jak przypuszczałem – powiedział, zapalając papierosa. – Całość śmierdzi po prostu na kilometr, hurtownia jest przykrywką, piorą przez nią forszę jak ta lala, a jest to małe, wyśmienicie zorganizowane towarzystwo, działające w cieniu mafii. Wybacz, że nie posłużę się nazewnictwem. Nie można powiedzieć, że pod protektoratem, raczej mafia toleruje niezagrażającego jej w niczym dużo słabszego rywala, opłacającego się ponadto wysokim haraczem. Rządzi w tym układzie cwany lis, Sebastian Wenkel, na zasadzie szarej eminencji. Do działań zewnętrznych wytypowana jest jego konkubina, tak zwana pani Rycha, owe wspomniane przeze mnie monstrum. Typowy babochłop po kilku wyrokach, alkoholiczka, lecz utrzymująca w ryzach chłopaków, głównie koleżków z pierdla. Nie gardzą kontaktami z ruską mafią, ale raczej głównie odrzutami



ruskiej mafii, pomniejszych pieskami, za którymi nikt w razie czego nie stanie, za to dość bezwzględny w działaniach. To właśnie z nimi zadarłeś i muszę ci powiedzieć, że cud prawdziwy, że wyszedłeś z tego żywy. To nie są ludzie, którzy przywykli patyczkować się, gdy im kto nadejnie. Dla ścisłości, ten którego naprałeś, to ich szef, jeden z kacyków niższego stopnia, Polak.

– Taaak. Nie będę pytał, skąd to wszystko wiesz...

– Słusznie, bo odpowiedziałbym ci, że tajemnica zawodowa. Co teraz chcesz z tym zrobić?

– Po tym, co usłyszałem, to zdaje się gównu mogę.

– Dlaczego?

– Z bardzo prostego powodu. Do policji z tym nie pójde, mafia z policją daje sobie bardzo dobrze radę. A mafia się o tę grupę niewątpliwie upomni. Jakikolwiek byłyby między nimi układy, to nie wierzę, że chcieliby tracić intratnego wasala. Wynik będzie taki, że oni nawet nie dostaną kolegium, a ja będę leżał pod ziemią i ściagnę, co najgorsze, niebezpieczeństwo na dziewczynę...

– No tak, ale nikt nie mówi o policji. My mówimy o szantażu bądź próbie zastraszenia.

Odchyliłem się w fotelu i przyjrzyłem się Czarkowi.

– Słuchaj – powiedziałem powoli. – Zdaje się, że nastąpiła jakaś pomyłka. Leszek reklamował cię jako nad wyraz inteligentnego faceta, a ty tymczasem proponujesz mi popełnienie samobójstwa. Mnie jest życie jeszcze miłe. Wydaje mi się, że nie mamy o czym rozmawiać.

– Nie dość, że ostry, to jeszcze w dodatku jesteś szybciutki – uśmiechnął się przeciągle Czarek. – Więc Leszek ma o mnie tak dobre zdanie? Miło słyszeć. A co do tego, o czym rozmawiamy, to spokojnie. Nie mówiłbym, gdybym nie wiedział, a nie wiedziałbym, gdybym nie był w pewnym układzie. Układ nie musi się wszystkim podobać, więc wybac, że nie będę uściślał. Ważne jest to, że mam dojścia do pewnego faceta, który jest niewątpliwie grubą rybą w mafii i którego da się przekonać, że niewielka demonstracja siły wybornie wpłynie na grupę Wenkel & Co., bo ta grupa zaczyna ostatnio nieco skakać. Jest tak istotnie, więc nie sądzę, by były jakiegokolwiek problemy jeśli chodzi o pertraktacje, facet ma w tym interes, niezręcznie mówiąc. Pretekst jest nieważny, w tym przypadku pretekstem będzie, wybac, ta dziewczyna, ale przecież chodzi ci głównie o skuteczność. Tu skuteczność będziesz miał stuprocentową, ręczę.

- W jaki sposób uda ci się przekonać faceta?
- To moja sprawa.
- Chodzi mi o finanse.
- A, nie. To sprawa zupełnie poza finansami. Powiedzmy, że ja także mam w tym interes. Dwa w jednym, szampon plus odżywka.
- Leszek wie o twojej działalności ubocznej? – spytałem.
- Leszek nie wie. Dlatego rozmawiamy bez Leszka i nie muszę cię chyba prosić o zatrzymanie tego dla siebie.
- Nie musisz. To nie jest moja sprawa.
- I bardzo dobrze. Więc co, ustaliśmy plan działania?
- Momencik – przerwałem. – Widzę, że ty też jesteś szybciotki, ale zostaw mi trochę czasu do namysłu.
- Proszę. Aha, czekaj, jakiejś zimnej wody tobym się jednak napił.

Miałem colę i fantę, przyniosłem obie i szklanki. Czarek wypił duszkiem, ja nalałem sobie i wyszedłem na balkon. Oparłem się o barierkę.

Coś zaczynało mi nie grać i czułem, że muszę się mieć na baczności. Czarek bardzo łatwo wyczał całą sprawę, sądząc z tego musiała być dla niego dość istotna. Sam mówił, że Ania posłuży jako pretekst. Otóż nie życzyłem sobie, by służyła jako jakikolwiek pretekst. Gównu mnie obchodziły mafijne porachunki, ale gdy spokój przedsiębiorstwa miałby być warunkowany spokojem Ani – wtedy niechybnie wskazywałyby się na nią palcem jako na kogoś ważnego i istotnego. Dla niej zaś najlepiej by było, aby nie rzucała się w oczy. Nie mogłem dopuścić do tego, by załatwiano prywatne porachunki na jej grzbiecie. Porachunki mogą być takie czy inne, układy między gangami raz lepsze, raz gorsze, za to Ania wystawiona na linię strzału, prędzej czy później wejdzie pod ten ostrzał. Na początku może być straszakiem dla Wenkla, przy jakiegokolwiek zmianie w układzie może za to zapłacić. Może być załatwiona chociażby przez zemstę.

I ten brak jakichkolwiek wynagrodzeń... Za dużo już przeżyłem, by wierzyć w darmowe propozycje, w uprzejme prezenty, w „mam w tym interes”. W takim razie nie oni są potrzebni Ani, tylko Ania im, dla załatwienia wewnętrznych sporów.

I przecież cały czas nie padło wyjaśnienie, czego właściwie fioletowy, jak mówi Czarek – polski kacyk – chciał od Ani. Jakby to w ogóle nie było ważne. Czy zaczepił ją ot tak, z głupia frant i dalej potoczyło się wszystko jak potoczyło, bo w to wszedłem i to z kopytami, czy też udaremniłem

wtedy jakieś działanie, uprzednio szykowane i opracowane? Może te zbiry wywahały, że Ania mieszka sama i stanowi łatwy łup? O co właściwie chodziło?

Wróciłem do pokoju. Czarek siedział w dalszym ciągu w fotelu, patrzył na mnie.

– Co ci nie gra? – spytał.

– Większość – odparłem, sięgając znów po papierosa.

– Czyli?

– Słuchaj, Czarek. Co ten polski kacyk...

– Leon.

– W porządku. Leon. Czy ustaliłeś, o co konkretnie chodziło temu Leonowi?

– Och, czekałem na to od samego początku. Jesteś myślący.

– Świetnie, ale niepotrzebne mi są twoje ukłony. O co tam chodziło?

– Chodziło, istotnie. Nie zaczepił jej bez powodu. Ona jest sama, co już od dawna zostało dobrze zauważone. A to rzuca wyzwanie. Pamiętaj, jakich ludzi on ma pod sobą. Grupa ma wszelkie cechy „towarzystwa” kozackiego, tej rozszalałej tłuszczy, jaką mieliśmy możliwość poznać dzięki pisarstwu Sienkiewicza, a jeśli idzie o mentalność, to tam się wiele nie zmieniło. Co pewien czas, aby był spokój, towarzystwu rzuca się kasek, jakiś łatwy łup. Dawniej pozwalano ofiarę rozedrzeć na sztuki i owinać sobie głowę jej trzewiami, teraz proces minimalnie się ucywilizował, jednak ofiara zostaje ofiarą. Tym razem miała być rzucona na pożarcie prawdopodobnie ta dziewczyna.

– Prawdopodobnie?...

– Prawdopodobnie. Nie wiem na pewno, wnioskuje. Wiem, że Leonowi całe „towarzystwo” zaczyna podskakiwać, skoro zaczepił dziewczynę, to znaczy, że zdecydował się na jakąś akcję z jej udziałem.

– No i gdzie ta akcja? Udało mi się go wtedy samodzielnie przepłoszyć. Gdyby coś zorganizował, to już wtedy dostałbym wycisk. Ergo nie było żadnego przygotowanego planu, zaczepił ją, bo akurat miał taki kaprys. Czy jakkolwiek człowiek, planując jakąś akcję, zaczepiłby sobie, ot tak, ofiarę, narażając się na to, że tym samym zostanie ona ostrzeżona i wzmoże czujność?

– Zgoda – powiedział Czarek. – Nie wiem, o co dokładnie chodziło, przeniknięcie do tego akurat szczebla nie jest proste, ja chwytam bardziej ogólne zarysy. Być może rzeczywiście zaczepił ją dla fanaberii. Nie

zmienia to jednak faktu, że ona jest sama, a „chłopaki” palą się do awantury. Zsumuj te dwa fakty – jeśli nie akurat teraz, to za chwilę, ale wybuch musi nastąpić.

– Więc?

– Więc należy to zneutralizować. Rozbroić tę sytuację raz na zawsze.

– I uważasz, że uda się to zrobić zastraszeniem? Jak długo może działać takie zastraszenie?

– Zastraszenie jest czynnikiem wspomagającym.

– A podstawowym?

Zamilkliśmy obaj, obrzuciliśmy się spojrzeniem. Zrobiło mi się zimno.

– Są dwa wyjścia – powiedział powoli Czarek. – Zastąpienie Leona kimś silniejszym, kto będzie potrafił trzymać żelazną ręką podległych mu ludzi. Lub też odebranie Leonowi tych ludzi. Jeśli dobrze mnie słuchałeś, to wiesz, że nikt się o nich nie upomni.

Odchyliłem się na oparcie fotela, patrząc w sufit. Potem znów spojrzałem na Czarka.

– Co ty proponujesz? Dintojrę? – spytałem. – Dla ścisłości: ja też czytałem *Dobrego*, ale...

– Nie ma „ale”. Jest dokładnie tak.

– I co, ja mam niby decydować, co z tym wszystkim zrobić?

– Nie. Decyzja zapadnie gdzie indziej. Ja cię po prostu informuję o możliwościach.

– Ot tak sobie? Obcego człowieka? Skąd wiesz, że możesz mieć do mnie zaufanie?

– Masz problem i chcesz go rozwiązać. Ja ci proponuję rozwiązanie twojego problemu. Ty jesteś frajer spoza układu, jakiegokolwiek, a jesteś na tyle inteligentny, by wiedzieć, że nic nie możesz zrobić z informacjami, które ci przekazałem. Orientujesz się w możliwościach policji, a przede wszystkim w chęciach jej działania. Wiem, że wyczuwasz, jaki jest układ sił i wiesz, na kogo w tym meczu postawić. Przy okazji możesz upiec swoje pieczyście. Wierzę w twoją inteligencję.

– Jaka jest szansa, że dziewczyna będzie stuprocentowo bezpieczna?

– W obu przypadkach stuprocentowa.

– Więc co mam robić?

– Ty? Nic. Jak już powiedziałem, jesteś facetem spoza jakiegokolwiek układu, nie dysponujesz wobec nich żadnym aparatem nacisku, gdybyś

pojawił się u nich na rozmowę, mogliby się co najwyżej powykańczać ze śmiechu.

– Więc jaką będę miał szansę kontroli, że rzeczywiście wszystko zostało załatwione i nic jej nie grozi?

– Żadnej. To znaczy, mogę ci zdać relację z poczynań. Ale wiadomą jest rzeczą, że nie będziesz w tym uczestniczył.

– Słuchaj. W dupie mam wasze porachunki, ale chcę czuwać nad tym, że wobec niej wszystko zostanie załatwione do końca.

– No, przecież ci tłumaczę, że jedno z drugim jest nierozzerwalnie połączone. A ja jestem lojalny. Spłacam pewien dług wobec Leszka, a że przy okazji ubijam własny interes, to tylko dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Jaki mogę mieć dowód na to, że mówisz prawdę?

– Moje słowo. – Uśmiechnął się.

– Chwalebne to – powiedziałem wolniutko. – Ale... bardziej przemówiłoby do mnie, gdybyś sprecyzował rodzaj interesu, jaki w tym masz lub chcesz mieć...

– Jeszcze się nie domyśliłeś? – Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Ty chcesz przejąć tych ludzi? – spytałem, patrząc w te oczy.

Wydmuchnął dym.

– Kto wie? Być może.

Podniósł się i skierował do wyjścia.

– „Zaczynamy sezon polowań na kaczki” – powiedział słowami z *Parszywej dwunastki*. – Życz mi powodzenia. Leży to w twoim interesie. Jeśli uda mi się przeniknąć ten układ, nie będzie bezpieczniejszej dziewczyny w Warszawie, niż twoja... Ania.

„Tak długo, aż nie zapragniesz czerpać z tego korzyści – pomyślałem. – Wiesz, że za jej bezpieczeństwo będę ci gotów składać daninę w każdej wysokości...”

Patrzył na mnie przenikliwie.

– Wiem, o czym myślisz, nie wierzysz mi do końca, ale mylisz się. Myślę, że jesteśmy do siebie w pewnym sensie podobni, nie tylko pod względem ilorazu szarych komórek, ale także pewnego specyficznego pojmowania przyzwoitości. Lub też, jak wolisz, umiejętności ustalenia priorytetów. Dla ciebie ważne jest bezpieczeństwo dziewczyny, więc idziesz na układ, niespecjalnie wnikając w moralność przedsięwzięcia. Dla mnie ważne jest przeniknięcie do pewnej struktury, nie muszę mówić, że

bardzo rentownej. To jest gruba gra, więc nie musisz mnie podejrzewać o małe gierki. Na tym polega moja przyzwoitość. Nie twierdzę, że jestem ósmym cudem świata, ale ty także nie jesteś, możemy sobie podać rękę.

Podaliśmy sobie.

– Podobasz mi się – powiedział Czarek. – I dziewczyna jest fajna. Nic do was nie mam. Jeśli wszystko pójdzie tak jak myślę, a myślę, że pójdzie, to układy między nami będą na bazie lojalności.

– Z obu stron – powiedziałem. – Kiedy dasz mi znać?

– Wkrótce. Do tej pory będę trzymał przy niej chłopaków.

– Dziękuję. Chciałbym potem z tobą pogadać.

– O czym?

– O ofercie. Tym razem będę ją mógł sprecyzować.

Roześmiał się.

– Dobrze. Pogadamy.

– A! Jeszcze jedno. Ja ten wypadek zgłosiłem na policję i poprosiłem o opiekę nad dziewczyną. Policja może się tam pętać, więc chyba lepiej, żebyś o tym wiedział.

– Wiem. Akcja policji należała do nadzwyczaj karkołomnych, raz przejechał radiowóz, pokazał się na ulicy i przed sklepem, funkcjonariusz przepytał pijaczków na okoliczność zajścia, oznajmił: „Ma tu być spokój” i jak się domyślasz, finito. Mogą się jeszcze pojawić raz czy drugi, jesteśmy na to przygotowani. Aha. Pewnie wezwą cię na przesłuchanie. Powiesz mniej więcej, jak było, facetów nie jesteś w stanie rozpoznać, zapamiętałeś jedynie tego, którego pobiłeś, więc jak go będą mieli, niech cię zawiadomią. Możesz im go nawet opisać, nie gra to kompletnie żadnej roli. Jak się łatwo możesz domyślić, policja nigdy go nie dostanie, bo niezależnie od tego, który wariant będzie realizowany, facet zniknie. To wszystko. Zadzwoń do ciebie, jak już coś będę wiedział.

Wyszedł tak samo, jak wtedy. Przez okno zobaczyłem, że wsiada do szarego opla kadetta, niewielkiego, pospolitego, nierzucającego się w oczy. Była ósma wieczorem.

27 marca

Kiedy kilka dni temu zadzwoniłem do Rafała Trzeciaka, żeby wytłumaczyć swoją nieobecność w pracy, powiedziałem mu, tak jak wszystkim, że miałem wypadek samochodowy i nie będzie mnie przez ten tydzień. Rafał zmartwił się, spytał, czy mi czegoś nie trzeba i myślałem, że na tym się skończyło.

Dziś leżałem akurat w wyrku, gdy zabrzmiał krótki dzwonek.

Leszek? Czarek? Ania...? Zwlokłem się z łóżka, dobrnąłem do korytarza i otworzyłem.

W drzwiach stała Emilka.

– O rany boskie – powiedziała na mój widok. – Nieźle.

– Wchodź, proszę. – Usunąłem się w drzwiach z gracją baletnicy.

Emilka weszła, rzuciła kurtkę na krzesło w dużym pokoju.

– Napijesz się czegoś?

– A co masz?

Zastanowiłem się chwilę.

– Piwo, wódkę, whisky, gin... jakieś wino chyba...

Emilka popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Mam motor pod twoim blokiem. Wyluzuj. Może kawa?

– Kawa. Proszę bardzo.

Ruszyłem do kuchni, wtedy podeszła szybko i łagodnie wzięła mnie za ramię.

– Usiądź. Sama sobie zrobię.

– Ale...

– Siadaj, bo się zaraz wywrócisz. Kurtuazji stało się zadość. Umiem zrobić kawę. Tobie też mogę. Chcesz?

Skinąłem głową i opadłem delikatnie na kuchenny stołek. Oparłem się o ścianę, zamknąłem na chwilę oczy. Emilka nalała wodę do czajnika elektrycznego, pstryknęła włącznikiem.

– Tam w szafce są filiżanki – powiedziałem. – Kubki też. Weź sobie, co chcesz. Kawa w puszcze. Rozpuszczalna na oknie.

– OK, widzę.

Zrobiła kawę, postawiła przede mną, przyciągnęła sobie drugi stołek, usiadła.

– Strasznie się załatwiłeś – powiedziała, patrząc na moją pokiereszowaną gębę. – Z twojej winy, czy z jego?

– Jakiego jego? – spytałem.

– No tego, z którym się zderzyłeś...

Połapałem się, że wszędzie puściłem wersję o wypadku.

– Z jego.

– To pół biedy. Nie przepadnie ci ubezpieczenie – zamyśliła się na chwilę.

Taka była ładna, gdy siedziała w skórzanych spodniach na szarym stołku w mojej kuchni, jasnowłosa, drobniutka, dziewczęca. Pomyślałem, że musi już też być w okolicach trzydziestki, choć nie wyglądała na to. Wyglądała na dwadzieścia dwa lata max. Drobna dziewczynka o potężnym mózgu. Moja intelektualna partnerka, piekielnie zdolna bestia, ostra, harda, złośliwa. Jak niepokorny żrebak... Wiedziałem, że to ostatnie chwile z nią, zaraz stracimy ze sobą kontakt i zrobiło mi się żal.

– Wiesz – powiedziałem, wstając i podchodząc do okna. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć – odparła.

– Mów.

– Tylko to nie takie proste... – Podniosła się również, podeszła.

Czułem, że jest tuż za mną, odwróciłem się. Była bliżej, niż się spodziewałem, jeden krok, wspięła się na palce, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie. Właściwie... chciała mnie pocałować, w ostatniej chwili odwróciłem lekko twarz, jej usta trafiły w mój policzek, tuż przy kąciku warg. Przesunęła lekko wargi, znów uciekłem z ustami i spuściłem głowę.

– Przepraszam – powiedziałem cicho.

Jeszcze chwilę obejmowała mnie za szyję, potem raptownie zabrała ręce. Bałem się na nią spojrzeć. Serce mi przyspieszyło, a wargi paliły żywym płomieniem. Emilka... zwariowana Emilka, śliczne dziecko.

– Musisz ją bardzo kochać – powiedziała szeptem.

Zamknąłem oczy, policzyłem w myślach do dwudziestu.

– Tak. Bardzo ją Kocham – powiedziałem.

– Nie dasz się namówić?

– Nie dam.

– Pierdol się.

– Już mi to parę razy proponowałaś.

Rozplakała się.

Zrobiło mi się strasznie głupio, podszedłem krok do niej, pogłaskałem delikatnie po krótkich włosach. Szarpnęła głową.



– Emilka – powiedziałem bezradnie. – Nie płacz. Nie płacz, tak mi przykro...

– Zostaw mnie! – Zamierzyła się na mnie z pięściami.

Chwyciłem obie jej ręce, przytrzymałem, a potem przyciągnąłem ją do siebie, przytuliłem i delikatnie pocałowałem w czoło.

– Jesteś cudowną dziewczyną – powiedziałem cicho. – Piękną, mądrą, miłą i kompletnie zwariowaną. Nie miej do mnie żalu. Moje serce naprawdę jest zajęte, tak jak ci mówiłem. Nic by z tego nie wyszło...

Ciągle płakała w moich objęciach.

– Że też musiałam się w tobie zakochać – powiedziała wreszcie. – Idiotka. Tępa kretyńska. Przecież wiedziałam.

– Co wiedziałaś? – spytałem.

– Że mnie nie chcesz.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jeśli miałem być szczery, to owszem, chciałem. Był taki moment, gdy nocowała u mnie i o mało się wtedy nie zламаłem, teraz też trzymałem ją przy sercu i serce tłukło mi się niepokojąco szybko... Chciałem. Była śliczna, z charakterem i z odkrytym jasno pragnieniem, była odważna i brawurowa w swym ataku, a bastion moich postanowień chwiał się we wszystkie strony jak balansujący kotek na płocie... Zaciśnąłem mocno zęby, potem je rozluźniłem i powiedziałem:

– Nie mogę tego zrobić. Kocham inną dziewczynę i mam za dużo szacunku dla ciebie, żeby...

– Żeby mnie puknąć, tak?

– Tak, żeby cię puknąć. – Uśmiechnąłem się do niej. – Bo to by nic nie znaczyło, rozumiesz?

– Rozumiem, idioto – powiedziała. – To zadziwiające, ile wy wszyscy pierdolicie o szacunku wtedy, gdy zwyczajnie nie chcecie czegoś zrobić... Ale OK. Naprawdę nie musisz mi nic tłumaczyć. Jutro złożę w pracy wymówienie.

– Nie, to ja złożę wymówienie – powiedziałem poważnie.

I nagle zorientowałem się, że stało się idealnie, dostałem od niej nieoczekiwany prezent... Już nie muszę szukać żadnych wymówek, żeby wytłumaczyć swoje odejście z pracy, odchodzę, bo nie chcę ranić Emilki...

Gorzka żółć wstydu rozlewała mi się po ustach. Emilka, śliczne, zwariowane dziecko... Dlaczego wykorzystuję ją w mojej grze?

– Wal się – powiedziała. – Nie mam chęci zostać w tej robocie ani chwili dłużej. Sam skończysz to, co nam zostało. Nie zostało dużo.

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Ty zostaniesz. Ty to skończysz. Wiesz przecież, że szyna już jest gotowa, idzie do integracji, lada chwila przyjdzie feedback i poprawki. Ja nie mogę zostać. – Zamknąłem na chwilę oczy i powiedziałem: – Z różnych przyczyn. Także z twojego powodu.

– Coś się dzieje?

Otworzyłem oczy i powiedziałem spokojnie:

– Nic się nie dzieje. Po prostu odejdę. Zapomnij o mnie. Przepraszam cię, Emilka. Zostań, to dobra robota, dobrze płacą i ty jesteś dobra. Szkoda to rzucać.

– A tobie nie szkoda?

– Nie – odpowiedziałem po chwili. – Mnie nie szkoda. W poniedziałek powiem Trzeciakowi i Zdanowskiemu.

– Nie zobaczymy się już? – spytała.

Patrzyłem na jej oczy, srebrne jak rtęć i deszcz, na zaczerwieniony od płaczu nosek i różową łunę nad górną wargą. Przez sekundę aż do bólu chciałem ją pocałować. Potem nagle to pragnienie zniknęło tak, jakby się nigdy nie pojawiło.

– Myślę, że nie – powiedziałem.

Coś raptem mignęło w jej twarzy, jakiś nieuchwytny wyraz.

– Nigdy nie mów nigdy – powiedziała.

wieczorem

No i teraz dopiero mam rozkminę.

Co się ze mną dzieje? Przecież Emilka... Emilka nigdy nie wywoływała we mnie tego dreszczu. Lubilem ją, szanowałem, uwielbiałem jej sposób myślenia... Nie kochałem jej i nie miałem pokochać, nawet na moment nie zawirowała mojego serca. Więc to, co się stało, to było czyste pragnienie? Owszem, podobała mi się, taki typ urody zawsze był mi bliski. Ale przecież nie myślałem dotąd o niej... to znaczy do tej chwili w nocy, gdy wróciliśmy z knajpy. Wtedy tak, wtedy był taki moment, że chciałem się z nią kochać do bólu. Właśnie kochać, a nie puknąć, bzyknąć, przelecieć... Co to było? Uczucie?

Nie. Uczucie i po dogłębnym procesie tentegowania w głowie, mogę stwierdzić, że nie. Nie zakochałem się w niej. Ale w pewnym sensie z charakteru podobna była do Majki i pewnie to też miało na mnie jakiś wpływ.

Bardzo uczciwie policzyłem też i wyszło mi, że nie byłem z kobietą już osiem miesięcy. Tak... Ostatnio w sierpniu, właściwie na początku sierpnia Agnieszka ratowała mnie przede mną samym, bo w maju wybuchła ta afera, w czerwcu Majka odeszła definitywnie, a w lipcu i sierpniu nie przebywałem specjalnie w świecie żywych. Załamanie, brak pracy, brak jakichkolwiek perspektyw, ruina tego wszystkiego, co stanowiło dla mnie jakąś wartość... Tak, wtedy naprawdę nie było najlepiej. Ratowałem się alkoholem i gorzkim humorem, pozwalającym zyskać odrobinę dystansu, przejadałem ostatnie resztki pieniędzy, wciąż czekałem na wizytę patrolu, który rzuci mnie na ziemię i wyprowadzi z mieszkania z rękami skutymi na plecach... To wtedy Agnieszka, jak dobra psychoterapeutka, wyprowadzała mnie na prostą, oddawała mi bez żadnych pytań swe ciało, bym zatapiał się w nim, zatapiał w nim swój ból i przegraną, doprowadzał się do kresu sił i potem wstawał – smutny, *triste post coitum*<sup>2</sup>, oczyszczony z rozpacz i bólu, ale nieoczyszczony z pamięci.

Agnieszka... Dobra, wzruszająca Agnieszka, którą musiałem w pewnym momencie porzucić dla jej dobra, bo zrozumiałem, że staję jej się zbyt bliski, a nie mogłem jej ofiarować miłości. Taki był układ z pszczołkami, nigdy dla seksu nie wykorzystywałem uczucia, nie pozwoliłbym sobie na to. Pamiętam naszą ostatnią rozmowę, gdy Agnieszka płakała i mówiła: „Z nikim nie będę już taka szczęśliwa...” i mój gorzki żal, że skrzywdziłem ją mimowolnie, że powinienem być bardziej czujny, mimo wszelkich jej zapewnień. Gdy myślę o niej, wciąż czuję ten palący wstyd – uratowała mnie od najgorszego, a ja w zamian zerwałem nasz kontakt definitywnie. Czy byłem pierdolonym skurwysynem, jak to mówiła Majka? Pewnie tak. Raczej tak.

Po ośmiu miesiącach bezwzględnej wstrzemięźliwości raptem stanąłem twarzą w twarz z Emilką. Jaki głód poruszyła we mnie? Głód rozpaczliwie samotnego ciała? Prawdopodobnie tak. Jak to Leszek wtedy powiedział? „Żaden normalny facet nie wytrzyma takiego celibatu, spuszczonej ze smyczy zerżnie wszystko, co się rusza w promieniu kilometra”... I jeszcze: „Pracowałem trochę przy ogierach. Wierz mi, tak naprawdę to nie ma specjalnej różnicy”...

No cóż, Emilka nie jest „wszystkim, co się rusza”. Emilka jest osobowością i to chyba najbardziej mi się w niej podoba. Tyle że tutaj też nie wykorzystam uczucia, bo tak się po prostu nie robi.

A przede wszystkim dlatego, że teraz jest Ania.

Smutna, samotna, kobieca Ania, poruszająca we mnie całe pokłady uczuć i wzruszeń, tak inna od Majki czy Emilki, które brały sobie co chciały, a chciały dużo. Ona nie była tym typem, który po prostu bierze sobie faceta. Ania była jak z minionych wieków, z tych, gdzie mężczyzna jest mężczyzną i musi o kobietę walczyć, gdzie nie jest zagarniany jak słodki miś, tylko ma swoje miejsce w układzie sił, ma swoją rolę, której nikt nie próbuje mu odebrać, a kobieta jest bodźcem, inspiracją, impulsem do działania, jest wieczna, triumfująca i trwała, potężna jak przyroda, tajemnicza i nieskończona jak wszechświat. Taką Anię kochałem, wiedząc, że jest reliktem jakiejś dawno minionej epoki, gdzie wszystko było trudniejsze, ale miało swój głęboki sens, miało prawdziwe wartości, o które warto się bić i umierać, bo one jako jedyne nadają sens życiu.

Czy Ania – dziewczynka, uczennica, nastolatka – wiedziała, kim jest dla mnie? Nie sądzę. Kamuflowałem przecież starannie każdą chwilę wzruszenia, każde uderzenie serca, czekając... na co? Przecież nie na odpowiedź, bo nie padło żadne pytanie. Więc na co? By wzięła sprawy w swoje ręce, tak jak Majka czy Emilka? Bzdura. Nie była Majką. Nie była Emilką. Była – Anią. Zbyt długo przebywałem z dziewczynami takimi jak tamte, które same robiły pierwszy krok, a ja pozwalałem się wziąć. Z lenistwa? Z wygody? Z zadufania w sobie? Próżności? Kim byłem tak naprawdę?

Ania, Ania.

Czego mnie już nauczyła, czego jeszcze nauczy? Jak zmienię się dla niej? Jakich rzeczy się o sobie dowiem? Zaprowadziła mnie już tak daleko i teraz stoję i patrzę na nią, a ona wymyka mi się z rąk, odgarnia włosy, spotyka w lustrze mój wzrok i mówi: „Do twarzy panu z tą brodą”...

\*

Znów jestem w samym środku jakiegoś straszliwego wiru, być może nie uda mi się z niego uratować, znów cały świat sypie mi się z rąk, znów po kolei tracę wszystko, lecz wciąż jeszcze mówię – kocham cię, moja jedyna. Nie wiem, czy cię kiedykolwiek zdobędę, czy czeka mnie jakakolwiek nagroda. Czekam na ciebie u kresu sił, we wzbierającym naokoło tajfunie, a ciągle mówię – jesteś jedyną kobietą mojego życia. Umrę, gdy cię utracę...

28 marca

Czarek zadzwonił do mnie wczoraj bardzo późnym wieczorem, powiedział, że akcja się pomalutku rozwija, a ponieważ cały czas trzyma rękę na pulsie, ograniczył liczbę ludzi przy Ani do dwóch, za to ci dwaj pilnują jej cały czas na okrągło. Spytałem, czy sądzi, że pojawi się kolejny atak, odparł, że raczej nie.

– Nie martw się – powiedział jeszcze. – To już nie potrwa długo. Osaczam tę grupę coraz bardziej, wszystko jest pod kontrolą. Tydzień, dwa i będzie po ptakach.

– Uda ci się? – spytałem.

– Liczę na to. Mam nadzieję, że się nie przeliczę.

– Kiedy się spotkamy?

– Po co?

– Żeby pogadać.

– Ty ciągle swoje.

– Nie jestem żebrakiem.

– Dziwką też nie. – Roześmiał się. – Pozwól, że doprowadzę tę akcję do końca, OK? Potem pogadamy.

– Potem to nie będziesz chciał ze mną gadać.

– Czemu nie? Teraz wyluzuj, znasz powiedzonko o dzieleniu skóry na niedźwiedziu? No. To się wstrzymaj.

Pomyślałem, że on może sobie gadać, a ja muszę jakoś obmyślić rewanż, naprawdę nie uśmiechało mi się zaciąganie u Czarka długów. Nie. Chciałem się z nim uczciwie rozliczyć, za opiekę nad Anią, za rozgryzienie układu, za rozbrojenie sytuacji. Jaki interes przy okazji ubijał – to nie była moja sprawa. Chciałem spłacić dług i mieć spokój. Problem polegał na tym, że na spłatę długu nie miałem forsy. W banku zarabiałem bardzo przyzwoicie, ale zarabiałem tak zaledwie od trzech miesięcy, uzbierana suma mogła być początkiem inwestycji, lecz nie inwestycją. Jako spłata honorowego długu również miała o kilka zer za mało.

Poza tym nie wiedziałem, czy chcę Czarkowi dawać po prostu pieniądze. Wolałbym raczej podarować mu jakiś rozkręcony biznes, coś, co będzie mu przynosiło stały dochód, będzie prezentem długofalowym. A jednocześnie będzie cały czas przypominało, że się rozliczyłem, że jesteśmy kwita. Nie chciałem z Czarkiem żadnych kombinacji i przede wszystkim nie chciałem wojny. W nic nie wnikać, nie oceniać, podziękować, oderwać się. Piotrek miał rację. To nie była moja bajka.

Już od kilku dobrych dni strasznie się zmóżdżałem, wreszcie dziś, po wielu wahaniach, podniosłem słuchawkę i wykręciłem pewien numer.

Numer miał na początku kierunkowy 0-049, a należał do mojego dawnego kumpla i przyjaciela, zarazem kolegi z roku na MIM UW – Tomka Draniewicza. Minęło już kilka lat, odkąd Tomek niespodziewanie rzucił wszystko w Polsce, zapakował się wraz z ówczesną dziewczyną do małego fiata i wyjechał do Hamburga rozpoczynać kolejny rozdział swojego życia. Nie znałem powodów jego decyzji ani wtedy, ani teraz, po latach. Wyjechał w ciągu tygodnia, nic nikomu nie mówiąc, dopiero po kilku miesiącach zadzwonił z Niemiec, podał namiary i zostawił otwarte zaproszenie, z którego nigdy nie skorzystałem.

Tomek był wybitnie mądrym facetem, a przy okazji był bardzo fajny – równy, normalny koleś, z którym można było wypić i pogadać; był niesłychanie zdolny i był też, tak jak ja, w pracowni Garlickiego. To z nim się najbliżej w czasie studiów trzymałem, potem dopiero z Mikim, choć z Mikim kontakt zacieśnił się właściwie od rozpoczęcia pracy w firmie Garlickiego. Brakowało mi Tomka, był obok Leszka moim najbliższym przyjacielem, od jego wyjazdu mieliśmy sporadyczny kontakt telefoniczny.

Zadzwoniłem do niego późnym popołudniem.

– Cześć – powiedziałem. – Tu Paweł. Mam do ciebie bardzo trudną i skomplikowaną sprawę. Czy mógłbym do ciebie przyjechać?

– Kiedy chcesz.

– To jutro jestem u ciebie.

– Czekam.

30 marca, Wielkanoc

Wyruszyłem o świcie przez Poznań, potem Frankfurt nad Odrą, *nach Berlin* i do Hamburga, prawie 900 kilometrów. W Warszawie pogoda była średnia, ołowiane chmury wisiały nisko, pocieszałem się, że przynajmniej nie leje. Nie czułem się jeszcze dobrze, całe ciało mnie bolało i musiałem robić częstsze przystanki. W czasie jazdy aura stopniowo się poprawiała, gdy późnym popołudniem dojechałem do celu, termometr wskazywał ponad dwadzieścia stopni. Byłem wypluty, wymęczony i miałem cholerną migrenę.

Tomek mieszkał w niskim bloku przy Schöneberger Straße, na wysokim parterze. Otworzył mi drzwi domofonem i stanął na szczycie kilku schodów. Spojrzałem w górę. Na każdym stopniu palił się ikeowski tealight

i stała pięćdziesiątka wódki. Tomek trzymał kieliszek w dłoni, gestem pokazał mi pierwszą lufę, tę najbliższą mnie.

– „Za nieobecnych przyjaciół, stracone miłości, starych bogów i porę mgieł” – powiedział.

Usiadłem na najniższym stopniu i zacząłem się śmiać.

– „I niech każdy z nas odda diabłu, co jego” – dokończyłem, podnosząc kieliszek.

Wypiliśmy.

Tomek zbiegł ze schodów i uściskaliśmy się. Potem spojrzał ze zdumieniem na moją pokiereszowaną twarz.

– Co ci się stało?

– Długa historia. Właśnie przyjechałem, żeby ci opowiedzieć.

– OK. Pozbieramy tę wódkę, nie będziemy pili na klatce. Chodź na górę, opowiesz. Jesteś głodny?

Byłem głodny jak wilk, od rana nie miałem nic w ustach.

– Świetnie, zrobimy grilla.

– Gdzie grilla? – Nie zrozumiałem.

– Na balkonie.

– Stary – powiedziałem niepewnie. – W Niemczech. Na balkonie. Grilla. Różne rzeczy słyszałem o autochtonach...

– Dobrze słyszałeś. Mam tu takiego sąsiada, starego hitlerowca. Uwielbiam go wkurwiać.

– Zaraz. To ile on ma lat?

– A ma z dziewięćdziesiątkę. Nie bój się, zdążył się załapać. Ustawicznie utrudniam mu jego spokojne, uporządkowane życie w dobrobycie.

Rozpaliliśmy grilla, Tomek miał wielki balkon, gdzie spokojnie mieścił się stół i turystyczne fotele. Dym ruszył we wszystkich kierunkach, usiedliśmy z wysokimi szklankami, pełnymi zimnego piwa.

– Mów – poprosił Tomek.

Spojrzałem na niego. To był dawny, mądry, bliski mi Tomek, lata rozstania nic w naszym układzie nie zmieniły. Miał poważne oczy i wiedziałem, że może pajacować do czasu, ale wysłucha mnie naprawdę z uwagą. Od lat darzyłem go zaufaniem. Jego niespodziewany wyjazd zaskoczył mnie, ale nie zachwiał tym zaufaniem. Wiedziałem, że różnie się w życiu układa, Tomek na pewno miał powód i swoją rację. A przyjaźń polegała na tym, że nie musiał mi się z tego zwierzać, jeśli nie chciał czy nie mógł.

Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, zacząłem powolutku, nie pomijając niczego, opowiadać o tym, co się wydarzyło.

Dotarłem do firmy Garlickiego, zlecenia rządowego i całej akcji w knajpie, gdy nagle za przepierzeniem balkonu usłyszeliśmy dźwięk, jaki mógłby wydać bardzo wkurwiony niedźwiedź. Najpierw był to krótki ryk na „Aaaa”, który w następnej chwili przekształcił się płynnie w ryczącą, lecz czytelną wypowiedź.

– *Das ist doch unmöglich! Ihr wagt es, das Feuer auf dem Balkon zu legen? Ihr sollt sofort damit aufhören! Das ist verboten!*<sup>3</sup>

Każde zdanie wyplute było prawie ze sztuczną szczęką i kończyło się wykrzyknikiem. Powoli odwróciłem głowę. Zza niskiego płotka, oddzielającego balkon Tomka od sąsiedniego, wychylał się zasuszony, kostyczny staruszek z zapłniętymi oczami i furią na obliczu. Postawę miał sztywną, wojskową, więc był to prawdopodobnie ów wspomniany hitlerowiec, pieprzony esesman, dochodzący teraz swoich praw. Tomek obrzucił go spokojnym spojrzeniem i podniósł się wolno.

– *Verboten?* – spytał uprzejmie. – *In Auschwitz war grillen doch auch verboten, trotzdem habt ihr gegrillt!*<sup>4</sup>

Staruszek zamarł i pomaleńku zrobił się siny na twarzy.

– *Ihr ruf die Polizei!*<sup>5</sup> – powiedział zduszonym szeptem.

– *Machen Sie doch!*<sup>6</sup> – ukłonił się Tomek i staruszek zniknął.

– Dobra, upiekło się już. Chowamy teraz wszystko prędyutko – powiedział, puszczając do mnie oko – bo ten skurwysyn rzeczywiście wezwie policję. Jeszcze mu się nie znudziło. Zawsze mu się wydaje, że policja mnie na czymś przyłapie. Jeszcze nigdy się nie udało.

Zgarnęliśmy mięso na talerze, Tomek wrzucił tłący się żar do metalowego kubelka i zalał wodą, szybko sprzątnęliśmy grilla. Gdy przyjechała policja, siedzieliśmy grzecznie na balkonie i jedliśmy późny obiad. Po alkoholu nie było śladu. Staruszek przez płotek wykrzykiwał jakieś kalumnie i chwycił się za serce. Żaden z nas nie zwracał na niego uwagi. Policja pokręciła głowami i poszła, wreszcie mieliśmy spokój.

– Dobra, akcent humorystyczny już był – powiedział Tomek, wynosząc talerze. – Mów dalej.

Dalej streściłem dokładnie całą bójkę w knajpie i dotarłem do wyrzucenia mnie z firmy przez Garlickiego. Tomek słuchał w milczeniu, tylko zrobił się bardzo blady.



– To wszystko, co powiedziałem, to właściwie tytułem wstępu – wyjaśniłem. – Chciałem ci opisać sytuację, która zmusiła mnie do pracy w szkole. Kumasz to, stary? Pracuję w szkole, uczę matematyki w liceum plastycznym. Mało tego... – urwałem i popatrzyłem na niego.

– Jeśli to jest mało, to wprost nie mogę się doczekać, co będzie dalej.

– Dalej... ale nie śmieję się... Zakochałem się w mojej uczennicy.

– Gratulacje.

– Prosiłem, żebyś się nie śmiał.

– Przecież się nie śmieję. To cudownie. Sam bym się zakochał w nastolatce...

– A Asia? – spytałem niepewnie.

Tomek był z Asią wtedy, gdy wpakował swoje życie do malucha i przyjechał tutaj, by rozpocząć wszystko od nowa.

– Asia... – Zamyślił się na moment. – Wiesz, to nie wypaliło. Asia rzuciła mnie dla Helmuta, jest teraz szczęśliwą żoną Niemca i ma śliczne, niemieckie dziecko. Widuję ją od czasu do czasu w parku...

– Przykro mi...

– Mnie też było przykro. Teraz już się z tym pogodziłem. Więc co z twoją miłością?

Znów pomalutku ruszyłem z opowieścią o menelu, o bójce, odwecie, o Czarku i jego propozycji.

– A ten Czarek to kto? – spytał Tomek. – Kumpel Leszka Dorosza?

Skinałem głową.

– Czarek... – Zawahałem się. – On jest z innego świata. Tym niemniej muszę jakoś spłacić dług... dlatego tu jestem. Czy dałoby się zorganizować stały dopływ używanych samochodów, powiedzmy powypadkowych? Chciałbym mieć tu dobre dojsście, zorganizować firmę sprowadzającą takie samochody do Polski i cały interes dać Czarkowi.

– Jesteś hojny.

– Jestem przerażony. Nie potrafię ogarnąć tej sytuacji, dlatego potrzebna mi pomoc Czarka. Tą hojnością chcę okupić swój spokój. Swój i... jej.

Było już po dwunastej w nocy.

Piliśmy właściwie od samego początku spotkania, ale wciąż jeszcze umysły nam się nie plątały, po prostu łatwiej było o takich sprawach mówić ze wspomaganiem. Tomek wyciągnął z barku kolejną flaszkę, postawił na stole.

– Dobra – powiedział. – Pogadajmy o tych samochodach.

Podniosłem głowę i spojrzałem na niego.

– Wyobrażam to sobie tak – powiedziałem. – Trzeba by było mieć dojeżdżanie, na przykład do firmy ubezpieczeniowej. Rozumiesz, firma po wypadku odkupuje samochód, następnie ogłasza przetarg. Więc trzeba by to było tak załatwić, żeby, omijając przetarg, móc kupować samochód z pierwszej ręki. To raz. Druga rzecz to komornik. Wiesz, przejęcia mienia upadłych firm, w tym wozów oczywiście. Wyobraź sobie, bryczka kosztuje pięćdziesiąt tysięcy nowych marek, komornik sądowy może wycenić ją na dziesięć tysięcy po roku użytkowania. Znów może nie dawać przetargu oficjalnie, tylko sprzedawać z pierwszej ręki. Tak to widzę.

– Wiesz co, ale ja tego kompletnie nie widzę – powiedział ponuro Tomek. – To, o czym mówisz, jest do załatwienia, ale na pewno nie w tym kraju. Tutaj są Niemcy. *Ordnung. Arbeit macht frei*. Tutaj nie robi się lewych interesów. Mogę się bawić z moim sąsiadem w „uciekaj myszko do dziury”, ale nie zorganizuję tu lewej akcji, bo po prostu tutaj jest inna mentalność. Kumasze?

– Kumasz – powiedziałem, raptem skłębły. – Sorry. Nie powinienem ci w ogóle tego proponować. Wciągam cię w brudne sprawy...

– Czemu nie? – Tomek uśmiechnął się szybko. – Ale trzeba wiedzieć, co gdzie można. Tutaj nie można, koniec, kropka. Musimy pomyśleć o czymś innym.

Użyta przez niego liczba mnoga podniosła mnie odrobinę na duchu.

– Można załatwić kupno u handlarzy, w komisach samochodowych. Wozów na sprzedaż jest multum et w chuj.

– Zgoda – powiedziałem. – Ale trzeba tu być na miejscu. Chodzić po komisach, wyszukiwać okazje, dogadywać się. Zdalnie tego nie zrobię. Więc może tak: rozkręcisz tu ten biznes, od każdego samochodu będziesz miał udziały, bo przecież nie będziesz tego robił w czynie społecznym, ty zadowolony, Czarek zadowolony i ja też...

– Wiesz... – powiedział Tomek i znów nam nalał. – Wszystko dobrze, ale... to nie jest mój sposób na życie. Zresztą twój też nie. Ja z tym Czarkiem, tak samo, jak ty, nie chcę mieć nic wspólnego. To kryminał, a ani ja, ani ty nie jesteśmy kryminalistami.

– Masz rację – powiedziałem ciężko. – Jestem idiota. Ale wiesz, miotam się... Zupełnie nie umiem wybrnąć z tej sytuacji.

– Czekał, wyluzuj. Ja mam wrażenie, że ciebie trochę poniosło. Owszem, facet pilnuje ci dziewczyny. Poza tym ubija sobie swój własny biznes. Czy

naprawdę uważasz, że musisz mu się aż tak odpłacać? Nie jesteś księciem ani królem, a chcesz dawać królewskie dary...

– Tomek, ja dla jej bezpieczeństwa oddałbym wszystko... – wyszeptałem.

– Ale nie przesadzaj. Znajdziemy tu jakąś bardzo fajną bryczkę i zawieszysz mu w ramach podziękowań. Wręczysz mu i to będzie aż nadto wypasiony prezent. Pamiętaj – on ubija własny interes. On nawet wykorzystuje w pewnym sensie twoją Anię... a jeśli nie wykorzystuje, to przynajmniej spadła mu jak gwiazdka z nieba. Więc opanuj się. Daj mu to, co możesz. Znajdę ci bardzo fajny samochód. Bardzo dobrą okazję. I finito, stary. Wystarczy.

Patrzyłem na niego. Miał rację. Miał cholerną rację, to ja, zostawiony sam sobie, nakręciłem się jak zegar z kukułką... Tomek był z zewnątrz, był głosem rozsądku, mitygującym, chłodnym, cholernie mi potrzebnym.

– Masz rację – powiedziałem, starając się ochłonać. – Jasne, że tak. Wiesz, straciłem rozum, bo tak naprawdę... chyba pierwszy raz w życiu... cholernie się boję.

– Boisz się... Czarka?

– Jego też – powiedziałem cicho.

Tomek nalał nam znów wódki i popatrzył na mnie długą chwilę.

– Dobra – powiedział. – A teraz pogadamy na poważnie.

\*

Skończyliśmy rozmowę o czwartej nad ranem, bo chciałem się choć trochę przespać przed drogą do Warszawy.

31 marca

Coś chyba musiało pylić, bo gdy rano wstałem, wyglądałem jak mongolski korespondent. Albo to mój organizm zaczął zgłaszać zdecydowany protest w stosunku do ilości alkoholu, którą mu zaserwowałem. Pocieszyłem się, że Tomek nie wyglądał dużo lepiej.

– Mój Boże – westchnąłem. – Chciałbym się kiedyś wyspać na tyle, żebym rano czuł, że się budzę, a nie zmartwychwstaję...

Tomek parsknął śmiechem.

Wyjechałem od niego po późnym śniadaniu, znów tą samą trasą, co wczoraj, bo nie było sensu pchać się na Lubekę, Rostock i Świnoujście... Droga była długa i miałem dużo czasu na przemyślenia.

\*

Wczoraj wieczorem, mocno już trącony, Tomek powiedział:

– Powiem ci, dlaczego cztery lata temu rzuciłem wszystko w cholere i uciekłem do Niemiec... bo to była ucieczka. A ty w zamian powiesz mi to, czego nie powiedziałaś. Bo nie powiedziałaś mi o czymś, mam rację?

– Masz rację. Nie powiedziałem tego dotąd nikomu. Nikt nie wie, rozumiesz? Ani mój brat, ani Dorosz, nikt. Ja teraz też zaczynam uciekać, więc być może będziemy mówili o tym samym...

– W moim życiu to się zaczęło wtedy, gdy jeszcze byłem z wami na roku. Po prostu pewnego dnia dostałem propozycję nie do odrzucenia... – urwał i spojrzał na mnie.

– Czy facet nie nazywał się przypadkiem Adrian Kurski? – spytałem bez tchu.

– Nie, facet nazywał się Jan Maciejewski, ale równie dobrze mógł się nazywać jakkolwiek. Zaproponował, że może załatwić mi dobrą pracę, właściwie od ręki, zanim jeszcze obronię dyplom. To była firma zajmująca się oprogramowaniem... Pamiętasz, ty w tym czasie już się obroniłeś i pracowałeś na uczelni, Leszek zaczynał przygodę z agencją ochrony i był po pierwszym filmie. A ja trafiłem na super firmę robiącą oprogramowanie do ZUS-u. I wtedy pan Jan Maciejewski, mój dobry duch i protektor zaproponował, że może bym tak zrobił maleńką lukę bezpieczeństwa...

Poczułem, jak robi mi się lodowato, mimo że już od kilku chwil to właśnie podejrzywałem.

– Szantażował cię? – spytałem cicho.

– Właściwie nie. Za to oferował mi bardzo, bardzo duże pieniądze.

– Dlaczego nie poszedłeś z tym na policję?

– Bo nie miałem żadnego dowodu. Poza tym dał mi do zrozumienia, że jest pracownikiem służb... Kurwa, wiesz przecież, co się działo. Było tuż po przełomie, totalna rozpiarducha, komu miałem wierzyć? Tam była twarda walka, a ja... Ja miałem dwadzieścia pięć lat, Asię, całe życie przed sobą, a nade wszystko nie chciałem w tym uczestniczyć. Tymczasem raptem zacząłem wiedzieć za dużo, a wiesz, co się z takimi robi, zwłaszcza gdy są niepotrzebni. Spakowałem malucha i uciekłem. Najzwyczajniej dałem nogę z kraju, bałem się, że mi nie dadzą spokoju.

– I co? Dali ci spokój?

– Odpukać. Nigdy już o panu Maciejewskim nie słyszałem. Teraz ty opowiadaj.

– Garlicki zakładał prywatną firmę. Zaprosił do niej mnie, Marcina Ziazickiego i Mikołaja Koniecznego. Pamiętasz Mkiego? Ja z nim w czasie studiów właściwie nie utrzymywałem kontaktów, ale bardzo się skumplowaliśmy u Garlickiego.

– Mikołaja? Jasne. To spoko ziomek, wtedy gdy studiowaliśmy, był z taką śliczną, rudą dziewczyną... nie pamiętam, jak miała na imię. Pamiętasz?

– Nie. Pod koniec studiów i u Garlickiego był solo. No i kontynuując – po bójkę w knajpie dostałem propozycję nie do odrzucenia od pana, który przedstawił się jako Adrian Kurski, a propozycja była dokładnie taka, jaką ty dostałeś. Tyle tylko, że mnie było czym zaszantażować.

– A Garlicki wiedział?

– Nic nie wiedział i nie mogłem mu powiedzieć. Wypierdolił mnie w przekonaniu, że usuwa czarną owcę ze stada.

– To... nie jak Garlicki, nie uważasz? – spytał Tomek, a mnie dreszcz przeleciał po krzyżu.

– Tak – powiedziałem. – To było zupełnie... niespodziewane. Nie sądziłem, że tak się zachowa. Nawet nie dał mi możliwości obrony.

– A broniłbyś się?

– Nie mogłem.

– Stary, to jest bardzo, bardzo dziwne.

– Masz jakąś teorię?

– Mam – powiedział Tomek, a ja wbrew wszystkiemu, wbrew lodowatemu zimnu na kręgosłupie, roześmiałem się, bo to Tomek był autorem powiedzenia, jeszcze z czasów studiów: „Mam teorię, ale jest naciągana jak kondom na globus”...

– Czego się śmiejesz? – nie zrozumiał Tomek, lecz nie czekał na odpowiedź. – Tak myślę, że może Garlicki był... nie wiem... szantażowany?

Usiadłem raptem prosto. To mogła być prawda. Jeśli był szantażowany, to... Przyjrzałem się uważnie Tomkowi.

– Stary – powiedziałem cicho. – Jeśli tak, to kamień z serca. Słuchaj, może on wiedział o wszystkim i wywalił mnie, żeby mnie ochronić? Żeby usunąć mnie z kręgu wpływów Kurskiego? Stary... może to tak było?

– Może było – zgodził się Tomek. – Ale mów dalej, bo to zdaje się nie koniec.

Opowiedziałem mu o banku, o zespole, Mikim, Emilce i kolejnym kontakcie Kurskiego. Powiedziałem, że jutro składam w banku rezygnację i nie wiem, jak mam się przygotować na to, co nastąpi.

– Musisz pójść na policję – powiedział poważnie Tomek. – To jedyne wyjście. Inaczej będzie cię tak szantażował aż do śmierci.

– A więzienie?

– Odsiedzisz więzienie. Trudno. Ale już potem nic...

– A jak mnie potem po prostu załatwi? Też wiem za dużo.

– Pakuj plecak i przyjeżdżaj.

– A Ania?

– Pakuj Anię i przyjeżdżaj. Znajdę ci robotę.

– Tomek – powiedziałem cicho. – Nie mogę. Teraz nie. Jeszcze nie.

– Za chwilę może być za późno. Ale jeśli nie chcesz uciekać, to zgłaszaj się na policję. Serio. Teraz tak bym zrobił.

\*

Od samej granicy niemieckiej aż do Poznania jechał za mną jakiś samochód. Nie pozwoliłem mu się zanadto przybliżać, a może to on nie chciał podejść bliżej... W każdym razie wydawało mi się, że to granatowa toyota corolla.

Grzałem równo, ogarnięty rzetelną paniką. Wiedziałem, że ludzie, z którymi mam na pieńku, są szczerze podli. I czułem, że mimo wszelkich uspokojień rozumu, zaczynam już pomału śmierdzieć trupem.

Za Wrześnią samochód się zgubił i mimo bardzo wnikliwej obserwacji we wstecznym lusterku, już go więcej nie widziałem.

2 łac. po stosunku

3 niem. – To jest niedopuszczalne! Jak śmiecie palić ogień na balkonie? Proszę to w tej chwili zgasić! To jest zabronione!

4 niem. – Zabronione? W Oświęcimiu też grillowanie było zabronione, a grillowaliście!

5 niem. – Dzwonię na policję!

6 niem. – Proszę bardzo!

1 kwietnia

We wtorek miałem jeszcze wolne w szkole, więc mogłem zameldować się w banku z samego rana. Dorwałem Rafała i poprosiłem go o chwilę rozmowy. Rafał przyjął hiobowe wieści zadziwiająco dobrze, zero paniki czy focha. Powiedziałem mu, że muszę zrezygnować z prywatnych powodów, że sprawa jest poważna i niestety nie mogę nic więcej powiedzieć. Spytał tylko, czy zespół beze mnie da sobie radę, powiedziałem, że z obecnym projektem jak najbardziej, a jeśli chodzi o następne, to będzie musiał zatrudnić jeszcze jedną osobę. Miałem nadzieję, że Emilka nie zrezygnuje, a raczej z ulgą powita moją nieobecność.

Następnie powędrowałem do Zdanowskiego, nie mając żadnej pewności, czy go zastanę, ale szczęśliwie był. Tutaj byłem już lekko zgrzany, wiedziałem, że rezygnacja przed samym oddaniem projektu jest dziełem grubym i nie musi wywoływać okrzyków zachwytu. Na szczęście tu również załatwiliśmy sprawę bez problemów, przyznam nawet, że w pewnym momencie zrobiło mi się przykro. Nikt nie próbował mnie na siłę zatrzymać, zupełnie jakby było im obojętne, czy zatrudniają mnie, czy kogoś innego. Potem pomyślałem sobie, że zachowuję się jak rozkapryszony, roszczeniowy smarkacz, próżny w dodatku, że niech ręka boska broni... Wcale nie byłem takim cudem i naprawdę można się było beze mnie obyć. Podobno nie ma ludzi niezastąpionych, a jeśli są, to można ich policzyć na palcach jednej ręki. Widocznie, wbrew względnie dobremu samopoczuciu, nie należałem do tego wąskiego grona prawdziwej elity.

To wszystko właśnie międlilo mi się w głowie, gdy na sam koniec rozmowy Zdanowski powiedział:

– Panie Pawle, nie ukrywam, że bardzo żałuję, ale szanuję pana decyzję. Wiem, że jest pan solidnym pracownikiem, więc ta decyzja jest z pewnością przemyślana. Gdyby jednak postanowił pan ją zmienić, to z przyjemnością włączę pana znów do zespołu.

Zrobiło mi się trochę lepiej na duszy, mimo że wiedziałem, iż nie wrócę tu nigdy... przynajmniej tak długo, jak długo pan Kurski będzie miał nade mną jakąkolwiek władzę. Teraz po prostu uciekałem, musiałem to zrobić, jeśli chciałem zachować się fair. Znowu kolejny pracodawca, któremu nie mogłem nic powiedzieć, znowu kolejna świetna robota, która szła w diabły... Na czym polegał mój pech? Na tym, że kiedyś, bardzo dawno temu zdecydowałem, że zostanę matematykiem? Myślałem o historii, o

dziennikarstwie, przez sekundę nawet o szkole filmowej, Leszek ciągnął mnie na fizykę, ale nie. Musiałem wybrać akurat taką drogę. Co to jest, że wszystkie moje życiowe decyzje mszczą się na mnie najokrutniej? Lub też życie cały czas mnie sprawdza, czy zostanę nieugięty w swych postanowieniach, czy uda się jakoś zachwiać moje morale. Otóż nie. Nie byłem, kurwa, święty, za to w pewnych sytuacjach byłem niezłomny, na przekór wszystkiemu, i ta właśnie sytuacja do nich należała.

Podziękowałem Zdanowskiemu za wyrozumiałość, przeprosiłem, że sprawiam kłopot. „Żaden kłopot, panie Pawle”. No cóż, może żaden. Uścisnęliśmy sobie ręce, wyszedłem z jego gabinetu wolny i ze świadomością, że ruszyłem właśnie pierwszą kostkę domina. Jaki będzie efekt, tego nie wiedziałem... Jak to mawiał T.S. Eliot: *And in short, I was afraid...*

Wszedłem piętro wyżej, do naszego pokoju, żeby pożegnać się z chłopakami.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz? – spytał wstrząśnięty Miki, gdy już dotarła do niego wygłoszona przeze mnie rewelacja.

Moryc siedział bez ruchu i gapił się na mnie, jakby nie mógł ogarnąć wszystkiego w całości.

– Sorry, stary – zwróciłem się do Mikiego. – Serio, bardzo mi głupio, ale...

– Głupio ci? – spytał Miki z dziwnym wyrazem twarzy. – Kurwa. To mnie jest ciebie żal, polecam cię dyrektorowi, mało – ręczę za ciebie, ściągam cię do świetnej pracy, a ty, kurwa, pracujesz niepełne trzy miesiące i... głupio ci? W co ty lecisz, stary?

– Chodź na chwilę na korytarz – poprosiłem, rzucając Morycowi przepraszający uśmiech.

– Pogadajcie sobie. – Poderwał się pospiesznie Moryc. – Ja i tak miałem pójść do barku.

Usiadłem na jego pustym miejscu i spojrzałem na Mikiego. Był oszołomiony, wściekły i... zawiedziony.

Pomyślałem, że go rozumiem.

– Wiesz, stary... – zacząłem.

– Właśnie nie wiem. Liczę, że mi wytłumaczysz.

Przez jedną sekundę chciałem powiedzieć mu o wszystkim – o Kurskim, o tym, jak wyciągnął mnie z dołka, jak złożył niemoralną propozycję, a właściwie dwie niemoralne propozycje... O tym, że jeśli z nim zadrę, czeka



mnie więzienie. I o tym, że właśnie ustawicznie z nim zadzieram, tak jakbym badał jego wytrzymałość. I że to nie może się dobrze skończyć. Przez krótki ułamek chwili chciałem, żeby Miki wiedział o tym wszystkim. Potem zdałem sobie sprawę, że przecież nie powiedziałem Leszkowi, nie powiedziałem Piotrkowi, a byli mi z pewnością bliżsi niż Miki... Może lepiej nie mówić nic?

Miki patrzył na mnie, włosy opadały mu na oczy i nie mogłem zrozumieć dziwnego wyrazu tych oczu. Wiedziałem, że za mnie poręczył i czułem, że jestem wobec niego nie w porządku, wiedziałem, że zasłużył na wyjaśnienie, jakiegokolwiek wyjaśnienie, a problem polegał na tym, że mu tego wyjaśnienia nie mogłem udzielić. O Kurskim nie chciałem mówić ani słowa, przez sekundę pomyślałem o Emilce.

– Odchodzę, bo nie chcę skrzywdzić Emilki. Zakochała się we mnie, a ja jej nie kocham – mogłem powiedzieć, najprościej w świecie – i nic nie powiedziałem.

Miki patrzył na mnie bez słowa, powolutku obracał w palcach ostro zatemperowany ołówek. Przerwałem im jakąś robotę, obok łokcia Mikiego leżały zapisane kartki papieru, pełne wyliczeń, notatek i wykresów.

Co mogłem mu powiedzieć? Przepraszam?

Przepraszam, że cię wystawiam, że jak niepoważny gnojek opuszczam was w środku roboty, nieskończonej, bo zabrakło dwóch tygodni? Przepraszam, że nie mogę powiedzieć ci prawdy, bo lepiej, żebyś nie wiedział nic o Kurskim dla własnego dobra, i lepiej, żebyś nie wiedział nic o Emilce, dla jej dobra, jej honoru, mimo iż mogłoby się wydawać, że w obecnych czasach honor to puste słowo? Wszelkie usprawiedliwienia wytrąciłem sobie sam z rąk, więc po prostu bez żadnych tłumaczeń wzięłem wszystko na klatę.

– Nie chcesz wiedzieć – powiedziałem cicho do Mikiego.

Nie odrywając ode mnie wzroku, odpowiedział:

– Owszem, chcę.

– Uwierz mi, że nie – powiedziałem jeszcze ciszej. – Jesteś porządny, przyzwoity facet. Normalny, fajny, lojalny... szczerzy. Wybacz, że nie mogę ci powiedzieć, dlaczego muszę odejść... bo muszę. Nie mam wyboru. I nie chcę być tym, który ci o tym wszystkim powie. Zachowaj swoją wiarę w porządek świata. Zachowaj swoją wiarę w ludzi. Przepraszam cię za wszystko.

Podniosłem się, by odejść, podszedłem do drzwi i w momencie, gdy już ujmowałem klamkę – Miki się do mnie uśmiechnął. Był to gorzki, smutny uśmiech i ja też byłem gorzki i smutny.

– Cześć, Miki – powiedziałem i wyszedłem.

\*

No więc – bęc i już.

Po raz kolejny wściekła mi się świetna robota i znów zostałem z niczym. Przecież to chyba jakaś klątwa... A tak się już wszystko dobrze układało. Lubilem ten zespół, naprawdę wszystkich, świetnie mi się z nimi pracowało. Miałem poczucie, że wreszcie jestem na swoim miejscu, że robię coś, co jest dla mnie ważne i w czym jestem dobry. Wreszcie jakoś zacząłem wychodzić na prostą, zacząłem ostrożnie planować swoje życie, przyszłość... Czy naprawdę wszystko zostanie mi znów odebrane? Co dalej ze mną będzie, za trzy miesiące skończy się umowa w szkole i stracę nawet to źródło utrzymania. Jak, na miłość boską, mogę myśleć o Ani, o stworzeniu z nią jakiegokolwiek związku, gdy będę bezrobotny i bez żadnej możliwości znalezienia pracy? Jak mam zamiar utrzymać przyszłą rodzinę, Anię, dzieci? Co mam robić, do ciężkiej cholery? Uciekać, tak jak Tomek, gdzieś za granicę? Zgłosić się na policję?

A skąd tak na dobrą sprawę wiem, kim jest Kurski? I kto za nim stoi? Czy nie są to jakieś rozgrywki rządowe, w które naprawdę lepiej nie wchodzić? Jaką mogę mieć pewność, że nie odstrzelą mnie przy jakiegokolwiek próbie rozpoznania układu? Być może Kurski bądź jego mocodawcy są zbyt silni, by móc im zrobić cokolwiek, a prawo w naszym kraju jest wciąż niestety słabe, a zaufania do policji, takiego bezwzględnie, też nie mam. Milicja Obywatelska niezbyt chlubnie wpisała się w całą zbiorową pamięć gatunku zwanego Polakami, a to, co nastąpiło potem... Cóż, zostało zdominowane niejako przez Pasikowskiego, a generalnie określone jednym, krótkim słowem: psy. Pomijam już w tej chwili groźbę odsiadki, trzy lata w pierdlu i tak wydają się małym miki w porównaniu z tym, co jeszcze może mnie czekać.

Zdaje się, że popadłem w niezłą paranoję... No i dobrze, paranoja to obłąd z systemem. I naprawdę nie potrafię spojrzeć na wszystko w sposób bardziej optymistyczny. Tak, dokładnie jak w tym żarcie: optymista uważa, że wciąż wszystko stoi przed nim otworem. Ja niestety dokładnie wiem, jaki to otwór...

Jasne, mogę sobie kpić i żartować, żeby zupełnie nie oszaleć, ale tak naprawdę żyję ze świadomością, że ktoś – coś – wciąż czai się gdzieś w okolicy i znindzuje mnie nieuchronnie w jakiś mglisty poranek lub mroczny wieczór i, prawdę mówiąc, jestem zupełnie bezradny wobec tego, co jeszcze mnie czeka... Bardzo niekomfortowe uczucie.

Tyle tylko, że wolnego czasu mam teraz od groma i jeszcze więcej. Raptem – tylko szkoła. Tylko kilka lekcji i cała masa wolnych godzin na przemyślenia. I tak Bogiem a prawdą, nie jest to dobra opcja. Czuję się jak zatrzymany w połowie biegu, gdy wszystkie mięśnie są jeszcze spięte do walki, do biegu, do jakiegokolwiek ruchu, do akcji... Przymus nicnierobienia nakręca mi mózg prosto w stronę szaleństwa.

Paradoksalnie wolałbym, żeby już coś się wydarzyło, coś, co pozwoli mi ustosunkować się do tego w jakikolwiek sposób, bierne czekanie na wizytę patrolu („POLICJA! OTWIERAĆ!”, względnie „POLICJA! NA ZIEMIĘ!”), a potem kilka ciepłych słów od siebie i skucie rąk od tyłu, następnie kipisz na kwadracie i darmowe taxi na dołek... tak, naoglądałem się dużo filmów, czekanie na kolejny wycisk, na kolejny telefon Kurskiego i kolejne groźby - to ponad moje siły. Choć czym można mnie właściwie teraz szantażować? Anią... Można mnie szantażować Anią. Dla jej bezpieczeństwa pójdę na każdy układ. Więc to, co robi dla mnie Czarek jest nie tylko prostym czuwaniem nad bezpieczeństwem Ani, ale też czuwaniem nad bezpieczeństwem mojej duszy. Jeśli Kurski dowie się o Ani – jestem stracony.

Przez chwilę coś w toku mojego rozumowania zaniepokoiło mnie leciutko, ale po chwili – nie mogłem już tego złapać...

wieczorem

Tomek zadzwonił, gdy usiłowałem oglądać wieczorne wiadomości.

– Cześć – powiedział. – Szykuj forszę, nagrywam ci samochód.

– Ile i jaki? – spytałem.

– Mercedes S klasa, czteroletni, w bardzo dobrym stanie. 150 tysięcy marek. Dasz radę?

Przełknąłem ślinę.

– Dam – powiedziałem. – Chyba.

– Wiesz, bryczka w sam raz dla gangstera – powiedział Tomek i usłyszałem uśmiech w jego głosie. – To mercedes W140, z podwójnymi pancernymi szybami, wielka landara, czarny...

- Gdzie go namierzyłeś?
- Wysprzedaż floty rządowej, oni tu trzymają wozy tylko cztery lata i zmieniają na aktualny model. Naprawdę okazja.
- OK – powiedziałem słabo. – Dam radę. Kiedy potrzebna ci będzie kasa?
- Tak... za kilka dni, do tygodnia, może być? Przez ten czas załatwię tu umowę kupna-sprzedaży na twoje nazwisko, tablice wywozowe i rejestrację. Podaj mi swoje dane.
- OK. – Sięgnąłem po dowód i Tomek spisał wszystko starannie.
- Poza tym... – zawahał się.
- Co?
- A... tak mi ruszyłeś trochę wyobraźnię tymi samochodami... No wiesz, jak to mawiał mój kumpel: ginekologiem nie jestem, ale spojrzeć mogę... Więc spojrzałem.
- I co? – spytałem rozbawiony.
- Gdybyś się upierał przy rozkręceniu tego biznesu, to chyba dałoby się to zrobić. Wielu z tych handlarzy to obce nacje, z Turcji, czy tam innych krajów... Z nimi można robić każdy interes, jaki się chce. Czyli – droga otwarta. Tak ci mówię na wszelki wypadek, możesz potrzebować tej informacji kiedyś, bo teraz to chyba ta locha załatwi sprawę, co?
- O tych mercedesach mówi się locha?
- No. Z racji ciężkiego wyglądu. Myślę, że dla Czarka będzie w sam raz i więcej na razie nie trzeba. Jakby się sytuacja jakoś rozwinęła – to nie martw się, kontakt się znajdzie.
- O rany, Tomek, dziękuję – powiedziałem zupełnie zmieszany. – Dzięki, stary, że się przejąłeś.
- Wiem, jak to jest – odpowiedział cicho Tomek. – Ja też przez to przechodziłem. Też byłem kompletnie sam i musiałem podejmować decyzje, które mnie przerastały. Gdybym miał wtedy kogokolwiek, komu bym mógł zaufać, to byłoby to dla mnie błogosławieństwo. Więc wiem, jak się czujesz.
- Dzięki – powiedziałem jeszcze raz.
- Wzruszył mnie tak, że nic więcej nie udało mi się powiedzieć.
- Czyli co, ty gromadzisz forszę i jak będziesz gotów, to dajesz znać, tak? Ja tu zaklepuję wóz i trzymam dla ciebie.
- Dzięki – powiedziałem po raz trzeci.

A potem – bardzo już późnym wieczorem, zadzwoniłem do Leszka.  
– Cześć, stary – powiedziałem. – Czy mógłbyś zorganizować pokera?

2 kwietnia

W pokera grywaliśmy od lat, w stałym zestawie: ja, Leszek, Tomek Draniewicz i dawny kumpel Tomka jeszcze ze szkoły – Bartek Klonowski.<sup>7</sup> Nie zliczę godzin, które spędziliśmy razem przy stoliku, triumfów, porażek, podpuszczeń, blefów, odzywek... Kiedyś, zanim Tomek zwinął się definitywnie z kraju, przerabaliśmy w pokera jedno deszczowe lato i wtedy to, z nudów, opracowaliśmy cały system szulerskich znaków, bezczelnych ustawek, które ćwiczyliśmy w parach: ja z Leszkiem przeciwko Bartkowi i Tomkowi.

W szczytowej oszukańczej formie znaleźmy z Leszkiem siłę naszej karty po rozdaniu, od bezparza do strita. Podczas „ciemnych” i związanych z tym procedur była możliwa dalsza sygnalizacja, na przykład, że mamy fulla-maksa, pary-brzozy czy strita od króla. Sygnalizacja między nami była wyrafinowana – pozycja rąk, palców, ciała na krześle, oraz – przede wszystkim – gra słów i znaków akustycznych. Mieliśmy też całą serię możliwości bluzganych, dopuszczalnych jedynie w męskim gronie, no ale w takim pykaliśmy. Leszek zawałił kiedyś jeden egzamin, bo zamiast do niego – wkuwał prawa naszego słownika.

Początkowo graliśmy na zapalki, ale gra nie miała nerwu, więc przeszliśmy na drobne sumy. Prawdę mówiąc, trochę nas wtedy poniosło i zaczęliśmy łupić się doszczętnie. Kiedyś też, co wspominam z zażenowaniem, przegięliśmy do tego stopnia, że Bartek i Tomek zostali bez grosza przy duszy. Tomek jakoś przeżył dzięki pomocy rodziny, natomiast Bartuś przez miesiąc jechał na cebuli, którą kradł z pobliskich ogródków działkowych, i suchym chlebie, który mu wynosiła ze stołówki studenckiej zakochana w nim koleżanka. Gdy zdaliśmy sobie z tego sprawę, zaniechaliśmy definitywnie gry na forse i znów przeszliśmy na zapalki, pustosząc okoliczne kioski RUCH-u, aż wreszcie ilość posiadanych przez nas pudełek mogła zaspokoić najbardziej wyśrubowane potrzeby klienteli przed Świętem Zmarłych...

Cysterny alkoholu, jakie przy okazji wypiliśmy, mogłyby śmiało zakwalifikować nas do światowej czołówki alkoholików-amatorów. To znaczy ja byłem zdecydowanym amatorem whisky, Leszek i Tomek wódki,

zaś Bartuś gustował w tequili, aczkolwiek nie wyglupiał się już z solą i cytrynką.

Mając to wszystko w pamięci, pomyślałem, że czas może zrobić użytek z całej bujnej wiedzy, jaką kiedyś posiadaliśmy ot tak, dla zabawy, bez żadnej myśli o wprowadzeniu tej szulerki w poważne rozdanie. Za to teraz – tak. Teraz należało zmobilizować dawny skład, zmobilizować pamięć, a nade wszystko zmobilizować bogatego barana, którego dałoby się ogolić, nie wzbudzając w nim zbyt wielu podejrzeń...

Z przerwami i potykając się co chwila, wyjaśniłem wszystko Leszkowi.

Leszek wysłuchał mnie w milczeniu.

– A ty wiesz, że ta zabawa nie jest bezpieczna? – spytał.

Jak to powiedziała Grace Murray Hopper, wielka dama oprogramowania, która napisała pierwszy kompilator dla języka komputerowego i która wyglądała jak stary, pomarszczony żółw, ubrany dla zabawy w admiralską czapkę United States Navy?

– „Statek w porcie jest bezpieczny, ale nie po to buduje się statki” – powiedziałem na głos do Leszka.

Parsknął śmiechem, a potem spowaźniał.

– Ile musisz wygrać kasy?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy marek – powiedziałem ciężko.

– Kurwa – rzucił Leszek i zamilkł.

Ja też zamilkłem. Było to w przeliczeniu około dwieście siedemdziesiąt tysięcy złotych, względnie osiemdziesiąt tysięcy dolarów... kasa w ogóle niewyobrażalna.

Czułem, że Leszek myśli szybko i bardzo intensywnie, starałem się nie przeszkadzać mu nawet oddychaniem.

– Dzwonię do Bartka – powiedział wreszcie. – Tak coś ostatnio mówił o jednym takim... czekaj. Rozłączam się.

Rozłączył się istotnie, a ja zapaliłem papierosa. Zdażyłem go sobie na luzie wypalić, potem wypaliłem następnego, a Leszek nie oddzwaniał. Westchnąłem i przestałem warować przy aparacie. Leszek zatelefonował dopiero pod wieczór.

– Bartek ma jelenia – powiedział.

Jeleń – Robert Pański – okazał się dawnym kumplem Bartka jeszcze z liceum. Był to typowy banan – bogaci rodzice, wywalone na wszystko, z każdej imprezy wychodził z najfajniejszą laską, nawet jeśli przyszła z kimś innym, generalnie facet, który wszystkich wkurwia, ale ludzie kleją się do

niego, żeby nie wyjść na lamusów. To wobec niego postanowiliśmy (jak mawiał Terry Pratchett) zastosować zasadę najważniejszą w każdej grze: jak najszybciej ułatwić mu oddanie wszystkich pieniędzy. Tych pieniędzy podobno miał o wiele więcej, niż mógł wydać – był właścicielem firmy transportowej, kupionej mu przez tatusia, w pracy pojawiał się sporadycznie, wyłącznie w celu wyjęcia kasy. Bartek, mający duży i świetnie prosperujący zakład mechaniczny, raz jeden przyjął od niego zlecenie i pozostał w stanie trwałego niesmaku, co wykluczało dalszą współpracę, mimo że Robert był nią wciąż bardzo zainteresowany.

– Arogancki fiut – powiedział podobno Bartek. – Niech sobie nie myśli, że po starej znajomości będzie mnie cesał z przedziałkiem. Takiego wała.

Od czasu do czasu spotykali się jednak i przy okazji wypłynął temat pokera – Robert był zapalonym graczem, chodziły słuchy, że wziął w Niemczech udział w jednym z turniejów Texas Holdem no limit, na którym skasował trzydzieści tysięcy marek zachodnich. Wprawilo go to w taki samozachwył, że trudno było słuchać jego wypowiedzi, w każdym razie stanowiło to problem dla każdego w miarę normalnego i mającego jakikolwiek dystans człowieka. Bartek tego dystansu nie był pozbawiony, więc nieustanne przechwałki i puszenie się Roberta wprawily go w dość zrozumiałą ochotę, by wreszcie trochę go sprowadzić do parteru.

– Głupi to on nie jest – powiedział podobno Leszkowi – i gra całkiem nieźle, tylko ja mam bardzo krótki lont na takich gości. Poza tym forsy ma za duzo i jak trochę straci, to nawet nie zauważy.

Problemów w tym wszystkim było kilka, między innymi ten, że ja i Leszek byliśmy zbyt cieniastymi, by taki gość jak Robert w ogóle chciał z nami siadać do stolika. Poza tym dlaczego miałby grać akurat z nami, nawet jeśli udałoby się go przekonać do naszego bogactwa?

– Biorę to na siebie – powiedział Bartek i następnego dnia dostaliśmy wiadomość, że Robert gotów jest do rozgrywki o dowolnym czasie i w dowolnym miejscu.

– Ty, co mu powiedziałaś? – spytałem Bartka, zaciekawiony nad miarę.

– Eee, nic. – Bartuś się uśmiechnął. – Tyle tylko, że nie znam się na tym światowym gównie pokerowym, wiem natomiast raczej na pewniaka, że w naszego polskiego, rodzimego pokera miałby po jajeczkach...

– I co?

– No i to „raczej na pewno” chyba go trochę wkurwiło, nie wiem. Powiedział, że proszę bardzo, tylko żebyśmy pamiętali, że on nie gra o

pieprzone złocisz. Z nim się gra o dolce, marki, funty, ewentualnie euro. Partnerów też chciałby sobie obejrzyć i gotówkę, jaką rozporządzają.

– No to sobie zobaczy – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Leszek, robimy rozgrywkę u ciebie. Chałupa daje po oczach, podliftingujemy ją deczko, puścisz konie na padok, postawi się parę dobrych fur na podwórku i już możesz robić za bogacza. A ze mną... – Zamyśliłem się.

– Tobie spreparujemy życiorys – wszedł mi w słowo Leszek. – Wojska ONZ? Kompania antyterrorystyczna? Prezencję masz, centymetry też... Bronią się posługujesz, można rzucić parę luźnych informacji. Lepiej, żeby gościu trochę spękał od razu i potem bał się zwracać ci głowę.

Wyszło na to, że jestem z jednostki specjalnej (w domyśle „GROM-u”), zaliczyłem niejedną tajną operację, bronią posługuję się od dziecka, nożem też, a dalej lepiej się nie dowiadywać. Tajemnica służbowa uniemożliwia dalsze dzielenie się informacjami. Mam być chłodny i trzymający na dystans, maksymalnie arogancki i *unforgiven*. Ustaliliśmy, że z Bartkiem znam się od dawna, z Leszkiem niedługo, a w pokera gramy razem od kilku miesięcy.

Problem z forszą był kolejnym na liście problemów i tu już nie dało się nic załatwić na Głupiego Jasia.

– Mam trzydzieści tysięcy złotych – powiedziałem ciężko. – Cała moja forsa i wszystko inwestuję w grę. Gdyby był nóż na gardle, to mogę trochę pożyczyć od Piotrka, ale akurat teraz wolałbym nie.

Bartek nie wiedział o ciąży Uli, Leszek tak, ale nie mówił na ten temat ani słowa.

– Ja wkładam pięćdziesiąt tysiąt – powiedział Bartek.

Leszek zastanowił się chwilę.

– OK, ja trzydzieści pięć-sześć.

Przełknąłem ślinę.

– Kurwa, chłopaki – powiedziałem. – To jest kupa forsy. Macie tyle wolnej gotówki? To ja jestem w czarnej dupie, nie wy. To ja muszę wygrać, wy nie musicie akurat mieć tyle kasy na zabawę...

Przerzucili się spojrzeniami.

– Ale mamy – powiedział uspokajająco Leszek.

Bartek pokiwał głową.

– Zwracam cały wyłożony wkład – powiedziałem ze ściśniętym gardłem.

– Jak tylko uda mi się najprędzej.



– Spoko, stary. – Bartek mnie klepnął. – Przeżyjemy. Ja to bym ci nawet pożyczył całość, ale akurat ostatnio miałem trochę niefart, parę chybionych inwestycji, parę przegranych przetargów... wiesz, jak jest. Ale to, co mam, to mam, więc zlużuj dzidę. Nie zostanę o chlebie i... cebuli.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na Leszka.

– Gośka mi trochę pożyczyła – powiedział. – Trudno, kryzys to kryzys. Damy radę.

– Ale...

– Zlużuj – uśmiechnął się – dzidę, jak mówi Bartuś. Zostaw coś dla Ani...

Zamachnąłem się, ale zdążył uskoczyć.

– O, o czymś nie wiem? – zdziwił się Bartek.

– O kimś. – Leszek się uśmiechnął, cały czas trzymając się z dala ode mnie. – Super dziewczyna, ale Pawełek ma z nią problem. Potem ci opowie, OK?

– Pawełek ma problem z dziewczyną? – znów zdziwił się Bartek. – Od kiedy?

– Od zawsze – westchnąłem. – Wszystkie mnie zawsze robiły, nie pamiętasz?

– Przeciwnie. Pamiętam, że to ty wszystkie gonileś.

– No to nie bez powodu. – Znów westchnąłem.

– A teraz co jest?

– Bartek. Wyznam ci wszystko jak na spowiedzi, ale potem, dobra? Powiem ci... w maju. Teraz nie.

– OK, nie to nie. Tylko nie zapomnij.

– Tego się nie da zapomnieć – powiedziałem.

7 Całą rozgrywkę pokerową zaaranżował i rozegrał dla mnie pisarz i świetny pokerzysta Krzysztof T. Wysocki. Krzysiu, zajrzyj na ostatnią stronę do „Podziękowań” – wystawiłam Ci tam mały pomniczek, wiesz: orły w locie, fruujące sztandary, rozpedzone konie, te sprawy :)

4-5 kwietnia

Ponieważ rozjątrzony jeleń rwał się kategorycznie do odstrzału, więc ustaliliśmy termin rozgrywki na piątkowy wieczór. Wszystko nabrało dużego tempa, leciutko przemeblowaliśmy salon Leszka, wyposażając go w sztywne gadzety i elektroniczne cacka. Psy miały zostać zamknięte, konie wypuszczone, Leszek wystawił na podwórko koszmarnie ubłoconego Jeepa, sugerującego ostrą jazdę off-road, Bartuś odwrotnie, przybył nieskazitelnym BMW 850, ja postanowiłem zaparkować z boku. Zjedliśmy dobrze i tłusto, następnie wybyliśmy od Leszka, żeby ponownie pojawić się w ściśle określonym porządku. Nie chciałem, by Robert, przyjeżdżając, zobaczył mnie na miejscu, raczej starałem się przekonać go o mojej bardzo luźnej znajomości z Leszkiem, by w głowie nie powstała mu nawet myśl o tym, że zaplanowana została jakakolwiek ustawka. Ponieważ był to mój wieczór i moja rozgrywka, więc kupiłem jeszcze whisky, szarpnąłem się na Tullamore Dew 12YO.

Zbliżała się dziewiętnasta, w naszym przypadku godzina W, zacząłem się trochę denerwować... Bartek z Robertem mieli zaraz zjawić się w Konstancinie, ja dla uspokojenia zataczałem kółka po okolicy. Gdy wreszcie podjechałem, brama była otwarta, a wszystkie wozy już na podwórku. Spojrzałem na zegarek. Dziewiętnasta siedem. Zapukałem do drzwi, w korytarzu słyszałem głosy, wszystko rozwijało się tak, jak ustaliliśmy.

Przywitałem się z Leszkiem oficjalnie, z Bartkiem bardziej koleżeńsko, aczkolwiek z sugerowanym dystansem, następnie odwróciłem się w stronę wysokiego potężnego faceta. Był w połowie trzydziestki, zaczynał tyć, miał gęstą brodę i małe oczy skurwysyna.

– Paweł Jeź. – Podałem mu rękę. Uścisk był mocny.

– Robert Pański – odpowiedział po chwili, uważnie na mnie patrząc.

Z moich oczu i twarzy nic nie dało się odczytać, wiedziałem o tym.

– Zapraszam – powiedział oficjalnie Leszek i weszliśmy do salonu.

Robert rozejrzał się z zaciekawieniem. Dziś po południu Bartek przywiózł gigantyczną plazmę, w pośpiechu ledwo udało nam się ją podłączyć. Reszta prezentowała się okazale i elegancko, dyskretne bogactwo nie biło po oczach, raczej dawało poczucie komfortu. Na środku stał przygotowany stół ze szklanym blatem i cztery krzesła.

Leszek poprosił gestem Roberta o zajęcie miejsca, zależało nam, by zrobił to pierwszy. Robert był czujny, ale wreszcie, trochę manewrując, usiedliśmy zgodnie z planem. Ja usiadłem na szóstej, naprzeciwko mnie Leszek na dwunastej, na trzeciej Bartek, na dziewiątej Robert, w związku z czym ustawiony był optymalnie do ataków z mojej strony.

– A, zaraz. – Leszek podniósł się jeszcze i podszedł do bufetu. Nalał cztery szklanki Tullamore.

– Woda? Lód? – zwrócił się grzecznie do nas.

– Czysta – powiedziałem.

– Lód – powiedział Bartek.

– Czysta – powiedział Robert i znów mi się przyjrzał.

Leszek podał nam trunki i okrył szklany blat stołu zielonym obrusem. Robert bez najmniejszej żenady ściągnął materiał z powierzchni.

– Wolę tak – powiedział sucho. – Żadnych machloi pod blatem!

– Przekręty? – spytałem spokojnie. – Chyba że... pańskie.

Bartek prychnął urywanym śmiechem, reszta została poważna. Robert upił spokojnie łyk ze swojej szklanki.

– Nie uwierzę, by był wśród was naiwny, niemający pojęcia, że poker to gra oszustów, a szczególnie ten prywatny. Proszę mnie nie rozczarować... bo się zjeżę.

Przyjąłem odparowanie żartu, leciutko skłaniając głowę. Moje oczy zostały zimne, twarz też.

– Dobra – powiedział Robert. – Zanim zaczniemy pykać, muszę zrozumieć reguły tego waszego ściemniania, no i najpierw chcę oczywiście zobaczyć, jaką rozporządzacie gotówką. Nie będę grał o kota w worku.

Bez słowa sięgnęliśmy do wewnętrznych kieszeni marynarek i wyjęliśmy portfele. Po chwili przed każdym z nas leżał plik forsy. Dokładnie wiedzieliśmy ile: przed Leszkiem 11 500, przed Bartkiem 18 000, a przede mną 10 350 zielonych.

Robert ocenił fachowym okiem:

– OK. O tyle mamony mogę grać.

– A ty, przyjacielu? – spytałem cicho, ale z naciskiem w głosie. – Bez żadnych wyjątków. Pańską kasę też chcę widzieć.

– Nie jestem twoim przyjacielem, Jeż – rzucił chłodno Robert.

Zaczynał się już wkurwiać, oceniłem, że poszło szybciej niż się spodziewałem.

Odpiął od paska sporą saszetkę i rozsunął zamek błyskawiczny. Na szklaną powierzchnię wytoczyły się cztery kłębki studolarowych banknotów, przytrzymane gumkami. Pliki były zdecydowanie większe od mojego, nie mówiąc już o tym, że mój zwitek zawierał w dużej mierze dwudziesto- i pięćdziesięciodolarówki. Przed Robertem leżało minimum sześćdziesiąt melonów i bardzo się starałem, żeby nie było po mnie widać żadnego wrażenia.

– Okej – powiedziałem. – Schowaj swój hajs. Póki co starczy jeden pliczek do gry. Jak go umoczysz, przyjdzie kolej na następne.

– Ho, ho, nie za pewni siebie jesteśmy? – spytał Robert zgryźliwie.

– A o kim mówisz? O mnie czy o sobie? – zaciekałem się. – Bo ja, owszem, jestem pewny. Nie takich amatorów miałem na rozkładzie.

Leszek i Bartek siedzieli dotąd bez słowa, ale wreszcie uznali chyba, że konsekwentne wzbudzanie niechęci i agresji w Robercie musi mieć swoje granice, bo Leszek podniósł się, podszedł do biurka i przyniósł pudełko z dwiema taliami kart. Dwa razy po 32 karty. Patrzyłem mu na ręce.

– Tymi kartami było już grane, co? – spytał niezawodny Robert.

– Owszem. Ale tylko raz.

– Nie pierdol – wycedził Robert i ani jeden mięsień nie drgnął na naszych twarzach.

Szybko poszło, jeśli już zaczynał tracić kontrolę.

– Nie ma! – powiedział lekko czerwony. – Gram tylko nówkami.

Mówiąc to, wrzucił do saszetki trzy grube zwitki zielonych i tylko jeden, około piętnastu tysięcy, pozostawił na stole do gry. Następnie wyjął z bocznej przegródki swojej pakownej pederastki dwie talie plastików. Były to wyborowej jakości karty, fabrycznie zapakowane w przejrzystą folię. Robert rzucił obie talie na stół.

– Nówki sztuki. Nie ma mowy, by mogły być znaczone.

Wziąłem jedną talię, przyjrzałem się uważnie przezroczystej osłonie, znalazłem końcówkę złocistej, tasiemkopodobnej okleiny i jednym ruchem otworzyłem opakowanie. Przytknąłem od spodu i karty rozlały się płynnie i bezdźwięcznie po stole, obrazkami do góry. Figury wykonane były wręcz artystycznie.

– Piękne – zachwycił się Leszek.

– Taak, takie są karty amatora. – Robert uśmiechnął się chłodno pod moim adresem.

– Są w porządku – powiedziałem krótko. – Proponuję dla zapoznania się z naszymi zasadami gry jakieś dwie-trzy rundy bez kasy i w otwarte karty. Może być?

Robert skinął głową i ruszyliśmy powolutku.

Bartek miał rację. Robert nie był głupi, zadawał wnikliwe pytania i już po zakończeniu szóstego rozdania powiedział:

– OK, OK... zgadzam się na wasze zasady. Z jednym wyjątkiem. Nie jesteśmy przedszkolakami.

Spojrzeliliśmy na niego z zainteresowaniem.

– Nie jesteśmy przedszkolakami – powtórzył – więc nie zamierzam się bawić w jakieś ograniczenia z podbijaniem. Albo każdy ma prawo przebijać bez limitu, albo zapomnijcie o moim udziale w waszym chałupniczym pokerku.

Zerknęliśmy po sobie zaskoczeni i chciałem natychmiast zareagować, ale Robert w tym samym momencie podniósł się, mówiąc:

– Przemyślcie to sobie na spokojnie, a ja się odleję. Gdzie jest kibel?

Leszek wskazał mu drogę, Robert zniknął za załomem korytarza. Odczekałem, aż zamknie za sobą drzwi i powiedziałem szybko:

– To nawet lepiej. Przy dobrej karcie u mnie albo u Leszka będziemy go mogli szybciej ogolić, niż z czterokrotnym zaledwie przebicciem.

– Czyli co... idziemy na to?

– Idziemy. Aha. Ostrożnie z tą taktyką no limit. Proponuję przez pierwsze pół godziny pykania unikać stawiania całej kapuchy, nawet przy dobrej karcie. Poobserwujmy go. Leszek – te pół godziny bez żadnego komunikowania się... no, może z wyjątkiem fulla i powyżej. Bartek... – Spojrzałem na niego. – Ty przegraj do nas całą swoją kasę w ciągu dwóch-trzech godzin. Wszystko oddam, tak jak ustaliliśmy.

Usłyszeliśmy spuszczaną w toalecie wodę.

– I jeszcze jedno – powiedziałem prędko. – Nie gapcie się na mnie jak szpaki przy każdej wątpliwości, tak jak przed chwilą. Bo się zdradzimy, że znamy się jak łyse konie...

Leszek dolał whisky do wszystkich czterech szklanek. Gdy Robert wrócił, sączyliśmy niespiesznie, rozmawiając o pogodzie, a właściwie robiąc zakłady czy lunie, czy nie.

– I co? – spytał krótko Robert. – Biorę dupę w troki czy przebitka no limit?

– No limit – powiedział ponuro Bartek.

– A co ty taki zdupiesiały? Nikt cię nie zmusza przebijać all in. Zostaw to mnie, amatorowi.

– Nasze zasady, że tylko ten, kto ściemniał, ma prawo do przebicia w jasno, przyjąłeś do wiadomości, jak rozumiem? – upewniłem się.

– Tak, tak. Kto wchodzi w jasno nie ma prawa podbijać, chyba że dopiero po tym, jak ściemniający przebije. Jasne, koleś.

– Nie jestem pański koleś – warknąłem. – Jasne?

Zderzyliśmy się wzrokiem. Skurwysyn w Robercie już chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Leszek.

– Kurwa – powiedział z uprzejmym spokojem. – Czy ja was zaprosiłem tutaj, żeby wysłuchiwać co dwie sympatyzujące ze sobą panienki mają sobie do powiedzenia? Miałem nadzieję popykać deczko w pokera, do którego zabieramy się już od godziny i nic!

Robert zamilkł, ale ja miałem jeszcze jedno pytanie:

– A co jest, jeśli zagrasz all in i wrzucisz do puli całą swoją kasę, dajmy na to dwadzieścia patoli, a ja mam wszystkiego tylko dziesięć? Co wtedy?

– Proste jak budowa cepa. Dajesz wszystko co masz. Jak wygrasz, różnica naszych wkładów, czyli dziesięć baniek, wraca do mnie.

Leszek przypatrzył się każdemu z nas z osobna.

– Jeszcze jakieś niejasności?

– Co ze śladem? – spytał Robert.

– Ślad zostawia wygrywający pulę. Dwadzieścia dolców?

– Zgoda – powiedział Robert. – I siła kart według standardów światowych, tak?

Przytaknęliśmy.

– Zero pytań? – upewnił się Leszek i zebrał karty. Przetasował krótko trzydziestodwukartową talię i ponownie rozsypał ją koszulkami do góry.

– Każdy ciągnie jedną. Najstarsza rozdaje.

Sam wyciągnął najstarszą, więc ponownie przetasował karty i dał do przełożenia Robertowi. Rozdał sprawnie po pięć kart każdemu i odłożył kłode na boku.

Rozpoczęła się pierwsza gra o prawdziwe, duże pieniądze.

Oczywiście nic nie chciało ułożyć się tak, jak zaplanowaliśmy. Przede wszystkim plastiki zdawały się kochać tylko Roberta. A Robert, niestety, okazał się wytrawnym graczem. Bezlitośnie też wykorzystywał od pierwszych chwil swoją finansową przewagę. Już w drugim rozdaniu zagrał all in, czyli przebił o blisko piętnaście kafli, które miał na stole.

Zaczął się spokojnie. Zagrałem ciemną przed rozdaniem. Nikt mi w ściemnianiu nie towarzyszył, więc tylko ja zyskałem prawo przebicia w jasno. Obejrzałem papiery, dostałem trójkę z łapy. Wszyscy dali w jasno po dwudziestaku, przebiłem o sto wyżej. Robert dorzucił bez wahania, Leszek z wahaniem, Bartek wyprzął. Zdecydowałem się na kolejną zagrywkę w ciemno, przed dobraniem listków.

– Ściemniam za stówę – powiedziałem, przesuwając na środek banknot.

Robert wszedł. Leszek też. Zaczęliśmy dobieranie. Przez chwilę namyślałem się ze swoją trójką jopków, czy bolcować się asem, którego miałem oprócz waletów, ale ostatecznie wziąłem od Leszka dwie karty.

– Dla mnie jedna – powiedział Robert, wyciągając do Leszka rękę.

– Ja to samo – poinformował przestrzeń Leszek, smyrgnął jedną swoją kartę do śmieci i dobrał inną, z wierzchu trzymanej w ręku kłody.

Jako ostatni wchodzący w ciemno kontynuował licytację.

– Czekam.

– Ja też – mruknął Robert.

Wreszcie, jako pierwszy ściemniający, miałem prawo do przebicia w jasno. Nie spojrzałem na dobrany materiał, czułem się pewnie z trójką z ręki.

– Podbijam w jasno o trzy stowy – powiedziałem.

Robert przez chwilę wpatrywał się w swoje papiery, trzymając je ciasno przed oczami. Potem złożył je razem i położył wolno obok sterty banknotów.

– Pas? – spytał Leszek.

– Spokojnie, daj mi minutkę.

Po prawie rzeczywiście całej minucie, zakomunikował twardo:

– Z taką kartą gram tylko jedno. All in.

Pchnął forszę na środek stołu, a mnie żołądek skurczył się do rozmiarów włoskiego orzecha. Nie... nie mogłem wchodzić. Mógł kupić zarówno strita, jak i fulla. Sprawdź – a chodzi o całą kasę, jaką dysponuję – i do widzenia... Zerknąłem na swoje dwie dobrane karty: as i ósemka. Zakląłem w duchu. Miałem się jednak bolcować asem. Mogłem mieć wysokiego fulla. Zrezygnowany szurnałem wszystko do śmieci.

– Pańska pula – powiedziałem, pocieszając się złośliwością.

– Wiedziałem, amatorzy – zarechotał Robert.

Patrzyłem jak pojedynczo odkrywa kolejne swoje karty.

Dwójka pik, trójka pik, czwórka pik, piątka pik... i...

„Strit, kolor, albo... poker” – pomyślałem w udreće.

Siódemka karo.

– Co... jest? – jęknął z niedowierzaniem Bartek.

Tym razem nie utrzymałem nerwów na wodzy.

– Nic, kurwa – powiedziałem, na szczęście spokojnie. – Nic nie miał.  
BEZ-PA-RZE!

Leszek wychylił się i poklepał Roberta po plecach, mówiąc z podziwem:

– No, to dopiero był blef. Pogoniłeś nas jak jakichś debutantów!

Znałem ton jego autentycznego podziwu i wiedziałem, że teraz gra podziw na konto Roberta. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że osiągnął właśnie poziom wkurwienia podobny do mojego.

Robert przyglądał mi się z paskudnym uśmiechem, o ile tak można było interpretować czeluści jego brody.

– Taak... – powiedział, rozkoszując się chwilą. – Tak grają amatorzy.

Sięgnął po swoją szklankę i opróżnił ją jednym łykiem. Leszek natychmiast dolał mu znowu. Robert pił niemalże dwa razy tyle, ile każdy z nas, ale nie łudziłem się, że straci przy tym kontrolę.

Spokojnie – pomyślałem. Jeszcze ci pokażę, cwaniaczk. Przy naszych proporcjach finansowych mogłeś sobie na to pozwolić... Ale przynajmniej wiem teraz, do czego jesteś zdolny.

Faktem było, że Robert nie został sprawdzony, więc nie musiał pokazywać swoich kart. Zrobił to świadomie, wiedząc, jakie psychologiczne znaczenie miało pokazanie kompletnie bezwartościowej karty. Chciał w ten sposób zniszczyć nasze morale i wolę walki.

Za cienki jesteś boleć. – Zazgrzytałem w duchu. I bez skrupułów. A to już coś warte. Poza tym, ile razy można wracać do słowa „amator”, do cholery?

Rozgrywanie kolejnych ośmiu rozdań odbyło się bez większych emocji i spektakularnych sensacji.

Większość pul zebrał Robert, ja pozostawałem chłodny i rejestrujący, Leszek miał twarz bez wyrazu, Bartek wyglądał na wyluzowanego. Wiedziałem, że muszę niezwłocznie doprowadzić do choćby jednej kompromitującej porażki Roberta, czyli nadszedł nieuchronnie czas komunikacji z chłopakami. Robert pił dużo whisky pomieszanej z colą, co doprowadzało mnie do szału, choć z drugiej strony szybko nadszedł wyczekiwany moment jego wizyty w toalecie.



– Taką whisky, takiemu wałowi – powiedziałem przez zęby. – Trzymajcie mnie.

– Łączę się z tobą w bólu – mruknął Leszek. – To co, zaczynamy?

Skinałem głową.

– Bartuś? Przegraj w następnej godzinie kasę do mnie albo do Leszka – powiedziałem cicho. – Znasz nasz znak na sygnalizowanie ręki-siekiery. Obserwuj nas, w odpowiednim momencie weźmiesz udział w all in. I stracisz do mnie całą kasę.

Usłyszeliśmy spluczkę w łazience.

– I nie dajcie się zastraszyć tymi jego knyfami. On tylko usiłuje nas sterroryzować nadwyżką szmalu.

Gdy Robert wrócił, Leszek znów dolewał wszystkim bursztynowy trunek. Za oknem pociemniało i o parapet huknął deszcz.

– Sorry – powiedział Leszek, wstając. – Tylko wezmę konie do stajni.

– A chuj tam, niech mokną – warknął Robert i Leszek obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Nie będą mokły. Poczekacie – powiedział krótko i wyszedł.

– Widzicie go, jaki troskliwy. Konie mu się przeziębia. – Nie dawał za wygraną Robert.

– Co chcesz – powiedział uspokajająco Bartek. – Przecież z nich żyje. I to nie najgorzej.

– Coś tam mówiłeś...

– No, mówiłem. Jeździ jako kaskader.

– I jako kaskader zarabia taki szmal? – zdziwił się Robert, rzucając dokoła ostentacyjne spojrzenie.

– I jest jeszcze zdaje się producentem... W tym serialu wojennym, co to będzie wchodził na ekrany za dwa miesiące...

Nie patrzyłem na Bartka, gdy szył Leszkowi coraz piękniejszy życiorys i coraz lepsze miejsca zatrudnienia, bo bałem się, że mimo wszelkich starań nie uda mi się utrzymać powagi. To, że Leszek jest przy okazji doktorem fizyki jądrowej, a ściślej zajmuje się teorią relatywistycznych zderzeń ciężkich jonów i eksperymentalną fizyką wysokich energii, nie padło w rozmowie ani razu.

Drzwi zewnętrzne szczęknęły, po chwili Leszek był już z nami. Na włosach lśniły mu krople deszczu.

– I co, Ranger? – spytał Bartek. – Zamknięte?

Leszek nigdy nie miał przezwiska Ranger, ale najwidoczniej zyskał je na potrzeby tego wieczoru. Nawet mu powieka nie drgnęła.

– OK, zabrałem konie. Możemy kontynuować.

Kolejne cztery rozdania były o tyle ciekawe, że Bartek zderzył się z Robertem, nie dał się zastraszyć podbiciem o trzy bańki i sprawdził go po kupieniu strita. Robert miał dęby. Tym samym przed Bartkiem leżało już około 24 tysiące dolarów.

Jako następny miałem rozdawać ja.

Robert ściemnił za sto dolarów.

Nikt nie wszedł w ciemno.

W jasno byli wszyscy.

W tym momencie usłyszeliśmy gwałtowny trzask klapki w drzwiach od ogrodu, służącej kotom do swobodnego traktowania przestrzeni „w środku – na zewnątrz”. Lał deszcz, koty były za cwane, żeby siedzieć na dworze i moknąć.

– Co jest? – spytał zdezorientowany Robert.

– Nic. Koty weszły.

Jeśli chodzi o całą brygadę, to nie pojawiła się, ale Gucio był bezkonkurencyjny w swej ciekawości i stanął w progu salonu. Podrapałem paznokciem w obicie krzesła i odsunąłem się lekko od stołu. Gucio wykorzystał natychmiast okazję, wskoczył mi na kolana. Znałem go, można było na niego liczyć.

Robert przebił w jasno trzy bańki.

Leszek się zastanawiał.

Przytuliłem policzek do Gucia, głównie, żeby ukryć bladość twarzy – miałem cztery damy z ręki! W naszej sygnalizacji w nadawaniu słownym należało użyć czegoś kojarzącego się z wozem. Leciutko podrapałem Gucia u nasady ogona i Gucio stanął na wysokości: jego ogon natychmiast wyprostował się dziarsko.

– Ale masz dyszel! – zaśmiałem się, rzucając krótkie spojrzenie Leszkowi.

Wcześniej, kładąc głowę na kocie twarzą do Bartka, mrugnąłem, podwajając jego koncentrację. Teraz odetchnąłem w duchu – obaj wyłapali słowny sygnał: mam karetę.

– Stał mu jak kutas! – Robert się zaśmiał. – Pewnie działasz na niego jak kobita. Co, lubisz kotki?

Twarz już miałem jak przedtem, bez wyrazu.

– Tak, z grilla są niezłe – powiedziałem chłodno. – Nie takie rzeczy się jadało.

Widać było niemal namacalnie, jak cała moja wymyślona przeszłość staje Robertowi przed oczami, bo zbladł nieco. Potem rzucił mi szybkie spojrzenie, zastanawiając się pewnie, czy go robię w wała.

– W smaku są podobne do królika – powiedziałem wyjaśniająco, zrzucając Gucia na ziemię.

Nie przejął się tym specjalnie. Gucio słynął z tego, że generalnie miał wywalone na wszystko, o ile w misce było pełno.

– No to jak, Ranger? – spytał Robert Leszka. Podłapywał naprawdę szybko. – Spadasz w szczaw?

– Nie. Wchodzę.

– Ja też – powiedział Bartek.

– I ja – zakończyłem.

– No to coś się tu nam kroi, panowie – podsumował podejrzenie zadowolony Robert. – Więc, żeby było weselej, ściemniam przed dobraniem za melona.

Odliczył dziesięć setek i dorzucił niedbale do ponad dwunastu tysięcy dolców na stole.

Ponownie nikt się do ciemnej Roberta nie podłączył. Zacząłem rozdawać plastiki zgodnie z życzeniami.

– Dla mnie dwie... najlepiej takie same. – Robert dołączył do swoich trzech, dwa nowe papiery.

– Zdrowy – powiedział Leszek.

Zerknąłem na niego. Mógł mieć strita, fulla, kolor, karete, bądź pokera. Albo blefował, choć w aktualnej sytuacji byłoby to bez sensu.

– Ja chcę jedną – zażyczył sobie Bartek.

– Bolec, czy dwie... – zacząłem się głośno zastanawiać. – OK, bolca jeszcze dzisiaj nie skutecznie... jedna!

Robiłem, co mogłem, by sprawić wrażenie, że szukam fulla...

Robert spojrział w swoje papiery i leciutko poczerwieniał.

– No i jak? Kto wchodzi w jasno?

Weszli wszyscy i Robert starał się nie okazać zadowolenia.

– Podbijam... – lekkie zawahanie – o dwa tysiące.

Leszek rzucił na mnie okiem i zdecydował:

– Bawcie się sami. Beze mnie.

Obaj wiedzieliśmy, że teraz Bartek musi działać.

– Twoje dwa i jeszcze dwa patyki – powiedział Bartek, który jak się potem okazało, miał małego fulla, a podejrzewał Roberta o fulla asowego. Podbicie miało go sprowokować do następnej przebitki. Postanowiłem, że nie będę przed nim przebijał.

– Cztery badyle – powiedziałem i z dosłyszalną frustracją w głosie odliczyłem i dosunąłem do puli wymaganą sumę zielonych.

Robert wyglądał, jakby święcił Boże Narodzenie.

– Twoje dwa i jeszcze cztery moje koła! – powiedział.

Odetchnąłem z ulgą – udało się wciągnąć go w pułapkę. Oby tylko Bartek nie zagrał teraz all in... Musiałbym sprawdzić i kto wie, czy Robert by wtedy nie spasował. Ale Bartek nie zawiódł.

– Sprawdzam – powiedział i góra banknotów przed nim zbiedniała o cztery tysiące dolarów.

Pula urosła w międzyczasie do trzydziestu paru tysięcy. Chętnie bym jeszcze przebił, ale niestety to, co mi pozostało na stole, wystarczyło z trudem na sprawdzenie Roberta.

– Ja też sprawdzam – powiedziałem spokojnie i dorzuciłem cztery tauzeny. Na stole przede mną zostało ostatnie sto dolarów.

Z triumfującą miną Robert rozłożył koszulkami do blatu swoje karty. Full maks.

– Ożesz ty... – zdusił przekleństwo Bartek.

Rzucił na śmieci swojego fulla – trzy jopki z parą ósemek.

– No, Wojak! Co tam masz? – spytał od niechcienia Robert z klątą nabrzmiałą jak u gęsi wyścigowej.

Najwyraźniej ja też uzyskałem dzisiejszej nocy przezwisko. Bartek rzucił mi szybkie spojrzenie, ale się nie uśmiechnął.

– Trzy kurwy na parę jakichś gówienek? – spytał Robert.

– Nie – powiedziałem beznamiętnie. – Mam rzeczywiście kurwy... tyle że... cztery.

Pomału wyłożyłem swoją kartę. Dama pik, dama kier, dama karo, walet pik – błysk nadziei w oczach Roberta – i dama trefl.

– Kurrrwa... twoja w dupę zajebana mać! – ryknął Robert cały czerwony. „Nie, nie gęś” – pomyślałem. – „Indyk”.

– Hej – powiedziałem ostrzegawczo. – Pańskie... zachowanie nie przystoi profesjonalście. Odrobinę kultury, proszę.

– Pierdol się.

Robert podniósł się, sam sobie przyniósł flaszkę, nalał pół szklanki i wychylił jednym haustem.

W czasie, gdy zgarnąłem pulę, liczyłem i wygładzałem zmalretowane w nerwach banknoty, Robert otworzył saszetkę i wrzucił na stół największy ze zwitków pieniędzy.

– Żarty się skończyły – powiedział.

\*

O wpół do drugiej w nocy wypiliśmy smolistą kawę, potem Robert pozbiarał „stare” plastiki, wypakował nowe i zabrał się do tasowania. Na stole rozkład forsy był następujący: przed Robertem leżało trzynaście tauzenów, przede mną prawie czterdzieści, Bartek i Leszek mieli po dwanaście z hakiem.

W ciągu najbliższej półtorej godziny Leszek uszczuplił kasę Roberta o kolejne cztery patole, kupił kolor i po wycofaniu się w jasno Roberta, zagrał all in. Bartek właśnie usuwał się z rozgrywki, więc sprawdził z trójką asów, wiedząc, że przegra.

W walce o hajs zostaliśmy w trójkę – Robert z dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów, ja z czterdziestoma, Leszek z dwudziestoma czterema.

\*

Okolo wpół do ósmej rano miałem już ponad siedemdziesiąt baniek i zajmowałem się głównie kontrolą nad sercem, które zaczynało pieprzyć obowiązki z pompowaniem mojej A Rh+.

Po Tullamore nie zostało ani śladu, Leszek wyjął szkocką. Za oknem było jasno i wiedziałem, że długo już nie pociągniemy. Robert tasował bardzo starannie, potem dał do przełożenia. Być może liczył, że będziemy zmęczeni, albo może sam był zmęczony, w każdym razie zauważyłem, że tak szybko i sprytnie przekręcił kłoda, że podpatrzył ostatnią kartę. Zanotowałem to w pamięci, ale nie zareagowałem. Kłótnia nie była mi już do niczego potrzebna. Sięgnęliśmy po swoje karty.

– Ściemniam za patola – powiedział ponuro Robert. Odczekał, aż zapoznamy się z dobraną kartą. – Wchodzicie w jasno?

Zgodnie przytaknęliśmy z Leszkiem, choć ja nie widziałem jeszcze ręki. Dorzuciliśmy po bańce.

– Ile, Ranger?

– Trzy – powiedział Leszek.

Powolutku odkrywałem swoje karty. Miałem: siódemka trefl, ósemka karo, ósemka kier... wstrzymałem oddech... ósemka trefl... Róg ostatniej karty wysuwałem po milimetrze... siódemka karo! Serce stanęło i zastanawiało się, co dalej.

– Zdrowy – powiedziałem głosem wypranym z wszelkiej emocji.

– Dla mnie jeden listek – powiedział Robert i w tym momencie psy zamknięte w przedSIONKU dostały szału.

Wszyscy drgnęliśmy, lecz tylko Robert odwrócił się gwałtownie w stronę źródła hałasu.

Była to zaledwie sekunda, ale wykorzystałem ją.

– Full z ręki – przekazałem sygnał Leszkowi, który wyglądał, jakby go ktoś wykopał z ziemi.

– Rany boskie – powiedział martwo. – Zapomniałem.

W psi szal w korytarzu wdarło się radosne pojękiwanie Kwitka i zrozumiałem, że musiał przyjść ktoś znajomy. Kto? Chłopak do koni? Gośka? Agnieszka? Pan Stanisław? Patrycja? Nie odwróciłem głowy, bo pilnowałem Roberta. Czułem, że serce zaczyna zalewać mi gorąca fala.

– Ania? – powiedział Leszek, z hałasem podnosząc się od stołu. – O kurza twarz, nie sądziłem, że już tak późno.

– Wcześniej – skorygowałem i Ania weszła w pole mojego widzenia.

Szare bryczesy, szara kurtka, włosy w warkocz i promienne oczy.

Spojrzała.

Z pyska zwisał mi papieros. Po całej nocy musiałem też być „do twarzy z brodą”, wygnieciony, zmalretowany, niewątpliwie lekko pijany. Pan profesor.

– Wybacz, Ania – powiedział Leszek kompletnie rozkojarzony. Nie wiedziałem, czy w ogóle wyłapał mój sygnał. – Spotkaliśmy się wczoraj na małym pokerku i tak się nam, jak by to powiedzieć, przeciągnął...

Wyjąłem papierosa z ust.

– Cześć – powiedziałem do Ani.

Robert siedział bez słowa i lustrował całą sytuację uważnym spojrzeniem. Pomyślałem, że jeśli teraz zada jakiegokolwiek pytanie, to leżymy wszyscy. Powietrze w pokoju stało, zupełnie jak moje serce.

– All in – powiedział Robert.

Zaczął przeliczać, a moje serce podjęło decyzję, że jeszcze tym razem się załączy. Podziękowałem sercu i spojrzałem, jak Robert odpycha od siebie do puli dwanaście tysięcy czterysta dolarów.

– Ja spadam – powiedział Leszek. – Zrobiło się późno. Aniu.

Spojrzała na niego.

– Przepraszam. Widok może niespecjalny dla młodych dziewcząt.

– Dlaczego? – spytała Ania. – Zapomniał pan, że lubię... słynne, męskie zabawki?

– Co? – wtrącił się Robert, ale Leszek nie zwrócił na niego uwagi.

– To się nieźle składa. Weźmiesz Maklera?

– A pan co, Ikonę? – spytała Ania.

– Ja nic. Pojedziesz sama. Może być?

Bartek wstrzymał gwizdnięcie przez zęby.

– Chcesz puścić samą dziewczynę na tym swoim ogierze? – spytał z niepokojem.

– Nie ma problemu. – Ania się zaśmiała. – Jeździłam już na nim nie raz.

– *Chapeau bas* – powiedział Bartek, patrząc na Anię zachłannie.

Pomyślałem, że jeszcze chwila i go strzelę. Jeśli teraz o coś spyta...

– Gramy? – zniecierpliwiał się Robert.

– Momencik – powiedziałem.

Spojrzałem Ani w oczy. Czy rozumiała cokolwiek z tego, co tu się działo? Zadymiony pokój, góra zmaltretowanego dolarowego papieru wysokości około dwudziestu centymetrów, puste szklanki i czterech nieprzytomnych facetów... Miałem nadzieję, że nie rozumie i nigdy nie będzie musiała zrozumieć. Nie powinno jej tu w ogóle być...

Ale była. Jeśli teraz powie cokolwiek... ona, niczego nieświadomy Bartek, zaintrygowany Robert... jeśli ktokolwiek z nich zada jakiegokolwiek pytanie, to skończymy z Leszkiem gdzieś w rowie, z nożami w plecach. Spojrzałem na Leszka, nie mogąc już nic zrobić.

– Jak to mówią? – powiedział spokojnie. – Kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości. Wybierz sobie.

Gębę miałem istny Sitting Bull. Z Leszkiem policzę się później, pomyślałem. Lutnę go, jak Boga kocham...

– Czy mogłabyś pożyczyć mi jakiś drobiazg na szczęście? – spytałem Anię.

Przez moment się zawahała, potem sięgnęła dłonią pod sweter. Patrzyłem, jak zdejmuje z szyi cienki, srebrny łańcuszek z zawieszonym jakimś drobiazgiem. Nie patrzyłem na drobiazg. Patrzyłem jej w oczy.

– Ty nie bądź taki Redford – powiedział Robert, przyglądając się całej sytuacji z prawdziwym zainteresowaniem.

Wyciągnąłem dłoń. Ania podeszła dwa kroki i bez namysłu oddała mi łańcuszek, na końcu dyndała maleńka rybka. Zamknąłem palce. Uśmiechnęła się szybkim, krótkim uśmiechem i wyszła razem z Leszkiem.

– Co to było? – spytał Robert, zanim zdążyłem ochłonać. – Co to była za laska?

– Kumpela mojej siostry – powiedział bez namysłu Bartek, który nie miał siostry. – Objeżdża Leszkowi konie.

– A ten co? – spytał Robert, wskazując mnie ruchem głowy. – Wyrzywa ją?

– A jak myślisz? – spytałem spokojnie.

Ręce zacisnąłem w pięści i rybka wbiła mi się głęboko we wnętrze dłoni.

– Niezła dupa – powiedział Robert. – No, Soldier, kończymy?

Spojrzałem mu w oczy.

„Zaraz cię skończę, ty skurwysynu” – pomyślałem, czując jak zalewa mnie nagle fala bezbrzeżnego spokoju. Nawet jeśli przegram, ciągle zostanie mi około sześćdziesięciu baniek. Trudno, najwyżej będziemy musieli jeszcze deczko konia pomęczyć...

Odliczyłem dwanaście tysięcy czterysta dolarów i dorzuciłem do puli..

– Chcę widzieć.

Robert rozłożył na stole kolor pikowy od asa.

Położyłem na stole swojego fulla.

Przez sekundę nic się nie działo, potem nagle Robert zerwał się gwałtownie, przewracając krzesło.

– To niemożliwe, do kurwy nędzy!

– Sam rozdawałeś – powiedziałem cicho.

Bartek nalał Robertowi pół szklanki szkockiej i podał ze współczującym wyrazem twarzy. Robert wypił jednym haustem, przez moment się zawahał, potem spojrzał na mnie i powiedział:

– Nie dlatego ojciec syna bił, że grał, tylko za to, że koniecznie chciał się odgrywać...

Przygładził zmierzwioną brodę.

– W porządku. Jadę do domu się wyspać. Dobrze grałeś. – Nieoczekiwanie wyciągnął do mnie rękę. – Nie doceniłem cię. Pykacie jeszcze?

– Taak – powiedziałem zaskoczony. – Jak Leszek wróci. Jeszcze z godzinę.

– Do widzenia – powiedział oficjalnie Robert i ruszył do wyjścia.



Zerknąłem w okno. Ania wyjeżdżała właśnie na Maklerze drogą na pola i serce ścisnęło mi się z obawy o nią. Mała dziewczynka na Smoku Wawelskim...

„Wygrałem dla ciebie ponad dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i nie widzę powodów do dumy” – pomyślałem gorzko. – „Jestem nikczemnym draniem”.

Leszek wszedł do domu, obejrzałem się na niego.

– Pięknie – powiedział. – Nawet nie poczekałeś na mnie ze słodkim finałem?

Przypomniałem sobie tajną mantrę, którą zna chyba każdy facet na świecie (Nie. Kończ. Jeszcze.) i wbrew wszystkiemu parsknąłem urywanym śmiechem.

– Ty gadzie – powiedział Leszek. – Gratulacje.

– Wzajemnie – odparłem już bez uśmiechu.

Bartek popatrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Opuść – powiedział. – Nie wyrabiaj sobie z Robkiem żadnej emocjonalnej relacji.

– Ale...

– Uwierz mi. Ja też kiedyś traktowałem ludzi dobrze. Teraz traktuję z wzajemnością.

– To burzliwy temat... I jest jeszcze... *dignitas hominis*<sup>8</sup>...

– Nie przekroczyłeś granicy godności.

– Kto to może wiedzieć...

– Ja ci to mówię – powiedział poważnie Leszek. – A jak masz kaca moralnego, to możemy się jeszcze napić.

Pokręciłem powoli głową.

– Dzięki – powiedziałem po prostu. – Dzięki, chłopaki. Jestem waszym dłużnikiem.

\*

Ruszyłem spod domu Leszka powoli, mając w pamięci wszystkie procenty, które współpracowały właśnie z krwią w moich tętnicach.

Nie – pomyślałem. Dość tego. Nie będę sobie katował sumienia Robertem, Bartek mówił, jak traktuje swoich podwładnych, jak jego potraktował, to naprawdę nie jest facet, nad którym warto się użalać. Zresztą na pewno zażąda rewanzu... OK, dostanie go. Paweł, idioto,

wygrałeś właśnie dziewięćdziesiąt tysięcy zielonych! Kurwa, chłopie, daruj sobie wszystko inne.

Pomaleńku zaczęła mnie ogarniać euforia, chyba głównie uciekał ze mnie stres. Dopiero teraz zacząłem zdawać sobie sprawę, jak silne było to napięcie, trzymające mnie przez cały wieczór i całą noc, i jaką ulgę poczułem, gdy wreszcie mogłem się od niego uwolnić.

Gdy dojechałem do domu, euforia jeszcze mnie niosła, a właściwie czułem się jak po dobrym joinicie. Co teraz? Spojrzałem na zegarek, było po dziewiątej, uznałem, że mogę zadzwonić do Tomka.

– Mam forszę – powiedziałem bez wstępów.

– No co ty? – zdziwił się Tomek lekko zachrypniętym głosem.

Połąpałem się, że chyba go obudziłem.

– Dziś w nocy wygrałem w pokera. Co robimy? Przelać ci, czy przyjechać? Mam nadzieję, że trzymasz dla mnie tę bryczkę...

– Trzymam, jasne. Wiesz... – zawahał się. – Tu wszystko jest załatwione, tylko musisz opłacić akcyzę. Wystarczy ci forsy?

– Chyba wystarczy. OK – postanowiłem. – Przyjeżdżam.

– Masz siłę?

– Nie mam, ale kimnę się w pociągu. Lepiej od razu załatwić sprawę, bo jak nie w ten weekend, to będę musiał czekać do następnego, a nie wiadomo, co tu się może wydarzyć. Tak, nie ma bata. Jadę.

– Kiedy będziesz?

– Jutro rano, prawdopodobnie. Muszę sprawdzić połączenie. Czy w niedzielę da się załatwić całą sprawę?

– Zaraz się zorientuję. Nie spodziewałem się, że uwiniesz się tak szybko z forszą.

– Ja też się nie spodziewałem – powiedziałem.

– To ja się rozłączam, sprawdzę i zadzwonię.

– OK.

Mózg jeszcze w dalszym ciągu leciał mi na adrenalinie, o spaniu nie było mowy. Rozejrzałem się, co mam do zrobienia. Stos klasówek czwartej a. Sprawdzić pociąg do Hamburga. Pojechać do Ani. Pojechać... zadzwonić do Ani. Wykręciłem jej numer, choć wiedziałem, że jest jeszcze u Leszka. Westchnąłem. Sprawdziłem pociąg. Adrenalina niosła mnie w dalszym ciągu. Rozłożyłem sprawdziany. Kawa, kawa, sprawdziany, kawa. O wpół do pierwszej znów podniosłem słuchawkę.

– Tak sobie pomyślałem, że pewnie wróciłaś – powiedziałem, gdy usłyszałem jej głos.

Jej głos, jej oddech, jej uśmiech. Wygrałem dla ciebie kupę forsy, maleńka.

– Leszek ci powiedział? – spytałem cicho.

– Tak. Cieszę się. I gratuluje.

– To zasługa twojej rybki – powiedziałem, powstrzymując uśmiech... i paru jeszcze innych rzeczy też. Och, kochanie, zostałem dla ciebie szulerem. – Przyniosła mi szczęście. Dziękuję.

– Jeśli przyniosła panu szczęście... – zawahała się przez moment. – Proszę, niech ją pan zatrzyma.

– Ale...

Jej rybka. Maleńki drobiazg leżący na jej skórze, chyboczący się na cienkim łańcuszku między piersiami... Nie oddam go za nic. Wymacałem wisiołek w kieszeni, zamknąłem na nim palce. Dam jej królestwo za tę rybkę... Może spełni moje największe życzenie. Jedno. Wystarczy.

– Dobrze – powiedziałem do Ani. – Zatrzymam ją, lecz pod warunkiem, że zgodzisz się przyjąć jakiś ekwiwalent.

– Kiedy to nie jest konieczne – powiedziała cicho.

– Proszę – powiedziałem tak samo cicho. – Zrobisz mi tym przyjemność.

Chwila milczenia.

– Dobrze – powiedziała.

– Czy mogę do ciebie wpaść wieczorem?

– Naturalnie. Będzie mi bardzo miło.

– Tak koło ósmej?

– Świetnie. Zdążę się już uporać z robotą.

– Ja też.

– O...?

– Co?

– Nic, tylko... myślałam, że będzie pan odsypiał noc...

W stanie, w jakim byłem, pomyślałem, że sen jest jednak strasznie przereklamowany. Ile to można rzeczy zrobić, jak człowiek sobie daruje to bezsensowne spanie...

– Nie, nie zdążę – powiedziałem do słuchawki. – Mam cholernie dużo pracy.

– Współczuję.

– Współczuj – westchnąłem. – Sprawdzam wasze klasówki.

– O Matko Święta – przeraziła się. – Pała?

No... co prawda można to nazwać inaczej, ale tak też może być...  
Stłumiłem śmiech.

– Cztery plus – powiedziałem rozbawiony. – Skopałaś ostatnie zadanie.

– Czułam – westchnęła.

– Za to przebieg zmienności funkcji masz zdaje się opanowany. Czy zerznęłaś? – spytałem odruchowo i znów skojarzenie omal mnie nie powaliło. Ten poker jednak strasznie burzy krew... Poker i męskie grono.

– Nie zerznęłam – powiedziała niczego nieświadoma Ania. – Zerznęłam drugie, jeśli już pan musi wiedzieć. Przebieg jest jedyną rzeczą, którą mogę robić z zamkniętymi oczami.

Zamknąłem oczy. Ania pod powiekami uśmiechnęła się łobuzersko. Piach pod powiekami zabolął sucho. Sen pod powiekami nagle się obudził. Otworzyłem oczy.

– Bardzo mnie to cieszy – powiedziałem i przez sekundę poczułem, że tę właśnie sekundę spałem. – W takim razie musimy doprowadzić resztę do takiego stanu.

Co ja gadam? Chyba naprawdę zasnąłem. Kiedy doprowadzić? Matura jest już za chwilę. A przed nią dyplom, prace klauzурowe, obrona... Już nie mamy czasu.

– Panie profesorze...

Zamarłem. Co było w jej głosie? Wziąłem głęboki wdech i spytałem słabo:

– Co?

– Nic.

– Powiedz – poprosiłem.

– Niech mi pan powie, na cholere mi się przyda ten przebieg i ta cała reszta? Czy naprawdę będzie mi to niezbędne w życiu?

– Będzie ci to niezbędne na maturze.

– Czy nie wydaje się panu... – Mnóstwo rzeczy. Mnóstwo rzeczy mi się wydaje, gdy słyszę taki jej głos... taki szept... – ...że jest to pewnego rodzaju oszustwo na własnym umyśle?

– Oszustwo? – Przełknąłem ślinę. – Nie. Raczej zaproszenie.

Zamarłem na chwilę, zastanawiając się, czy nie powiedziałem za dużo...

– Mówisz umysłowi: chodź, spróbuj – podjąłem desperacko. – Myśl, zmierz się z problemem, pobaw się...

– Dla pana to jest zabawa?

Nie. Dla mnie to najpoważniejsza rzecz na świecie. Dla mnie to miłość. A dla ciebie?...

– Pewnie – odpowiedziałem, zaciskając palce na wisiorku z rybką. – Lubię swój umysł i lubię stawiać mu coraz to nowe wyzwania i obserwować, jak sobie z nimi radzi, do czego jest zdolny. – Tak, zwłaszcza ostatnio. – Potem wiem, że mogę mieć do niego zaufanie, współpracujemy na bazie przyjemności. Aniu... nie rób z tego mordęgi. To trudne, ale tym cenniejsze, gdy wreszcie się to zdobędzie... – Teraz to już nie wiem, co powiedziałem. Co jej powiedziałem i jak mogła to zrozumieć.

– No? Co tak zamilkłaś? – spytałem cicho.

– Czy tak samo... – urwała.

– Co? – wykrztusiłem.

– Czy tak samo jest... ze wszystkim?

Co się w niej dzieje, na Boga? O co ona mnie pyta? Teraz już nie rozmawiamy o matematyce, na pewno nie...

– Tak, to miłość – chciałem jej powiedzieć, zatrzymałem się w ostatniej chwili.

Jeszcze chwilę muszę wytrzymać... dotrwać. I zaraz opowiem jej wszystko o miłości. Wszystko, co wiem i o czym nie wiem, wszystko, co czuję, gdy słyszę jej głos, gdy patrzę w jej oczy.

– Przeważnie – udało mi się powiedzieć z trudem. – O to chciałaś spytać?

Teraz z jej strony milczenie.

– Mniej więcej – powiedziała wreszcie.

Przełknąłem ślinę. Jedną ręką wyłuskałem papierosa z pełnej paczki, wsadziłem do ust.

– Przyjadę do ciebie koło ósmej – powiedziałem. – Cześć.

Powolutku odłożyłem słuchawkę, zapaliłem papierosa. OK. W takim razie dochodzi mi jeszcze wizyta u jubilera... Czy jeśli kupię jej pierścionek... uzna... że... Nie, to zbyt oczywiste, a oświadczać się jeszcze nie mogę.

Tomek zadzwonił, potwierdził transakcję, skończyłem sprawdzać klasówki i zamyśliłem się. Michał Krassowski nie pojawił się na kolejnym sprawdzianie, konsekwentnie za każdą nieobecność stawiałem mu jedynkę i w tej chwili sytuacja właściwie się wyklarowała, facet nie miał prawa być dopuszczony do matury. Stanowiło to dla mnie osobisty problem i na razie nie miałem siły i ochoty go rozwiązywać.

Zaczynało robić się późno, zjadłem coś szybko, spakowałem się, pojechałem do galerii handlowej po jakiś drobiazg. Ekspedientka, młoda dziewczyna, przyglądała mi się z zaciekawieniem, bo grymasiłem co najmniej jak diva operowa. Wreszcie wybrałem łańcuszek i małą figurkę konika. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wziąć miniaturowego języka... ale też uznałem, że to będzie nie na miejscu.

Kupiłem jeszcze pięć róż na długich łądygach i pojechałem do niej. Podziękowanie było pretekstem, łatwiej mi było powiedzieć, że jej rybka przyniosła mi szczęście, trudniej – że minąłem się z uczciwą grą na kilometr. Cóż, dla niej, dla jej bezpieczeństwa gotów byłem złamać wszelkie zasady.

– Proszę, to dla ciebie. – Uśmiechnąłem się, wręczając jej różę przy furtce.

Była taka śliczna, ubrana na czarno-biało... Wzięła różę z leciutkim rumieńcem na policzkach, ujęła w dłoń jeden wpół rozwinięty pąk.

– Jakie piękne! – Rzuciła mi szybkie spojrzenie i znów spojrzała na kwiaty. – „Hiszpanki feudalne...”.

– Słucham? – spytałem, w pierwszej chwili nie chwytając odniesienia.

– O, skojarzenie. – Uśmiechnęła się, a mnie w tym momencie klapka zaskoczyła w głowie.

– „Z jakimi na bajeczny obiad przychodził bogacz pełnokrwisty?”.

– Nie mam bajecznego obiadu – powiedziała niedowierzająco. – A pan nie pachnie lawendą. Jakiej wody pan używa?

Teraz już cały fragment *Kwiatów polskich* miałem w pamięci. Uśmiechnąłem się do Ani

– *Caractere* Daniel Hechter. A jeśli już... – zawahałem się. – Ty też mi powiedz, jak nazywają się twoje perfumy?

– *Mademoiselle* Coco Chanel. Podobają się panu?

– Bardzo.

– Używam ich dopiero od niedawna...

– Wiem.

Wiem, wiem wszystko. Używasz ich od studniówki. Wciąż mam w nozdrzach twój zapach, porażający wszystkie zmysły. Wciąż dygoczę, gdy dotknie mnie smuga tej woni. Co ci mam powiedzieć?

Wyjąłem pudełko z wisiorkiem z kieszeni, podałem jej na otwartej dłoni.

– Proszę – powiedziałem.

Długą chwilę patrzyła na pudełeczko, potem rzuciła mi krótkie, wahające spojrzenie.

– Co to jest?

– Zobacz. Zaprzyjaźniłem się z twoją rybką, więc może coś w zamian...

Niepewny półuśmiech. Ostrożnie wzięła pudełko z mojej dłoni, nie dotykając jej. Patrzyłem na jej schyloną twarz i ciemna pożoga obejmowała moje serce.

– Tylko nie jestem pewien, czy łańcuszek ma dobrą długość – odezwałem się, zanim ogień strawił mnie doszczętnie. – Przymierz. Podoba ci się?

– Jest cudowny, ale nie mogę...

– Możesz – powiedziałem stanowczo. – Twoja rybka jest warta miliony. No załóż, bo jestem ciekaw.

Powolutku, z wahaniem, przełożyła łańcuszek przez głowę, konik ułożył się miękko w słodkim zagłębieniu pod szyją... Patrzyłem jej w oczy, czując, że za chwilę rzucę w kąt wszystkie przysięgi. Ania też patrzyła mi w oczy, powietrze między nami stężało.

– Dziękuję – powiedziała, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– To ja ci dziękuję – wykrztusiłem.

Stałem przed nią umordowany, nieludzko niewyspany, ale kolejny strzał adrenaliny trzymał mnie w pionie na wprost jej oczu i twarzy. O czym mogła myśleć?

– Więc jest pan teraz bogatym człowiekiem? – rzuciła przekornie.

Chwila zgasła. Pozbierałem twarz do kupy i nawet udało mi się lekko roześmiać.

– Nie przesadzajmy – odpowiedziałem tak samo lekko. – Nie jest to niestety sytuacja ustabilizowana. Po prostu mam w tej chwili sporo forsy. Za kilka dni mogę już jej nie mieć.

A nawet na pewno... Jutro się jej pozbędę definitywnie, wymienię ją na wielką maszynę o potężnej mocy, rasowym wyglądzie i pancernych szybach. Samochód dla gangstera...

– Cieszę się, że szczęście panu dopisało – powiedziała Ania, wciąż na mnie patrząc. Zacząłem gubić się pod jej spojrzeniem.

– Tylko czy nie oznacza to... że teraz nie będzie pan miał szczęścia... w miłości?

Nie. Są pewne granice ludzkiej wytrzymałości. I zdaje się, że właśnie do moich dotarłem. Rzucę się zaraz na kolana i poproszę o jej rękę. Jeszcze sekunda i wyznam jej wszystko. Zamknąłem oczy. Oparłem się ramieniem

o słup w kuchni. Czuję się tak, jakbym zemdlał wewnątrz, choć na zewnątrz nie zmieniłem wyrazu twarzy. Zrobiło mi się słodko w ustach. Ania, wisiorek, poker, Tomek, nieprzespana noc kolejno przechodziły przez moją głowę.

– Przepraszam – szepnęła Ania.

Otworzyłem nagle oczy, chyba znów zasnąłem, na mikrosekundę.

– Być może jest odwrotnie – powiedziałem. – Wygrałem, ponieważ nie mam szczęścia w miłości.

Więc wreszcie padło to słowo między nami. Miłość. Moja miłość. A jej miłość?

– Przykro mi – powiedziała.

Jakbym dostał w łeb obuchem. Przytrzymałem się słupa.

– To przecież jest chyba w życiu najważniejsze.

– Tak. To jest najważniejsze – przyznałem.

Więc co? Nic z tego? To mi właśnie powiedziała? Przykro mi, że nie mogę cię kochać?

– Więc niech pan może wyrzuci rybkę...

No tak, nie ma przynosić mi szczęścia w grze, bo to automatycznie pozbawia mnie szansy na miłość. Ale jej rybka... jej rybka ma spełnić moje życzenie, jedyne i najważniejsze.

– Nie ma mowy – odezwałem się prawie niedosłyszalnie, głos odmawiał mi posłuszeństwa. – Poczekam, może jeszcze przyniesie mi szczęście... – przerwałem.

Słowo „miłość” jeszcze wciąż nie miało szansy przedostać się przez moje usta. Między nami stała cisza. Ania zamknęła oczy, patrzyłem w jej twarz bez tchu. Oczy ocienione drżącą rzęsą, delikatny rumieniec na szczytach kości policzkowych, usta jak owoc ze lśniącą skórką. Burza włosów na ramionach, szczuplutkie ramiona, długie nogi, do samego nieba. I ten cały kosmos w niej, wysypisko gwiazd, duma, mądrość, zadziorność, uległość, jej podniebne światy, światy malarstwa, muzyki, światy tworzone z pyłu, gwiazd, farb, nut, niezależne światy jej wyobraźni. Moja mała dziewczynka, moja kobieta...

Nigdy nie używałem wielkich słów, ale też nigdy wcześniej nie pisałem dziennika. Tu jestem szczerzy do bólu, gdybym miał to samo powiedzieć – co bym powiedział?

Jesteś mi potrzebna jak woda w upalny dzień, jak chwila ciszy w hałasie, wiatr na połoninie, jesteś smakiem pierwszego papierosa po nieprzespanej



nocy, ulgą umysłu, gdy dotrze do rozwiązania problemu, słońcem na obnażonej skórze. Pachniesz jak noc na południu, zapachem wszystkich kwiatów, miętą, cydrem, tymiankiem. Jesteś wspomnieniem, marzeniem, codzienną chwilą. Listem od dawno niewidzianego przyjaciela. Porozumieniem bez słów. Jesteś mną. Jesteś we mnie. W moich najskrytszych marzeniach. W nieuświadomionych pragnieniach. Jesteś jak chleb ze smalcem i kiszonym ogórkiem rano na kacu. Jak matematyczne równanie i niewiadoma. Pewność, niepewność, oczekiwanie. Godziny na dworcu. Chwila, gdy siadam za kierownicą wyścigowego auta. Dłonią na czole. Słowem „miłość”. Tym wszystkim, co kryje się za tym słowem. Jesteś Anią. Jakimi słowami mogę to opisać? Chyba nie ma takich słów, albo po prostu ja ich nie znam...

– Wybacz, będę musiał już iść – powiedziałem powoli. – Wpadłem tylko, żeby ci podziękować, ale mam jeszcze strasznie dużo pracy...

– Och nie... Niech pan jeszcze chwilę zostanie – odezwała się Ania niskim głosem, tak jakby utkwiło jej coś w gardle. – Nie mam co prawda bajecznego obiadu, najbardziej pasowałaby właściwie whisky i krwawy stek...

Whisky. Tak. Święta racja.

– Dlaczego krwawy stek?

– A dlaczego whisky? – Roześmiała się. – Tak mi się skojarzyło z tym pokerem. I jeszcze wyścigi samochodowe, ewentualnie żużel i boks. Atrybuty stuprocentowego mężczyzny...

Parsknąłem śmiechem. Z żużlem i boksem nie trafiła, ale reszta... Och, ty stary idioto...

– No i powiedz, czy to ładnie kpić z własnego nauczyciela? – Wróciłem znów do swojego starego dystansu, jedynej rzeczy, która potrafiła trzymać mnie w pionie pod pachy.

– Ależ ja wcale nie kpię – zaprzeczyła Ania i w oku błysnęła jej iskierka. – Ten poker był taki, no... strasznie męski.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Aniu, nie żartuj – powiedziałem wreszcie. – Mam zbyt dużo dystansu do siebie, by to tak traktować. Przecież wiesz doskonale, że nie poker decyduje o męskości.

– Istotnie. O prawdziwej męskości decyduje odwaga. I umiejętność podejmowania ryzyka. Ale właśnie między innymi przy pokerze jest to niezbędne.

Spojrzałem jej w oczy. Nie spuściła wzroku. Spojrzenia zderzyły się, przez chwilę mocowały. Bez wygranej.

– Tak – odezwałem się wolno, wciąż utopiony w jej oczach. – Ale w takim razie może zjemy ten stek oboje? Widziałem dziś rano, jak wyjeżdżałaś na tym wielkim czarnym koniu. – Imię Makler mignęło mi w głowie w ostatnim momencie i już go nie użyłem. – Bałem się o ciebie.

Serio. Bałem się o nią jak cholera. Ogier wielki jak smok i ta mała dziewczynka na nim...

– Ja też się o pana bałam – powiedziała, wciąż patrząc mi w oczy.

– Więc lubimy po prostu oboje podobne zabawy – podsumowałem. – Powiedz, pewnie czułaś to samo? Oczekiwanie, przyjemność i dreszcz emocji?

Tak... Emocji, że Robert odkryje całą machlojkę i skończymy gdzieś z nożem w plecach... Bo czemu nie? Właściwie było blisko.

– Tak – powiedziała Ania, przyglądając mi się uważnie. – Trochę się bałam, ale nigdy nie potrafiłabym zrezygnować.

– No więc właśnie. Ja tak samo. Ale czy to świadczy o męskości? Idąc dalej takim tokiem rozumowania, musiałbym uznać, że jesteś mężczyzną i tak też cię traktować. A czy uważasz, że cokolwiek w świecie zmusiłoby mnie do tego, by przychodzić do mężczyzny, w dodatku z kwiatami? – Przyjrzałem się jej krytycznie, a potem poczułem, że brew podjeżdża mi do góry.

Ania parsknęła śmiechem.

– No dobrze. Mężczyzną z całą pewnością nie jestem...

– Nie jesteś – potwierdziłem.

Bardziej kobiecą dziewczynę trudno znaleźć. Można powiedzieć, że była kwintesencją tego, co w dziewczynach najpiękniejsze i najbardziej godne pożądania. Była samą skumulowaną kobiecością z jej wdziękiem i siłą, odwagą i zalotnością, mądrością, która nie ustępowała przed niczym...

– Aniu, muszę już iść – powiedziałem z żalem, patrząc w jej jasne oczy. – Nie pogniewasz się?

Gdybym mógł, zostałbym u niej aż do nocy, aż do rana i do następnej nocy... po prostu bym został. Ale nie mogłem.

Pociąg do Hamburga przez Poznań i Berlin odchodził z Centralnego za czterdzieści minut.

Wczesnym popołudniem wsiadłem w ten wielki ciężki samochód, ruszyłem spod bloku Tomka na Schöneberger Straße i się zakochałem.

Wóz szedł bez szmeru, miał genialne przyspieszenie, świetnie trzymał się drogi i był tak wygodny, że w ogóle można było z niego nie wysiadać. Pomyślałem, że Niemcy jednak naprawdę potrafią robić perfekcyjne samochody, nawet jeśli nie lubią grillowania na balkonie.

Wyjechałem na autostradę i dałem po garach. Trzysta dwadzieścia sześć koni mechanicznych obudziło się z basowym pomrukiem, a mnie wgniotło w fotel. Zachwyt trzymał mnie nieprzerwanie. Piękna autostrada, gładka jak stół i piękna maszyna, posłuszna moim dłoniom. Jak dobrze, że są na świecie takie zachwyty.

Tym razem postanowiłem nie lecieć do Warszawy jednym ciągiem, stanąłem w przydrożnym zajeździe na obiad. Po obiedzie wszedłem w burzę. Zbierała się już od dłuższego czasu, teraz otworzyły się nade mną niebiosy i otoczyły mnie ściany deszczu. Grzałem w tym deszczu jak jakiś pieprzony jeździec Apokalipsy, w chmurze wody, z rykiem silnika i na światłach przeciwmgielnych. Bryka szła jak marzenie, pomyślałem, że w końcu dogonię burzę i zostawię ją za sobą, ale chyba szliśmy jednym tempem, bo wciąż była przede mną. Potworne błyskawice rozświetlały popękane na kawałki niebo, a potem zostawiały horyzont w czerni.

I tak, w grzmącym ryku piorunów, w ulewie zalewającej przednią szybę, późnym wieczorem dotarłem do Warszawy.

Bałem się zostawić samochód na parkingu przed blokiem, z marszu dojechałem do Konstancina. Leszek wyszedł w pelerynie, otworzył mi szopę, wstawiłem samochód.

– Zostań – powiedział. – Ledwie się trzymasz na nogach.

Pokręciłem głową.

– Nie mogę. Jutro mam od ósmej lekcje.

– A generalnie jak się czujesz?

– Doskonale. Nie jem, nie śpię, a od jutra przestanę się wypróżniać...

– No to odwiozę cię na Ursynów. – Leszek się roześmiał.

– Dzięki, stary.

W domu padłem na łóżko tak jak stałem, we wszystkich ciuchach i pograżyłem się w bezsensownym spaniu.

§ łac. godność człowieka

7 kwietnia

Już drugi dzień nie mogę się dodzwonić do Czarka. Powtarzam sobie, że to nic takiego, detal bez znaczenia, może ma wyłączony telefon. Może gdzieś wyjechał i jest poza zasięgiem. Może.

Jeszcze trochę i upodobnię się do nielubianego przez Anię Pollocka, który podobno wypił cysterne whisky i wypalił kilka ziemskich obwodów papierosów pall mall... Choć ja palę camele i nie tarzam się po pijaku w wylanej na podłodze farbie.

Zacząłem się naprawdę niepokoić. Nie mam z Czarkiem żadnego kontaktu, wóz stoi u Leszka i czeka, a facet wpadł jak kamień w zupę. Co się stało, do cholery? Przypomniałem sobie mozolnie wszystkie nasze dotychczasowe rozmowy i ze zgrozą uświadomiłem sobie, że każdorazowo kontakt wychodził od niego. Miałem jego telefon, ale nigdy wcześniej do niego nie dzwoniłem. A teraz dupa. Gdzie on przepadł? Czy nasza umowa dotycząca ochrony Ani jest w dalszym ciągu w mocy? Rany boskie, do tej pory miałem pewność, że Czarek jest poważnym partnerem...

Jak tak dłużej potrwa, to skończę w psychiatriku.

10 kwietnia

Dziś mój dzień korepetycji z Anią. Zadzwoiłem spytać, czy umawiamy się na lekcję, bo wiem, że ona i jej cała klasa pracuje teraz przy dyplomach. Ania grzecznie przeprosiła, powiedziała, że ściga się z czasem, odparłem, że rozumiem. W szkole prawie jej nie widywałem, czwarte klasy miały na ostatnim piętrze oddane dwie pracownie i wszyscy siedzieli tam murem, w ogóle nie pojawiając się na korytarzach. Widywałem Anię tylko przelotnie z Michałem i Polą, która na czas dyplomu przyjechała z Londynu.

Od czasu ostatniej wizyty nie zamieniłem z nią nawet jednego słowa.

\*

Wieczorem otworzyłem sobie butelkę piwa.  
Co teraz mam zrobić ze słowem: „tęsknota”?

11 kwietnia

*Résumé:* do Czarka nie mogę się dodzwonić. Kurski na szczęście nie daje znaku życia. Miki niestety nie daje znaku życia. To samo Emilka. Wszystko trwa w zawieszeniu, czekając nie wiadomo na co.

Mój stan ducha? To nieprawda, że takie słowa jak „tęsknota” uwielbiam pasjami. Jestem człowiekiem czynu, chwile, gdy nad niczym nie panuję i na nic nie mam wpływu, działają na mnie nad wyraz destrukcyjnie.

\*

Zamknąć oczy, wyciszyć umysł, nie zapomnieć o oddychaniu. Chodzić ulicami po ciemku, tak długo, aż wreszcie zmęczenie każe mi zawrócić. Spać. Jeść. Nie tracić nadziei. Nie myśleć o niej jak o utraconym raj. Wszystko jeszcze da się rozwiązać. Wieczne niebo nad Ursynowem ma barwę starych zdjęć, gdzie wszyscy jeszcze jesteśmy bezgranicznie młodzi, pełni nadziei na przyszłość, gdy nieznany jest smak porażki, utracenia, pułapki...

Palić papierosy, wyrzucać je, podnosić słuchawkę i słuchać długo sygnału nieodebranego połączenia, zaliczać totalny rozpad świata, gasić kolejne światła, aż mrok obejmie wszystko, moją tęsknotę, mój niepokój, moją rozdartą duszę...

Zrozumieć, że w życiu najczęściej brak hollywoodzkiego happyendu...

wieczorem

Zdałem sobie sprawę, że człowiek, nawet jeśli wydaje się franciszkańskiego nieomal charakteru, nie zniesie dłużej podobnej niepewności, a ja, co by nie mówić, nie grzeszę ani cierpliwością, ani anielskim usposobieniem.

Raptem aż do bólu zapragnąłem kontaktu z Leszkiem.  
Zadzwoiłem do niego późnym wieczorem.

12 kwietnia

– Wiesz, jestem w szoku – stwierdził krótko.

Tym razem powiedziałem mu wszystko o Czarku. Czarek co prawda zobowiązał mnie do dyskrecji, ale uznałem, że Leszek jest moim najlepszym przyjacielem i to jemu jestem winny prawdę.

W miarę jak mówiłem, miał coraz bardziej poważne oczy, a na koniec ukrył twarz w dłoniach.

– I ja ci, kurwa, poleciłem Czarka do tej delikatnej sprawy – powiedział wreszcie ze zgrozą. – Stary, przecież ja nic nie wiedziałem.

– Wiem, że nie wiedziałeś – powiedziałem uspokajająco. – Czarek nie chciał, żebyś wiedział.

– Znałem go z dawnych czasów – odezwał się szeptem Leszek, wciąż patrząc tępo w podłogę. – Jeździliśmy razem na akcje, to był mój partner, człowiek, do którego miałem bezgraniczne zaufanie. Ile razy ratowaliśmy sobie nawzajem dupy w różnych sytuacjach. Wierzyłem mu jak bratu.

– On wyraża się o tobie w samych superlatywach. Jesteś dla niego kimś bardzo ważnym.

– Ale nie wiem, czy on dla mnie wciąż jest ważny. Stary, jak on wchodzi w układy z mafią? To już nie zabawa, nie ułańska fantazja. To bandyterka i tyle.

– A jak wplątał się w coś poważnego?

– To nie wyjdzie z tego żywy – powiedział Leszek ponuro. – Rany boskie, jak mu pomóc?

Od mojego przyjazdu wykonaliśmy już cztery próby połączenia z Czarkiem, na wszystkie znane Leszkowi i mnie numery telefonów. Żaden nie odpowiadał. Czyżby naprawdę przydarzyło mu się coś złego?

– Jasny chuj – powiedział Leszek zdenerwowany jak nigdy. – Co tu robić? Gdybym coś wiedział, mógłbym zorganizować mu jakąś pomoc...

Siedzieliśmy w salonie, podminowani i bezradni. Leszek westchnął, poszedł do kuchni i zaczął przygotowywać coś na obiad.

– Mam steki – zawołał. – Chcesz?

Chciałem.

Zjedliśmy, a po obiedzie Leszek zaczął łąpać kontakty z dawnymi kumplami z agencji ochrony. Z telefonu na telefon miał coraz bardziej ponurą minę.

– Kurwa, nikt nic nie wie...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Drgnęliśmy obaj i Leszek podniósł słuchawkę.

– Och, cześć kochanie – powiedział i urwał, bo zakrztusiłem się piwem.

Przeczekał, aż skończę kasłać i zwrócił się do słuchawki:

– Wiesz, chyba nie... Jest właśnie u mnie Paweł i gadamy...

– No właśnie, ja też myślę, że to trochę niezręczne...

– Ale nie gniewasz się, myszko?

Myszko? Wybałuszyłem na niego oczy. Do żadnej pszczołki Leszek nie zwracał się per „myszko”. Coś się chyba kroilo poważnego.

– Tak, pa, kochanie. Tak, zadzwonię. Pa.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na mnie lekko zmieszany.

– Gadaj – powiedziałem krótko.

– No, zderzyłem się z Agą...

– Z Agnieszką? – spytałem, nie wierząc.

– Z Agnieszką. Pracujemy razem w PAN-ie, wiesz przecież i tak jakoś...

– Gratulacje – powiedziałem, postanawiając, że o Patrycji nie powiem ani słowa.

Wiedziałem, że Leszek zaczął pracować w Polskiej Akademii Nauk, w Instytucie Fizyki, Agnieszka siedziała tam już od dawna. Agnieszka, dobra, kochana Agnieszka, która tyle razy ratowała mnie, gdy zaliczałem doła i nic nie chciała w zamian, to znaczy do czasu.

– Rozstała się z Tymkiem?

Leszek przytaknął.

– Długo to trwało, ale wreszcie się przelało.

Nie wiedziałem, czy mówi o sobie, czy o niej.

– Zakochałeś się – stwierdziłem.

Leszek uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie tak szybko. Wiesz, że to tak nie działa?

– U mnie zadziało...

– Tobie udało się oderwać od Marysi. Mentalnie. Dałeś jej odejść. Ja tego nie potrafię. Patrycja... jest we mnie cały czas. Więc to z Agą... Wiesz, to gówniarstwo z mojej strony, ona na to nie zasługuje.

– Leszek, kretynie – powiedziałem. – Dlaczego tak się bronisz przed tym, żeby bez wielkich cudów po prostu być szczęśliwym? Agnieszka jest super dziewczyną, serio. Zależy jej na tobie?

– Tak mówi.

– Więc jaki masz problem?

– Trzy problemy. Po pierwsze, ciężko mi trochę przebywać z nią i tobą jednocześnie, bo czuję się jak w trójkątku. Wiesz jak to jest, nie bierze się dziewczyn, które wcześniej pukał najlepszy przyjaciel...

– O rany, przecież pamiętasz, jaki to był układ...

– Pamiętam. Jasne. Ale mimo wszystko. Jej też jest głupio.

– A drugi problem?

– To, że wciąż nie zapomniałem o Patrycji, czyli wchodzę w nowy związek, nie rozwiązawszy starego...

– Opuść.

– Łatwo ci mówić.

– Trzeci problem?

Leszek zamilkł i rzucił mi krótkie spojrzenie.

– Byłeś z nią luźno – powiedział. – A dla niej to było coś więcej.

– Wiem. Dlatego, gdy tylko się zorientowałem, już z nią więcej nie byłem.

– Ale nie wiem, czy ona...

– Co, nie woli mnie?

Leszek pokiwał głową, nie patrząc mi w oczy. Potem podniósł się, podszedł do barku i wyjął butelkę. Nie miałem zamiaru od niego wyjeżdżać tej nocy, więc przypatrywałem się przygotowaniom na luzie i bez sprzeciwu.

Leszek nalał nam drinki.

– „Za nieobecnych przyjaciół” – zaczął cicho.

– Poczekaj – przerwałem. – Pamiętasz Tomka Draniewicza?

Najwyraźniej był to wieczór trudnych i szczerych rozmów. W trakcie rozpracowywania butelki powiedziałem Leszkowi wszystko, tym razem do końca – o Garlickim, Kurskim, niemoralnej propozycji, o pracy w banku i o tym, czemu znów mi się wściekła, o Emilce... o Tomku Draniewiczu, naszym nieobecnym przyjacielu...



– „Za stracone miłości, starych bogów i porę mgieł. I niech każdy z nas odda diabłu, co jego” – dokończyłem toast i wypiliśmy ostatniego shota.

– Teraz muszę być sam – powiedział Leszek stanowczo. – Nie gniewaj się, ale za dużo tego na mnie spadło. Kładziemy się do wyrek, dokończymy jutro.

– OK – powiedziałem. – Nie myśl za dużo. Śpij.

– Tak, tak. – Machnął ręką. – Oczywiście, że będę spał...

\*

Obudziłem się cały obłożony zwierzętami. Kwitek spał co prawda w nogach, ale dwa koty rozłożyły mi się na brzuchu i piersi, a Micia, ulubienica Leszka, na poduszce koło mnie. Otworzyłem oczy i zabrałem z twarzy jej ogon. Micia widocznie uznała to za pieszczotę, bo rozmruczała się głośno.

– Wiesz, że Micia spała dziś ze mną? – spytałem Leszka, wchodząc z nią na rękach do kuchni.

Leszek smażył jajka, odwrócił się na chwilę.

– Ty dziwko – powiedział i wrócił do smażenia.

Micia się absolutnie nie przejęła. One się nigdy nie przejmują.

– No już, już – powiedział Leszek. – Nie rób odniesień.

Spojrzałem na niego. Wyglądał strasznie.

– Spałeś choć trochę? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Doszedziałem do piątej rano i myślałem o tym wszystkim.

– O piątej rano można mieć percepcję trochę pojechaną...

– Więc nie przywiązywałem się do własnych wniosków, tylko osiodłałem sobie konia i pojechałem w pola – westchnął ciężko.

– Pomogło?

– Zawsze pomaga. Chcesz się przejechać?

– Zwariowałaś?

– Motor?

Machnąłem ręką.

– Przestań. Żeby mi się ómy o zęby objęły?

– Chcesz jeździć w nocy?

– Nie chcę jechać. Chodź na spacer.

Wyszliśmy daleko, daleko w pole. Początek kwietnia nie powalał urodą, ale na szczęście nie lało.

– Nie sądziłem, że w twoim życiu może się dzieć coś takiego – westchnął Leszek, patrząc na daleką ścianę lasu na horyzoncie. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Nie wiem – wyznałem ponuro. – Nie umiałem o tym mówić. Bałem się wciągać kogokolwiek w te sprawy. To nie są normalne sprawy i normalni ludzie. Lepiej o tym nie wiedzieć, jak nie trzeba.

– Całe życie będziesz rznął takiego bohatera? Gieroja Sowietskowo Sojuza?

– Co by pomogło, gdybym powiedział?

– Nie byłbyś sam.

– I tak jestem sam. Sam, rozumiesz? Z kompletnie pogrzebaną przyszłością. Nie mogę podjąć żadnej pracy, bo Kurski wszędzie mnie znajdzie. Wciąż może mnie szantażować. Na dobrą sprawę powinienem też zrezygnować z Ani, bo jeszcze ją w to wszystko wciągnę. I dla niej będę gotów na wszystko, rozumiesz? Pójdę na każdy układ...

– Nie pójdziesz. – Leszek pokręcił głową. – Znam cię. I ty też się znasz. Obaj mamy dokładną wiedzę o tym, do czego prowadzi negowanie elementarnych wartości.

– Być może wystarczy wzbić się na taki poziom abstrakcji, który usprawiedliwi...

– Nic tego nie usprawiedliwi – przerwał mi. – Ty o tym doskonale wiesz.

– Wiem – powiedziałem ponuro. – Ale co mam robić?

– Musisz się zgłosić na policję – powiedział Leszek, odwracając się od smutnego, wiosennego pejzażu i patrząc mi prosto w oczy. – Już nie ma wyjścia.

– A Czarek?

– To jest mój... przyjaciel. Piekielnie się boję o niego.

– Pójdziesz na policję?

– Nie mam wyboru. Choć nie wiem, czy mu przebaczę. I czy on przebaczy mnie.

– Mówisz jakbyś nie miał najmniejszych wątpliwości, jeśli chodzi o policję. A ja... mam.

– Jeśli tego nie zrobisz, to co ci zostaje?

Spojrzeliliśmy na siebie, raptem bardzo poważnie.

– Wiesz – powiedziałem cicho. – Jeden strzał. I skończy się męka na tym łożu padole...

– Patetyczny kretynie, może ja ciebie strzelę? – spytał Leszek. – Tak po prostu, w ryj?

Roześmiałem się gorzko.

– W ostateczności.

– OK. Masz u mnie jak w banku. A łez padół... cóż, nie wygląda tak najgorzej, jak masz dobrze dobrane psychotropki...

Teraz przyszła chwila na mój pełny szok.

– Serio? – spytałem. – Nic nie mówiłeś...

– Mnie też ciężko mówić o pewnych rzeczach, nie masz monopolu – powiedział Leszek i gestem wskazał mi drogę do domu.

14 kwietnia

Bardzo długo biłem się z myślami, zanim wykręciłem dobrze mi znany numer. Zazwyczaj mówiłem:

– Puk, puk, tu Paweł.

A Agnieszka odpowiadała:

– Puk, puk.

Było wiadomo, że umawiamy się na pukanko, bo albo ona musiała się ratować, albo ja, albo po prostu żadne z nas nie ratowało się, tylko oboje mieliśmy na to ochotę.

Tym razem powiedziałem po prostu:

– Cześć, tu Paweł.

A Agnieszka odpowiedziała po chwili:

– Cześć.

I zapadła cisza.

Wszystko, co o niej wiedziałem, stało mi przed twarzą i dlatego tak trudno było mi zacząć.

– Leszek powiedział, że rozstałaś się z Tymkiem – powiedziałem wreszcie.

– Już był najwyższy czas – odparła.

– Wiem – stwierdziłem krótko i zamilkłem.

Co mogłem powiedzieć Agnieszce, mojej Agnieszce, z którą łączyła mnie sympatia, przyjaźń, wielka dawka seksu? I nic więcej...

– Mała – powiedziałem wreszcie. – Nie byłabyś ze mną szczęśliwa.

Agnieszka nic nie odpowiedziała.

– Wiesz, Leszek jest moim... najbliższym przyjacielem – odezwałem się po chwili. – Skoczę za nim w ogień.

– I oddasz mu bez wahania kochankę...

– Oddam. Jeśli kochanka potrafi być z nim szczęśliwa. I dać mu to szczęście, na jakie zasługuje. Leszek to facet poharatany na wskroś. Bądź dla niego dobra.

– Tak – powiedziała po chwili. – Tak. Będę dobra. O mnie nie zapytasz?

Teraz ja umilkłem. Usłyszałem, że Agnieszka zapala papierosa i sam też zapaliłem.

– Leszek ma z tym związkiem problem – odpowiedziałem. – Uważa, że tak naprawdę wolisz mnie. Czy to prawda?

– Prawda – powiedziała. – Albo nie. Sama już nie wiem. Zgubiłam się.

– Agnieszka – odezwałem się cicho. – Początki między nami były czyste. Wszystko było wyjaśnione. Przyjaźń, sympatia, seks. To mogliśmy sobie ofiarować i to dawaliśmy sobie nawzajem. Przepraszam, że zorientowałem się zbyt późno.

– Nie mogę liczyć na nic więcej z twojej strony, prawda?

– Nie możesz – powiedziałem, przełykając ślinę. – Przepraszam cię za to. Nie powinienem był...

– To nie twoja wina.

– Twoja też nie.

– Tak, wiem.

– Agnieszka. Proszę, powiedz, czy Leszek jest dla ciebie kimś ważnym, czy ersatzem?

– Sztuczny miód? Nie. Nie umiałabym tak.

– Czy możesz odciąć w myślach to wszystko, co było między nami? Czy możemy spotykać się wszyscy troje, nie myśląc wciąż maniakalnie o pewnych sprawach? Nie zrezygnuję z towarzystwa Leszka. Nie chciałbym zrezygnować z twojego towarzystwa. Zamknijmy przeszłość. Pomożesz mi?

– Leszek jest dla mnie ważny. Zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy. Wiesz, że się leczy?

– Dziś mi powiedział.

– A wiesz na co? Ma zdiagnozowaną chorobę afektywną dwubiegunową. Leczy się już od dwóch lat.

– Nie żartuj? – Zatchnęło mnie kompletnie. – Nic o tym nie wiedziałem.

– Leszek się nie skarży. Patrycja zdemolowała mu psychikę doszczętnie.

– Poznałaś Patrycję?

– Na szczęście nie. Gdybym tę sukę dorwała, to nie wiem, jak by się to skończyło... Leszek nie zasługuje na to, żeby mieć tak spieprzone życie.

– Agnieszka. Czy ty kochasz Leszka, czy jest ci go żal? Bo twoją miłość może on przyjmie, ale litości nie zniesie.

– Paweł. Nie bądź taki zasadniczy. Często to przechodzi jedno w drugie. A kim ty jesteś, żeby mnie sprawdzać?

– Przepraszam – powiedziałem. – Leszek jest dla mnie jak brat.

– A ja jak siostra?

– Ty... jak ktoś bardzo bliski, kogo nie chcę zranić ani nie chcę utracić.

– Przecież mnie utraciłeś.

– Nie chcę utracić twojej przyjaźni, maleńka. Przecież prócz wszystkich zmysłów, jakie szalały między nami, byliśmy też przyjaciółmi. Nie stracimy tego.

– Nie stracimy.

– Nie będę ci patrzył w oczy...

– Będziesz mi patrzył w oczy. Będziesz się do mnie uśmiechał. Będziesz pamiętał to wszystko, co ode mnie dostałeś, bo już ci więcej nic nie dam. Nigdy. Zostanę z Leszkiem i będę go kochać tak, jak potrafię. Będę z Leszkiem i będę go ratować przed nim samym. Będę zablizniała jego rany, jeśli mi na to pozwoli i będę czyściła jego pamięć. Nigdy nie odczuje tego, że cię kochałam. Przysięgam.

– Kochałaś mnie? – spytałem bezradnie.

– Ty idioto. Oczywiście, że cię kochałam. Nie wiedziałeś?

– Sądziłem, że to zauroczenie... Więc się wycofałem, bo i to też było już za dużo...

– Naprawdę sądziłeś, że można tak brać dziewczyny? Że można się na coś umówić? Że po nocach spędzonych z tobą nic się w nich nie zmienia? Że nie dajesz im nadziei? Że wszystko jest OK, bo tobie jest tak wygodnie?

– Agnieszka... nie płacz. Jestem skończonym kretynem. Idiota. Głupim wałem. Naprawdę tak mi się wydawało.

– To źle ci się wydawało. Kobiety tak nie funkcjonują. Pamiętaj. Pamiętaj, zanim unieszczęśliwisz kolejną.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Przepróż tę następną.

– Nie będzie następnej. Następną kocham. Jest dla mnie wszystkim.

– Życzę jej, żeby była z tobą szczęśliwa – powiedziała Agnieszka i odłożyła słuchawkę.

15 kwietnia

Co tak naprawdę wiem o ludziach, którzy są mi bliscy? Czy wiedziałem, że Leszek się leczy? Czy wiedziałem, że Agnieszka mnie kocha? Czy wiedziałem o uczuciu Emilki? Co tak naprawdę wiem o Uli? Piotрку? Czy wiem, co dzieje się w Ani? Może mam jakiś problem z empatią? Leszek, Czarek, Tomek Draniewicz, Majka, Emilka, Agnieszka... Miki, pan Stefański, Michał... Ania. Co wiem o tych ludziach? Co mi się na ich temat wydaje? Co na zawsze zostanie dla mnie tajemnicą? Ania, Ania, Ania...

Jak bliski jest czas weryfikacji danych... chwila prawdy, nagłe wyłożenie kart.

\*

Ile razy jeszcze będę chodził tak po nocy... Upiór, który nie może zasnąć, będzie mi mieszał krew, bestia, która nie umie być trzeźwa, będzie mi serwowała kolejne łyki trunku w kolorze herbaty z płaskiej piersiówki, potwór niepewności będzie mnie spalał żywcem tak długo, aż wreszcie przyjdzie wyciszenie, zgasną latarnie, ruszą autobusy, w dalszym ciągu nie będę nic rozumiał i będę mówił w pustkę: Kocham cię. Ukróć już tę mękę. Wybacz wszystkie moje błędy. Bądź ze mną, gdy rozpada mi się świat. Nie zdradz. Nie opuść. Pamiętaj. Przyjmij moją miłość. Nic więcej nie mogę ci dać.

Nie zyskasz przy mnie bezpieczeństwa, bo go nie mogę zapewnić. Nie oprzesz się o mnie, bo upadam pod ciosami. Ranię ludzi. Ranię siebie. Ranię ciebie. Kim jestem, byś miała mnie kochać? Przecież nie daję sobie rady z życiem, maleńka.

\*

Następnego dnia przyszło do mnie wezwanie na komendę.

17 kwietnia

Kilka najgorszych dni w moim życiu.

Muszę zgłosić się na komendę rejonową w piątek o czternastej. Całe szczęście, że mam tylko trzy lekcje w szkole i nie ma potrzeby się zwalniać. Co bym oznajmił Andrzejewskiemu? Facet, którego pan zatrudnił, ma kłopoty z policją? Wolę nawet nie myśleć, co mógłby mi mieć do powiedzenia.

Dzwonię do Czarka w każdej wolnej chwili, ale telefon nie odpowiada. Czyżby mnie wpuścił w maliny? A może naprawdę coś mu się stało?

Leszkowi nie udało się dotrzeć do żadnych jego nowych kumpli, nikt ze starych nie był włączony do opieki nad Anią. Czy Ania ma w dalszym ciągu ochronę? Śmiem wątpić. Wątpić we wszystko, co miało związek z Czarkiem. Spiałem się, zdobyłem dla niego wóz. Co mam począć z tym wozem? Przecież nie będę jeździł maszyną dla gangstera...

Codziennie wieczorem podjeżdżam do Ani i przepatruję okolicę. Nie niepokoję jej. Ma urwanie dupy i może nie mieć chęci mnie widzieć. Koło jej domu spokój. Nie zauważyłem niczego niepokojącego. Jak mnie zamkną... trudno, może Leszek zgodzi się mieć na nią oko.

Jestem w samym środku pięknej, bogatej paranoi.

Obawiam się, że już nic więcej nie mogę zrobić.

Doszedłem do kresu.

18 kwietnia, piątek

Skończyłem lekcje, wypłem cholernie mocną kawę i pojechałem na komendę.

Zostałem wylegitymowany na wejściu, potem przyszedł jakiś facet w cywilnych ciuchach, więc o nieznaney szarzy i poprosił mnie do osobnego pokoju.

– Proszę tu poczekać – powiedział. – Zaraz przesłucha pana nadkomisarz Skrzyńska.

Wyszedł i zostawił mnie samego.

W pokoju było niewielkie biurko, zupełnie puste, nawet bez lampki, i dwa krzesła – jedno za nim, drugie przed nim. Uznałem, że nadkomisarz Skrzyńska będzie mnie przesłuchiwać zza biurka, usiadłem zatem na drugim krześle, tyłem do drzwi. Było mi już wszystko jedno. Serce napędzane kawą i stresem zaczęło mi przyspieszać, aż wpadło w galop. Wbiłem wzrok w wykładzinę pod nogami, ręce zacisnąłem w pięści. Czas upływał, nic się nie działo.

Nie usłyszałem otwierania drzwi za plecami.

Nagle, niespodziewanie, kobiecy głos powiedział:

– Czy nie mówiłam ci zawsze, że jesteś beznadziejnym kretyńcem?

Poznałem ten głos. Bez najmniejszych wahań. Podskoczyłem na miejscu i odwróciłem się gwałtownie.

W drzwiach stała Emilka.

Bardzo, bardzo powoli wstałem z krzesła i spojrzałem w jej metaliczne oczy.

– Więc jak się właściwie nazywasz? – spytałem cicho. – Emilia Duczmal, czy Emilia Skrzyńska?

– Nadkomisarz Emilia Skrzyńska – powiedziała i podała mi rękę.

– Przepraszam – powiedziałem. – Czy mam ci mówić pani nadkomisarz?

– Nie. Możesz mi mówić po imieniu. Siadaj.

Usiadłem i zamknąłem na chwilę oczy.

– Od kiedy pracujesz w policji? – spytałem.

– Nie pracuję w policji. Zostałam funkcjonariuszem agencji wywiadu cztery lata temu. Skończyłam matematykę i informatykę na Stanford University w Stanach i szkołę wywiadu w Starych Kiejkutach, pamiętam, pytałeś mnie kiedyś o to. O co tam jeszcze pytałeś? Aha. Nie, nie jestem z nikim w związku, mój mąż zginął dwa lata temu w czasie misji pokojowej.



Służył w Polskiej Jednostce Wojskowej w Siłach Implementacyjnych w Bośni i Hercegowinie. Od tego czasu jestem sama. Co lubię? Rap – strzeliła uśmiechem i powiedziała nagle:

*To złe miejsce, zły czas, uciekaj raz-raz!*

*Są za tobą, chcą zatrzymać ci serce*

*Uciekaj – mają broń, ty nagą dłoń*

*I nic więcej...*

– Zawsze mówiłam, żebyś uważnie słuchał rapu...

Kręciło mi się w głowie, oparłem się o biurko, za którym siedziała.

– Chcesz wody? – spytała spokojnie, z drwiną w głosie, jak to ona.

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwiczki biurka, wyjęła dwie butelki mineralnej wody i dwie szklanki. Otworzyła, zahaczając kapsłem o kapsel, podała mi. Nie lałem do szklanki, napiłem się z butelki. Trochę pomogło.

– Dobra. Gadamy, czy w dalszym ciągu robisz za panienkę? – spytała.

– Gadamy. Pytaj. Powiem ci wszystko.

– Wiesz co... – Zamyśliła się. – Tak naprawdę, to ja też wiem wszystko.

Może ja opowiem, a ty uzupełniaj, okej?

Skinałem głową.

– Bardzo długo namierzaliśmy tę całą akcję – zaczęła cicho, zapalając papierosa. Ja też zapaliłem bez słowa. – To się zaczęło dawno temu, a dla mnie wtedy, gdy wróciłam ze Stanów i studiowałam w Warszawie.

– Jesteś hakerem? – spytałem.

– Tak. I to jednym z lepszych w tym kraju. – Uśmiechnęła się. – Zostałam przygotowana do namierzania wszelkich oszustw komputerowych, wykrywania wszystkiego co śmierdzi, choćby było na wierzchu perfumowane. Mam dobry węch. Gdy dołączyłam do zespołu, akurat trafiłam w sam środek tej sprawy. Ktoś wszedł w środowisko Wydziału MIM na Uniwersytecie Warszawskim, rekrutował stamtąd ludzi do ciemnych interesów, zmuszał szantażem do współpracy...

– Pan Adrian Kurski – powiedziałem cicho.

– Wtedy to nie był pan Adrian Kurski, tylko jego poprzednicy. Ale czekaliśmy cierpliwie, bo wiedzieliśmy, że ci, którzy rekrutują współpracowników, nie są tymi, których naprawdę szukamy. Tamci byli głęboko ukryci i to na nich nam zależało. Zaczęliśmy się też przyglądać studentom i profesorom tego wydziału. I tak dotarliśmy do firmy pana profesora Garlickiego.

Przełknąłem ślinę i spojrzałem jej w oczy. Bałem się tego, co od niej usłyszę.

– Pan profesor Garlicki miał tego pecha, że przyjaźnił się z panem Zdzisławem Kosteckim, zaś pan Zdzisław Kostecki był od dawna umoczony w ciemnych interesach i współpracował z mafią. Mafia zaś była na usługach obcego wywiadu.

– Czy Garlicki o tym wiedział?

– Garlicki miał, niestety, w przeszłości parę śmierdzących spraw na sumieniu, a Kostecki jako jego przyjaciel był tego świadom.

– Śmierdzących spraw? – spytałem ze ściśniętym gardłem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Lepiej nie. Dla ciebie lepiej.

– Garlicki był moim mentorem... mistrzem...

– Tak, a ty Małgorzatą – parsknęła. – Źle sobie wybrałeś mentora.

– Czyli wiedział o wszystkim?

– Po kolei. Dostałeś propozycję współpracy od swojego ukochanego profesora. Kto jeszcze?

– Z naszego wydziału Marcin Ziazicki i Mikołaj Konieczny.

– Następnie zacząłeś pracować i po skończeniu pierwszego etapu prac poszliśmy z chłopakami w długą. Zgadza się?

– Tak.

– Czy pamiętasz, kto był inicjatorem wyprawy?

Zrobiło mi się lodowato. Patrzyłem na nią i przed oczami przesuwał mi się film w przyspieszonym tempie...

*Miki zarośnięty, rozwalony w fotelu, wściekły i umordowany... „Nie wiem jak ty, ale ja potrzebuję pełnego resetu”. Miki ciągnący nas w rajzę po knajpach... Miki stojący z tą dziewczyną w kącie sali, gdy patrol wywlekał mnie na zaplecze... coś jak krótki błysk porozumienia między nimi... Miki dzwoniący do mnie, pytający co słychać... Miki: „Organizuje się ciekawa załoga... zareczyłem za ciebie u dyrektora” ... Miki, Miki, Miki...*

Spojrzałem w jej metaliczne oczy i wiedziałem, że się nie pomyliłem.

– Mikołaj? – spytałem cicho.

Skinęła głową.

– Ale dlaczego?

– Nie wiesz?

– Nie mam pojęcia. Co mógł mieć do mnie? Przecież... kumplowaliśmy się, lubiliśmy...

*Miki w knajpie, już w czasie pracy w banku i jego zmarszczony nos, jak u złego psa... Nic mi się nie wydawało. Wódka wódką, ale coś we mnie wiedziało lepiej... Miki? Dlaczego?*

– Dlaczego? – spytałem bezradnie Emilki.

– Jesteś od niego zdolniejszy. Przystojniejszy...

– Przestań.

– To on zaproponował Garlickiemu twoją kandydaturę. On cię na dobrą sprawę wciągnął do zespołu. On nakręcił akcję w knajpie. Dziewczyna była podstawiona, miałeś wejść w rolę i wszedłeś jak poprowadzony po sznurku. Nie zawiodłeś ich.

– Ich?

– No przecież Miki nie pracował w próżni. Pan Adrian Kurski miał cię czym szantażować i zrobił to, prawda?

Skinałem głową.

– Ale się oparłeś, nie dałeś się im złamać. Więc nie byłeś już dłużej potrzebny Garlickiemu. Pozbył się ciebie najszybciej, jak się dało...

– Garlicki... Wiesz, myślałem w pierwszej chwili, że może wiedział o wszystkim i wyrzucił mnie, żeby mnie ochronić...

– Święta naiwności. Tylko to się zgadza, że wiedział o wszystkim. Chociaż... Wiesz, jak z nim było? Kostecki, dawny kumpel i przyjaciel sprzed lat od dawna był po ciemnej stronie mocy. Założył firmę w ściśle określonym celu. Potrzebny mu był Garlicki, żeby ściągnął do firmy najlepsze mózgi z uczelni. Pracowaliście nad zleceniami rządowymi, prawda? Kostecki wpuszczał między was ludzi pokroju Kurskiego, agentów obcego wywiadu. Wspomniałeś *Mistrza i Małgorzatę*... tak, istotnie, miałeś do czynienia z Wolandem. Dysponował całym arsenałem nacisków, zastraszeń, bezwzględnych sztuczek, mających na celu zwerbowanie ludzi takich jak ty, a gdyby próbowali się oprzeć – cały wachlarz działań rujnujących im życie. Ty oparłeś się wszystkiemu. Gratulacje.

Spojrzałem na nią. Emilka, śliczne, zwariowane dziecko...

– Skąd wiesz? – spytałem.

– A jak myślisz, jaka była moja rola w zespole banku?

*Emilka wieczorem w naszym pokoju służbowym: „Ty, Jeż, kopsnij się do barku”... Emilka bez wahania przegrzebująca mój komputer... Emilka...*

– Specjalnie puściłaś błąd? – spytałem nagle.

– Oczywiście. Musiałam sprawdzić, czy się połapiesz. I co z tym zrobisz. To był haczyk na ciebie, pułapka. Mogłeś nic nie powiedzieć, wykorzystać

mój błąd do stworzenia backdooru. Przecież to Miki ściągnął cię do banku na polecenie Kurskiego. Nie udało się w jednym miejscu, liczyli na to, że uda się w innym. A ja... musiałam cię sprawdzić. Sprawdzić, czy się nie złamałeś.

*Emilka w knajpie, jej zadziwiająco pewna ręka, nalewająca mi kolejny kieliszek wódki... Emilka pijana w trupa...*

– Udawałaś, że jesteś pijana? – spytałem.

Roześmiała się.

– Nie mogłabym udawać. Byłam pijana, ale miałam metodę na pozbycie się nadmiaru alkoholu. Pamiętasz, jak rzygałam nad koszem? Pamiętasz, że wcześniej wyszłam do toalety? Stuknęły się kulki?

Pokiwałem głową.

– Musiałam udawać kompletnie pijaną, żebyś mnie zabrał do siebie. Wiedziałam, że jesteś dżentelmenem i nie zostawisz pijanej dziewczyny w knajpie ani na ulicy. Nie zawiodłam się.

– Po co chciałaś do mnie przyjechać?

– Musiałam sprawdzić twój komputer. Ten w pracy był czysty, ale musiałam mieć pewność, że nie kroisz jakiejś akcji w domu.

– A czy...

– Co?

Nie zadałem tego pytania. Brzmiało: „Czy tylko udawałaś, że chcesz się ze mną przespać? Czy udawałaś, że się we mnie zakochałaś?”.

Emilka patrzyła na mnie i uśmiechała się drwiąco.

– Nie odpowiem ci – powiedziała. – Bo wiem, o co chcesz spytać. Na to nie odpowiem. Cóż, miałam u ciebie pracowitą noc. Przejrzałam wszystko, zrobiłam odcisk twoich kluczy, żeby mieć stały dostęp do twojego mieszkania. Wiedziałam, kiedy cię nie ma.

– Sprawdzałaś mnie dalej?

– Nie miałam wyjścia.

– I w ten sposób wiesz o mnie wszystko...

Nie, nie wie. Jaki to cud, że zawsze skrupulatnie chowałem dziennik... Jakbym miał jasnowidzenie.

– Dla mnie ważne jest, że nie poszedłeś na współpracę. – Uśmiechnęła się szybkim, ładnym uśmiechem.

Wypiłem do końca wodę, Emilka podsunęła mi swoją, niezaczętą.

– Muszę się pozbierać – powiedziałem. – Rozwaliło mnie to na maksa. Głównie Garlicki i Miki...

– Garlicki miał problem. Dołączył do spółki z Kosteckim niczego nieświadom. Gdy firma rozkręciła się na dobre, Kostecki prosto w oczy powiedział mu, że współpracuje z obcym wywiadem i na polecenie tegoż wywiadu ma zrobić backdoor w pisanym właśnie oprogramowaniu dla rządu. Garlicki zdębiał i sprzeciwił się bardzo stanowczo. Wtedy Kostecki wywlókł sprawy sprzed lat i zagroził, że je ujawni. Dobre imię, renoma, stanowisko, wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Wysilek całego życia, rozumiesz? A Garlicki od zawsze miał drobne problemy z moralnością, więc teraz też pękł. Wspólnie z Mikim wyznaczili ciebie do stworzenia backdooru. Byłeś najlepszy w tym zespole... Dalej wiesz. Prowokacja, bójka, areszt, Kurski w roli wybawiciela. Gdy Garlicki zorientował się, że nie dasz się złamać, wyrzucił cię, demonstracyjnie okazując oburzenie bójką. Nie byłeś mu do niczego potrzebny. Ale dla Mikiiego i Kurskiego wciąż jeszcze byłeś kimś godnym zachodu. Mieliśmy Mikiiego na celowniku od dawna, w momencie, gdy ściągnął cię do banku, zaczęliśmy też ciebie mieć na oku. Mogłeś się złamać. Ale się nie złamałeś. No i co stało się potem?

Nie zrozumiałem.

– Jak to, co się stało? Pogoniłem Kurskiego i natychmiast zrezygnowałem z pracy, żeby nie dać mu możliwości szantażu...

– A facet, który zaczął szarpać twoją dziewczynę?

Spojrzałem na nią wielkimi oczami. Ręce zaczęły mi się tak trząść, że z trudem zapaliłem kolejnego papierosa.

– Więc to było połączone jedno z drugim?

– Oczywiście, że było. Zemsta za niepokorność. Facet był nasłany przez Mikiiego. Tylko nikt nie spodziewał się, że go o mało nie zabijesz...

– Miał nóż... Nie miałem innego wyjścia.

– Aha. Rozumiem. To Miki miał pieczę nad tą grupą i Miki pozwolił na odwet. Dał im pełną swobodę, mogli robić, co chcą, byle cię na śmierć nie zatłukli.

*Lodowaty, mokry asfalt, pachnący smołą i moją krwią... Leżę na osiedlowej uliczce koło parkingu. Żyję. Facetów nie ma...*

– W takim razie Czarek... – zacząłem i nagle się zatrzymałem.

Nie wiedziałem, czy odkryli udział Czarka w całej sprawie, jeśli nie, to właśnie go wrobiłem...

– Ach – powiedziała Emilka i też zamilkła.

Siedziałem kompletnie zmieszany. Emilka zapaliła papierosa.

– Teraz ty mi opowiesz o Czarku. My z naszej strony rozgryzaliśmy Garlickiego, Kosteckiego, Mikołaja, nie mówiąc już o tym, co głębiej. Raptem w tym wszystkim pojawił się Czarek. Jaka była jego rola?

Spojrzałem jej w oczy.

– Czarka – powiedziałem z wahaniem, wciąż mając się na baczności – polecił mi mój kumpel do pilnowania dziewczyny. To jego dawny znajomy z agencji ochrony, więc po całej akcji z obszarpanym menelem uznałem, że opieka jest niezbędna... opieka i ewentualne odparcie kolejnego ataku. To było zwykłe zlecenie...

Emilka patrzyła na mnie z uwagą.

– Tak – powiedziała. – Ale coś się wydarzyło potem, prawda? Możesz mówić.

– Nie chcę go wrabiać.

– Powtarzam, możesz mi powiedzieć. Czarkowi nie zaszkodzisz.

Coś w jej głosie sprawiło, że lodowate zimno objęło mi serce.

Serce zatrzęsało się i stanęło.

– Czarek nie żyje – powiedziała Emilka.

Przytrzymałem się biurka. Emilka wyjęła kolejną wodę. Wypiłem, zgasilem papierosa, zapaliłem następnego.

– Krótka przerwa? – spytała.

Nic nie odpowiedziałem.

Emilka podniosła się, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Wtedy zorientowałem się, że przez cały czas nie usłyszałem z jej ust ani jednego przekleństwa.

19 kwietnia

Nigdy w życiu nie widziałem Leszka w takim stanie.

Przyjechałem do niego z samego rana, po nieprzespanej nocy. Usiedliśmy w fotelach w jego dużym, przestronnym salonie i powiedziałem mu wszystko. Teraz już wiedziałem, że bierze leki, że zdarza mu się zaliczać ostre jazdy, bałem się o niego, ale nie mogłem utrzymać niczego w tajemnicy. Leszek zakrył oczy dłonią i słuchał mnie w milczeniu, zupełnie bez ruchu, a w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że cały czas bezgłośnie płacze. Wstrząśnięty zamilkłem.

– Czarek to był mój przyjaciel – powiedział wreszcie. – Prawdziwy przyjaciel, taki jak ty. Nie znałeś go, bo byliście z innych kręgów, innych

światów i nie miałem potrzeby, by te światy zderzać. Czarek był... – Nie skończył.

Spytałem, czy chce się napić, ale pokręcił głową.

– Piję tylko w okresach remisji – powiedział cicho. – Picie w okresie nawrotu choroby równa się samobójstwo. Staram się mieć nad tym jakąkolwiek kontrolę. Nie mogę zrozumieć, co stało się Czarkowi. Co w jego psychice zmieniło się, że raptem zapragnął takiego życia. Nigdy, nigdy nie był na to podatny. Był to jeden z najbardziej niezłomnych gości, jakich znam, no może wyłączając ciebie... Co się raptem stało? Kim był tak naprawdę? Dlaczego tego nie zauważyłem? – Teraz już niczego nie ukrywał. Patrzył mi w oczy i płakał.

– Leszek – powiedziałem bezradnie – proszę cię... Przecież musiałem ci to powiedzieć...

– Musiałeś – przytaknął. – Ale co mogę na to poradzić, że straciłem przyjaciela?

Milczałem.

\*

Wtedy, na komendzie, wyznałem Emilce wszystko. Gdy wróciła do pokoju, powiedziałem:

– Czarek chciał dodatkowo ukreślić własny biznes. Ze strzępków informacji, jakie udało mu się zdobyć, wywnioskował, że może względnie bezpiecznie przejąć tych ludzi, Leona et consortes. Marzyła mu się własna armia... a jeśli nie armia, to własny oddział w tej armii. Sądził, że to pomniejsza grupa, bez układów, bez wsparcia, bez zaplecza, podporządkowana Sebastianowi Wenklowi lub bezpośrednio Leonowi... Chciał odebrać Leonowi tych ludzi.

Emilka pokiwała głową.

– Tymczasem oni byli w najściślejszym jądrze, samym sercu mafii, która pracowała tu na polecenie obcego wywiadu. To nie Leon miał nad nimi kontrolę, to Miki... to byli ludzie Mikiego.

– Czarek nic o tym nie wiedział. Planował rozwiązanie siłowe – powiedziałem.

– Nie zrobiło to na tobie wrażenia?

Przełknąłem ślinę.

– Interesowało mnie bezpieczeństwo dziewczyny.

– Po co pojechałeś do Niemiec?

Spojrzałem na nią szybko.

– Nasz samochód towarzyszył ci od granicy...

– Dlaczego mnie śledziliście?

– Bo namierzaliśmy twoje porozumienie z Czarkiem. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

– Czekaj – powiedziałem. – Jeszcze raz od początku. Wiedzieliście, że zostałem pobity?

– W pierwszej chwili nie. Nasza wiedza skończyła się na tym, że po raz drugi nie dałeś się złamać Kurskiemu. Potem zadzwoniłeś do Trzeciaka i oznajmiłeś, że miałeś wypadek samochodowy. Przyjechałam do ciebie. Na parkingu stał nietknięty twój wóz. Dobra, pomyślałam, może rozbiłeś bryczkę komu innemu. Dlatego powiedziałam o ubezpieczeniu, pamiętasz? Nie podjąłeś tematu. Wtedy połapałam się, że żadnego wypadku nie było, że ktoś cię musiał pobić. Kto? To już łatwo było ustalić. Miki był na muszce, jego grupa też, dodaj rozmowę z Kurskim, wszystko się złożyło. Tylko raptem wyskoczył nam Czarek. Powiedziłeś, jakie były jego plany. A ty? Jaki ciebie łączył z nim układ?

– Nie było wyjścia. Powiedziałem o moim niemoralnym przyzwoleniu na to, co chciał zrobić i o zapłacie, którą dla niego przygotowałem.

– Kupiłeś mu mercedesa? – spytała wtedy Emilka, szeroko otwierając oczy. – Serio? Nie wiedziałam, że jesteś krezusem.

– Nie, jestem szulerem – wyznałem ciężko. – Wygrałem tę forszę w pokera.

– I co, mówisz mi o tym bez mrugnięcia okiem? – spytała przekornie. – Przecież ja nie mam prawa nic o tym wiedzieć.

– Więc nie wiesz. – Uśmiechnąłem się.

– Mówiłam ci już, żebyś się nie uśmiechał... OK, nic nie wiem. I co się teraz dzieje z tym wozem?

– Będę go musiał sprzedać. Jak to mawia mój kumpel – na próżno zesrałem się w windzie...

– To może ja go od ciebie odkupię?

– Ty? – zdziwiłem się. – Też nic nie mówiłaś, że jesteś krezusem... A co z motorem?

– Jak długo można jeździć na motorze? – spytała. – Jak długo można z siebie robić postrzeloną wariatkę, enfant terrible...

– Na tym polega twoja praca. Byłaś genialna. Nikt nie miał prawa nic podejrzewać...



– Tak – powiedziała smutno. – Nikt nic nie podejrzewa. Myślisz, że to łatwe?

Pomyślałem o jej trudnym życiu, o ciągłej grze, nieustannym niebezpieczeństwie, wiecznej czujności, a potem o tym, że jest samotną, ciągle młodą, śliczną dziewczyną ze zbyt dużym brzemieniem na ramionach i nagle zrobiło mi się jej strasznie żal. Zwariowana, kpiąca, cyniczna, klnąca jak kapral Emilka raptem zniknęła, patrzyłem w piękne metaliczne oczy nieznannej mi kobiety i nagle zdałem sobie sprawę, że nic o niej nie wiem.

– Garlicki, Kostecki i Mikołaj zostali aresztowani – powiedziała cicho.

– A mafia? A obcy wywiad?

– Naprawdę uważasz, że coś więcej ci powiem? – spytała.

– Dlaczego nie?

– Bo sprawa jest wciąż w toku. Ale dla ciebie już się skończyła. Wracaj do banku. Zdanowski czeka na ciebie.

– Co? – spytałem ogłupiały.

– Zdanowski. Był wprowadzony w całą sprawę, współpracował z nami. On i ten drugi, jak mu tam...

– Trzeciak.

– Obaj z nami pracowali. Zdanowski doskonale wiedział, dlaczego musisz zrezygnować z pracy i wiedział też, że gdy tylko pojawi się taka możliwość, zatrudni cię ponownie z pocałowaniem ręki. Rozmawiałam z nim wczoraj. Ma zamiar zaproponować ci kierownicze stanowisko, możesz sobie dobrać zespół. Bierz Moryca, dobierz paru kumpli albo kumpelek, zorganizuj w banku silną załogę. Dostaniesz od Zdanowskiego nawet podwójną stawkę, facet jest pełen podziwu. Wykorzystaj to.

– A ty? – spytałem. – Dołączysz do zespołu?

Pokręciła głową.

– Do jakiegoś zespołu pewnie dołączę. Ale znów tam, gdzie trzeba będzie rozpracować kolejną aferę...

– Szkoda – powiedziałem. – Masz genialny mózg. Chciałbym z tobą pracować.

Przyjrzała mi się spod krótkich, nastroszonych włosów.

– Tak, tak, chciałbyś. A może to jest dla mnie zbyt trudne? Co o tym myślisz?

– Nic nie myślę...

– Tak, z tego jesteś znany – strzeliła krótko, jak dawna Emilka, ostra, prowokująca, śliczne, bezczelne dziecko.

– Czyli co? Nie spotkamy się już nigdy? – spytałem.

Znów przyjrzała mi się uważnie, a potem powolutku się uśmiechnęła.

– Nigdy nie mów nigdy.

20 kwietnia

Mikołaj Konieczny. Facet, który raptem pojawił się w moim życiu, którego uważałem za kumpla, mało – prawie przyjaciela, którego autentycznie lubiłem. Miki – równy koleś, wyluzowany, z poczuciem humoru, świetny programista, sympatyczny, uroczy facet, z którym, wydawałoby się, można konie kraść... Skąd się biorą tacy ludzie jak Miki? Ludzie, którzy bez wahania decydują się, by zniszczyć komuś życie, a właściwie nawet nie komuś, tylko dobremu kumplowi, z którym przeszło się całe studia, z którym się razem pracowało, piło wódkę, szlajało po knajpach, a jednocześnie odkrywało nowe światy, światy matematyki, informatyki, nauki... Co ten facet miał do mnie, na miłość boską?

– Mikołaj siedzi w areszcie – powiedziała mi Emilka, wtedy na komendzie. – Chcesz się z nim widzieć, porozmawiać? Mogę ci załatwić widzenie.

Nie chciałem. Nie miałem ochoty spotykać się z nim, patrzeć mu w oczy i pytać – dlaczego? W ogóle nie chciałem go już nigdy widzieć.

Mikołaj Konieczny, mój prawie przyjaciel... Jak można tak się nie poznać na człowieku?

\*

Leszek powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Poczekam. Mam dużo czasu, poczekam sobie na niego. Aż odsiedzi swoje, aż wyjdzie. Wtedy się z nim spotkam i zapłacę mu za wszystko.

– Daj spokój – powiedziałem. – Proszę cię. Szkoda psa.

Był to skrót myślowy, stosowany przez nas często, a wywodził się z naszej jakiejś bardzo dawnej rozmowy, gdy Leszek wkurwiony na maksa powiedział o kimś:

– Pies go jebał.

A ja po namyśle uściśliłem:

– Szkoda psa.

Ale teraz Leszek stracił do reszty poczucie humoru.

– Zabił mi przyjaciela – powiedział krótko. – Omal nie zabił drugiego. A w każdym razie dopuścił do jego ciężkiego pobicia. I nie wahał się, gdy postanowił zrujnować mu życie. Za co? No właśnie. Za nic. I ja mam zostawić takie bydło, żeby chodziło luzem? Zapomnij.

– Leszek – powiedziałem. – Zemsta nie uciszy twojego serca. Tak, tak, wiem. – Podniosłem ręce w geście poddania. – Zastrany romantyku, patetyczny błażnie. Wiem, co mi chcesz powiedzieć.

– Skąd wiesz?

– Bo zawsze tak mówisz.

– Coś w tym musi być...

Roześmiałem się i Leszek też się uśmiechnął.

– Proszę cię. Olej faceta. Nie jest tego wart. Niczego nie jest wart.

– Ale co on miał do ciebie? – Leszek nie mógł się uspokoić.

– Myślisz, że trzeba coś mieć? Na pewnym etapie degrengolady charakteru powód jest zupełnie nieistotny.

– To prawda – zgodził się Leszek. – Więc tym bardziej należy go odstrzelić.

– Monte Christo, odpuść – powiedziałem. – Naprawdę nie warto.

Ale potem, wieczorem, gdy leżałem już w łóżku, powróciło do mnie to pytanie. Co Miki, do cholery mógł mieć do mnie? Coś miał? Co?

21 kwietnia

Emilka mówiła prawdę.

Jestem po rozmowie z dyrektorem Zdanowskim, który chce mnie zatrudnić ponownie od ręki. W sumie mu się nie dziwię, program, który pisaliśmy z zespołem, przyszedł właśnie z weryfikacji, oczywiście z masą poprawek, tymczasem zespół się kompletnie posypał. Zostałem ja i Maurycy, jedyni, którzy są zdolni cokolwiek ogarnąć. Program ma swój termin wejścia w życie, więc nie ma rady. Myślałem, że uda mi się chwycić odrobinę oddechu, przede mną klasyfikacja końcowa klas czwartych, matura, w czerwcu ostatnie sprawdziany i wystawianie ocen w klasach jeden–trzy. Masa roboty.

Zdanowski rzeczywiście zaproponował mi kierownicze stanowisko, mam stworzyć stały zespół, dobrać sobie czterech - pięciu ludzi. Umówiliśmy się, że sformuję tę grupę jak najszybciej, jednocześnie muszę się rozejrzeć i wejść w strukturę banku, ściśle współpracując z Rafałem Trzeciakiem. Jesteśmy obecnie na równorzędnych stanowiskach. Dowiedziałem się od Zdanowskiego, że w zasadzie powinienem przejść szczegółową weryfikację i odbyć trzymiesięczne szkolenie dotyczące poufności, ale, jak powiedział: „Pani Duczmal, przepraszam Skrzyńska, zweryfikowała pana dość

dokładnie i zaręczyła za pana. A szkolenie załatwimy przy pierwszej sposobności”.

Jakoś jeszcze nie mogę w to wszystko uwierzyć. Świetna, pewna robota, doskonale płatna, wreszcie w spokoju, bez nacisków, szantaży, bez stresu... bez Emilki. Jaki będzie ten zespół bez niej? Do dupy. No bo kogo mam, jeśli chodzi o ludzi? Wyłącznie Moryca.

Ludzi z firmy Garlickiego nie dotknę kijem przez szmatę. Możliwe, że są to normalni, uczciwi, sympatyczni ludzie, w dodatku świetnie znający się na swej robocie. Ale jaką mam pewność, że nie pojawi się tam kolejny Miki? Facet bez skrupułów, ze zdegenerowaną moralnością, o ewidentnie złym charakterze?

Swoją drogą, ciekawe, co się stało z tymi ludźmi teraz, po upadku firmy. Kostecki i Garlicki aresztowani, ludzie rozproszeni, nic nie zostało po tamtej pracy, sławie i wyniosłych snach. Nic nie zostało po firmie, która wydawała się przedsięwzięciem rajem, a okazała się... No właśnie.

Kiedy człowiek wreszcie straci ten głupi romantyzm?

W tym całym piekle zapomniałem kompletnie o Tomku Draniewicz. Teraz, już po wszystkim, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer zaczynający się od 0049.

– Słuchaj – powiedziałem do Tomka. – Musisz przyjechać. Mam ci strasznie dużo rzeczy do powiedzenia. I mam dla ciebie pewną propozycję.

– Co, zaczynamy handel samochodami? – Po jego głosie słyszałem, że się uśmiecha.

– Nie – powiedziałem poważnie. – Ale jeśli chcesz, zaczynamy razem pracę w banku. W Warszawie.

22 kwietnia

A dzisiaj, wciąż jeszcze w fazie myślenia o Tomku, przypomniałem sobie naszą rozmowę na Schöneberger Straße, a właściwie jedno rzucone przez Tomka zdanie, na które wtedy zupełnie nie zwróciłem uwagi.

Teraz poczułem, jak lodowaty dreszcz leci mi po plecach.

– Nie, to niemożliwe – pomyślałem. – Nie uwierzę. To nie może być prawda...

Cały następny dzień chodziłem z tym ciężkim podejrzeniem, leżącym ciasno na sercu, aż wreszcie pod sam wieczór poddałem się. Odpaliłem komputer, połączyłem się z Internetem przez modem i wybrałem ten adres.

W pustym polu wiadomości wpisałem tylko jedno pytanie i kliknąłem „Wyślij”.

Odpowiedź przyszła następnego dnia.

23 kwietnia

*University of Guelph*

*Ontario, Canada*

*Czesc Pawel.*

*Ty to potrafisz zaskoczyc czlowieka. Nie dajesz znaku zycia przez caly czas, a tu raptem takie niespodziewane pytanie. Tak, znalazam Mikolaja Koniecznego. Jesli mam byc szczerza, to znalazam go calkiem dobrze – bylismy para, zanim na jakiejs imprezie nie poznalam ciebie. Juz wiem, to byl bal na Uniwersytecie, pamietam, ze poszlismy tam z Mikolajem, on zle sie bawil, a potem sie na mnie obrazil i wyszedl wczesniej. Ja zostalam i pamietasz? Poznalismy sie. Nastepnego dnia rozstalam sie z Mikolajem. Byla to decyzja natychmiastowa i nieodwolalna. Mikolaj nie mogl mi tego nigdy wybaczyc.*

*A co, ty go znasz? Czy poznales? Nic nie mowiles. Dlaczego pytasz? Cos sie stalo?*

*– Nic się nie stało. – odpowiedziałem na drugą stronę kuli ziemskiej dziewczynie, która zrujnowała mi życie. – Nic ważnego. Po prostu chciałem wiedzieć.*

24 kwietnia

Na ostatniej klasówce przed maturą Michała konsekwentnie nie było, więc równie konsekwentnie postawiłem mu pałę i wezwałem go do pokoju nauczycielskiego, opustoszałego po przerwie.

Wszedł ze zblazowanym wyrazem twarzy, spojrzałem na niego i od razu zaczął mnie trafiać szlag.

– Siadaj – powiedziałem mało uprzejmie, wskazując mu krzesło naprzeciwko siebie.

Chwilę się namyślał, potem usiadł. Patrzyłem na niego, cisza się przeciągała.

– Masz w tej chwili dwie dwójce i trzy pały, razem z tą ostatnią. Wiesz, że w takiej sytuacji nie ma mowy, abyś był dopuszczony do matury?

– Więc niech mnie pan nie dopuszcza.

– Nie bądź taki luźny – warknąłem, powstrzymując się w ostatniej chwili, by nie dokończyć bardzo brzydko. – Jesteś na tyle inteligentny, by przy odrobinie wysiłku mieć to wszystko w małym palcu. Właśnie ci chciałem oznajmić, że życzę sobie, byś ten wysiłek podjął.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Siedziałem niedbale oparty o krzesło, paląc papierosa, lodowaty i wściekły. Michał długo na mnie patrzył, potem raptem wstał z krzesła, podszedł do okna i wyrzwał na boisko. Nie ruszyłem się. Czekałem co powie.

– Istotnie, jest pan w trudnej sytuacji – odezwał się wreszcie Michał dość ironicznie. – Gdy mnie pan obleje, będzie wyglądało na to, że eliminuje mnie pan, wykorzystując swoją naturalną przewagę, co nie jest grą szczególnie fair. – Uśmiechnął się leciutko, a ja zamarłem. – Gdy natomiast mimo wszystko da mi pan szansę, będzie pan robił za szlachetnego kowboja, dręczonego wyrzutami sumienia. Oba wyjścia są do dupy, nie dziwię się, że stara się pan nakłonić mnie do jakiejś współpracy, która by wszystko usprawiedliwiła i pozwoliła panu wyjść z tej sytuacji z twarzą. Tylko nie wiem właściwie, czemu miałbym to robić...

Milczałem, paląc papierosa. Michał miał absolutną rację. Zrozumiałem, że wie wszystko i że to ja jestem nieprzygotowany do tej rozmowy, a nie on. Coś jednak należało powiedzieć.

– Czy tobie przypadkiem trochę za dużo się nie wydaje? – spytałem, wypuszczając smugę dymu pod sufit.

Spojrzałem za nią. Potem spojrzałem na Michała. Wyglądał przez okno, bębniąc palcami w parapet.

– Nic mi się nie musi wydawać – odparł cicho.

Potem odwrócił się do mnie. Miał zmęczoną twarz.

– Ja już straciłem nadzieję, wiem, że nie mam żadnych szans.

Znów to, co mówił, mogło odnosić się tylko do matematyki, choć wiedziałem, o czym mówi naprawdę. Nie lubiłem go nigdy, ale nie po raz pierwszy poczułem do niego szacunek. Zgasilem papierosa.

– Tego się nigdy nie wie tak naprawdę – odparłem, patrząc mu w oczy. – Spróbuj to rozegrać do końca. Ja ci nie będę przeszkadzał, ale i nie spodziewaj się ode mnie pomocy. Czy dwa tygodnie wystarczą ci na przygotowanie całego materiału?

– Pan składa tę propozycję z pozycji już wygranej. Czy mam to traktować jak próbę przekupstwa?

Popatrzyłem na niego.

Nie była to rozmowa z dupkiem. Dlatego pewne rzeczy trzeba było wyjaśnić.

– Pomyłka w adresie – powiedziałem powoli. – Ani mnie nie można przekupić, ani ja nie przekupuję.

– Więc co to jest?

– Próba nawiązania porozumienia. Staram się o to, bo twoja inteligencja daje mi podstawy do prowadzenia tego dialogu. I mam nadzieję, że ta właśnie inteligencja nie pozwoli ci przypuszczać, że teraz wstąpiłem na drogę pochlebstw.

– O, nie. – Michał się uśmiechnął. – Tego nie odważyłbym się przypuścić.

– Co w takim razie przypuszczasz?

– Właśnie waham się w ocenie.

– Może ci pomogę. Mówiłem o twojej inteligencji i naprawdę myślę, że szkoda wydawać ją na łup takich szczeniackich pomysłów. Zdana lub niezdana matura to nie element walki zaczepno-obronnej z człowiekiem czy z ideą. To po prostu dziecinada, jedna z tych idiotycznych manifestacji, dla których klasyką gatunku jest powiedzonko „na złość mamusi odmrozę sobie uszy”. Ponieważ dowiodłeś już nie raz, że jesteś dorosłym facetem i ja także jestem dorosłym facetem, więc nie będziemy się bawili w tę grę.

– Co pan zatem proponuje?

– Ja propozycję już przedstawiłem. Meldujesz się u mnie za dwa tygodnie.

Znów popatrzyliśmy na siebie. Michał był zmęczony, chłodny i nie uciekał z oczami. Spytał:

– Dlaczego mam panu wszystko oddać walkowerem?

Miałem ochotę powiedzieć mu: „Chłopie, daj mi spokój. Ja ci nie wyrządziłem żadnej krzywdy. Nie zabrałem ci jej. Ona nie była twoja”. Ale wiedziałem, że nie mogę tego powiedzieć. Dowiedziałem się od Ani, która obdarzyła mnie zaufaniem. To były sprawy między nimi, nie miałem prawa w to wchodzić. Michał uważał mnie za rywala, i to zwycięskiego. A ja przecież nie miałem nic... Powiedziałem:

– Chcesz to traktować jak walkę, niech tak będzie. Ale tu nie ma pozycji z góry wygranej. To też ci już powiedziałem. Nigdy się nie wie tak naprawdę. Ja się nie wycofam. Jeśli też chcesz w to grać, to graj. Ja ci nie powiem *rien ne va plus*<sup>2</sup>. Ale już niczego więcej ode mnie nie oczekuj.



Ja także nie uciekałem wzrokiem. Patrzyliśmy na siebie poprzez blat stołu.

– Zostało niewiele czasu – powiedział cicho Michał. – Jeśli jest tak, jak pan mówi, to teraz będzie tie-break.

Podniósł się, podał mi rękę i wyszedł.

26 kwietnia

Leszek zadzwonił do mnie w sobotę, późnym popołudniem.

– Słuchaj, czy ty może wiesz, co się dzieje z Anią?

Zdębiałem. Jak to, co się dzieje? Tydzień temu klasy czwarte broniły dyplom, prawdę mówiąc przez parę godzin trzymałem za nią kciuk lewej ręki, bo prawa była mi potrzebna do pisania na tablicy. Wiedziałem, że obroniła się z chyba najwyższą lokatą, wiedziałem, że jako aneks zaprezentowała serię obrazów, o których Andrzejewski powiedział, że nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego na poziomie liceum, wiedziałem, że teraz ma trochę ponad tydzień do matury. Nie wiedziałem nic więcej. Nasze cotygodniowe spotkania zostały zawieszono, nie chciałem zawracać jej głowy w czasie pracy nad dyplomem, w tym tygodniu miałem zrobić z nią podsumowanie wszystkich zagadnień, ale właściwie nie umówiliśmy się na to. Ania nie miała czasu, chodziła bokiem korytarza i znikła w pracowniach na górze, unikała mojego wzroku...

Wszystkie te drobne sygnały, które dotąd torturowały bezgłośnie serce, raptem skoczyły mi pod gardło paniką, niedającą się wprost opisać.

– Bo nie przyjechała dzisiaj do mnie – kontynuował Leszek, nieświadomy chyba mojego stanu. – Wiesz, jesteśmy umówieni na soboty, zawsze dotąd była punktualna, dziś w ogóle nie przyjechała. Wiesz coś?

– Dzwoniłeś do niej? – spytałem.

– Nie dzwoniłem do niej – powiedział spokojnie. – Nie mam jej numeru. Nie podałeś mi na wszelki wypadek.

– Jak to? A ona ci nie dała? – zdumiałem się.

– Jakoś nie. Nie było takiej potrzeby.

– A twój numer ma?

– Ma – powiedział Leszek.

– Sprawdzę i oddzwonię – jęknąłem.

Sygnal. Sygnal, sygnal. Po dziesięciu odłożyłem słuchawkę. Gdzie była? Co się stało?

Adrenalina wyniosła mnie z domu, ale jakoś zdołałem się pohamować przed natychmiastowym pojechaniem do niej. Nie, tak nie można... Była dorosłą osobą, miała prawo gdzieś wyjść, kim byłem, by ją kontrolować? Mogła umówić się z kimkolwiek, mieć swoje plany, może opija właśnie zdanie dyplomu, może przeciwnie, uczy się z kimś, a może... leży gdzieś z rozwaloną głową... Kluczyk sam mi się włożył do stacyjki i ruszyłem do niej z piskiem opon. Ciemna aleja, ciemne rzędy lip, ciemne jej okna. Nie dałem za wygraną, podjechałem pod samą bramę. Zadzwoiłem. Ręce i nogi mi się trzęsły, stałem pod jej furtką, opierając się o słupek i odmawiałem chaotyczną, pospieszną modlitwę, wiedząc, że dobry Bóg musi na mnie patrzeć z góry z prawdziwym politowaniem... Nie miałem najwidoczniej daru przekonywania i perswazji, gdyż okna zostały ciemne, a drzwi zamknięte. Nie zanotowałem w okolicy żadnego ruchu, więc po namyśle wsiałem do samochodu i się wycofałem. Gdzie była? Gdzie była, na miłość boską?

Próbowałem się skupić, ale wyobraźnia atakowała mój umysł z wszystkich stron, co wystarczało, by ogłosić stan pełnej paniki. Pomyślałem, że Terry Pratchett miał rację, twierdząc, że inteligencja jest jak nogi: masz za dużo, to się potkniesz, zdecydowanie jednak należałoby też rozszerzyć ten pogląd na wyobraźnię... Potykając się co chwila o milion własnych przypuszczeń, zastanawiałem się chwilę: Leszek czy Piotrek? Z Piotrkiem nie widziałem się już strasznie dawno, pomyślałem – i ruszyłem do Leszka. Potem zdałem sobie sprawę, że jestem prawdziwym egocentrycznym gnojkiem, od tak dawna nie widziałem Uli i nawet się nie pytałem o jej stan...

Wjechałem na drogę do Chyliczek... a Ula popatrzyła nagle na mnie z wyrozumiałym, macierzyńskim uśmiechem tak, jakby siedziała na siedzeniu obok. Mądra, dobra Ula, niezłomna jak stal. Zatrzymałem się na poboczu, następnie zawróciłem i ruszyłem z powrotem na Ursynów.

Wiedziałem doskonale, dlaczego tak ograniczyłem kontakty z Piotrkiem – za każdym razem pytał mnie, czy już wyjaśniłem sprawę z Anią. Nie wyjaśniłem i nie mogłem wyjaśnić. Nie mogłem też wyjaśnić tego mojemu bratu. Za dużo w tym wszystkim było mojego lęku i moich uwikłań, przyrzeczeń złożonych Bóg wie komu, prawdopodobnie sobie samemu, za dużo dramatycznej świadomości, że jestem na przegranej pozycji, cokolwiek by o tym sądził Michał, hardy, nieprzekupny Michał, który postanowił grać do końca... Jaki będzie wynik tego meczu? Dogrywki, tie-

breaku? Ile razy jeszcze zmierzmy się oczami nad jej głową? Michał – szczeniak, gówniarz, licealista. Ktoś, kim w ogóle nie powinienem się przejmować. No bo kim jest? I coraz bardziej miałem obawy, że czarnym koniem.

Jak miałem o tym wszystkim powiedzieć Piotrkowi? Piotrkowi, który znał mnie od dziecka i który widział, jak szarpały mnie zawsze dziewczyny, jak brały mnie sobie z rąk do rąk, bo miałem prezencję i podobno męski wdzięk. Sam też miał prezencję, a jeśli chodzi o wdzięk, to do pięt mu nie dorastałem, a wybrał Ulę – a o Uli wszystko można powiedzieć, ale nie to, że jest pięknością. Nie, nie była brzydka, ale nie miała tej wyzywającej, triumfującej urody, na którą faceci łapią się, jak na lep. W Uli były potężniejsze i mądrzejsze rzeczy.

Moje dziewczyny zawsze rwały urodą, były piękne, miały figury modelek – nieskazitelne w każdym calu. A tymczasem Piotrek mówił: „Piękne kobiety zostawmy mężczyznom bez wyobraźni”. Ale nigdy nie mówił tego przy Uli i ona zawsze czuła się przy nim jak królowa.

Zaparkowałem pod ich blokiem i bez namysłu wjechałem windą na trzecie piętro.

– Cześć, brzuchatku – powiedziałem, gdy Ula otworzyła i pocałowałem ją w policzek.

Ciemne włosy, oczy jak płynny miód, luźna sukienka, brzuch już naprawdę duży – siódmy miesiąc. Jakie będzie to dziecko? Jakiegokolwiek będzie, będę je kochał nad życie, tak jak kocham Piotrka, tak jak kocham Ulę.

– Dawno cię nie było – powiedziała.

– Jest Piotrek?

– Nie ma. Zadzwonili przed chwilą z jakąś awarią...

– To dobrze. – Uśmiechnąłem się.

– Jak to? – Rzuciła mi szybkie zdziwione spojrzenie.

Wszedłem do pokoju. Był nowoczesny, a zarazem przytulny, Ula miała świetny gust w kwestii urządzania wnętrz. Paliła się mała lampka, usiadłem w cieniu, opowiedziałem Uli wszystko i na końcu spytałem:

– Powiedz, co ja mam właściwie zrobić?

– Dzwonź do niej – powiedziała. – Dowiedz się, przecież siedzisz jak na szpilkach. Dowiedz się, czy wróciła. Wszystko inne może poczekać.

– Piotrek mówi...

– Wiem, co Piotrek mówi. Efekt jest taki, że przestałeś się już w ogóle pokazywać. – Uśmiechnęła się. – Ja uważam, że Piotrek nie ma racji. Ty masz. Musisz doczekać do matury, wcześniej nie wolno ci nic powiedzieć.

– A jeśli będzie już za późno?

– Paweł... Ona to, co ma wiedzieć, to wie. Jeśli się w tobie zakochała, to kocha. Jeśli nie potrafiłeś jej zdobyć, to już nie zdobędziesz. Jeśli woli Michała, to nic nie możesz zrobić. Zostaw to jej.

– Uważasz, że mogę zrzucić tak na nią całą odpowiedzialność za nas? Przecież to dziecko. Ma osiemnaście lat. Co ona może wymyśleć, gdy nie dostała ode mnie żadnego znaku? Powiedz, jakim dupkiem jestem w jej oczach? Palantem, który nie potrafi się zdecydować? Tchórzem? Bezgranicznym idiotą? Kto kochałby idiotę?

– Nie jesteś idiotą – powiedziała spokojnie Ula. – Jesteś przyzwoitym człowiekiem, dotrzymującym własnych przyrzeczeń. Jesteś jej nauczycielem. Nawet jeśli ty nie boisz się skandalu, to nie masz prawa jej w ten skandal wikłać. Robisz wszystko tak jak trzeba. Nie szalej.

– A jeśli ona czeka na jakiś sygnał z mojej strony? Jeśli właśnie teraz ważą się szale i nie robiąc nic – po prostu przegrywam? Bo jestem za uczciwy? Bo chcę zachować się godnie, przyzwoicie, kurwa, bo jestem pierdolonym, niezłomnym bohaterem, rycerzem bez zwały, a ona wybierze Michała, który nie jest wzorem cnót, ale ma przynajmniej jaja...

– Ty też masz jaja. – Parsknęła śmiechem. – Wiesz, jakie trzeba mieć jaja, żeby się nie złamać, żeby wytrwać w takiej sytuacji?

– Okaże się to psu na budę...

– Jeśli się okaże... to ona nie jest dziewczyną, dla której warto to robić. Pamiętaj, trzymaj swój poziom. Nigdy go nie niżaj... dla nikogo.

– Dla niej zrobię wszystko. W dupie mam przyzwoitość...

– I honor też? I męskie słowo? I to wszystko, w czym wyrosłeś? Hej... nie pieprz głupot. To jest niezbywalne.

– Ula, ja ją kocham...

– Paweł... – westchnęła. – Nie mogę ci zagwarantować, że ona też cię kocha. Ale jeśli ma oczy w głowie i serce na miejscu, jeśli jest prawdziwą kobietą... to będzie wiedziała, co o tym myśleć. Uwierz mi.

– Ona ma osiemnaście lat. To dziewczynka. Może się pogubić, pomylić...

– Ta dziewczynka przeżyła stratę rodziców i całego swojego świata. W ciągu sekundy zniknął i została sama, musiała ten świat odbudować z

okruchów i wykopalisk. Zrobiła to, poskładała mozaikę z ziaren piasku. Podniosła cały świat, a ty masz wątpliwości, czy zrozumie twoje serce? Chyba oszalałeś.

– Dlaczego ma jeszcze na dokładkę rozumieć moje serce? Kim jestem, by dowalać jej kolejnych kłopotów, zmartwień, niewiadomej? Przecież powinienem kojarzyć się jej z pewnością, z bezpieczeństwem, zaufaniem, cholera, ze stabilizacją, a co jej daję? Rozdarty świat?

– I ona go poskłada, możesz być pewien. Ma wiedzę, ma dumę i ma mądrość.

– A jeśli duma... właśnie urażona, potrącona duma zawiedzie ją na manowce?

– To pójdziesz z latarką i przyprowadzisz ją do domu.

– Ula – powiedziałem ze ściśniętym gardłem. – Czy ty wierzysz? Naprawdę wierzysz? Jesteś kobietą...

– Tak. Wierzę. Jako kobieta. A teraz dzwoń do niej. Będę w kuchni. – Wstała i wyszła.

Ująłem słuchawkę, wykręciłem ten numer. Odebrała po siódmym sygnale.

– Aniu. Tu Paweł Jeż.

– Słucham – powiedziała ciężko.

Ten sam ciężki kamień położył mi się na piersi. Tak jak tyle razy ostatnio. Była gdzieś, gdzie dla mnie nie było miejsca, w jakimś oddaleniu, którego się nie spodziewałem i które biło w moje sponiewierane serce, odbierając mi wszelką nadzieję.

– Byłem u ciebie niedawno, ale cię nie zastałem – podjąłem kulawo. – Leszek dzwonił, mówił, że nie przyjechałaś dziś do niego...

– Nie mogłam – odpowiedziała po chwili. – Przykro mi, rzeczywiście powinnam była uprzedzić...

– Coś się stało? – spytałem.

Nie zważając już na nic, w tym pięknym wnętrzu, pokoju Uli, która była w siódmym miesiącu ciąży, wyskubałem z paczki papierosa i potarłem zapałką o draskę na pudełku. Zapałka strzeliła suchym, wysokim płomieniem, przez sekundę patrzyłem na płomień, potem zdmuchnąłem go, wyjąłem niezapalonego papierosa z ust i wsadziłem z powrotem do paczki.

– Panie profesorze – powiedziała Ania i raptem poczułem te wszystkie kilometry, które stały między nami, między blokiem na Ursynowie, gdzie siedziałem w ładnym pokoju Uli i Piotrka, a jej domem na obrzeżach

miasta, dalekim, wielkim, samotnym domem wśród wysokich drzew, na skraju lasu.

– Chciałabym z panem porozmawiać, ale nie teraz. Możemy porozmawiać w poniedziałek?

O ile dotrwam do poniedziałku... o ile dociągnę.

– Zgoda – powiedziałem, przetykając ślinę. – W poniedziałek. Masz jakiś problem?

– Porozmawiamy w poniedziałek – powiedziała stanowczo. – Przepraszam.

Przepraszam. Przepraszam. Za to, że cię zabijam każdym słowem. Że sieję w tobie tę niepewność i lęk. Niewiadomą. Przepraszam, że cię nie kocham – czy to właśnie chce mi powiedzieć?

– Rozumiem – powiedziałem, zaciskając palce na słuchawce tak, jakbym chciał ją zmiażdżyć. – Niepokoilem się tylko, czemu cię nie ma. Więc do poniedziałku.

Niepokoilem się. Prawdziwy eufemizm. Czy jest jakieś słowo, które to może opisać? Niepokoilem się...

– Do widzenia – powiedziała Ania i odłożyła słuchawkę.

9 franc. koniec obstawiania

w nocy

Wielkie słowa, wielkie słowa, wszędzie wielkie słowa...

Honor, duma, przyzwoitość, uczciwość... a tam jest ta dziewczyna, o dziesięć minut drogi stąd. Czy jest sama? Czy jest właśnie teraz z Michałem? Czy kochają się w pustym, wielkim domu na odludziu i szepczą sobie spazmatyczne słowa o tym, że nigdy, nigdy się nie opuszczą?

Czy mówią o mnie „ten profesorek?”, a Ania mówi: „Daj spokój, to palant, dupek...”, „Dupek” – powtarza Michał, przytulając ją do siebie i całując jej uległe usta, „Palant” – całuje jej szyję i obojczyki, jej piersi i drży cały, a ona też drży i wtula się w niego, ich miłość spełnia się w ciszy, z wyłączonym telefonem, żebym już nie mógł zadzwonić, z zamkniętą furtką, żebym nie mógł tam wejść, do jej sypialni z obrazami i miękkim, obszernym tapczanem, na którym kochają się, szepcząc sobie te wszystkie słowa o miłości i oddaniu, o swojej dumie i pokorze, gdy śpiewają melodię swoich ciał, młodych, drżących, spragnionych, niewinnych, gdy topią w sobie swoje źrenice, dotykają opuszkami palców swoich ust, pieścą się, odpływają na miękkie łąki na zboczach gór, patrzą, jak świecą od słońca trawy i potrafią nazwać każdy kolor, na jaki patrzą, malują swoją miłość na wielkich płótnach, zatracają się w tej miłości, we wszystkich barwach i mówią: „Matematyka? matematyka jest głupia. Jest bezlitosna, nie ma w niej pola dla wyobraźni. Nie ma w niej koloru. Jest sucha liczba. Jest sucha gwiazda. Jest suchy pył. Trzeba być idiotą, żeby kochać matematykę...”.

Trzeba być prawdziwym idiotą.

27 kwietnia

Cały dzień dzwoniłem do Leszka, ale teraz z kolei on nie odbierał. Wiedziałem, że zachowuję się beznadziejnie, wszystkich po kolei wciągam w swoje... hm... porażki, ale faktem jest, że nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Późnym popołudniem, po kolejnej dyskusji z samym sobą, wsiadłem w samochód i pojechałem do Konstancina. Dom stał zamknięty na głucho, nikt nie odpowiadał ani na dzwonek, ani na pokrzykiwanie. Spróbowałem ruszyć bramę. Zamknięta. Poszedłem kawałek wzdłuż płotu, zajrzałem na podwórko. Wszystkie samochody stały na miejscu, ale mogłem gdzieś pojechać chociażby na motorze. Zawróciłem, przeszedłem jeszcze raz wzdłuż ogrodzenia.

Już miałem wracać do samochodu, gdy nagle Leszek pojawił się na siwym koniu od strony pól. W zapadającej szarówce, w rozległym, płaskim pejzażu wyglądał wprost jak z obrazu Gierymskiego, jakby wracał właśnie z powstańczego patrolu sześćdziesiątego trzeciego roku. Zobaczył mnie, ściągnął wodze. Schylił się z siodła i podał mi rękę. Pachniał mocno koniem, wilgotnym, skórzanym rzemieniem, wiatrem, tak, jak pewnie pachnieli tamci, nierozstający się z siodłem, utopieni w rozmokłym pejzażu, już wiedzący, że wszystko znowu poszło na marne... Siwy koń gryzł głośno wędzidło, Leszek zeskoczył z niego i otworzył bramę. Weszliśmy na podwórko.

– Dzwoniłem do ciebie cały dzień – powiedziałem. – W ogóle nie odbierałeś, więc przyjechałem zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

Leszek obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Poczulem się jak ostatni kretyń, teraz z kolei jego sprawdzałem. Tak jakby ludzie nie mogli mieć swojego życia.

– Jest OK – powiedział i mu nie uwierzyłem.

– Jak się czujesz?

Znów na mnie spojrzął i się uśmiechnął.

– Doskonale.

Nie spuszczałem z niego wzroku.

– Chujowo – przyznał, odwracając spojrzenie.

– Wolisz, żebym pojechał?

– Nie. Chodź do domu.

Weszliśmy i Leszek zapalił światło w salonie.

– Siadaj. Zaraz wrócę, tylko odstawię Córkę do stajni.

– To na niej teraz jeździsz? Nie na Maklerze?

Znów na mnie spojrzął.

– Jeżdżę na wszystkich. Na Maklerze jechała dziś Ania.

– Czy ona...

– Poczekaj. Odprowadzę konia.

Długo go nie było, usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa. To nie był dobry dzień Leszka, niepotrzebnie tu wbijałem. Wszedł i też zapalił.

– Pies mi się pochorował – powiedział bez intonacji.

– Teraz? – spytałem.

– No nie, już od kilku dni choruje... Nie wiem, czy jakiejś trucizny nie zeżarła.

– Byłeś z nią u lekarza?



– Byłem. – Machnął ręką. – Kazał jej gotować ryż z cielęciną. Kurwa, nie mam cielęciny. Ugotuję jej kurczaka, co? Jak myślisz? To prawie to samo...

Przyjrzałem mu się uważnie. Wyglądał bardzo do dupy, więc na wszelki wypadek nie chciałem się z nim kłócić.

– Noo... tak, jasne – powiedziałem wolno. – Rzeczywiście. Cielak od kurczaka prawie w ogóle się nie różni. Trudno wprost na pierwszy rzut oka znaleźć różnicę...

Leszek się wreszcie roześmiał i ulżyło mi.

– Ty idioto – powiedział. – To, że się lecę, nie oznacza, że jestem niespełna rozumu.

– Wcale nie uważam...

– Tak. Tylko wyglądasz, jakbyś nie chciał sprzeciwiać się szaleńcowi.

Teraz ja się roześmiałem.

– No dobrze – powiedział Leszek. – Delikatne, jasne mięso. Zaraz jej ugotuję. Tobie też coś mogę.

– Ja nie żarłem trutki...

– Serio? A tak wyglądasz.

– Ty też. Martwisz się psem?

Pokręcił głową.

– Już jest w porządku. Wyjdzie z tego. Trochę się przestraszyłem na początku.

– To co jest?

– Nie wiem – powiedział. – Wiosna. Czuję się kompletnie rozwalony.

– Ty też?

Znow się uśmiechnął, ale nie był to wesoły uśmiech.

– Agnieszka się wzięła za moje zdrowie. Im więcej mnie ciąga po lekarzach, tym jest gorzej. Ja jestem prosty chłopak, nie ufam konowalom. Teraz na przykład będę miał lobotomię...

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

– A nie, sorry, gastroskopię, za trzy dni. Rurę ci wpychają do gardła...

– Daj spokój, wiem co to gastroskopia. Ciesz się, że nie pchają ci tej rury od tyłu...

– Kolonoskopię też będę miał – westchnął.

– Kto tu zwariował? Ty czy Agnieszka?

– No, jeśli zwariował, to chyba ja. Ale ona twierdzi, że nie dbam o swoje zdrowie, zaniedbuję się i takie tam... Znoszę to cierpliwie, bo wiesz, nikt

nigdy tak o mnie nie dbał. Czuję się prawie tak, jakbym miał dziesięć lat.

– Wkurwia cię to?

– Właściwie nie. Tylko...

– Wiem.

– Wiesz? – Spojrzał na mnie.

Jak się ma czuć stuprocentowy facet, silny, zaradny, zorganizowany, gdy raptem pojawia się dziewczyna, która traktuje go jak swojego synka? Wiedziałem, jak się czuł, nie musiał nic więcej mówić. To on powinien otaczać Agnieszkę opieką, obejmować silnym ramieniem, składać u nóg zdobycze i dary...

– Patrycja nigdy o mnie nie dbała – powiedział nagle. – Czułem się bardziej na miejscu.

– Patrycja nigdy cię nie kochała – odparłem.

Skinał głowę.

– Wiem. To ja ją kochałem.

– Wiedziałeś o tym?

– Boże drogi, naprawdę masz mnie za idiotę – westchnął. – Oczywiście, że wiedziałem.

– I co? – odważyłem się zapytać.

– Nic. Pewnie wrócę do niej. Kiedyś. Na zawsze.

– A Agnieszka?

– Agnieszka... – zawiesił się.

Siedziałem i patrzyłem na jego pochyloną głowę. Znałem go praktycznie całe życie, genialnie prostego i genialnie skomplikowanego Leszka, i znów pomyślałem nieoczekiwanie, że jest dokładnie taki, jak te chłopaki z sześćdziesiątego trzeciego, ze stycznia. Wierni do końca, nawet gdy już nie było nadziei.

– Dzięki – powiedziałem nagle. – Będę musiał już iść.

Podniósł głowę, ciemną, piękną głowę z cieniem zarostu na policzkach.

– Za co mi dziękujesz?

– Coś sobie uświadomiłem.

– O nic więcej nie spytasz?

– Chciałbym – powiedziałem. – Ale mi nie odpowiesz, prawda?

– Skąd wiesz?

– Bo cię, kurwa, znam całe życie – westchnąłem. – Znam twoją bezwzględną lojalność. Coś ci powiedziała, prawda?

– A ty masz jasnowidzenia? – zdziwił się. – Czy kobiecą intuicję, tak jak ja podobno?

– Mam PMS.

– A ja mam wrzody – rzucił niespodziewanie.

– Przecież jesteś jeszcze przed gastroskopią? – zdziwiłem się.

– Co z tego? I tak wiem. Pewne rzeczy się wie. Ty też wiesz wszystko, nie muszę ci nic mówić, prawda?

Powoli skinąłem głową.

– Porozmawiaj z nią – powiedział Leszek, przełamując najwyraźniej coś w sobie.

– Tak, porozmawiam – przytaknąłem.

Zamknął na moment oczy.

– Umów się z nią i porozmawiaj – powiedział ciężko. – Jesteś mądrym facetem. Użyj mózgu.

Patrzyłem na niego.

– Będziesz wiedział, co robić. Wyśpij się, nie szalej. A teraz jedź. Zostaw mnie samego, bo naprawdę nie mogę z tobą dłużej rozmawiać. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Jasne – westchnąłem. – Rozumiem. Jak cię zostawię samego, to nie będziesz pił?

Pokręcił głową.

– A ty?

– A... tego to jeszcze nie wiem. – Uśmiechnąłem się do Leszka, odwróciłem i wyszedłem.

\*

W nocy śnił mi się siwy koń, przechodzący przez coraz większy mrok i smutny mężczyzna na nim, smutny mężczyzna, którego twarzy nie widziałem. Na jego boku czerniała rozszerzająca się wciąż plama i czarne krople kapały na siodło, na strzemię i na brzuch konia. Przejechał w ciszy tuż koło mnie i ciemność zamknęła się za nim. Gdzieś bardzo blisko huknął pojedynczy strzał.

Drgnąłem i obudziłem się.

28 kwietnia

„Porozmawiaj z nią. Jesteś mądrym facetem. Użyj mózgu...”.

Nadszedł ten poniedziałek, w którym miałem z nią porozmawiać, a nie wiedziałem nic. Czego Leszek nie potrafił mi powiedzieć? Sądząc po jego wyglądzie i zachowaniu – nie było to nic, co dawałoby jakąkolwiek nadzieję...

Na początku dużej przerwy Ania czekała tuż pod pokojem nauczycielskim, powiedziałem do niej:

– Wyjdź przed szkołę. Za chwilę do ciebie dołączę.

Odwróciła się bez słowa.

Przeszedłem przez aulę, zszedłem drugą klatką schodową. Czekala na mnie za rogiem. Wykonaliśmy ten majstersztyk konspiracyjny rodem ze *Stawki większej niż życie*, bo czułem, że musimy porozmawiać spokojnie i na osobności. Bez setek par oczu wpatrzonych z rozgorączkowaniem w nasze usta. Tu, poza murami szkoły, istniała szansa na taką rozmowę. Ruszyliśmy wolno chodnikiem, potem skręciliśmy na wewnętrzny dziedziniec, pośrodku czworoboku wysokich domów. Zgasł nagle hałas ulicy i jej przyspieszone tętno, tu, gdzie byliśmy, rosły drzewa, kwitły krzaki bzu, na ławkach siedziała para staruszków i dwie mamy z dziećmi w wózkach, młody chłopak wyprowadzał psa. Słońce przygrzewało, usiedliśmy na ławce z brzegu.

Zerknąłem na nią. Nieobecna, chmurny profil, pięć piegów na małym nosku, oczy w cieniu rzęs, wbite w ziemię. Poczujęm lęk i wzruszenie. Wiedziałem, że nie rozpocznie, wziąłem oddech i powiedziałem:

– Chciałaś ze mną porozmawiać. Wal śmiało, mamy dwadzieścia minut.

Jakby tego nie usłyszała. Jakby w ogóle nie rejestrowała mojej obecności tuż obok. Zimno przeleciało mi po karku, podjąłem znów:

– Więc?

Nic nie odpowiedziała. Odruchowo podniosłem jakiś patyk, bo ręce tak mi się zaczęły trząść, że musiałem je czymś zająć. O co chodzi? Co się w niej dzieje? Co chce mi – lub nie chce – powiedzieć? Narysowałem trójkąt Pitagorasa i odruchowo zacząłem udowodniać twierdzenie, wciąż patykiem, na płytkach chodnika. Nie odważyłem się podnieść na nią oczu.

– Piętnaście minut – powiedziałem cicho. – Czego się boisz?

– Bo to prośba.

To wszystko, co było między nami, raptem stanęło mi w oczach: lawina schodząca z serca, gdy trzymałem ją na rękach, pierwsza wizyta u niej w domu, chmury, samochód, telefon, szambo, bagażnik w częściach, rozmowa o malarstwie, komputer, konie u Leszka, Wigilia, studniówka, noc u niej,

zapchana umywalka... Wszystkie obiady i kolacje, wszystkie rozmowy, nasza nauka, nasza przyjaźń... nasza... moja miłość. I nigdy żadnej, żadnej prośby. Nigdy.

– Pierwsza – powiedziałem.

– Ponieważ nie mnie dotyczy.

Podniosłem głowę, spojrzałem wreszcie w jej oczy. Nie powinienem był tego robić. W oczach był taki ból i lęk, że natychmiast odwróciłem spojrzenie.

„Ptaszku” – pomyślałem. – „Czy jeszcze mamy o czym z sobą rozmawiać? Co się stało? Dlaczego się mnie boisz? A może to nie lęk? Może... niechęć? Co się z tobą stało?”

– A gdyby dotyczyła ciebie? – spytałem wreszcie z ciężkim sercem, chcąc już to wiedzieć.

– Nie prosiłabym – odparła cicho.

– Nie prosiłabyś – powiedziałem spokojnie.

Więc już? Tak to się właśnie skończy? Prośbą o kogoś innego? Dla kogoś innego?

– A więc? Cóż to za prośba? – spytałem.

Nie mogłem na nią spojrzeć, ona też na mnie nie patrzyła.

– Chodzi mi o Michała.

No tak. Czego mogłem się właściwie spodziewać? Zawsze chodziło jej o Michała. Gdy wszedłem w tę szkołę, w jakiś sposób z nim była, mimo zaprzeczeń pani Barskiej, teraz, gdy wychodzę, gdy wychodzimy razem, ona też z nim będzie. Czy go kocha? Czy zawsze kochała? Jedno jest pewne – wpadłem w ten związek jak intruz, jak idiota, próbujący sobie coś wywalczyć, próbujący z czymś wygrać, gdy nie miałem żadnej szansy na wygraną, nigdy, od samego początku... To pewnie chciał mi powiedzieć Leszek wczoraj, gdy już zmusiłem go swoim zdeterminowaniem do rozmowy, przecież unikał mnie cały dzień, nie odbierał telefonu, włączył się po polach na koniu aż do zmroku, aby nie musieć być ze mną sam na sam, aby nie musieć mi tego wszystkiego powiedzieć... Użyj mózgu... Leszek, kurwa, jak mogę użyć mózgu w takiej sytuacji, przecież tu nie o mózg chodzi, tylko o serce... A serca już też użyć nie mogę, bo prawie nic nie zostało z tych potrzaskanych kawałków... Patetyczny kretynie – pomyślałem sarkastycznie. – Skończony dupku – dodałem. – Wale Miedzeszyński – dorzuciłem. – Idioto. Frajerze.

Siedzieliśmy na tej rozgrzanej od słońca ławce, w zapachu bzów i zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będziemy tak siedzieli jak para starszków obok nas, po długim, szczęśliwym, wspólnym życiu, pełnym miłości, wzajemnej serdeczności i zaufania.

– Wiem, że Michał miał się jutro zgłosić do pana, żeby zdać cały materiał – powiedziała Ania. – Ten egzamin miał być warunkiem dopuszczenia do matury.

– Zgadza się – powiedziałem.

Wszystko się zgadza. Jakie jeszcze mogę mieć wątpliwości?

– On do pana nie przyjdzie.

– Tak podejrzewałem.

– Nie, nie sędzę, by mógł pan to podejrzewać – powiedziała sucho. – To, że do pana nie przyjdzie, nie jest spowodowane jego fanaberiami, lenistwem czy totalnym olaniem pana i waszych wcześniejszych umów. Gdyby tak było, w ogóle nie śmiałybym w to ingerować.

– Dlaczego więc do mnie nie przyjdzie? – spytałem, choć przecież znałem odpowiedź.

Hardy, niepokorny Michał, ambitny i dumny. Czego można się spodziewać? Przecież nie poniżenia...

– Ponieważ ma trudną, naprawdę niezwykle trudną sytuację rodzinną. I nie miał fizycznej możliwości, by przygotować ten materiał. Panie profesorze... – urwała.

Nie mogłem na nią spojrzeć. Nie tym razem. Pokerowa twarz pokerową twarzą, ale wiedziałem, że teraz to już widać na niej wszystko.

– Nie mogę panu powiedzieć, na czym polega trudność całej sytuacji, ponieważ nie zostałam do tego przez Michała upoważniona. W ogóle chciałabym prosić, aby cała ta rozmowa została tylko między nami. Michał nie może się o niej dowiedzieć.

Udało mi się wreszcie podnieść na nią wzrok. Spojrzałem na jej piękną, wzruszoną twarz, w jej czarne, pełne niepokoju źrenice i pomyślałem, że nigdy, nigdy nie sprawię jej bólu... I że nie ma takiej rzeczy, której bym dla niej nie zrobił.

– Musicie być w wielkiej przyjaźni – powiedziałem wreszcie, nie mogąc, nie potrafiąc powiedzieć prawdy. Prawda brzmiała: musisz go bardzo kochać...

– Tak – powiedziała spokojnie Ania. – Przyjaźnimy się od wielu lat, pan przecież o tym wie. Teraz widzę, co się dzieje z Michałem, jestem

świadkiem tego, co wydarzyło się... w jego życiu i tylko dlatego proszę pana o pomoc. Czy zechce mu pan pomóc?

Moja mała, dzielna dziewczynka... Co jej miałem powiedzieć? Tak, zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Żebyś była spokojna. Zrobię dla ciebie wszystko.

Ręce przestały mi się trząść, odrzuciłem patyk. Wiedziałem, co miałem wiedzieć.

– No, dobrze – powiedziałem, kalecząc się każdym słowem. – Rozumiem. Bywają istotnie w życiu sytuacje skomplikowane i trudne, a ja nigdy nie byłem przesadnie pedantyczny.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję panu.

Jak Wokulski, kurwa, i Izabela... Wszystko za jedno *merci*...

– Tylko teraz dopiero zaczyna się cała trudność.

– Jaka trudność? – spytałem i spojrzałem na zegarek. Przerwa powoli się kończyła i nasza rozmowa też. – Mamy jeszcze siedem minut i ani chwili dłużej. Mam już dość rozmów z panem dyrektorem na jakiegokolwiek tematy. Prędiutko.

Wszystko mnie w środku bolało. Wszystkie bebechy, dwukomorowy mięsień z zastawkami, skurczony wór żołądka, wszystkie kichy... Z płucami też coś było nie w porządku, zachowywały się tak, jakby się nie mogły rozszerzyć. Nabierałem powietrze płytkimi oddechami, myśląc, że ostatni raz tak się czułem przy Majce. Ten sam przeciągły ból, jakby poobrywały mi się wszystkie wnętrzości...

– Problem polega na tym, że ja nie mogę tego powiedzieć Michałowi, gdyż zorientowałby się, że zwróciłam się w ogóle do pana z jego problemem, a tego by nie zniósł.

Jasne, oczywiście. Co jeszcze usłyszę?

– Jednocześnie obawiam się, że on sam z tą prośbą się do pana nie zgłosi... więc...

Więc. Przecież mnie za chwilę szlag na miejscu trafi. Więc. Kurwa, czy ona się słyszy?

– Więc wychodzi na to, że ja mam się do niego zgłosić? – Nie wytrzymałem.

Patrzyła na mnie zawstydzona, a jednocześnie pewna swego jak skała.

– Aniu, na miłość boską – powiedziałem z niedowierzaniem. – Czyś ty postradała rozum?

Patrzyła mi prosto w oczy. Zawstydzona. Triumfująca. Niezłomna. Powoli skinęła głową.

– No to powiedz, czego właściwie ode mnie oczekujesz? – spytałem ciężko, podnosząc się z ławki.

Nie mogliśmy dłużej tu siedzieć, przerwa już się kończyła.

– Nie oczekuję. Proszę – odpowiedziała Ania pokornie.

Ona też się podniosła, przygładziła ręką włosy, rozwiewane przez wiatr. Zapach bzów, zapach jej włosów i skóry...

– Co mam zrobić? – spytałem beznadziejnie.

Co mam zrobić z tą miłością do ciebie? Kiedy mi już tak wprost, tak ostatecznie powiesz, że nigdy mnie nie pokochasz? Kiedy odbierzesz mi oddech? Chcę to usłyszeć. Jasno i prosto z twoich ust.

– Proszę, niech go pan zahaczy i spyta, czy przygotował materiał. Odpowie, że nie, ale proszę, niech pan z nim porozmawia. Niech mu pan powie to samo, co mnie. Że w życiu zdarzają się różne sytuacje. Bo to prawda. Więc proszę pana tylko o wyjście w stronę Michała.

Już ja do niego wyjdę...

– Czyli mam jutro latać po szkole, jak pies z wywieszonym jęzorem i go szukać, bo rozumiem, że sam mi się nie będzie nawijał pod oczy? Boże, to naprawdę przechodzi ludzkie pojęcie. Wyjdźmy już nareszcie z tej szkoły – szepnąłem.

– Pan – zawahała się – nie będzie tu pracował w przyszłym roku?

Już bym nie pracował, gdyby nie ty – pomyślałem.

– A jak myślisz? – spytałem.

– Myślę...

– No właśnie. Wyjdźmy. Za długo to już trwa i staje się zbyt męczące.

– Nie wspomni pan o tej rozmowie?

Przystanąłem na moment, obrzuciłem ją uważnym spojrzeniem.

– Przecież przyrzekłem.

– Właściwie to pan nie przyrzekł. – Uśmiechnęła się.

Trzyma mnie za słowo... Bardzo dobrze. To musi być dla niej naprawdę ważna sprawa.

– Więc przyrzekam – powiedziałem.

Też uśmiechnąłem się do niej, choć nie wiem, czy odbiło się to w jakikolwiek sposób na mojej umęczonej twarzy.

– Pewnie nie wiesz, Aniu, że to, o co mnie poprosiłaś, należy do kategorii próśb bardzo trudnych do spełnienia.



– Dlaczego? – spytała.

Czy naprawdę tego nie wie, naprawdę nie wie, czy nie chce rozumieć?

– Dlatego – powiedziałem ciężko – że stawia mnie jako nauczyciela w sytuacji... powiedzmy dość dwuznacznej. Nie istnieją racjonalne powody, by dopuścić Michała do matury i jeszcze go o to prosić.

– Więc dlaczego zgodził się pan to zrobić?

Bo cię kocham – pomyślałem i zacisnąłem ręce w pięści. Kocham cię jak potępieniec i kręcisz mnie na palcu jak włosy... Który z tych zasranych poetów o tym pisał? Nie przypomnę sobie w tej chwili.

– Z powodów irracjonalnych – powiedziałem. – Czy to już koniec próby, czy może masz coś jeszcze, tylko zabrakło nam czasu?

– To absolutnie wszystko – powiedziała.

Gdzieś podświadomie liczyłem na to, że odpowie inaczej. Że nie chodzi tylko o Michała... tylko o niego.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać.

Drzwi szkoły, kilka stopni, kręci mi się w głowie. „Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać, dziękuję, że zechciał...”. Dzwonek pada ostrym, zdecydowanym dźwiękiem, wprost w mój umysł, w jego odruchy...

– Pokręć się tu jeszcze trochę – powiedziałem, słuchając tego odruchu. – Niech nas raczej nikt nie widzi wchodzących razem, bo atmosfera tuż przed maturą sprzyja powstawaniu plotek i hysterii. Bez skandalu.

Wszystko, co robiłem przez ten rok, można zamknąć w tych dwóch słowach. A gdzie była odwaga, gdzie był obowiązek względem niej, obowiązek wyznania prawdy, jakkolwiek trudna by była? Więc czemu się dziwię... Co dla niej zrobiłem?

– Bez skandalu – powtórzyłem martwo, minąłem ją i wszedłem w bramę szkoły.

\*

W pustym pokoju nauczycielskim czekała na mnie pani Barska.

Spojrzała, gdy wszedłem i jakiś dziwny wyraz przebiegł przez jej twarz.

– Panie Pawle – powiedziała. – Siostra Michała Krassowskiego, Beata... targnęła się na swoje życie. Ledwie ją odratowano. Czy wie pan może, co mogło ją popchnąć do tego kroku?

Zamarłem. Pokręciłem głową. Poczułem, jak lodowacieje mi nos i szczyty policzków. Spojrzałem pani Barskiej w oczy.

– Mówię to panu w zaufaniu – szepnęła. – Raczej będziemy starali się zatuszować ten tragiczny wypadek. Całe szczęście, że tak się to skończyło. Jest w szpitalu na Wołoskiej.

Jak automat skinąłem głową.

– Za chwilę matura – powiedziała znów wahająco pani Barska.

– Tak. Wiem – powiedziałem. – Rozumiem.

– Dziękuję, panie Pawle.

\*

Beata Krassowska. Bemolka.

Wiedziałem oczywiście, jak wszyscy na nią mówią, choć ja sam nigdy nie użyłem oficjalnie tego pseudonimu. Zazwyczaj zwracałem się do niej: Be-ata, a ona rzucała mi szybki porozumiewawczy uśmiech. Drobniotka, dziewczęca, niegrzeczna. Inteligentna, złośliwa, o wielkim i momentami abstrakcyjnym poczuciu humoru. Urocza, zwariowana, nieprzewidywalna. Taka musiała być kiedyś Emilka...

Bemolka Krassowska. Identyczna jak Michał – harda, zuchwała, pełna poczucia godności. Takich ludzi zawsze podziwiałem i odruchowo wybierałem na przyjaciół, z takimi łączyło mnie wszystko. Ci tutaj byli młodzi, a Michał był moim rywalem, więc nie mogło być mowy o przyjaźni. Ale szanowałem ich zawsze – za postawę, za niepokorność, za niepodporządkowanie, za niezłomne stanie na straży swojego obrazu świata. Mądrzy, niebanalni ludzie, oboje piekielnie zdolni, wrażliwi, dojrzałi...

Beatka Krassowska... Co mogło się wydarzyć? Jakie ciśnienie, któremu nie była w stanie sprostać, doprowadziło ją do tego kroku? Rozumiałem ją. Tak, do cholery, doskonale ją rozumiałem. Wiedziałem, że przychodzą takie momenty, gdy osoby takie jak ona pękają z hukiem, niezdolne do porażki, kompromisu, niezdolne do przeżycia przegranej. Ma piętnaście lat... Michał osiemnaście – to taki niebezpieczny wiek. Wiek rozchwiania emocjonalnego. Wiek, gdy ludzie poddawani są straszliwym ciśnieniom. Jakie zdarzyło się tym razem?

Dziś ich mama przyszła do szkoły.

Piękna, elegancka, płowa blondynka, o doskonałej figurze, perfekcyjnie ubrana, zadbana, pełna wdzięku, którego nie zdołało powalić nieszczęście. Rozmawiała tylko z dyrektorem i wicedyrektorką – panią Barską. Andrzejewski na pewno będzie się starał wszystko zatuszować jak się da, bo

szkole niepotrzebny taki rozgłos... Przyrzekłem pani Barskiej absolutną dyskrecję. Lecz mimo prób zachowania sekretu – wiem, że za chwilę i tak wszystko ujrzy światło dzienne. Szpital zaraz powiadomi policję, lada moment będzie się można spodziewać wizyty prokuratora. Pani Barska natychmiast załatwiła psychologa – pana Waniszewskiego, który tak pomógł podnosić się Ani... Ale z nią była inna sprawa. Beata jest już przytomna, nie zgadza się na żadną pomoc, milczy. Milczą też Michał i Ania. Wiem, że na pewno oboje wiedzą wszystko o całej sprawie. Wiem też, że nie wolno naciskać. Co Ania mi takiego powiedziała? „Nie zostałam do tego przez Michała upoważniona”. Michał milczy i ona też – oboje lojalni w stosunku do Beaty.

Wśród tego zamętu i niepokoju tylko jedna rzecz napawa mnie odrobiną nadziei... Może źle zinterpretowałem naszą rozmowę? Mam nadzieję, że źle. Michał jest jej przyjacielem – to zrozumiałe, że w takiej sytuacji stoi u jego boku, po jego stronie, że chce mu pomóc. Nie musi to oznaczać uczucia, miłości, związku. Nie musi.

Może jest jeszcze jakaś jedna iskra w tym mroku.

Może nie wszystko stracone.

po południu

Zdanowski zdecydowanie zaczyna naciskać na stworzenie zespołu. Dziś ze mną rozmawiał, widzę jego zaniepokojenie, że jeszcze nic nie robię w tym kierunku. Prawda jest taka, że sam nie wiem, co robić... Nie wiem, kogo zaprosić do współpracy, ludzi od Garlickiego zwyczajnie się boję... Jasne, mogę dać ogłoszenie. Zgłosi się cała masa nie wiadomo kogo, a ja potrzebuję naprawdę dobrych fachowców. Na razie zapieprzamy sami z Morycem, ale jak długo da się tak ciągnąć?

Ostatnio podszedłem do naszej tablicy korkowej, na której wciąż jeszcze wisiała kartka: *Don't make me flip my bitch switch*. Uśmiechnąłem się w myślach do Emilki, następnie zgmiotłem kartkę w kulę i wyrzuciłem do kosza.

Kula? Może jednak zadzwonić do Kuli?

Kula był w zespole Garlickiego, wściekle inteligentny, z gigantyczną wiedzą, a zarazem potężnym dystansem. Fajny, równy Kula, który uczestniczył wtedy w akcji w knajpie i rzucił Garlickiego w dowód solidarności ze mną. Ciekawe, co się z nim dzieje?

Tomek Draniewicz ma lada dzień przyjechać do Polski, nie chcę mu opowiadać o całej sytuacji przez telefon, to temat na rozmowę w cztery oczy. Może się zdecyduje na powrót do kraju? Tam w Niemczech ma robotę, wszystko jest OK, ale widzę, że tęskni, zostawił tu bliskich, rodziców, brata, siostrę, nas – mnie i Leszka. Kiedyś byliśmy nierozłączni. Nadawaliśmy tym samym językiem, trzymały się nas takie same żarty, a przede wszystkim wyznawaliśmy te same wartości. I tak widzę, że im jesteśmy starsi, tym to właśnie bardziej dochodzi do głosu. Można mieć fajnych kumpli, owszem, całą masę. A jednak gdzieś, kiedyś, w ważnych chwilach – wraca się do źródeł. Tomek, Bartek, Leszek i ja. Może znów teraz będziemy razem?

wieczorem

Wygrzebałem stary kalendarzyk z adresami i telefonami byłych kumpli z uczelni i od Garlickiego. Trudno, ryzyk-fizyk. Przecież to mogą być goście zupełnie w porządku. Nie ich wina, że wśród nich pojawił się Miki. Kalendarzyk sam mi się otworzył na literze „K”. Kula – Antek Kuliński. Zadzwoniłem.

– No cześć, stary – powiedział Antek po drugiej stronie. – Kopę lat.

– Niepełny rok – powiedziałem. – Co u ciebie?

– Ano nic. Pracuję.

– A gdzie teraz pracujesz, skoro zrezygnowałeś z pracy u Garlickiego?

W słuchawce zapanowało milczenie.

– Jak to? – spytał wreszcie ostrożnie Kula.

– Antek – powiedziałem z raptem obudzonym podejrzeniem. – Antek, czekaj.

Znowu ten paskudny, zimny dreszcz... Zaraz, trzeba to wyjaśnić.

– Dowiedziałem się, że jakiś czas po tym, jak Garlicki mnie wyrzucił, zrezygnowałeś z pracy u niego. Ty, Adaś, Sandra... i chyba ktoś jeszcze. Czy to prawda?

– A... kto ci o tym powiedział?

Z kolei zrobiło mi się gorąco.

– Masz rację – powiedziałem cicho. – Nie powinienem w to wierzyć.

– Nie wiem, kto ci o tym opowiadał – podjął Kula. – Ale nie. Nikt nie zrezygnował.

– No jak to, a teraz? – zdziwiłem się. – Przecież firma upadła?

– O czym ty mówisz?

Teraz to już zrobiło mi się zupełnie niedobrze.

– Kula – odezwałem się z wysiłkiem. – Powiedz, że sobie robisz jaja.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Kula, proszę cię – powiedziałem do tej ciszy.

Gdy wreszcie się odezwał, miał bardzo dziwny głos.

– Słuchaj, Paweł. Garlicki cię wypieprzył za bójkę w knajpie...

– Nie. Garlicki mnie wypieprzył, bo nie zgodziłem się na napisanie backdooru.

– Nie pierdol? – Przeraził się. – A kto kazał ci to zrobić?

– Długa historia – westchnąłem. – W każdym razie Garlicki i Kostecki mieli w tym swój udział. Byłem przekonany, że teraz, po ich aresztowaniu, firma padła.

– Firma cały czas istnieje – powiedział poważnie Kula. – Z tym samym składem, z tymi samymi zleceniami. Stary, co tu jest grane?

– A kto tę firmę teraz prowadzi? – spytałem.

– Taki facet odgórnie naślany.

– Odgórnie, to znaczy skąd? Wiecie to?

– No... chyba z tej agencji rządowej, nie?

– A wiesz na pewno?

– Nie wiem.

– Stary, to była świetna, doskonale rozkręcona firma, z genialnym składem pracowników, komuś chyba zależało na tym, by ją przejąć w całości. Pytanie: komu?

– Powtarzam ci, nie wiem – westchnął ciężko Kula.

– Rany boskie – powiedziałem i rozłączyłem się.

Gdzie, kurwa, mam jakiś numer do Emilki? Czy w ogóle mam?

Żaden numer nie odpowiadał.

Wiadomo, że nie odbierała służbowej komórki, ale dostałem też od niej numer prywatny. Zero kontaktu, wszędzie zero kontaktu...

Emilka – zwariowane, słodkie dziecko o potężnym mózgu. Emilka – pracownik wywiadu, genialna hakerka współpracująca z policją. Emilka – wyjaśniająca sprawę na komendzie... Gdzie mam numer do tej pieprzonej komendy?

W dupie miałem godzinę, połączyłem się. Nikt nie chciał ze mną gadać, kazali zadzwonić rano.

Rano. Może racja. Trochę ochłonąłem. Rano. Do rana dużo czasu. Dużo czasu na rozmyślanie.

Kim tak naprawdę była Emilka? I w co grała?

Zapewniła mnie, że wszystko jest pod kontrolą, że trzymają rękę na pulsie, wciąż pracują nad tą sprawą. Nie pozwoliła się mieszać. Wysłała do Zdanowskiego. Raptem ze zgrozą uświadomiłem sobie, że to ona załatwiła mi u Zdanowskiego kierownicze stanowisko. Tylko ona mogła mu to... zlecić, nakazać, prosić o to z ramienia organizacji, dla której pracowała. To jej zawdzięczam awans. Czym ma być ten awans? Próbą przekupstwa? Szantażem? Trzymaniem mnie w garści? Jakie służby tak naprawdę Emilka reprezentuje? W czym sama jest umoczona? Bo to, co powiedział Kula, otwiera szerokie pole dla wszelkich akrobacji myślowych, dla domysłów i spekulacji, dla niewiary.

Jasna, otwarta Emilka. Prawda, czy pozór? Kim jest, tak naprawdę?

29 kwietnia

Zadzwoniłem na komendę bladym świtem, o siódmej rano. Bez oporów podałem wszystkie dane, łącznie z peselem, imieniem rodziców i panińskim nazwiskiem matki, co wprowadziło element humorystyczny, gdyż nazwisko okazało się niemożliwe do zapisania przez mojego interlokutora. Na wszelki wypadek zacząłem sobie przypominać numery

ubrań i butów, a także prywatny adres mojego dentysty, ale to już na szczęście okazało się niepotrzebne.

– Słucham – spytał wreszcie umęczony facet po tamtej stronie.

– Chciałbym skontaktować się z panią nadkomisarz Emilią Skrzyńską – powiedziałem.

– A w jakiej sprawie?

A w srakiej. Gównu ci do tego, koleś.

– W sprawie prywatnej – powiedziałem.

– W sprawie prywatnej umawia się pan przez komendę?

– Czy byłby pan łaskaw przekazać pani nadkomisarz, że dzwoniłem? – spytałem, straciwszy do końca cierpliwość. – Bardzo dziękuję. Będę zobowiązany. – Odłożyłem słuchawkę.

Musiałem wyjść do szkoły, musiałem iść do banku, a gdy wreszcie skończyła się moja *night shift* (*night shit* – jak mawiał Moryc), była prawie jedenasta w nocy. Telefon zadzwonił w momencie, gdy przekraczałem próg mieszkania.

– Szukałeś mnie? – spytała. – Cała policja postawiona na nogi. Co się stało?

– Emilka – powiedziałem. – Muszę z tobą porozmawiać.

– O czym? – zapytała po chwili.

Zamilkłem. Dlaczego wydawało mi się, że powie wszystko i wszystko wyjaśni? Dawna Emilka, śliczne, zwariowane dziecko... może tak. Tamta Emilka, którą znałem, lubiłem, szanowałem, z którą umiałem gadać... Kim jest ta kobieta, która zadzwoniła do mnie o wpół do dwunastej w nocy? Agentem? Współpracownikiem wywiadu? Hakerem? Czy mogę jej ufać? Zdałem sobie sprawę, że to obca kobieta, obca dziewczyna, tylko imię to samo: Emilka i te same srebrzyste oczy...

– Emilka, co się dzieje? – spytałem mimo wszystko. – Firma Garlickiego cały czas istnieje, nawet po jego aresztowaniu. Rozmawiałem z kumplem stamtąd. Wszystko jest jak było. O co tu, kurwa, chodzi?

Nie widziałem jej twarzy i bardzo mi to przeszkadzało w rozmowie. Nie widziałem jej oczu i wyrazu tych oczu.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała gorzko.

– Prawdę.

– Prawdę. – Zamyśliła się.

– To ty załatwiłaś u Zdanowskiego mój awans – strzeliłem. – Jak mam to traktować? Jak łapówkę?

– Jak podziękowanie.

Znów zamilkła i usłyszałem, że zapala papierosa. Ja swojego zgasilem. O co mogę jeszcze ją spytać? Przecież nie odpowie mi na żadne pytanie...

– Dlaczego firma wciąż istnieje? – spytałem. – Kostecki i Garlicki aresztowani, tak? Więc kto przejął firmę? I w jakim celu? Przecież powinna być wymazana z mapy świata...

Po tym wszystkim. Po układach z mafią. Po układach z obcym wywiadem. Jakim wywiadem? Kto tym kręci? Może wciąż kręci? Może zmienił się tylko właściciel, a cel został ten sam? Co się tam dzieje? Kto nad tym czuwa?

– Emilka? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć.

– Stara śpiewka – westchnąłem.

– Tak, stara – przytaknęła. – Jeśli mogę powiedzieć, to mówię. Jeśli nie, to nie.

– Emilka... w co ty grasz?

– Ja? – zapytała. – Ja już w nic nie gram.

– Wszystko jest w porządku?

– Dla ciebie ta sprawa jest już zamknięta – powiedziała po chwili. – Masz wyczyszczony życiorys, pracujesz w banku za kupę hajsu. Nic więcej wiedzieć nie musisz.

– Za kogo mnie masz? – spytałem gorzko. – Nie obrażaj mnie.

– Kim ty jesteś? Romantycznym frajerem?

– Tak – przytaknąłem. – Całe życie byłem romantycznym frajerem. A ty? Kim ty jesteś?

– Kim? – Zamyśliła się. – Człowiekiem, który gasi pożar. Człowiekiem, który naraża wszystko, a nie dostaje za to nic. Człowiekiem, który nie wierzy już w żadne ideały, ale wciąż jest gotów dla nich zginąć.

– To tylko puste słowa – szepnąłem. – Tak naprawdę godzisz się na to, co się dzieje, a dzieje się... sama wiesz. Uczestniczysz w tym. Dajesz swoje przyzwolenie.

– Skąd wiesz? – spytała. – Co daje ci prawo, żeby mnie oceniać?

– Co daje mi prawo? Te tajemnice, które masz przede mną. Gdyby sprawa była czysta, nie byłoby żadnych tajemnic.

– Paweł – odezwała się spokojnie. – Ile ty masz lat? To nie są zabawy dla małych chłopców. To nie są zabawy dla grzecznych chłopców. A przede



wszystkim to są tajemnice służbowe, których nie mam prawa ci wyjawiać. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

– Ale ty to akceptujesz?

– Nie mam wyjścia – powiedziała powoli.

– Dlaczego, do cholery?

– Nie mogę powiedzieć...

Teraz ja zamilkłem. Emilka, mistrzyni podtekstów... Co właśnie mi przekazała?

– I co? Zawiodłeś się na mnie?

– Wiem, że nie możesz nic powiedzieć. Byłbym idiotą, gdybym czuł zawód z tego powodu. Ale w sumie... tak. Chyba tak. Zawiodłem się.

– Znów oceniasz coś, o czym nie masz pojęcia.

– Tak. O tym nie wiem. Ale wiem niestety, jak to wszystko zawsze funkcjonowało, więc...

– Porównanie nie jest dowodem – powiedziała sucho. – A ty jesteś matematykiem. Matematykiem, nie romantycznym frajerem.

– Tak – powiedziałem. – To wszystko? Nic mi więcej nie powiesz?

– Pewnie nie.

– Tym razem chyba już nie będę cię pytał, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. Zakładam, że...

– Nigdy nie mów nigdy. – Usłyszałem rozbawienie w jej głosie.

Ja nie mogłem się zmusić do uśmiechu.

– Dobranoc, pani nadkomisarz – powiedziałem wreszcie. – Dobranoc, miłych snów.

Nie wiedziałem, czy chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie dałem jej szansy. Odłożyłem słuchawkę.

w nocy

Znów noc i znów idę sam ulicami.

Indiry Gandhi, Hawajska, KEN. Czasem przejedzie jakiś samochód. Nie mogę spać, nie mogę się uspokoić, za dużo myśli w głowie. Za dużo myśli, których nie potrafię połapać.

Już po pierwszej, prawie wpół do drugiej. Nie ma sensu tak chodzić.

Kilka razy przejeżdżał motor i patrzyłem, czy to nie ona. Ale co by robiła tu, na Ursynowie? Ze mną się już pobawiła, nie jestem jej do niczego potrzebny. Kiedyś kazała mi słuchać rapu. Teraz tłucze mi się po głowie jedna zwrotka, której nie potrafię przyporządkować do żadnej kapeli:

*Czasem nie wolno odpuścić i stanąć z boku  
bo w życiu są sprawy dużo ważniejsze niż spokój...*

Banalne? Tak. Prawdziwe? Nie. Tak. Dlaczego to się do mnie przyczepiło?

Emilka... Kurwa, sama próba dokonania podsumowania naszej rozmowy wprowadza mnie w stan totalnej bezradności. I nic tu nie pomoże sokratyczna ironia.

Emilka, twoje słowa odczytane *à la lettre* nie znaczą nic. Jednocześnie twoje słowa są jak odbezpieczone granaty – to ryzyko podrzucać je w dłoń, a nawet ryzyko długo się im przyglądać. I to jest z twojej strony dość subtelny sposób morderstwa. Szczególnie, że znasz moje dziedziczne obciążenie Bohaterem Niezłomnym. Takim, który już nie wierzy w pointujące przybycie kawalerii, ani który nie czeka na zbawcze okręty Jej Królewskiej Mości.

Znowu grasz ze mną w swoją zabawę, stymulujesz moje odruchy, badasz *sense of duty*?

Czerwone światło na skrzyżowaniu i przechodzę przez nie. Nogi zaniósł mnie na Ciszewskiego i zdaje się, że wiem, dokąd mnie prowadzą... Bez sensu, tak długo ostatnio udawało mi się przeżyć we względnej trzeźwości... Drzwi nie stawiają oporu, Dusia uśmiecha się ładnym, kobiecym uśmiechem.

– Tym razem długo cię nie było.

– Daj spokój, musiałem popełnić te wszystkie błędy... Trochę czasu to zajęło.

– Czekaj... jak szła ta piosenka... Już wiem: „Wypijmy za błędy”...

– Dusia. Doceniam twój liryzm i twojego ducha poezji. Ale nie ma tyle alkoholu... Więc na razie jedną wódkę i jedną whisky. Poproszę.

– Wiesz, że będzie dobrze?

– Musi być.

30 kwietnia, poranek

I jeszcze raz ten numer, zaczynający się od 0049...

– Tomek – powiedziałem, gdy odebrał. – Może jeszcze przyjdzie dobry czas na likwidowanie swojego życia tam, gdzie jesteś. Ale teraz... Teraz to jeszcze nie jest ten moment.

– O – odezwał się Tomek po chwili milczenia. – To dobrze, że dzwonisz, bo... No nic. Mam przyjechać?

– Nie. Ja przyjadę. Musimy pogadać. Nie przez telefon. I muszę sprzedać samochód. Nie jestem baronem narkotykowym.

– Poszukać ci kupca?

– Gdybyś mógł... Przepraszam cię za wszystko.

– Przestań.

– Przepraszam cię za zawód.

– To nie ty mnie zawiodłeś.

– Mnie też ktoś zawiodł – szepnąłem.

– I tak się to toczy, stary. Spokój. Tylko spokój. Kiedy przyjedziesz?

– Jutro. Może być?

– Jasne.

– To strzałka.

Spokój. Bo w życiu są sprawy dużo ważniejsze niż spokój... Dość. Spokój. *Sérénité. Sérénité.*

Bo zwariuję.

\*

– Może się umówimy na piwo? – spytał Darek, przysiadając się do mnie w stołówce szkolnej. – Ciebie to już w ogóle ostatnio nie można nigdzie wyciągnąć.

Siedziałem właśnie nad swoim talerzem, a obiad przypominał ciąg Fibonacciego... Uśmiechnąłem się do Darka.

– Zapieprzam na dwa etaty – powiedziałem. – Codziennie po szkole mam jeszcze robotę w banku, wiesz, piszę im programy... Do domu wracam po dziesiątej.

– O kurczę, nie wiedziałem – zdziwił się Darek. – I długo masz zamiar tak ciągnąć?

– Do końca roku – westchnąłem i zdałem sobie sprawę, że myślę już jak nauczyciel. Dla nauczyciela koniec roku to czerwiec, dla wszystkich innych – koniec grudnia.

– Wiesz, mam tu umowę tylko na ten rok szkolny – dodałem jeszcze. – Potem zostanie mi wyłącznie bank. I całe szczęście.

– Szkoda. – Darek znów się uśmiechnął, bohatercko stawiając czoła obiadowi. – To znaczy dla ciebie dobrze. Przynajmniej nie będziesz się musiał dalej użerać z takim Zbyszkiem...

Po sławetnych denuncjacjach Zbyszka jeszcze na jesieni, koledzy starali się uprzykrzyć mu życie na wszelkie możliwe sposoby. Chowali mu

dziennik i buty, teczkę i święty zeszyt z notatkami, wysyłali uczniów, żeby wywołali Zbyszka z lekcji, podrzucali mu ulotki agencji towarzyskich, byli niezmordowani w robieniu psich figli. Brałem w tym czynny udział akcydentalnie, właściwie raz tylko wspólnie z Darkiem i Wojtkiem ulepiliśmy na boisku potężnego bałwana, ubierając go następnie w czapkę i szalik Zbyszka, ale generalnie nie miałem głowy do takich żartów, bo dziwnie przypominały mi okres mojej bardzo wczesnej młodości, czyli czasy pierwszego złodowacenia... Teraz, szczególnie po aferze z Mikim, po wczorajszej rozmowie z Emilką czułem się stary, po prostu stary i zmęczony.

– Po maturze – powiedziałem do Darka. – Nie gniewajcie się, ale pewnie wcześniej nie dam rady. Za to przyrzekam, że po maturze umówimy się wszyscy, z Wojtkiem, z Andrzejem, możemy wziąć Stefańskiego... to znaczy Waldemara.

– Dobra – zgodził się Darek, wstając od stolika. – Umowa stoi. My teraz chodzimy do takiej knajpy koło Sądów, ale wiesz co, ostatni raz razem to może pójdziemy sobie tradycyjnie do Mamusi, OK? Trzeba będzie uprzedzić Zbyszka...

– Uprzedzacie go?

– No, tak. Zapraszamy go każdorazowo, tylko zawsze mówimy o innej knajpie, niż ta, w której się akurat spotykamy – powiedział, błyskając uśmiechem. – Nie męcz się z tym głównem – dodał jeszcze, patrząc na moje próby konsumpcyjne. – To jest niejadalne. Ogonek się ucieszy. Chodź.

wieczorem

Do matury, *ergo* definitywnego rozwiązania sytuacji, zostało zaledwie kilka dni.

Serce i dreszcz biegnący po karku mówią mi, że wszystko stracone. Umysł i nadzieja umierająca na końcu mówią, że wszystko może się zdarzyć. Tak naprawdę nie wiem.

Przetrwałem ten rok. Przeczolałem się przez niego w pełnym uzbrojeniu, z absolutną determinacją człowieka, który wielokrotnie tracił już wszystko i wciąż od nowa podejmuje nierówną walkę. Prawdopodobnie to czczy romantyzm. Tak, wiem o tym. A jednocześnie to walka o to, by nie dać się zgiąć światu. To określenie swojej pozycji, oznaczenie jej na mapie zdarzeń, walka o to, by nie pozwolić porażce na opanowanie umysłu i duszy. Bo to byłaby klęska, to byłby kres. Dopóki tli się we mnie choć

jedna iskra wiary, jeden zagubiony płomyk naprzeciw mroku, jeden nieskrępowany oddech, jedno uderzenie serca, dopóty jestem tym, kim jestem – walczącym człowiekiem, który nie musi spuszczać wzroku.

Nie poddam się bez walki. Nawet jeśli przegram, chcę pamiętać, że walczyłem. O złudę, o miraż, ale i o komfort stania prosto, na wprost tego, co mnie przekracza. Zginę – wiem, lub mogę się tego domyślić. Wszyscy zginiemy. Nieznane będą nasze imiona. Nikt nas nie przywoła we wspomnieniu. Moja miłość i mój smutek pójdą za mną i nie zostanie po nich nawet puste miejsce.

\*

To interesujące, dlaczego zawsze mniej więcej pod koniec flaszki włącza mi się nieuchronnie ten patos... Koniec flaszki, siedem ósmych i pstryk!

Nie ma sensu już dalej pić. Bierz misia i kładź się spać.

1-4 maja

Wczesnym rankiem w czwartek zabrałem od Leszka samochód i znów ruszyłem w starą trasę – Poznań, Berlin, Hamburg.

Ani nie spotkałem, zresztą Leszek powiedział mi, że tuż przed maturą zawiesili jazdy, czemu się specjalnie nie dziwiłem.

– A ty wyluzuj z tymi podróżami, bo cię wreszcie szlag trafi. Podlicz sobie, spokojnie zrobiłeś już trasę do Władystoku.

– No... może tak – westchnąłem. – Ale po cholere miałbym jechać do Władystoku?

– A po cholere jedziesz do Hamburga?

– Muszę sprzedać samochód.

– Wiesz co, monotony jesteś z tym samochodem. Kupić, sprzedać. – Roześmiał się. – A może sprzedaj go Robertowi?

Przez moment makiaweliczność tego pomysłu urzekła mnie: doprowadzić do tego, by Robert dwa razy za ten wóz dał forszę – ale po namyśle uznałem, że jednak odpuszczę. Nic mi w sumie nie zawinił prócz tego, że powiedział „dupa” o Ani, no ale za to już zapłacił ponad sto pięćdziesiąt tysięcy marek...

Tym razem deszcz nie lał i nie spieszyłem się.

Przedemną był długi majowy weekend, na który Tomek mnie zaprosił i mieliśmy zamiar spędzić go w Niemczech, by móc wreszcie spokojnie

pogadać. Dobrze się czułem w jego towarzystwie, był spokojny i rzeczowy, miał trzeźwy osąd sytuacji, co było mi cholernie potrzebne.

Zostawiliśmy lochę w garażu i pojechaliśmy Tomka samochodem nad morze. Wcześniej próbowałem zdać Tomkowi jakąś relację z przebiegu zdarzeń, ale popatrzył tylko na mnie i spytał:

– Na Rugii byłeś?

Zaprzeczyłem, a on się uśmiechnął.

– No to chodź, pojedziemy. Będziesz miał morze, klify, kredowe skały i cały śliczny niemiecki romantyzm spod znaku Friedricha. Co prawda na skałach sobie nie usiądziesz, bo to Niemcy, ale będziesz mógł popatrzeć romantycznie przez barierkę.

– Przez barierkę? – zdziwiłem się. – No to gdzie tu romantyzm?

– Przecież powiedziałem, że niemiecki. Ale klify robią wrażenie.

Robiły istotnie. Dojechaliśmy do Stralsundu, a potem bardzo długim mostem na grobli przejechaliśmy na Rugię i dalej, na północny wschód do parku narodowego na półwyspie Jasmund. Pionowe, poszarpane białe skały spadały prosto w morze i nawet barierka nie była w stanie zepsuć tego widoku. W lesie wisiała nad trzęsawiskami zielona poświata.

Potem napchaliśmy się niemieckimi kielbaskami, opuściliśmy park narodowy i kawałek dalej dobrnęliśmy do zwykłej plaży. Poprzedniej nocy szalał sztorm i plaża wciąż jeszcze była wilgotna, z twardym i mocno ubitym śladem, który zostawiły fale. Mnóstwo mew chodziło po tym twardym piachu, znacząc go odciskami swoich nóg – małe krzyżyki ptasich stópek biegły meandrycznymi ścieżkami, krzyżując się między sobą. Gdyby na każdym takim krzyżyku opisać okrąg, dałoby to setki maleńkich pacyfek pod nogami. *Love. Make love. Love, not war.*

Usiedliśmy tam, gdzie piasek był jeszcze suchy.

A potem powoli, nie spiesząc się, dokładnie i leniwie opowiedziałem Tomkowi o wszystkim. O Emilce, o wciąż istniejącej firmie Garlickiego, o Kuli. Tomek znał Kulę. Znał oczywiście Garlickiego. Tylko nie znał Emilki. Fale miarowo rozbijały się na piasku i stwierdziłem, że już nigdzie nie chcę się stąd ruszać. Potem przysnąłem na kocu, a Tomek siedział i patrzył w morze.

\*

Trzy genialnie proste, bardzo spokojne dni. Dopiero teraz widzę, jak bardzo potrzebowałem tego wyciszenia.

\*

W czwartek Tomek spytał, czy chcę zwiedzić kwaterę Hitlera.

– Pogięło cię? – zdziwiłem się. – Byłem w Wilczym Szańcu. Nie jestem takim fanem Hitlera, żebym robił pielgrzymkę po jego wszystkich kwaterach...

– Byłeś w Wilczym Szańcu?

– No, tak. Bardzo piękne miejsce. Ściany dwa metry grubości, stropy osiem metrów, stan deweloperski, okien brak, ale bardzo *gemütlich*<sup>10</sup>, stylowy mech na elewacji i drzewka na dachu, metraż też niczego sobie, piękna zalesiona okolica...

– Przekonałeś mnie. Kupuję.

\*

W piątek drugiego maja Tomek powiedział:

– Wiesz, z tą Emilką to nie musi być tak...

Znów leżeliśmy na plaży, zrobiło się całkiem ciepło, morze trochę falowało i patrząc na nie, myślałem: „Nie, to nie *mare tenebrarum*, to *mari... mari mossi*, morze poruszone...”

Nie chciało mi się myśleć o Emilce.

– Ja na twoim miejscu – kontynuował Tomek, nie otwierając oczu – zacząłbym zabierać powoli ludzi od Garlickiego do banku. Zabierać ludzi, żeby już nikt im nie spróbował demolować życiorysów. Żeby nikt nie rujnował im życia. Zabierz, kogo możesz, tak na wszelki wypadek.

– A ty? – spytałem. – Teraz już wiesz. Nic przed tobą nie ukryłem.

– Ja... – Zamyślił się.

Też miałem zamknięte oczy, przesypywałem w dłoni ciepły sypki piasek. Takie uczucie, jakbym trzymał ją za rękę... Ile razy dotąd trzymałem ją za rękę? W gabinecie lekarskim, przy Wigilii, na studniówce... Podałem jej dłoń, gdy wręczałem jej róże po pokerze. Muszę sprzedać lochę. Nie ma wyjścia. Niepotrzebny mi ten samochód, muszę zwrócić forszę chłopakom jak najprędzej. Ciepło jej ręki i słońce na skórze... i miękki piasek, poddający się kształtowi wyciągniętego ciała... Spokój.

\*

Trzeciego maja wieczorem siedzieliśmy na plaży, patrząc na słońce, które gasło w nieco innym miejscu, niż robiło to na polskim wybrzeżu. Tę

niezgodność rejestrowały wszystkie moje zmysły, bez udziału rozumu i wprawiało mnie to w pewien stan podświadomego niepokoju.

– Powiedz jeszcze raz, o czym rozmawiałeś z Emilką – poprosił Tomek.

– Co ci powiedziała?

– Żebym się do tego nie mieszał. Nie wchodził w to głębiej. To znaczy nie tyle powiedziała, ile dała mi do zrozumienia...

– A powiedziała – co?

Zastanowiłem się.

– Że dla mnie ta sprawa jest już zamknięta. To powiedziała dosłownie. Że mam wyczyszczony życiorys. I że nic więcej nie może mi powiedzieć.

– Bo?

– Bo to są tajemnice służbowe, których nie może zdradzać. Ale... – przerwałem na chwilę. – Sprawiała wrażenie, jakby nie była zachwycona tym, jak sprawa się skończyła, jakby... musiała się na to godzić wbrew własnej woli.

– Powiedz konkretnie.

– Spytałem, czy ona to akceptuje. To, co się dzieje. Powiedziała, że nie ma wyjścia. I jeszcze spytała, co daje mi prawo ją oceniać. Jak dla mnie to za dużo tych tajemnic na każdym kroku.

– Wiesz, że nie musiała mieć nic złego na myśli? To znaczy jakiejś kryminalnej sprawy...

– Tak, tylko dreszczowiec... Daj spokój, stary. Wierysz jej?

– Nie wiem – powiedział Tomek.

– Myślisz, że to bezpiecznie zabierać ludzi? – spytałem.

– Myślę, że to uczciwe.

– A w banku? To jej zawdzięczam awans. Jeśli się kiedyś o to upomni? Ściągnę tych biednych ludzi z deszczu pod rynnę.

– Naprawdę sądzisz, że to podwójna pętla? Że oszukał cię nie tylko Miki, ale też Emilka?

– Skąd mam wiedzieć?

– Czyli zostajesz na wulkanie?

Pokiwałem głową.

– Dlatego powiedziałem ci – jeszcze nie teraz. Gdy upewnię się, że wszystko jest w porządku, że sprawa jest stuprocentowo czysta – dam ci znak i wracasz cudem na ojczyzny łono. Do Polski, do banku, do normalnej pracy.

Popatrzyliśmy na siebie.



– OK – powiedziałem. – Jestem Polakiem, mam na to papier i cały system zachowań. Miałbym może więcej ufności, gdybym urodził się i wychował w innym kraju.

– W innym kraju – powiedział Tomek zamyślony. – To przecież w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Słońce zanurzyło się w morzu w tym innym miejscu i zgasło.

\*

Następnego dnia wróciliśmy do Hamburga i zupełnie niespodziewanie trafił nam się kupiec na samochód. Sprzedałem lochę bez namysłu, wykonałem trzy telefony do Polski i przelałem chłopakom forszę.

Są zdarzenia, których nie da się opisać jednym słowem. Nie dotyczy to naturalnie Niemców i zaczynam stwierdzać, że ich coraz bardziej lubię. Co prawda w ich języku nawet wiersz miłosny brzmi jak rozkaz natychmiastowego rozstrzelania i balkon jako miejsce na grilla jest słabo akceptowalny, ale samochód kupiłem, sprzedałem, policja po mnie przyszła i poszła, wszystko skończyło się nie najgorzej... a piwo mają naprawdę niezłe.

10 niem. przytulny

5 maja

W dniu matury z matematyki jechałem do szkoły z dreszczem niepokoju w żołądku. Ania powinna dać sobie radę, ale wiedziałem też, że zrobię wszystko, aby jej w razie czego pomóc. Zresztą całej tej bandzie... Mogłem się zgrywać do czasu, mogłem rznąć zimnego drania, ale przecież nie w momencie krytycznym, jakim niewątpliwie była matura.

Tłum w szatni, wszyscy niezmiernie elegancy, tym razem bez udziwnień i szaleństw, przeważał raczej nastrój grobowy. Ciało pedagogiczne było niezwykle uroczyste, Andrzejewski z namaszczeniem otworzył publicznie kopertę z tematami, poprosił Zbyszka, żeby czytał na głos, a sam zajął stanowisko przy tablicy ze szczytnym zamiarem zapisania treści zadań. Ciąg an opisany wzorem udało mu się jeszcze zapisać, ale widziałem, że im dalej, tym działo się gorzej. Zbyszek z kamienną twarzą dyktował i dyktował, dyrektor przy tablicy notował, ścierał, znów notował, mylił się, znów ścierał, sytuacja robiła się z każdą chwilą coraz bardziej godna pożałowania. Przy wartości bezwzględnej, z którą dyrektor nie mógł sobie za bardzo dać rady, nie wytrzymałem i podpowiedziałem scenicznym szeptem:

– Taka pionowa kreseczka, panie dyrektorze. A potem jeszcze jedna.

Całą szacowną aulą zatrzęsł wybuch śmiechu. Wiedziałem, że gorzej zrobić dyrektorowi nie mogłem, ale był to już ten etap, że miałem wszystko generalnie w dupie.

– Proszę, może rzeczywiście pan to zapisze – powiedział Andrzejewski głosem z podbrzusza, co mnie w żaden sposób nie ruszyło, przejąłem kredę, przypomniałem sobie dalszy ciąg równania, które czytał Zbyszek przed naszą konwersacją z dyrektorem, i bez wahań zapisałem je na tablicy.

Z tyłu, za moimi plecami zerwał się szmer.

Dyrektor podszedł do mnie szybko..

– Panie kolego, czyżby znał pan treść zadań maturalnych?

W pierwszej chwili zdębiałem, w następnej niestety nie udało mi się powstrzymać parsknięcia śmiechem.

– Pan raczy żartować, panie dyrektorze. Przecież nie miałem żadnego dostępu do treści zadań egzaminacyjnych. Mam natomiast niezłą pamięć, poza tym tego typu zadania opierają się zazwyczaj na jednym i tym samym schemacie, którego zasada, jak pan być może podejrzewa, nie jest mi całkiem obca.

Andrzejewski łypnął na mnie zza grubych szkieł, bez słowa odwrócił się i zajął miejsce za stołem egzaminacyjnym. Zbyszek miał taki wyraz twarzy, jakby z trudem tłumił atak szalonej wesołości, pomyślałem, że lepiej nie przeginać pały, bo lada chwila wszyscy uwierzą, że miałem jakieś przecieki, a w każdym razie wzmogą wobec mnie czujność, co udaremni mi podłożenie ściąg.

Wróciłem przedziutko na swoje miejsce przy stole egzaminacyjnym, dyrektor odmierzył czas, a ja zająłem się błyskawicznym rozwiązywaniem zadań, które okazały się dość trudne jak na poziom tego liceum. Andrzejewski zerkał na mnie spod oka i niechybnie musiał mnie mieć za ciężkiego kretyna, gdyż rozwiązywałem te zadania i rozwiązywałem, i jeszcze rozwiązywałem, dopóki nie naprodukowałem ściąg w takich ilościach, że bez mała mogłem wytapetować nimi ściany w obu kiblach. Po czym grzecznie spytałem Andrzejewskiego, czy mógłbym wyjść na chwilę na papierosa, a ponieważ intensywność mojego nałogu była rzeczą stanowczo nie do ukrycia, więc Andrzejewski z westchnieniem pozwolił.

Męski kibel załatwiłem błyskawicznie, lokując ściagi na rezerwuarach i pod umywalkami, następnie zawahałem się, co właściwie mam robić dalej. O ile moja obecność w męskim wucecie, choć może podejrzana, była jednak całkowicie usprawiedliwiona, o tyle w damskim była zupełnie niepożądana, a nawet nie na miejscu. Stałem dłuższą chwilę, kończąc papierosa i zastanawiając się głęboko, gdy raptem usłyszałem za plecami stuk damskich obcasów, nie zdążyłem obejrzeć się i usłyszałem głos pani Barskiej:

– Tak, właśnie to podejrzewałam, panie Pawle.

Zamarłem z ręką w kieszeni pełnej ściąg, mignęły mi w głowie jakieś urywki filmu z własnych lat szkolnych i studenckich, strzepnąłem desperacko papierosa gotów już zapierać się zadnimi łapami, że skądże znowu, tak sobie tu tylko stoję, bo mam prywatne upodobanie do tych rejonów korytarza, podziwiam malarstwo na ścianie i pejzaż zza okna, gdy pani Barska dodała cicho, kiwając głową:

– Niech już pan da mi te ściagi, spróbuję je tam jakoś розміścić...

Zatchnęło mnie i spojrzałem na nią. Pani Barska była ostatnią osobą, którą mógłbym podejrzewać o prowokację, zarazem też ostatnią osobą, którą mógłbym podejrzewać o tego rodzaju chęć współpracy.

– No, niechże się pan pospieszy, jeszcze chwila i zostaniemy przyłapani, a zdaje się, że stan ciepłoty naszego uczynku jest niepodważalny.

Zerknąłem szybko dokoła i podałem jej cały plik drobno zapisanych karteczek z rozwiązaniami.

– A nie strzelił pan gdzieś tam z pośpiechu jakiegoś byka? – spytała pani Barska z iskierkami uśmiechu w oczach.

– Nie wydaje mi się. – Uśmiechnąłem się do niej.

– No tak, przepraszam. To pewnie tak, jakbym spytała, czy nie zapomniał pan z pośpiechu pisać...

– Mniej więcej.

– Dobrze. Proszę, niech pan tu będzie łaskaw popilnować. Boże, kto by to pomyślał, żeby na stare lata... – Zniknęła za drzwiami łazienki i dalszy ciąg zdania pokrył się ze szczęknięciem klamki.

Zapaliłem kolejnego papierosa, myśląc w duchu z niepokojem, że moja nieobecność zaczyna się nieco przeciągać, w każdym razie poza granice przyzwoitości. Pani Barska pojawiła się znów w drzwiach, lekko potargana, odrobinę zarumieniona i powiedziała szeptem:

– Zrobione. Już nas tu nie ma. Panie Pawle, błagam, niech pan nie pali tych papierosów po całej szkole gdzie popadnie, wie pan przecież, że dyrektor niezmiernie dba o morale.

Zgasiłem prędko.

– Przepraszam. Ale jeśli już chodzi o moralność, to nasze działanie...

– Nasze działanie z pewnością nie jest moralne – przerwała mi. – Za to jest przyzwoite. Nie ma w tym absolutnie żadnej sprzeczności i pan o tym doskonale wie. Mam wrażenie, że powodujemy się w życiu tą samą miarą rzeczy, a teraz prędiutko zmykamy, bo nie było nas już stanowczo zbyt długo.

Istotnie, w każdym razie tak wywnioskowałem ze spojrzenia dyrektora, którym obrzucił mnie, gdy pojawiłem się w drzwiach auli. Pani Barska przytomnie poszła od drugiej strony i po dłuższej chwili wsunęła się innymi drzwiami, nikt więc chyba nie połączył naszej nieobecności z jakąś wspólną działalnością przestępczą. Tym niemniej byłem święcie przekonany, że Andrzejewski musi podejrzewać mnie o niecne poczynania, gdyż można powiedzieć, że one same się w odniesieniu do mojej osoby nasuwały, a dyrektor może i lubił czasem rznąć głupa, ale głupi z pewnością nie był. Innymi słowy – zrobiwszy wszystko, co było w mojej mocy, mogłem już tylko wyłącznie trwać w niepewności. I to właśnie z dużym zaangażowaniem robiłem.

W liceum plastycznym były tylko dwie klasy równoległe, w obu po około trzydziścioro uczniów, maturę oczywiście zdawali wszyscy razem – sześćdziesiąt osób pełnych udręki, z mazołem czołgających się przez pola minowe zadań egzaminacyjnych. Znałem ich wszystkich lepiej lub gorzej, wiedziałem mniej więcej, ile są warci, jakie mogą mieć problemy, gdzie utkną na pewno, a któredy przejdą bez wahań. Naprawdę niezłych matematyków była w tej sześćdziesiątce garstka – trzy osoby z klasy b, z klasy Ani? Na pewno Piotr Komosa, wysoki, o budowie kafara, kompletnie wyizolowany z grupy mruk; może Agnieszka Wilczarska, ale inteligencja Agnieszki w dziedzinie matematyki pracowała skokowo, co pozwalało jej być znakomitą z pewnych działów, a totalną ignorantką w innych.

Widziałem wśród tłumu jasną głowę Ani i dostrzegałem, że utyka, bo jej długopis po chwilach szalonego pośpiechu nagle zamierał i kończył działalność między zębami właścicielki.

– Idź, do ciężkiej cholery, do ubikacji – przynaglałem ją w duchu. – Idź, dostaniesz ściągę, uspokoisz się. No dalej, jazda!

Regulamin egzaminu maturalnego przewidywał możliwość wyjścia do łazienki, ale wyjście to obwarowane było pewnymi warunkami. Swoją pracę należało zostawić w rękach komisji, przy czym komisja odnotowywała miejsce, w którym praca została przerwana, a delikwent podążał w stronę upragnionego celu w towarzystwie jednego z pedagogów, na którym spoczywał niezbyt miły obowiązek kontrolowania, czy nieszczęśnik nie próbuje ściągać. W jaki sposób obowiązek ten mógłby być dopełniony – nawet nie starałem się domyślać. Od najmłodszych lat ukuło się we mnie głębokie przekonanie, iż kibel jest miejscem bezwzględnie intymnym i załatwianie swych naturalnych potrzeb nie może być połączone z niczym uważnym spojrzeniem, ale cóż, widocznie dyrekcja tego liceum nie miała aż tak zasadniczych, wywodzących się z dzieciństwa przekonań.

Wiedziałem, że jeśli Ania opuści aulę, to z panią Barską i o resztę byłam spokojny. Denerwowało mnie raczej to, że Ania uparcie nie chce skorzystać z przysługującego jej prawa. Znałem jej ambicję i poziom jej wiedzy, jak również stopień jej zdenerwowania – wszystko, absolutnie wszystko było możliwe. Zadania nie przerastały w sposób drastyczny jej umiejętności, była zatem w stanie zrobić je sama (choćaby wymagane trzy), mogła też równie dobrze polec na najprostszym działaniu, mogła poplątać wszystko, zapomnieć tabliczki mnożenia i tego, jak się nazywa. Nie wychodziła, żołądek mi zamierał, marzyłem o chwili, gdy cały ten koszmar wreszcie się

skończy, obejrzę jej pracę i będę mógł spokojnie napić się wódki. Bez względu na rezultat, gdyż nie mogłem już zrobić nic innego. Cały mój trud, wszystkie starania były w rękach tej drobnej dziewczyny. Dumnej, niezależnej, pogardzającej łatwym wyjściem z trudnych sytuacji, niebieskookiej, niosącej główkę dumnie, tak jak ją noszą królowny z najstarszych i od dawna nieprawdziwych bajek.

Do końca matury została jeszcze godzina i zdałem sobie sprawę – dopiero teraz – że Ania już nie wyjdzie z sali, że od początku powinienem był o tym wiedzieć, właściwie wiedziałem już o tym rok temu, gdy po raz pierwszy odwiozłem ją do domu, musiałem o tym wiedzieć, gdyż inaczej nie mógłbym jej kochać. Ania potrafiła pewne sprawy odpuszczać, potrafiła nawet olewać, ale nigdy w przypadku czegoś poważnego, we wszystkich ważnych życiowych sytuacjach kierowała się niezłomną uczciwością, od której nie było żadnych odwołań.

Siedziałem nieruchomo, modliłem się w duchu o spokój dla niej, o konsekwencję jej myśli, o odruchy pamięci, o łatwość skojarzeń, modliłem się o jej maturę. Nie wiem, co myślał Bóg, diabeł palił niewątpliwie najdłuższego możliwego papierosa i się zastanawiał. Ja siedziałem między Bogiem a diabłem i marzyłem o wódce. Dużej wódce. Jeszcze większej.

– Panie profesorze.

Moje spojrzenie było gdzieś strasznie daleko, zacząłem je na gwałt cofać i chować w siebie, aby mogło zogniskować się na czymś, co stało przede mną i wydawało jakiś dźwięk. Osoba trafiła wreszcie w ostrość mego widzenia i zorientowałem się, że stoi przede mną Michał. Spokojnym ruchem podał mi swoją pracę i powiedział tak samo spokojnie:

– Przepraszam. Chciałbym skorzystać z toalety.

Odptaszkowałem jego pracę, złożyłem na niej swój podpis i bez słowa ruszyłem za nim do ubikacji. Byłem tak wytarמושony w środku, że przy każdym ruchu całe wnętrze mnie bolało. Michał szedł koło mnie niedbale, w swoim czarnym garniturze, z kolczykiem w uchu, z twarzą zamkniętą przed cudzym wzrokiem tak szczelnie, że wydawała się zrobiona z kuloodpornej blachy. Cienki profil, ostro wycięty, prawie płaski. Dotarliśmy do toalety, Michał, w ogóle nie zwracając na mnie uwagi, wszedł do kabiny i prawie natychmiast usłyszałem beztroski plusk strumyczka, rozbijającego się o ściankę porcelitowej muszli. Stałem pod drzwiami jak idiota, wściekły, zażenowany swą kretyńską rolą, myśląc o niezręczności naszej sytuacji, wkurwiony tak, że mógłbym Andrzejewskiego gołą ręką udusić.

Odszedłem oczywiście w drugi koniec pomieszczenia, bo warowanie pod drzwiami było dla mnie czynem absolutnie nie do przyjęcia, i zapaliłem papierosa. Wszystkie te czynności trwały doprawdy sekundy, plusk strumyczka zamarł, zdążyłem się zaciągnąć i w tej samej chwili usłyszałem szum spuszczonej wody, a drzwi kabiny się otworzyły. Wiedziałem, że Michał nawet nie sięgnął po ściągę, nie miał na to czasu, może w ogóle nie wiedział, że tam są.

Odwróciłem się do niego. Powoli wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wyłuskał jednego i patrząc przeze mnie na przestrzał, powiedział:

– Pan pozwoli, że zapalę.

Nie powiedziałem ani słowa. Staliśmy koło siebie, paląc papierosy, bardziej odlegli, niż gdybyśmy znajdowali się na zupełnie innych planetach, zastanawiałem się, dlaczego Saint-Exupéry nie wymyślił planety matematyka, myślałem, ile baobabów rośnie na planecie Michała, próbowałem sobie przypomnieć, ile lat temu czytałem tę cholerną, nostalgiczną, ckliwą, piekielnie mądrą książkę, o której już potem nigdy nie sposób zapomnieć, choćby nasz trzeźwy, kpiarski umysł wykonywał nie wiedzieć jakie wygibasy. Michał palił papierosa bardzo spokojnie, bez nerwów i bez pośpiechu, ale i bez śladu przyjemności. Tak samo beznamiętnie zgasił go pod kranem w umywalce, wszedł na chwilę do kabiny, nie zamykając za sobą drzwi, wrzucił mokrego peta do sedesu i spuścił za nim wodę. Odwrócił się, spojrzał mi nieuważnie w oczy. Nie wytrzymałem.

– No i co?

– Nic.

Wprowadził mnie tym natychmiast na obroty i to od razu zbyt duże, bo byłem mocno podminowany.

– Co ty, do cholery, myślisz, że ja tu z tobą przyszedłem, żebyś się odlał i zapalił? – spytałem spomiędzy zaciśniętych zębów. – Nie masz do mnie żadnych pytań?

– Nie.

Spojrzałem mu w twarz. Ten sam kuloodporny metal, profil i *en face* praktycznie się nie różniły – blacha i niklowane nity, a wewnątrz jakieś tak straszne ciśnienie, że aby się do Michała dostać, trzeba było chyba najpierw przejść przez komorę dekompresyjną, ale przede mną drzwi tej komory były zamknięte. Odrzucał moją pomoc – wiedziałem, że jest to cholernie zdolny facet, ale jednocześnie braki w opanowaniu materiału miał tak

monstrualne, że byłem prawie pewien, iż walcząc w pojedynkę polegnie na polu chwały, a gdzieś w głębi duszy nie chciałem, żeby ten właśnie facet polegał. Właściwie nie wiem dlaczego. Irracjonalne. Jak wszystko, co jego dotyczyło. Jak w czasie rozmowy z Anią...

– Na rezerwuarach są ściagi – powiedziałem jeszcze raz, patrząc mu uważnie w oczy. – Nawet jeśli jesteś pewien, sprawdź.

– Skąd pan wie, że są tam ściagi?

– Przypadkiem.

– Pan je tam położył.

– Nie. Wiem przypadkiem. Korzystasz?

– Nie.

– Proszę bardzo, w takim razie wracamy.

Nerwy dygotały mi wszystkie naraz, najbardziej jakieś pieprzone końcówki nerwów w tyle głowy, przez co ciepły, nieprzyjemny dreszcz spływał mi spod włosów na szyję, marszcząc skórę na karku. Michał szedł przede mną. „Piękna i Rycerz, Piękna i Rycerz” – falowało mi w głowie pomiędzy dreszczami, nie mogłem sobie przypomnieć melodii tej piosenki i czułem, że dostaję pomaleńku zupełnego pierdolca. Piękna i Rycerz, a ja co? Prawdopodobnie Bestia. Głupia, bezrozumna Bestia, między dwójkiem szlachetnych, godnych siebie szczeniaków.

Egzamin powoli zbliżał się do końca. Andrzejewski ogłosił publicznie, że zostało jeszcze dwadzieścia minut i zakazał już wychodzenia dokądkolwiek. Sam dźwignął swe ociężałe cielsko i dostojnym krokiem, nie spiesząc się, podążył w stronę męskiej toalety. Idąc, kolebał się na dwie strony i przypominał mi wypasionego kocura o lśniącym futrze, wyruszającego właśnie na łowy. Zakaz wychodzenia dotyczył wszystkich, zarówno uczniów, jak i pedagogów. Zdałem sobie sprawę, że nie ma już praktycznie żadnych możliwości usunięcia znikąd ściag. Jeśli Andrzejewski się na nie natknie, a niechybnie ruszył się w celu dokonania inspekcji obu toalet, wtedy jest wielce prawdopodobne, że egzamin zostanie unieważniony.

O tym, co się stanie ze mną, wolałem nie myśleć i wiedziałem, iż naiwnością byłoby sądzić, że nikt nie jest w stanie niczego mi udowodnić. Choćby grafolog. Choćby... renegat. Dość już byłem sponiewierany przez życie, aby wiedzieć, że zdrada bywa wszędzie, w najniewinniejszych propozycjach, w najbardziej przyjacielskich i godnych zaufania gestach, w uśmiechach. Ale nie pani Barska. Nie ona. Lecz prócz niej, któż jeszcze



wiedział? Wszyscy. Prawdopodobnie wszyscy. Prócz profesorów także ta młodzież, dla której właściwie wszystko to było zrobione. Nie byłem naiwnym chłopcem w szelkach, wiedziałem, że najbardziej przyzwoity gest wykonany w stronę ludzi potrzebujących pomocy ma absolutnie wszystkie szanse, by stać się pretekstem do najbezwzględniejszego doniesienia, do zdrady w najbrudniejszym stylu, do lizusostwa mającego na widoku przyszłe profity i względy. Wiedziałem o tym wszystkim od początku. To, co zrobiłem, nie było wynikiem naiwności dobrodusznego prostaczka, było wynikiem podjęcia świadomej decyzji i związanego z nią nieuchronnego ryzyka. Potknięciem było to, że nie zdążyłem zabrać ściąg wcześniej, zamierzałem je zabrać za dziesięć minut, dyrektor mnie uprzedził. Spodziewałem się raczej inspekcji na samym początku, tuż po moim przyjsciu z rzekomego papierosa, choć i wtedy nic nie mógłbym zrobić. Był w tym wszystkim niewątpliwie element pewnej gry, ale cóż? Ryzyko jest duszą każdej gry...

Andrzejewski z miną nieprzeniknionego kota trzymał w dłoniach nokautujący zestaw, prawdopodobnie nic poniżej pokera. Mój blef polegał na całkowitym braku zainteresowania uczniami przez cały czas trwania egzaminu. Byłem zmęczony, siedziałem, tępo wpatrując się w podłogę, czekałem na rezultat oględzin, innymi słowy nieunikniony finał. Dziesiątka, walet, dama, król i as, obojętnie już w jakim kolorze i cześć pieśni.

Andrzejewski bez pośpiechu wmanewrował znów do auli jak ciężki lodołamacz, przecinający gęste powietrze pełne nerwów, pośpiechu i skupienia. Właściwie na niego nie patrzyłem, siedziałem ciężko na krześle, cały czas nie zmieniając pozycji, spoglądałem tępo w podłogę. Stał przed aulą wypełnioną po brzegi, na proscenium i powiedział tubalnym głosem:

– Moi drodzy.

Wszyscy podnieśli głowy.

– Moi drodzy – ciągnął z niezmaconym wyrazem twarzy. – Pragnę wam zakomunikować, że zostało jeszcze siedem minut. Bardzo proszę, aby wszyscy kończyli pracę. Punktualnie o godzinie trzynastej arkusze egzaminacyjne zostaną zebrane.

Po czym usiadł z pufnięciem za stołem. Nie spojrzałem na niego. Nie spojrzałem w ogóle nigdzie, jego ruch czułem całym spiętym ciałem, nie musiałem odwracać głowy. Przed moimi nieruchomymi oczami właśnie stawał się pieprzony cud.

Siedem minut minęło, ze spokojną bezwzględnością cykając sekundami.

Andrzejewski podniósł się, dając nam znak i ruszyliśmy tyralierą między rzędy ławek, zbierając prace. Od Ani odebrał arkusz Zbyszek, ja wziąłem pracę Michała. Wystarczył mi jeden rzut oka, bym stanął jak żona Lota, bo to, co zobaczyłem, nie zechciało pomieścić mi się w głowie. Bez żadnych przekreśleń, logicznie i czysto wyprowadzone tkwiły na papierze rozwiązania czterech zadań. Zerknąłem na wyniki. Bez zarzutu. Nie sądzę, by zrzynał, Michał nie był osobą robiącą błazenady na pokaz, był ambitny i hardy aż do zadziora, gardził tanimi sztuczkami kundli, pieprzony Don Kichot, Rycerz Niepokalany, niech go szlag trafi, co za niefart właśnie z nim stawać w szranki o względy Pięknej Donny. Nie mogłem nie czuć dla niego podziwu i miałem go już najzupełniej dość w moim życiu.

Zebraliśmy wszystkie prace, uczniowie zbili się w wartki nurt płynący przez drzwi, po schodach w dół do szatni. Zdażyłem podejść do Zbyszka, zanim wręczył plik prac dyrektorowi.

– Pokaż mi arkusz Ani. Szybko – powiedziałem.

– Jakiej Ani?

No nie. Chyba jednak z moją Wielką Grą na pograniczu ryzyka nie było aż tak źle.

– Kielanowicz. Czwarta a.

– Kielanowicz, Kielanowicz – mrucał przerzucając prace. – Masz.

Obok mnie już stał dyrektor.

– Panie kolego, zdaży pan jeszcze obejrzeć wszystko, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

– To prawda. Ale proszę, niech mi pan pozwoli rozwiązać tylko jedną moją wątpliwość już teraz – odparłem.

– Chyba nie ma pan powodów do obaw?

Jak ostry cios kamyka, wystrzelonego z procy.

– Powody do obaw są zawsze tam, gdzie w grę wchodzi żywy człowiek... człowiek, szyfr wybrany, wyniosłe czoło liczby<sup>11</sup> – powiedziałem cicho. – Proszę mnie nie trzymać w niepewności.

– Proszę. Niech pan obejrzy tę pracę.

Trzy zadania, podkreślone na wszystkie strony, gorzki trud omijania pułapek przygotowanych przez własny umysł... Dobrze. Wszystko dobrze. Czwarte zadanie napoczęte i już wyprowadzone na dobrą drogę, ostatnie, najtrudniejsze, w którym rozwiązanie podpunktu d oznaczonego gwiazdką, warunkowało otrzymanie noty celującej. Ania, znając trudność tego zadania, mimo wszystko wystartowała do niego... Poczulem wzruszenie.

Oczywiście rachunek prawdopodobieństwa nietknięty był nawet jednym palcem, ale wiedziałem, że rachunek odpuszcza sobie od początku. Więc zdała...

Boże kochany, gdzie ta wódka?

– No i jak, w porządku?

– W porządku, panie dyrektorze. Ania miała ogromne braki, pracowaliśmy nad nimi od pewnego czasu i muszę przyznać, że ciekaw byłem... no, rezultatu.

– Więc chyba może pan sobie pogratulować?

Patrzył na mnie zza okularów, ten sam wzrok, co rok temu w gabinecie, gdy odbierał moją przysięgę. Czy mi wtedy uwierzył? Czy wierzy teraz? Czy znalazł ściagi? Jeśli tak, to co oznacza ta rozmowa?

– Jestem zadowolony – powiedziałem cicho. – Zdobyła się na naprawdę duży wysiłek i wyszła z tej próby zwycięsko. Zaatakowała nawet najtrudniejsze zadanie. Muszę przyznać, że cenię ją za odwagę.

– Nie wierzył pan, że mogła rozwiązać to zadanie?

– Wiem o tym, że nie mogła. Cenię ją za to, że próbowała.

Wielka, czysta, przezroczysta, potwornie zimna wódka... Boże, pozwól mi wreszcie odpieprzyć się od tego dobrego człowieka... Co ten potwór właściwie wie, a czego się domyśla?

Oddałem mu pracę, skinąłem głową i powoli ruszyłem w dół po schodach. Wiedziałem, że muszę pójść sprawdzić ubicacje, ale jeszcze nie teraz. Jeśli dyrektor cokolwiek podejrzewa, to czeka na mój ruch. Nie dam mu satysfakcji przyłapania na miejscu zbrodni, bo chyba na to liczy.

Wolno szedłem w dół. Znałem te schody jak swoje własne, codziennie maszerowałem nimi do pokoju nauczycielskiego, w czasie studniówki całe obwieszane były jarzeniowymi strzałami, a w auli tańczyłem z Anią... Trzy miesiące temu. Kto dzisiaj pamięta tę zabawę? Beztroskę i utajone prądy, świadomość, że jest jeszcze mnóstwo czasu przed nami – na wszystko.

Jedynie tłum koło szatni był dziś taki jak wtedy, tak samo podniecony i rozemocjonowany.

Tylko w jednym kącie było cicho.

Tam stali Ania i Michał.

Stali koło siebie, ale nie patrzyli sobie w oczy, a między nimi wisiało ciężkie, naładowane elektrycznością milczenie. Było ono tak namacalne, jakby nagle pojawiła się koło nich trzecia, zupełnie obca osoba, taka, przy której nie można nic powiedzieć, której obecność ciąży i przy której

wykonuje się zazwyczaj cały szereg machinalnych, niepotrzebnych, maskujących gestów. Ale oni byli nieruchomi. Nic się między nimi nie działo, tylko przelatowały iskry zbyt wysokiego napięcia. Ja też stałem ukryty za skrzydłem drzwi, porażony zniechęca tą samą atmosferą, zupełnie bezradny świadek tego, co się działo.

Patrzyłem na nich. Ania była piękniejsza niż kiedykolwiek, jej twarz objęły jednocześnie znużenie i napięcie, przez co rysy pogłębiły się, jakby usunięto z nich wszystko, co przelotne – była to głowa marmurowa, z przezroczyściami przy oczach i ustach. Michał nie przypominał już obłąkanej rzeźby dadaisty-metalurga, był nieprawdopodobnie blady i miał pozbawione koloru oczy człowieka kompletnie pijanego. Powiedział coś, czego nie mogłem dosłyszeć, zwrócili się do siebie twarzami i raptem pękło między nimi to bolesne milczenie.

Nie mówili dużo. Ale tak, jakby tracili coś niezwykle ważnego, coś, czego nie mogli uratować, jakby właśnie przegrywali, wiedzieli o tym i w niepojęty sposób wzbudzili w sobie z tego powodu czułość.

Twarz Ani stała się jeszcze bardziej przezroczysta, ta przezroczystość rozciągnęła się na obszar skroni i podbródka, te najwrażliwsze strefy zawsze wahające się między uśmiechem a smutkiem. Twarz Michała była łagodna, jakby w jednej chwili ustąpił z niej nalot szaleństwa, a została czułość i cierpienie.

Nie wiedziałem, o czym rozmawiali, wiedziałem, że przegrali oboje i nie potrafiłem poczuć ani odrobiny radości, tego, co Niemcy w sposób celny i precyzyjny określają mianem *schadenfreude*. To nie było moje zwycięstwo.

Michał odwrócił się, ruszył w stronę ciężkich, przeszklonych drzwi szkoły. Ania postąpiła za nim dwa kroki, powiedziała coś bardzo cicho, ale widocznie to coś miało w sobie straszliwy ciężar, bo Michał się zatrzymał. Znów stali zwróceni w swoją stronę, magiczna klatka wycięta z poprzedniego filmu, potem Michał podszedł do Ani, dotknął lekko jej ramienia, delikatnie, wierzchem palców przesunął po jej policzku, powiedział jeszcze coś ze schyloną głową i odszedł. Ania nie postąpiła już ani kroku. Nie powiedziała nic, stała tam, gdzie ją zostawił. W całej scenie było rozpaczliwe cierpienie, nie było zadawania sobie bólu, ani jednego ciosu, ani nienawiści.

Nie wiedziałem, czy mogę do niej podejść, intuicja mówiła, że nie, rozsądek się nie wypowiadał, niecierpliwość chciała składać natychmiastowy raport o wyniku egzaminu. Uczniowie zaczęli już

grupkami wysączać się przed bramę szkoły, stałem cały czas w jednym miejscu, jakby mnie ktoś tam wkopał i zabetonował, odpowiadałem na grzeczne „do widzenia”, starałem się rozciągać zmartwiały pysk w miłych uśmiechach, bałem się, że ona też wreszcie odejdzie.

Nie wiedziałem, jak z nią rozmawiać, chciałem być blisko niej właśnie w tym dniu. Oznaczał on kres, zamknięcie długich miesięcy, wszystko, co mogło się w ciągu nich dokonać, dokonało się, przed nami został już tylko najważniejszy moment – wyjaśnienia. W tym właśnie dniu przestaliśmy istnieć w układzie profesor – uczennica, to, czego uczyliśmy się nawzajem przez szereg miesięcy, raptem przestało obowiązywać; zostaliśmy dwojgiem dorosłych ludzi, już w nic niewikłanych, mogących powiedzieć wreszcie wszystko otwarcie, zdecydować o sobie i o losie drugiego. Czekałem na ten moment i bałem się go, wiedziałem, że jeszcze muszę poczekać kilka dni, zapewnić jej spokój podczas egzaminów, a potem... i tak nic już nie zdoła tego powstrzymać.

Przełamałem słabość w nogach i podszedłem do niej. Spojrzała mi w oczy, bez powodzenia starając się uśmiechnąć.

– Aniu, rzuciłem okiem na twoją pracę, wszystko jest w porządku, gratuluje.

Wciąż ta marmurowa głowa, piękna jak głowy posagowych modelek z lśniących okładek pism, piękna, nieruchoma rzeźba, pół-szklana, pół-kamienna. Nie drgnął ani jeden mięsień, oczy nie zmieniły wyrazu.

– Podziwiam twój szturm na ostatnie zadanie – powiedziałem cicho. – Piękny, odważny i bardzo w twoim stylu.

– Dziękuję – odparła wreszcie. W oczach jakiś wyraz, który mógłby coś znaczyć, ale nie znaczył nic.

– Panie profesorze...

Cała głowa była już szklana. Bałem się tego, co się w niej działo, nie rozumiałem, ale wyczuwałem instynktownie straszliwe przegrupowania emocji, coś, co musiało być ważniejsze od świadomości zwycięstwa w jednym z najtrudniejszych dni życia. Coś tak ciężkiego, że zdana matura nagle okazywała się nie mieć żadnej wartości.

– Słucham, Aniu.

– Czy powiedział pan Michałowi o naszej rozmowie?

– Ani słowa.

Czy to Michał był tak ważny, czy podejrzenie, że zdradziłem?

– Proponował mu pan pomoc. Dlaczego?

- Ponieważ nie przypuszczałem, by mógł zdać maturę samodzielnie.
- Nie podejrzewałam pana o to...
- O co, Aniu?
- O to, że zechce pan nieść pomoc...
- Michałowi?
- Komukolwiek.

W pysku gorzko, w piersiach nagły uścisk bólu. Więc tak mnie oceniała? Pomyślałem z goryczą o całej akcji ściągowej. Nie powiedziałem ani słowa.

– Przepraszam – powiedziała nagle Ania. – Przepraszam, sprawiłam panu przykrość.

Spojrzałem na nią i uderzyła mnie raptowna zmiana jej twarzy. Jakby szkło zmieniło się w lód, który w następnej sekundzie puścił. Została blada buzia, z nagłą dziecinna i duże oczy o poważnym spojrzeniu.

– Nie chciałam...

– Proszę, nic nie mów – przerwałem.

– Nie – powiedziała ze spokojnym uporem. – Niech mi pan pozwoli to wyjaśnić. Znam pana niezłomne zasady i mam z tego powodu dla pana wiele szacunku. Jeśli nie podejrzewałam pana o niesienie pomocy, to właśnie dlatego, że uważam pana za człowieka bezwzględnie uczciwego. Tylko nie pomyślałam o tym, że wszelka bezwzględność jest pewną formą... braku człowieczeństwa. Pomyliłam się. Pan Leszek zna pana o wiele lepiej.

– Zna mnie inaczej. Co ci powiedział?

– Że nie jest pan kabotynem.

– Że nie jestem kabotynem... – westchnąłem. – Być może.

– Być może tak, czy być może nie?

– Nie wiem – powiedziałem z wysiłkiem.

– Pan wiedział o ściągach w toaletach – stwierdziła.

– Wiedziałem.

– Więc ma pan odpowiedź. Ale Michałowi nie były te ściągi potrzebne, on opanował cały materiał. Właściwie znał go cały czas doskonale... I nie przyjąłby żadnej pomocy od pana.

– Tak samo, jak ty...

– Tak samo, jak ja. Czy pan o tym nie wiedział?

– Przepraszam... – powiedziałem.

– Pomimo wszystko... dziękuję.

– Aniu...

– Nie. Proszę mi pozwolić odejść. Miałam... zbyt ciężki dzień. Za dużo stresów, za dużo trudnych rozmów. Do widzenia.

– Czy rozmowa ze mną była trudna? – spytałem cicho.

– Zbyt trudna. Przepraszam...

Nie odwracając się, zbiegła szybko po schodach.

Teraz to już nawet dwie wódki. Piękne, srebrzyste, oszronione, pałace słodko przelyk. Zdaje się, że zaczynam mieć problem z alkoholem... A może to alkohol zaczyna mieć problem ze mną? Któryś z nas w każdym razie ma ten problem.

Zawróciłem i z wysiłkiem zacząłem się wspinać schodami na piętro. W toalecie męskiej było pusto, w kącie leżało kilka zgniecionych niedopałków, z jednego kranu kapiała woda. Zakręciłem go odruchowo, potem szybko sprawdziłem wszystkie kabiny. Ściąg nie było. Toaleta była czysta jak łąza, trefny towar gdzieś wyparował. Poczułem dreszcz na plecach. Wyszedłem, spacerowym krokiem przemierzyłem korytarz i aulę, znów zszedłem na półpiętro, tym razem po drugiej stronie, tam gdzie symetrycznie względem męskiego, mieścił się damski wucet. Znów ta sama wątpliwość... Korytarz pusty. Wszedłem. Pachniało tu inaczej, też papierosy, ale zmieszane z lekkim, prawie nieuchwytnym zapachem perfum i nikłą smugą woni trawki. Boże, te dziewczyny mnie wykończą... Przejrzałem w pośpiechu wszystkie kabiny i poczułem następny dreszcz. Druga toaleta czysta jak złoto, gotowa do inspekcji. Mojej? Czy tak samo to wyglądało, gdy wszedł tu dyrektor? Czy to on zabrał ściagi? A jeśli nie on, to kto? Kto zdobył się na tak wspaniałą organizację?

Nie dowiedziałem się tego nigdy. Niepokojąca, niedotknięta nigdy tajemnica, to coś bardzo ładnego w życiu. Coś tak ładnego i niepokojącego, jak samo życie...

<sup>11</sup> Victor Hugo, *La Légende des siècles, Le Satyre*

wieczorem

Darek nie odpuścił i zadzwonił do mnie wieczorem.

– Cześć – powiedział. – Matura za tobą. Czy możemy liczyć na to, że zaszczycisz nas swoim towarzystwem?

– Kiedy? – spytałem ciężko, bo jakoś picie w knajpie z nimi wszystkimi plasowało się na ostatnim miejscu moich aktualnych potrzeb czy chęci.

– No, no, co za entuzjazm. – Darek się zaśmiał. – Nie będzie źle, zobaczysz. Tak właśnie myśleliśmy o sobocie.

– Czyli jutro?

– Jutro. Dwudziesta, U mamusi. Co ty na to? Będę ja, Wojtek, Andrzej i Stefański. To znaczy Waldemar. Pasi?

– OK. To znaczy przepraszam za brak jakiegoś szczególnego entuzjazmu, ale jestem trochę... nie w sosie. Zarobiony.

– No to się wyluzujesz. Czyli co, dam znać chłopakom, tak?

Przytaknąłem.

6 maja

Ostatni raz w tym składzie U mamusi. Knajpa miała już część stolików wystawioną na zewnątrz i usiedliśmy sobie właśnie tam, przy dwóch złączonych stołach. Jadwisia przyjęła zamówienie, lustrując nas uważnym spojrzeniem.

– I co, przeleciałeś sobie przez naszą szkołę jak meteor – zagaił zrecznie Wojtek.

– Raczej jak gówno przez gęś – westchnąłem.

Stefański popatrzył na mnie z drugiego końca stołu i uśmiechnął się.

– Ja też pod koniec roku składam wymówienie – oznajmił Andrzej. – Idę na swoje.

Rozmowa jakoś kulą, więc do piwa, jakie mieliśmy na stole, domówiłem jeszcze flaszkę.

– A znacie takiego drinka „dwa diabły na piecu”? – spytał Stefański dobrodusznie. – Właśnie z wódki i piwa, tylko jeszcze trzeba mieć do tego chusteczkę.

– Jaką chusteczkę? Serwetkę?

– Nie, taką tradycyjną, materiałową.

Patrzyliśmy wszyscy, jak sięga do kieszeni i wyjmuje sporą, złożoną w równą kostkę, nieskazitelnie czystą chusteczkę.

– No i co, zawiązuje się nią człowiekowi oczy? – spytałem nieufnie.



– Dlaczego myślisz o ciuciubabce?

– Prawdę mówiąc, myślałem o egzekucji...

– Jeszcze lepiej. Nie, sprawa jest prosta. Na szklanę z piwem kładziesz rozpostartą chusteczkę. – Pokazał. – Następnie leciutko ją zanurzasz. – Nacisnął środek chusteczki palcem, aż ugięła się i zanurzyła w piwie. – I na to lejesz bardzo ostrożnie kieliszek wódki. – Nalał. – Potem podnosisz chusteczkę i masz dwupoziomowego drinka. – Pokazał nam szklanę pod światło. Dwie niezmieszane warstwy alkoholu leżały jedna na drugiej – przezroczyście pas wódki na złotym piwie.

– Jak pijesz, to wódka idzie górą, po podniebieniu i prawie nie czujesz jej smaku.

– To może być dość piorunująca mieszanka – powiedział Darek z wahaniem.

– Taka jest. Za to cholernie ekonomiczna. Pijesz dwa diabły i leżysz pod stołem. Próbujecie?

Ostrożnie wykonaliśmy sobie po jednym drinku.

– *Salute!* – powiedział Stefański.

W głowie mignął mi *Łuk Triumfalny*, Morozow i stara knajpa Szeherazada. Wypiliśmy.

– Niezłe – powiedział Andrzej.

– Niezłe – potwierdziłem.

Wojtek uśmiechnął się, a Darek miał lekko zmałowany wyraz twarzy. Bardzo go lubiłem i zawsze wzruszała mnie jego bohaterska chęć dotrzymania nam kroku, przy dużo gorszych możliwościach fizycznych. Mówiąc wprost, facet po prostu padał jak mucha po trzech kieliszkach...

– Czy coś panom jeszcze podać? – spytała Jadwisia, schylając się nad Stefańskim i opierając swobodnie swoją imponującą pierś na jego ramieniu.

Stefański zamarł i zerknął bokiem na własne, obciążone ramię. Parsknęliśmy zgodnie stłumionym śmiechem i Jadwisia się wyprostowała.

– To może jeszcze jedną butelkę – poprosiłem grzecznie.

Jadwisia odwróciła się z godnością i wymaszerowała za swoim biustem na zaplecze.

– No, Waldemar – powiedział szczerze rozbawiony Wojtek. – Zdaje się, że ta panna jest naprawdę tobą zainteresowana.

– Raczej go molestuje...

– Moi drodzy. Ja naprawdę jestem już w wieku, w którym molestowanie seksualne odbieram jako wyszukaną uprzejmość... – westchnął Stefański

lekko zaczerwieniony.

– Zdrowie Jadwisi! – Wzniosłem kieliszek i wypiliśmy wszyscy.

Z lokalu już od pewnego czasu dolatywał coraz większy hałas, wysłaliśmy Darka, żeby sprawdził, co się dzieje.

– Cholera – powiedział, wracając. – Finał Ligi Mistrzów. Zapomniałem na śmierć. Dziś mecz Borussia Dortmund - Juventus Turyn. Może macie ochotę obejrzeć? W środku jest włączony telewizor.

Był włączony istotnie i właśnie teraz podniósł się głośny, chóralny krzyk.

– Bramka! – zawołał Andrzej, zerwał się od stolika i zniknął wewnątrz knajpy.

– Cholera, głupio się umówiliśmy – sumitował się Darek.

– Wyluzuj – powiedziałem.

– Ale ja bym też zerknął... Idziesz?

Pokręciłem głową. Zupełnie nie byłem w nastroju na rozgrywki sportowe, mimo że generalnie lubiłem piłkę nożną i kiedyś całkiem nieźle w nią grałem.

– To my skoczmy na chwilkę, OK? – spytał Darek i razem z Wojtkiem zniknęli w środku lokalu.

Zostaliśmy przy długim, złączonym stole we dwóch z Waldemarem.

– Zapalisz? – spytał i po chwili zaciągnęliśmy się dymem.

Przez uchylone drzwi dolatywał nas podniecony głos komentatora.

– Więc przetrwałś ten rok – powiedział spokojnie Waldemar, nalewając mi kieliszek wódki. – I jak? Jakie wrażenie?

– Średnie – odpowiedziałem ostrożnie.

Znów zaczął mi się włączać mój dawny, podświadomy lęk przed nim.

– Szkoła to nie jest miejsce dla ciebie – stwierdził, patrząc na mnie dziwnym spojrzeniem.

Postanowiłem, że jak tylko zacznę przechodzić na francuski, to wstaję i wychodzę. Nie miałem ochoty na jego sztuczki, podteksty, zawieszane zdania.

– Niezbyt mnie lubisz, prawda? – spytał nagle.

Podniosłem głowę. Co mu miałem powiedzieć?

– Dlaczego nie rozmawiasz ze mną wprost? – spytałem – To męczące, odgadywać o co ci właściwie chodzi.

– O nic mi nie chodzi. Pozdrów mamę.

Odstawiłem raptownie kieliszek i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Co to ma znaczyć? – spytałem. – O czym ty mówisz? Znasz moją mamę?

Uśmiechnął się i podniósł swój kieliszek, porozumiewawczo skłaniając głowę.

Nie podniosłem swojego kieliszka. Patrzyłem na niego cały czas. Prosto w jego oczy i zobaczyłem, że ma dwie różne tęczęwki – jedną niebieską, drugą piwną. Nie zwróciłem dotąd na to uwagi.

– Czy znasz moją mamę? – powtórzyłem pytanie.

– Znam – odpowiedział po krótkiej przerwie. – Pracowaliśmy razem przez lata. Na różnych uczelniach. Potem ona przeszła na emeryturę, a ja wyłądownałem w szkole.

Wstrząśnięty, odwróciłem od niego spojrzenie.

Z wnętrza knajpy wyszedł trochę chwiejnie Darek i zaczął zmierzać w kierunku naszego stołu, gdy raptem przeleciał koło nas jakiś facet, trąbiąc przeraźliwie na trąbce z plastikowym ustnikiem.

– Ty, wsadź sobie tę trąbkę w dupę! – krzyknął ogłuszony Darek i była to z pewnością jedna z jego najmniej przemyślanych wypowiedzi.

– Co, kurwa? – spytał facet, zatrzymując się w miejscu i doskakując do Darka. – Ty masz jakiś problem, co, kurwa?

„Żadnych bójek” – mignęło mi w głowie. „Żadnych bójek” – zapętlilo mi się w mózgu. – „Żadnych...”

Facet chwycił Darka za koszulę na piersiach i szarpnął. Darek rzucił wkoło kompletnie nieogarniętym wzrokiem.

„– ...bójek” – pomyślałem i podniosłem się z miejsca.

Darek kiedyś mówił, że jedyną walkę, jaką w życiu stoczył, to z workiem treningowym. Worek go wtedy pokonał... Zresztą wystarczyło popatrzeć, mnie wystarczyło i temu gościowi prawdopodobnie też.

Położyłem mu łagodnie rękę na ramieniu.

– Hej – powiedziałem. – Przepraszam. Kolega jest w emocjach. Nie chcemy żadnych kłopotów.

Facet odwrócił się i spojrział. Widziałem, jak mierzy wzrokiem moje wszystkie centymetry, sto dziewięćdziesiąt sześć dla równego rachunku. Sam był o głowę niższy, ale napakowany jak młot. Chyba się zastanowił, w każdym razie tak postanowiłem rozumieć wyraz jego oblicza.

– Jesteśmy spokojni – powiedziałem, ujmując Darka lekko pod ramię i odciągając z pola rażenia. – Rozstańmy się w zgodzie, OK? – Cały czas leciutko ciągnąłem Darka z zasięgu ewentualnego ciosu.

Kurczę, gdyby to był Wojtek, w ogóle bym w to nie wchodził, ale Darek... Bardzo go lubiłem, serio, ale w takich sytuacjach Darek to była dupa z uszami, trudno się było dziwić temu workowi.

Facet podniósł do ust trąbkę i zadał mi prosto w twarz.

– Mam sobie wsadzić w dupę? – spytał.

– Nie. Będzie jeszcze gorzej – odparłem spokojnie, odsuwając Darka.

„Żadnych bójek” jakoś we mnie skłęsło, zrobiłem krok do gościa i spojrzałem mu prosto w oczy.

Nie wiem, co z nich wyczytał, ale odwrócił się nagle i bez słowa zniknął wewnątrz knajpy.

Rozluźniłem pięści. Rozluźniłem splot słoneczny. Rozluźniłem mięśnie i szczęki.

– Stęki, dziary – powiedział Darek, któremu z wrażenia tak się zaplątał język, że nawet nie starałem się zrozumieć, co powiedział.

– Nie ma za co – odpowiedziałem odruchowo i odwróciłem się, by wrócić do stolika.

Odwróciłem się, spojrzałem na Waldemara i zobaczyłem, że go po prostu nie ma.

7 maja

– Mamo, skąd ty znasz Waldemara Stefańskiego? – spytałem, postanawiając, że niczym nie dam się zbyć.

Mama popatrzyła na mnie lekko zmieszana i lekko zagniewana.

– To kretyn – powiedziała. – Sądziłam, że można mu zaufać...

Teraz to już mnie mało szlag nie trafił.

– Jak to zaufać? Co to za tajemnica? – spytałem, czując, że mam już na całe życie dość różnych tajemnic. Dość. Za dużo już tego było.

– Waldek to mój stary znajomy – wyznała mama po przerwie. – Dobry, stary znajomy. Znamy się pół życia.

– No dobrze, ale dlaczego to miała być tajemnica?

– Bo to on załatwił ci pracę w liceum plastycznym.

– Co? – spytałem i zatchnęło mnie dokumentnie.

– No, nie gniewaj się, synku – powiedziała mama, wyraźnie stropiona. – Nie mogłam patrzeć, jak się miotasz bez posady, wtedy w lecie... Widziałam, jak wszystko cię zawodzi, ta wymarzona praca z Garlickim, Majka... Byłeś w bardzo złym stanie.

Nic nie mogłem powiedzieć, więc patrzyłem na nią bez słowa. Wczorajsze „diabły na piecu” dopiero teraz zaczęły oddawać mi mózg we władanie i to w dodatku z dużą niechęcią.

– Syneczku – odezwała się mama. – Przecież ja cię znam. Wszystko zawsze chciałeś osiągnąć sam. Nigdy nie dawałeś sobie pomóc. Musiałam uciec się do podstępu.

– Jakiego podstępu? – spytałem słabo.

– Spytałam Waldka, czy nie mógłby cię zarekomendować u dyrektora liceum. Wiedziałam, że szukają matematyka, a ty byłeś bez pracy i bez żadnych perspektyw, by jakąś znaleźć... Widziałam jak się gryziesz, a z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że wreszcie zostałeś pociągnięty do odpowiedzialności za kolejną bójkę... Do tamtej pory wszystkie uchodziły ci na sucho, pomyślałam, że może to i dobrze, że wreszcie odczujesz na własnej skórze konsekwencje... Jak ty to zawsze mówisz?

– Najpierw aksjomaty, potem konsekwencje – rzuciłem odruchowo, zbyt wstrząśnięty, by powiedzieć coś więcej.

– Tylko że potem zrobiło mi się ciębie żal... i nie rozumiałam, jak można być tak... nieustępliwym, jak ten twój profesor... twój Mistrz, jak go nazywałeś.

Woland. Więc jeszcze raz muszę przez to przejść? Muszę powiedzieć mamie wszystko, bo inaczej co będzie o mnie myślała?

– Mamo – powiedziałem. – To było zupełnie inaczej. Teraz już mogę ci to wyjaśnić. Tylko najpierw ty mi powiedz do końca. Stefański mnie polecił, tak? A czy ty też znasz dyrektora Andrzejewskiego?

– Nie, pana dyrektora nie znam.

Trochę mi ulżyło.

– A co Stefański wie o mnie?

– No... opowiedziałam mu o tej aferze z twoim profesorem i o tym, że dostałeś wilczy bilet. Wie o tej bójce...

– A o Ani? Czy wie coś o Ani?

– A co mógłby wiedzieć? Wydarzyło się coś?

– Nic się nie wydarzyło – westchnąłem ciężko. – Chodzi mi o to, czy orientuje się, że ją kocham?

– O tym z nim nie rozmawiałam – powiedziała poważnie mama. – Chyba mnie znasz.

– Przepraszam – szepnąłem. – Ale Stefański robił jakieś głupie aluzje... Naprawdę byłem przerażony. Miał znacznie większą wiedzę, niż zwykły,

postronny człowiek i to mogło naprawdę niepokoić...

– To kretyn – powtórzyła mama. – Nigdy nie potrafił utrzymać języka. Zawsze się popisował, całe życie. Przepraszam cię synku, ale nie miałam wyjścia. Musiałam zorganizować ci pomoc za twoimi plecami. Namówiłam Piotrusia, żeby założył tę firmę i wciągnął cię do spółki... Nie mogłam pozwolić na to, żebyś stracił wiarę w siebie. Żebyś się załamał...

– Załamię to się chyba teraz – jęknąłem. – Jak ja mam rozmawiać z tym całym Stefańskim? I z dyrektorem? Wsadzony do szkoły po znajomości... Jak ja spojrzę kumplom w oczy?

– Pawełku, przecież nikt nic nie wie...

– Stefański chłapie jęzorem na wszystkie strony. A Andrzejewski ma niezłą zabawę, patrząc na mnie...

– Przepraszam cię. Musiałam to zrobić. Słusznie podejrzewałam, że nigdy nie zgodziłbyś się na jawną pomoc...

– Nie zgodziłbym się – westchnąłem. – Dlaczego mi to zrobiłaś?

Mama popatrzyła na mnie przeciągle, potem odwróciła wzrok, a po chwili znów spojrzała twardo.

– Bo widzę, ile pijesz – powiedziała. – I nie mam zamiaru pozwolić, byś się zapił na śmierć. Zrozumiałeś?

Spuściłem głowę. Wykąpałem się, porządnie umyłem zęby, a mimo to czułem, jak wczorajszy alkohol paruje wszystkimi porami mojej skóry. I wiedziałem, że mama też to wie.

– Gdyby twój ojciec nie pił tyle, to żyłby do dzisiaj – powiedziała nagle mama.

Zaparło mi oddech. Nie odważyłem się na nią spojrzeć.

– Tata pił? – spytałem cicho.

– Znacznie więcej, niż powinien – powiedziała mama też cicho. Jej gniew ustąpił. – Twój tata był wrażliwym, walczącym człowiekiem. Był świetnym lekarzem. To wiesz. Ale nie wiesz, że tak ratował swą wrażliwość przed światem. Lekarze często piją. Piją, gdy nie dają sobie rady z... życiem. Z zawodem, który wybrali. Z odpowiedzialnością za pacjenta w niedofinansowanym szpitalu, w całej polskiej poronionej służbie zdrowia... Tak, pił. Tak jak ty. Nigdy przez picie nie zawałił pracy. Zawsze był trzeźwy przy operacji. Nigdy nie popełnił żadnego błędu. Ale wracał do domu i pił. Mówię ci o tym zupełnie szczerze. Nigdy nie powiesz tego Piotrkowi. On nie powinien o tym wiedzieć. Ale ty tak. Rozumiesz?

Trząśłem się cały i znów skinąłem głową.

– To pomyśl sobie o tym. O sobie, o Ani, o waszym przyszłym życiu. Co jej chcesz przynieść? Swój alkoholowy problem? Poukładaj swoje życie, oczyść je i dopiero wtedy idź do niej... bo wcześniej to niepoważne.

– Mamo – szepnąłem. – Ja już czekałem cały rok. W tym czasie to, co dało się ułożyć – ułożyłem. Nawet nie masz pojęcia, ile tego było. Czy Ania zgodzi się dalej czekać? Przecież to dopiero jest niepoważne.

– Więc powiedz jej wszystko. Ona musi wiedzieć. Musi wiedzieć wszystko o tobie. Może zgodzi się poczekać.

– Na co, mamo? Nie jestem nałogowcem...

– Jesteś tego pewien? Naprawdę pewien?

– Mamo – szepnąłem, czując pod powiekami gorące łzy. – Ja już niczego nie jestem pewien... Prócz tego, że ją kocham.

– Najpierw aksjomaty, potem... konsekwencje – powiedziała cicho mama.

wieczorem

Zaczynało się już robić trochę ciemno, gdy pojechałem na grób ojca. Zapaliłem wszystkie lampki, usiadłem na ławeczce. Cmentarz był pusty o tej porze.

– Gdzie jesteś? – spytałem głośno. – Hej, tato?

Wiał lekki wiatr i płomyki świec chwiały się na wszystkie strony.

– Pamiętasz, jak mnie uczyłeś jeździć na nartach? – spytałem znów. – Jak mówiłeś: „Chodź, pomożesz mi umyć samochód. Chodź, zreperujemy kran. Mamie się urwał wieszaczek, pomożesz mi naprawić?”. Jak mi wsadzałeś do ręki młotek, obcęgi, lutownicę? Pokazywałeś, jak prowadzić hebel po desce? Jak mówiłeś: „Teraz mama sobie odpocznie, a my ugotujemy obiad...”. I gotowaliśmy. Jakieś naprawdę nieprawdopodobne danie, które w naszym wykonaniu nie wyglądało tak jak na obrazku w *Kuchni Polskiej*. Jak to powiedział Tuwim? „Plan to coś, co potem wygląda absolutnie inaczej”. I takie właśnie były nasze obiady... A pamiętasz, jak potem śpiewaliśmy na dwa głosy: „Nieeedoobre to, naprawdę paaaskuuudne tooo” i bohaterko zjadaliśmy tę okropną breję? Pamiętasz, jak Piotrek kiedyś popatrzył na nas i na nasz obiad, i usmażył zwyczajną, bardzo dobrą jajecznicę, a my strasznie się zdziwiliśmy, że można wpaść na taki prosty pomysł? – Uśmiechnąłem się, patrząc na tablicę, a potem podjąłem: – Nie zdążyłem się z tobą pożegnać, tato. Wiesz o tym, bo zawsze ci to mówię. Tego dnia wyszedłeś wcześniej, tak jak zwykle, bo spieszyłeś się na poranny

obchód w szpitalu. A ja miałem mecz, rozgrywki międzyszkolne i wygraliśmy. Myślałem, że opowiem ci o tym wieczorem. Ale nie opowiedziałem. Mama przyszła po mnie do szkoły i już wiedziałem, że coś się stało. Nie wiem, czy kiedyś pogodzę się z tą myślą, że byłeś wtedy sam. Bez mamy, bez nas, sam z obcymi ludźmi, którzy nie mogli ci pomóc, sam ze sobą w tej strasznej chwili. Nie wiem, czy kiedyś przestanie mnie to boleć.

Zapadał coraz większy mrok, płomyki lampek były już żółte i pomarańczowe. Ulotne refleksy ich odbić tańczyły na taflি grobu.

– Nic nie wiedziałem – powiedziałem do taty. – Nie wiem, czy powinienem to wiedzieć. Czuję się tak, jakbym... przeczytał twój list, skierowany nie do mnie. Jakbym przeglądał twój kalendarzyk czy twoje zapiski bez pozwolenia. Czuję się nie w porządku.

– To musiało być trudne – odezwałem się po chwili milczenia. – Pije się wtedy, gdy jest trudno, wiem. Gniewasz się na mnie?

Miałem trzydzieści lat, byłem dorosłym facetem i nigdy nie pytałem mamy, czy się na mnie gniewa. Pytałem kamiennej płyty.

– Ty wiesz, jak to jest – powiedziałem.

Jakaś pani przeszła ścieżką, weszła w rząd grobów równoległy do mojego i usiadła niedaleko. Dalej mówiłem już w myślach.

Gdy zrobiło się zupełnie ciemno, podniosłem się z ławki.

– Nie zawiedzie się na mnie – powiedziałem szeptem. – Będę niósł dla niej pochodnię. Całe życie. Nie będę pił w samotności. Nie będę pił, żeby zapić problem. Przysięgam.

Wiatr ustał. Płomyki wyprostowały się, jeden z nich trzasnął.

– Przysięgam – powiedziałem na głos.

8 maja

Zaraz po pierwszych kroplach, a tuż przed tym, zanim naprawdę lunie, zapach kurzu w nozdrzach jest ostry jak kokaina, z tym że bardziej radosny...

11 maja

Rachunek sumienia.

Jestem porywczy. Wciąż jeszcze emocje biorą u mnie górę nad rozsądkiem.



Nie patyczkuję się w słowach. Zdarza się, że klnę... ale to już bardziej *pour epater le bourgeois*<sup>12</sup>...

Piłem za dużo. Za dużo pałę.

Zdarza mi się przegrywać walkę z samym sobą i zostawiam się pokonanego na deskach w pięknym stylu.

Nie mam cierpliwości dla idiotów. I dla kompletnie nieuświadomionej niekompetencji.

Mam za to tendencję do poddawania się rozpacz, mimo że zdaję sobie sprawę, że rozpacz nie daje mi żadnych praw.

Nie zgadzam się na duchową tandetę. Bardzo mi to utrudnia życie i funkcjonowanie we współczesnym świecie.

Niepotrzebnie gmeram w pamięci.

Niepotrzebnie liczę na to, że będę szczęśliwy.

Mam słabo rozwinięty instynkt stadny, a właściwie w ogóle go nie mam.

Wiem, że miłość jest bardzo niebezpiecznym uczuciem, tak jak zresztą każda patologia.

Mam świadomość, że lenistwo jest potrzebne do refleksji i czasem dążę do niego za wszelką cenę.

Nie wierzę, że człowiek jest sumą odruchów.

*Odi profanum vulgus et arceo*<sup>13</sup> – niestety.

Zdaję sobie sprawę, że orgazm u kobiety trwa cztery razy dłużej niż u mężczyzny, podobnie jak parkowanie i godzę się z tym w pokorze.

Nie mam nadmiernego szacunku dla: szefów, rządu, policji, konwenansów, poprawności politycznej i obyczajowej, wychowania w trzeźwości i bez nałogów, ciężkiej pracy nikomu do niczego nieprzydatnej, zarządzeń BHP, tego wszystkiego, co wypada...

\*

Jak to powiedział kiedyś Czarek – nie jestem ósmym cudem świata.

Jak to powiedział Leszek – jestem zasranym romantykiem.

Jak to powiedziała Majka – jestem pierdolonym skurwysynem.

Jak to powiedziała Emilka – jestem matematykiem.

Co mi odpowiesz, gdy stanę przed tobą nagi, już bez żadnej maski, już za chwilę?

Czy będziesz mnie chciała, z moją miłością i moją niezgodą, z moimi wszystkimi wadami i porażkami, z tym wszystkim, czego już nie będę chciał ukryć przed tobą?

Dasz mi szansę?  
Odwrócisz się i odejdiesz?  
Jutro się dowiem.

\*

Bardzo, bardzo późnym wieczorem zadzwoniłem do Leszka, licząc na to, że jeszcze nie śpi. Byłem trzeźwy jak nigdy i wiedziałem, że to ostatnie, co muszę załatwić.

– Słuchaj – powiedziałem z namysłem. – Słuchaj... mam do ciebie jedną małą...

– *Nachtmusik*? – spytał Leszek.

– Nie. Prośbę.

– Wal.

– Gdyby okazało się, że... gdybym definitywnie odwalił kite, to przyrzeknij mi, że przyjedziesz tutaj i spalisz mój dziennik.

Po drugiej stronie zapadła kompletna cisza.

– Jaki, kurwa, dziennik? – spytał wreszcie Leszek nieswoim głosem.

– Przecież kazałeś mi pisać... Nie pamiętasz?

– I ty piszesz ten dziennik? Serio?

– Serio – powiedziałem. – Więc czy mógłbym mieć...

– Jaką kite? – przerwał mi Leszek.

– Definitywną. Nie męcz mnie. Czy mógłbyś...

– Paweł, kurwa, to nie jest zabawne.

– Nie jest – przyznałem. – Jutro kończą się matury. Nie wiem, co będzie.

Więc gdybym...

– Co gdybyś?

– Leszek, kurwa, to chyba nie jest skomplikowana prośba.

– Czy mam do ciebie natychmiast przyjechać?

– Wyluzuj. Tak po prostu mówię.

– Ile wypięś?

– Nic nie wypięm. – Uśmiechnąłem się i pomyślałem, że zaraz walnie tekstem z Pratchetta, ale Leszek nie był najwyraźniej w nastroju.

– Dlaczego sam go nie spalisz? – spytał.

– Bo to by oznaczało, że się poddałem. Rozumiesz?

– Paweł – powiedział cicho Leszek. – Jeśli pisałeś dziennik, to daj go jej, do jasnej cholery. Rozumiesz? Dla niej pisałeś.

– Dla siebie.

- Dla niej. I teraz jej go dasz. Rozumiesz? Ona musi wiedzieć.
- Dowie się.
- Paweł...
- Proszę cię. Tylko ciebie mogę o to prosić. Zrobisz to? Proszę.
- OK.
- Pamiętaj.
- Będę pamiętał.
- Dziękuję – powiedziałem.

Miałem absolutną pewność, że już nic więcej nie muszę mówić, więc się rozłączyłem.

12 franc. aby zaszokować drobnomieszczanina

13 łac. nienawidzę pospólstwa i unikam go.

13 maja

Dziś miała ostatni maturalny egzamin – z francuskiego. Już po wszystkim zaprosiłem ją do szkolnego barku. Lekka biała bluzka, czarna spódniczka. Oczy w cieniach zmęczenia. Włosy ujarzmione w kok. Wąziutkie dłonie i stopy. Maturzystka.

To nie było dobre miejsce i dobry czas, zdawałem sobie z tego sprawę. Za dużo ludzi wokół, szeptów, zaciekawienia. Niby miałem już to wszystko w dupie, ale jednak wołałem wyznawać jej miłość w innym *entourage'u*.

Mało spałem tej nocy, właściwie wcale. Nic nie mogłem przełknąć, nie wypilem ani kropli. Prawie jak ta koza z dziecięcej bajeczki – nic nie jadłem, nic nie piłem... Siedziałem przed nią trzeźwy i przytomny, piekły mnie oczy i serce też piekło.

– Jak ci poszedł francuski? – spytałem.

– Bez problemu – powiedziała. – Pan Stefański to równy gość, porozmawialiśmy sobie o duperelach, a cała komisja i tak nie miała pojęcia, o czym mówimy. Gramatykę mi odpuścił... to znaczy nie czepiał się nadmiernie. To fajny facet. Lubi go pan? – spytała nagle.

– Nie – powinienem powiedzieć. – Nie cierpię go.

Ale nie chciałem wchodzić w to głębiej. Miałem już dość pana Waldemara Stefańskiego, a przynajmniej w tym momencie.

– Czekaj – powiedziałem za to. – Od tej chwili to już daj spokój. Mów mi po prostu po imieniu.

Przyjrzała mi się i leciutko się uśmiechnęła.

– Aha – powiedziała. – Wreszcie mogę to zrobić oficjalnie?

Cały rok graliśmy ten spektakl, ja do niej po imieniu, ona do mnie: „proszę pana” lub „panie profesorze”. A co tak naprawdę myślała?

– Więc mówiłaś tak do mnie w myślach? – spytałem.

– Noo... niezupełnie. Miałam dla ciebie przezwisko.

– Przewisko... No, zdradz mi, jak przezywaliście mnie przez cały ten czas.

– Och nie, proszę...

– Och tak, chcę wiedzieć koniecznie.

– No dobrze, sam chciałeś. Potwór.

Bęc. Chciałem – mam. A czego można się było spodziewać?

– Potwór? – spytałem zmieszany.

– Ale ja tak na ciebie nie mówiłam – zastrzegła się prędko. – No, może na początku.

– Bardzo ci dziękuję. – Skłoniłem się. – Na początku? A potem jak?

Zerknęła na mnie, nagle zaczerwieniona. Tak mnie tym zawstydzieniem wzruszyła, że o mało nie pękłem i nie wyznałem jej wszystkiego bez względu na czas i miejsce.

– Jeżozwierz – powiedziała.

– Och – wyrwało mi się. – Ale dlaczego?

– No wiesz... Jeż to sympatyczne zwierzątko, ale taki... jak by to powiedzieć... pocziwina. Taki tuptuś, fuczek, no stetryczały wujaszek. A co tu dużo mówić, pocziwina to ty nie jesteś...

– Aha. Ale dlaczego jeżozwierz, co, nos mam taki długi?

Parsknęła śmiechem.

– Pomyliło ci się z mrówkojadem.

No tak. Rzeczywiście.

– Jak w takim razie wygląda jeżozwierz? – spytałem.

– Piękny... tajemniczy i zupełnie... nieosiągalny.

Nieosiągalny. Więc chciała? Kiedykolwiek? Czy...

Zrobiło mi się słabo.

– I co? – spytałem tak samo słabo. – Naprawdę taki ci się wydawałem? Tajemniczy i nieosiągalny?

– Tak.

– A teraz?

– Teraz mniej.

To. Nie jest. Dobry moment. Za dużo ludzi. Nie będę robić spektaklu. Nie mogę jej stawiać w takiej sytuacji. To by była... manipulacja.

Nie mogłem przełknąć śliny. Nie mogłem na nią spojrzeć. W jej oczy. Tak się bałem, co tam znajdę. Muszę umówić się z nią na wieczór. Przyjść do niej. I tam, bez tych wszystkich ludzi... tam jej wyznać... Ciągle nie mogłem przełknąć śliny. Aż rozboleły mnie boki gardła.

– Widzisz... – zacząłem kulawo, ledwie żywy. – Skończyłaś szkołę i moja rola, nazwijmy to, oficjalna, wygasa.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Smutne spokojne oczy, takie piękne w wykroju, niebieskie, wpadające w fiołkowe odcienie. Czarne gęste rzęsy. Mocne łuki brwi. Nosek i piegi na nim... cztery, pięć piegów. Sześć. Najśodsze usta... W dotyku chłodne, czy gorące? Nieśmiałe czy odważne?

Pachnące szminką czy pachnące jej oddechem? Smakujące poziomkami, miętową gumą do żucia czy kawą, skoro właśnie piliśmy kawę?

– Ale przecież jesteśmy... – powiedziałem i zamilkłem na ułamek sekundy. – Przyjaciółmi – podjąłem kompletnie nieprzytomnie. – I zostaniemy nimi... w dalszym ciągu – mówiłem dygocząc.

Ania patrzyła mi w oczy.

– Więc to, co się dzieje to koniec i... początek – udało mi się powiedzieć i w tym momencie Ania oderwała ode mnie spojrzenie.

Oderwała, przeniosła je gdzieś poza mnie, poza moje ramię, gdzieś w tył, za moje plecy. Przez moment sparaliżowało mnie i nie mogłem się odwrócić. Potem odwróciłem się bardzo powoli.

Kilka kroków od naszego stolika stał Michał.

Usłyszałem, że Ania podnosi się raptownie, znów odwróciłem się do niej, ale już jej nie było. Była przy Michale.

– Ania – powiedział dziwnym głosem i łagodnie wziął ją za łokieć. – Chodź na chwilę, muszę... – Nie skończył.

Miał w głosie coś takiego, co mnie przeraziło. Ania odwróciła się szybko w moją stronę, powiedziała: „Przepraszam” i bez wahania poszła za Michałem kilka kroków. Chciałem się odwrócić do stolika, ale nie mogłem. Michał powiedział coś półgłosem, coś, czego nie usłyszałem. Zachwiał się, a Ania zamarła, a potem chwyciła go w objęcia. Patrzyłem, jak go obejmuje, a Michał wtula twarz w jej szyję i włosy. Trzęsło mnie na wskroś, poza tym nie byłem w stanie się ruszyć. Patrzyłem, jak stoją wtopieni w siebie na środku korytarza, tuż przy barku, jak przechodzą koło nich ludzie, obrzucają ich zaciekawionymi spojrzeniami, zerkają też na mnie, a my wszyscy tkwimy nieruchomo, jak porażeni, ja przy stoliku, oni kilka kroków ode mnie, przytuleni, bez ruchu.

Nagle Ania oderwała się od Michała, podeszła do krzesła, na którym wcześniej siedziała, wzięła swoją torebkę. Twarz miała pustą, zupełnie bez wyrazu. Minęła stolik, chciała odejść.

– Aniu – szepnąłem. – Co się...

– Przepraszam – powiedziała, prawie na mnie nie patrząc.

Znów szklisty cień objął jej skronie i policzki. Oczy prześlizgnęły się po mojej twarzy, nie zatrzymując się.

– Aniu – odezwałem się desperacko, dotykając jej dłoni. – Muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę...

– Michał – odpowiedziała bez żadnej intonacji. – Muszę być z Michałem. Jestem mu potrzebna. Przepraszam.

– Czy mogę do ciebie przyjechać wieczorem? – szepnąłem, cały czas trzymając ją za rękę.

Spojrzała na swoją rękę, jak na rzecz zupełnie do siebie nieprzynależną, spojrzała na moją dłoń, odruchowo ją cofnąłem.

– Nie – powiedziała. – Puść mnie. Nie zostawię Michała. – Zachwiała się, wyminęła mnie i bez słowa odeszła.

w nocy

No tak. No tak. Więc stało się.

Przegrałem. Straciłem Anię. Straciłem Anię, nic mnie już nie strzeże od złego.

Na stole flaszka i fajki... Chciałoby się napisać – i odbezpieczony pistolet, ale nie. Może i jestem romantycznym frajerem, ale nie aż tak melodramatycznym. Wystarczy, że właśnie łamię złożoną ojcu przysięgę... Do tego oto doprowadziła mnie wierność danemu słowu.

Myślałem, że będę szalał, wył jak zwierzę, a siedzę po prostu bez ruchu. Właściwie nie wiem, co czuję.

Ania, Ania, Ania.

Może coś by się zmieniło, gdybym dał jej ten dziennik? Gdyby przeczytała, nie mogłaby chyba zostać obojętna...

Nie. Nie dam jej dziennika. To byłaby próba psychicznego szantażu. Wywieranie presji. Nie potrafię. I ze względu na ludzi, o których pisałem. Nie wolno mi.

Przegrałem.

\*

Wódka rozwala mój mózg na miliony kawałków, nie potrafię nawet pozbierać ich do kupy.

\*

Chyba mam atak serca.

\*

Próbuję zwymiotować to serce i żołądek na stół, na kolana, na podłogę.  
Przez moment mam wrażenie, że mi się uda. Potem łzy zabierają obraz.

\*

Siedem ósmych butelki.

\*

Osiem ósmych butelki i otworzę nową.  
Otworzę nową i będę widział ją w objęciach Michała.

\*

Leszek, kurwa, przyrzekłeś...



## EPILOG

Zostawiam Jeżozwierza przy stoliku, podchodzę bez słowa do Michała. Michał dotyka mojego łokcia.

– Chodź na chwilę – mówi jak automat.

Patrzę mu w twarz. Dygocze mi serce i umysł. Dygoczą mi dłonie i kolana. W głowie zaczyna coś cichutko cykać. Coraz prędzej. I prędzej. Przerazające uczucie *déjà vu*.

– Bemolka nie żyje – mówi Michał.

Krew w głowie pojawia się znikąd, uderza we mnie jak wielki młot. W skronie, w oczy. Chwytam się Michała. Michał mnie podtrzymuje, czy też podtrzymujemy się nawzajem, jak dwa liście, które za chwilę zmiecie wiatr. Zmiata nas wiatr. Michał drga spazmatycznie w moich ramionach, bez jednego słowa, bez jednej łzy, ale tak, jakby jakaś straszna siła rozrywała go od wewnątrz na kawałki, staram się go objąć, utrzymać w całości, nie pozwolić na rozpad. Mój umysł się nie godzi. Osłupiały umysł nie chce ogarnąć tego, co się stało. Trzymam Michała kurczowo, mózg buksuje w miejscu. Bemolka... Nie, to się nie stało... Michał, Bemolka, nie, to się nie stało... Nie rozumiem, co mi powiedział. Nie. Tak jak wtedy. Nie. Nie zostawiłaby nas. Skurcz w pasie – w piersiach – w gardle – ledwie powstrzymuję się od zwymiotowania na podłogę.

– Michał – mówię bezradnie. – Powiedz, że to nieprawda.

Tak mi trudno odetchnąć. Michał ma zamknięte oczy. Więc nie wiem, czy to prawda, to co powiedział. Nie umiem zamknąć oczu. Wewnątrz czuję jakąś fizyczną ułomność, mój mózg ją ma. Nie potrafi wysłać jakiegoś sygnału. Buksuje wciąż w tym samym w miejscu i czasie. Przestał reagować na bodźce. Jest w niebycie.

– Ania, ratuj mnie – mówi Michał bezgłośnie.

Trzymam go wciąż mocno, tak jak uchwyciłam na początku, w pas ratunkowy ramion, pas, który niczego nie potrafi uratować. Bo w takiej chwili nic nie pomoże. Wiem wszystko o nieprzydatności słowa. Pamiętam.

Muszę stąd zabrać Michała. Od ludzi, od spojrzeń, od zachłannej, niczym niemaskowanej ciekawości. Zabrać. Ukryć. Jak ranne zwierzę – musi być sam.

Wracam odruchowo do stolika, gdzie zostawiłam torebkę. Leży na krześle. Stolik, dwie puste filiżanki, Jeżozwierz...

– Aniu, co się... – zaczyna pytanie, jakieś pytanie, na które nie odpowiem, które przechodzi gdzieś koło mego sparaliżowanego umysłu.

Podnoszę z krzesła torebkę. Michał stoi tam, gdzie go zostawiłam, pusty, kompletnie samotny człowiek, który jest jeszcze gdzieś obok całej tragedii, tego wszystkiego, co się wydarzyło, bo nie chcą się na to zgodzić wszystkie jego zmysły... Robię krok w jego stronę.

– Aniu, muszę z tobą porozmawiać – mówi Jeżozwierz, dotykając delikatnie mojej ręki.

Tyle razy marzyłam, by dotknął mojej ręki... Tyle razy błagałam go w myślach, prosiłam: chodź, wyrzuć to wszystko w cholere, chodź, dopóki pragnę... I nigdy... nigdy... Jak długo można czekać? Co może mi powiedzieć, czego nie wiem? Nie obchodzi mnie to. Za długo to trwało. Teraz tylko Michał się liczy.

– Michał – mówię zupełnie bez udziału umysłu. – Muszę być z Michałem.

– Czy mogę do ciebie przyjechać wieczorem? – pyta i trzyma mnie już wyraźnie za rękę.

Zaborczy, gdy chodzi o przyjaciół, władczy, pewny siebie Jeżozwierz.

– Nie – mówię.

Nie. Nie może do mnie przyjechać. Będę z Michałem, będę go ratować przed piekłem, które już przygotowuje jego umysł.

– Puść mnie – mówię stanowczo i stanowcza ręka opada. Nic mnie już nie trzyma. – Nie zostawię Michała – mówię jeszcze, mijam go i odchodzę.

Mam pod szkołą samochód i odruchowo prowadzę do niego Michała.

– Gdzie cię odwieźć? – pytam. – Do domu? Gdzie jedziemy?

Zapinam mu pas, bo siedzi jak manekin. Sama też zapinam. Wkładam kluczyk w stacyjkę. Autopilot włączony w moim mózgu.

– Nie mogę – mówi szeptem Michał – jechać do domu. Jeszcze nie. Nie dam rady.

Odpalam silnik i ruszam do siebie. 25 km jak obszył. Puste łąki parują po deszczu, wrota lasu opierają się o ich krawędź, przed nami dom i jabłkowy sad. Dojechałam.

*Déjà vu, déjà vu* w mózgu i w sercu. Znów dzwonię do mamy Michała i mówię, że Michał jest u mnie i śpi... jak wtedy. Wtedy, gdy nie stało się jeszcze nic ostatecznego. I głos jego mamy tak pusty, jak wtedy. Nie jestem w stanie z nią rozmawiać, odkładam słuchawkę.

Znów szklanka wódki i podaję ją Michałowi. A potem kładę go na swoim tapczanie, zwiniętego w embrion...

Tak mija noc.

Potem wreszcie dowiaduję się kilku szczegółów.

Michał miał ostatni egzamin dzień wcześniej, niż ja francuski, zdawał historię. Wieczorem wypił dwa piwa. Czuł się wyczerpany, zestresowany, egzamin poszedł mu nie najgorzej, chciał już zapomnieć o maturze. Bemolka od kilku dni była w domu, spokojna i cicha, nic nie zwiastowało nieszczęścia.

Dwoma piwami Michał nie miał prawa się upić, ale się przymulił i poszedł spać. W nocy zachciało mu się sikać po tych piwach, wstał i po omacku poszedł do kibla, nie zapalając światła. Tak samo po ciemku wrócił do łóżka.

O siódmej rano obudził go krzyk mamy.

Bemolka wisiała na drążku do ćwiczeń, zamontowanym w futrynie drzwi na korytarz. Pod nogami miała przewrócone krzeselko. Jej ciało było zimne.

– Gdybym w nocy zapalił światło – powiedział Michał. – Gdybym tylko zapalił. Gdybym nie był taki nieprzytomny. To się musiało dziać wtedy. Nic nie widziałem. Nie słyszałem żadnego ruchu. Przechodziłem przez te drzwi.

Co można powiedzieć w takiej sytuacji? Nic. Żadne uspokajanie nic nie da. Można zapewniać, że to nie jego wina, że przecież nie mógł czuwać na okrągło, że nikt nie mógł tego przewidzieć... I tak będzie się zadręczał do końca życia. Będzie się zadręczał, że go przy niej nie było, kiedy zawiązywała pasek na drążku, zaciskała go mocno, badając jego wytrzymałość, kiedy ustawiała stołeczek, wchodziła na niego, zakładała sobie pasek na szyję, następnie wykopywała spod nóg stołeczek... I zrobiła to w absolutnej ciszy, bo nic nie usłyszał. Bo gdy się rano obudził, było już po wszystkim.

Dlaczego nikt o tym nie pomyślał? Dlaczego szpital wypisał ją do domu, gdy była w takiej depresji? Czemu nie skierowano jej od razu na leczenie, nie nafaszerowano psychotropami czy choćby lekami uspokajającymi, czemu nie było przy niej psychologa? Gdzie była ich mama, gdzie ich tata, gdy odbierała sobie życie? Gdzie... Bajka, Feeling?

Gdzie oni wszyscy byli, bo Michał po prostu padł po tygodniach stresu, nauki, egzaminów, po potwornej, katorżniczej pracy przy matmie, po dwóch piwach. Dlaczego tylko on się za to wszystko wini?

\*

Bemolka...

Krótką, nastroszoną fryzurką, kose oczy, zielone, jedno z łatką. „Wiesz, ile razy powiedziałam kurwa, zanim tu doleciałam?”; „I co, będę stała odpiędziona, jak szczur na otwarcie kanału, przy swoich obrazkach?”; „Na pianinie też grasz?”; pod mostami... pod wszystkimi mostami woda nie płynie szybciej, tylko potężniej...; „Wiesz, ja tam lubię porządne mordobicie”; „Feeling, nie pogrywaj. Nie próbuj nas skłócić”; „Michał leży, otworzy ci, tylko musisz napierdalać dzwonkiem do zwycięstwa”; „Ja na twoim miejscu włączyłabym empatię”; „Ja po prostu bardzo... Michała ...”; „Nigdy go nie zostawię”.

Nigdy go nie zostawię.

Zostawiła jedno słowo na kartce.

„Przepraszam”.

Dla ich mamy, dla taty, dla Michała. Dla Sebastiana.

„Przepraszam”.

Czy po czymś takim można dalej normalnie żyć?

Bemolka, której duma nie zniosła, że ktoś się nią tak zabawił. Której miłość nie poradziła sobie z odtrąceniem, unieważnieniem. Której poczucie przyzwoitości nie wytrzymało wybaczenia Sebastiana. Dla której to, że Michał zrobił kilka kroków własną drogą, okazało się nie do przeżycia. I jeszcze jego gniew na nią... potępienie, gdy do tej pory zawsze stał po jej stronie.

Jak Michał poradzi sobie z tą jej decyzją... ze sobą?

Jak sobie poradzi Sebastian?

Bemolka, Bemolka... Beata.

Nie mogę uwierzyć, że nie zobaczę już nigdy jej łobuzerskiego uśmiechu, oka strzelającego łatką rozbawienia, chmury wzruszenia na jej twarzy, jej dynamicznych obrazów, jej lirycznych tekstów, jej światów.

Prawie szesnaście lat. Byłam zaledwie rok starsza, gdy wydarzyło się najgorsze. Dlatego tak wszystko rozumiem. Jej bunt, jej gniew, jej krótkie parsknięcie – odpięrdolcie się wszyscy ode mnie. Nie chcę żyć. Nie będę żyć.

\*

„Odwrócić się twarzą do ściany, żeby umrzeć, żeby mnie nikt nie znalazł i nie uratował... niech mnie nikt nie widzi, niech mnie nie podnosi, nie pyta. Niech mnie zostawi w spokoju. Nie będę tak umierać na cudzych oczach...”.

\*

Jestem przy Michale i trzymam go, jak umiem, ale wiem, jak bezradne są moje ręce. I moje słowa. Powiedziałam Michałowi, że to nie jego wina. Powiedziałam, że go nie opuszczę. I że już nigdy nie spotkam się z Potworem. Że to skończony rozdział. Wszystkie zdania skierowane w próżnię. Koślawa rozmowa, gdzieś z innej planety.

Przeszliśmy przez jego sen bliski omdlenia, ciężki i nieprzynoszący ulgi, przez próby wmuszenia jedzenia. Znam to. Do bólu. Teraz jest znów to samo. Spytałam Michała, czy chce, bym siedziała przy nim w nocy, powiedział, że musi być sam.

W nocy słyszałam gorzki, stłumiony szloch dochodzący z salonu, gdzie pościeliłam mu kanapę. Gorzki, bezradny płacz dorosłego mężczyzny.

\*

Znam go, znam go do bólu i wszystko rozumiem.

Nigdy przede mną niczego nie krył. Śmiał się przy mnie, rzygał i płakał, przeżywał swój nieszczęsny orgazm pod dotknięciem moich dłoni, grał na pianinie prymkę i mówił z niezrównanym akcentem: *berceuse*. Kołysanka. Dla ciebie.

Wierny, lojalny, szczery, prawdziwy. Król z celtyckich podań, rycerz rzucający przez mrok lawinę kamieni, utracony amulet na szczęście. Michał, któremu po raz kolejny nie potrafię pomóc, tak jak nie potrafiłam nigdy. Moja miłość, która nie potrafiła się spełnić, mój ból, mój wstyd.

Mój Michał.

\*

Zaraz potem zaczyna się seria telefonów.

Za długo byliśmy sami, tylko we dwoje. Trudno się dziwić, że ludzie panikują.

Mama Michała powiadomiła szkołę i pani Barska tkwi przy Sebastianie. Dzwoni do mnie przerażona i bezradna, a ja w żaden sposób nie mogę jej

uspokoić. Z Michałem nie jest dobrze, bardzo się o niego boję.

Potem dzwoni mama Michała. Michał ma martwą twarz, gdy z nią rozmawia, zresztą zaraz wychodzę z pokoju.

Z Sebastianem jest źle, z Michałem jest źle... źle z nami wszystkimi. Nie mam jak powiadomić Feelinga i Bajki, bo nie zostawili adresu. Zresztą nie wiem, czy chcę ich w ogóle powiadamiać. Gdy o nich myślę, serce zalewa mi ból i wstręt. Obrzydzenie, jakbym patrzyła na martwe, gnijące zwierzę. Tyle po tym zostało... po przyjaźni.

Kolejny telefon dzwoni piętnaście minut po poprzednim i słyszę w słuchawce obcy, męski głos.

– Tu Jerzy Krassowski. Jestem ojcem Michała – mówi ten mężczyzna z nalotem francuskiego akcentu. – Proszę mi podać adres, przyjeżdżam po niego.

Podaję mu adres, a potem podaję słuchawkę Michałowi.

– Słucham – mówi Michał, jak do kogoś obcego. – Jesteś w Polsce?

Wychodzę znów z pokoju, ale nie dość szybko, by nie słyszeć kolejnego zdania.

– Wreszcie coś stało się ważniejsze od twojej pracy? – pyta Michał, a właściwie jest to zdanie oznajmujące.

Ból uderza mnie w serce, zamykam za sobą drzwi od salonu.

Wiem, że tak musi być, życie znów po nas wraca, jak odbita fala, ale przez chwilę żałuję tych chwil, gdy byliśmy tylko we dwoje... Teraz już oboje mamy tę samą wiedzę o najgorszym i to powoduje naturalność naszego kontaktu... Potem nagle się orientuję, że tę samą wiedzę mają wszyscy – jego matka, ojciec, Sebastian... Wszyscy już wiemy. Śmierć przeszła znów, w chitonie, ze srebrną spinką, z ciężkim węzłem włosów, smutna, spokojna, nieubłagana i niewzruszona, moja Śmierć z obrazu, tańcząca Małgosia z klepsydrą i wahaniem, Tanatos...

Tym razem Bemolka wzięła z jej ręki zielony kamień.

– Ojciec wrócił do Polski – mówi Michał suchym głosem. – Może do niego dotrze, że powinien być tu cały czas.

Patrzę na niego.

– Cały czas, bo matka nie nadaje się do tego, by mieć dzieci... Nigdy się nie nadawała.

– Nie jesteś już dzieckiem – mówię ciężko.

– Ale Bemolka była – przerywa mi. – Była wciąż dzieckiem, a ja... nie dawałem sobie z nią rady. Potrzebowała silnej ręki, sama wiesz. Ja jej

pobłażałem.

– Michał...

– No, co? Taka jest prawda. Tylko raz zdobyłem się na stanowczość i co?

– Proszę cię...

Wiem, że mamy mało czasu, jego ojciec zaraz tu będzie. Pamiętam, jak długo jedzie się tutaj z Alei Róż.

– Bądź dobry dla ojca – mówię szeptem. – Dla mamy też. I dla siebie.

– Gdyby byli normalnymi rodzicami, może to by się nie stało. I gdybym ja był normalnym bratem. Chciałem być najbliższym kumplem, przyjacielem...

– I byłeś.

– Tak uważasz? – pyta, przypatrując mi się uważnie. – W takim razie dlaczego nie powiedziała mi... o Feelingu? O Bajce? O miłości? Dlaczego to zrobiła? Dlaczego? – milknie i kryje twarz w dłoniach. – Ojciec powiedział, że już ją zabrali – mówi przytłumionym szeptem.

Zdejmuje ręce z oczu. Nie mogę na niego patrzeć.

– I tak wciąż będzie mnie prześladować wygląd jej twarzy... i jej oczu. Miała otwarte oczy. Jak u... zastrzelonego zająca...

– Michał – szepczę, trzęsąc się cała.

– Przepraszam – mówi. – To mnie przerasta. Ojciec mnie zaraz zabierze. Przepraszam, Ania.

– Za co?

Dzwonek. Idę otworzyć. Brudna, wygnieciona, niewyspana, nieprzytomna. Na dworze jest bardzo jasno i bardzo pięką mnie powieki.

– Dzień dobry – mówi wysoki, szykowny, cholernie przystojny pan o twarzy Michała.

Tylko ma zupełnie puste oczy. Ja też mam puste oczy. I puste oczy ma Michał, schodzący po schodkach ganku.

– Dziękuję ci. Do widzenia – mówi jak do kogoś obcego, mija mnie i podchodzi do swego ojca.

Zaraz potem przyjeżdżają Pola z Jankiem i próbują mnie namówić, żebym pojechała z nimi do Barskich, przygotowali dla mnie pokój. Dziękuję im, ale mówię, że zostanę.

– Nie chcę, żebyś była sama – mówi Pola i patrzę jej uważnie w oczy.

– Tak było zawsze – odpowiadam cicho. – W takich chwilach człowiek jest sam i zawsze będzie. Dziękuję ci, kochana, taka kochana jesteś. Ale nie mogę. Nie chcę. Nie zmuszaj mnie.

– Odbieraj przynajmniej telefon – prosi i to mogę jej przyrzec.

Podobno pani Barska i pan Waniszewski siedzą cały czas przy Sebastianie... Nie chcę, nie chcę tego przeżywać od nowa... Przypominam sobie rozmowę z panią Barską o Bemolce... Bemolce i Sebastianie. Powiedziałam: „On to uniesie. I tę miłość, i to wszystko, co ona może mu zrobić... każdy ból... wszystko”. Zastanawiam się, co pani Barska myślała wtedy, patrząc na mnie. Byłam pewna siebie i pewna swego, tą straszliwą, młodzieńczą pewnością, która nie zna wahań... a ona wiedziała lepiej. Tak jak zawsze wiedziała. Wszystko o nas. I bała się. Jak widać – słusznie.

Zostawiają mnie wreszcie i mogę być sama.

Ze sobą. W ciszy. I w pustce.

Nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałam tej samotności. Żeby zrozumieć, co się właściwie stało.

Zadyma przychodzi do mnie kilkakrotnie, gdy leżę zwinięta na tapczanie w swoim pokoju.

\*

Mamo, mamó, mamó, mamó – mówię na głos pierwsze słowo każdego człowieka. Mamo, mamó, gdzie jesteś? Mamo, znów ktoś stąd przeszedł Tam. Mamo, to Bemolka. Poznasz ją. Malutka. Ruda. Z tatuażem. Jedno oko ze złotą łatką. Miała otwarte oczy. Więc poznasz. Mamo. Zaopiekuj się nią. Nie wiem, czy ma Tam kogoś. Niech przynajmniej Tam nie błądzi, nie szuka, nie czuje się samotna. Mamo. Proszę. Ktoś tu zrobił jej krzywdę. I ona zrobiła komuś krzywdę. Gdy stanie u stopni złotego tronu – może to się zrównoważy. Może to się usprawiedliwi. Bądź przy niej. Pomóż jej. Przygotuj jej duże łóżko z pachnącą pościelą, połóż ją tam i zaśpiewaj jej kołysankę. Posiedź przy niej, aż zaśnie. Niech odpocznie. Niech się wypłacze. Niech będzie utulona. To mała dziewczynka. Mała, mała dziewczynka. Poszła Tam bez lalki i bez misia, bez kropli wódki, bez ostatniego papierosa i bez Michała, poszła, niosąc w pamięci, w mózgu, w ciele za dużo dorosłych rzeczy. Nie powinno jej to spotkać. Dlatego przytul ją po prostu mocno i nie pytaj o nic. O takie rzeczy się nie pyta.

Ani tu, ani Tam.

\*

Tam.



Przekręcę się na plecy i wycieram łzy. Tam – nieznane, niewyobrażalne Tam.

A może Tam – nie ma nic?

Wciąż rozszerzająca się pustka i rozproszone atomy i żadna trąba stamtąd nie zawoła, i nikt nie stanie przed stopniami tronu, tylko będziemy gasnąć po kolei, jak pogubione światła, jak zmylone cienie, nie wiedząc, nie rozumiejąc, odchodząc? Nie ocali nas żadna miłość, ani nie-miłość, nie ocali nas nic.

Po kolei odłączane będą kolejne baterie i źródła zasilania, lampy, kontakty, przyciski, będą zamykane programy, naciskane kolejne guziki: wyłącz, wyłącz, wyłącz... gdzieś poza nami. Każdy guzik odbierze nam jeden zmysł, kolejną wiedzę, umiejętność, potrzebę, aż zostaną z nas puste skorupy, kruszące się coraz bardziej, pełne rys, pęknięć, okruchów, pyłu i nicości.

Tak odejdziemy w bezkres, w niepamięć, w puste gwiazdy. Takie będą po nas wspomnienia.

Mistrzu Milczenia, czy coś odpowiesz?

Usłyszysz wołanie? Wypijesz nasze zdrowie? Odmówisz za nas modlitwę?

Jeśli Cię to w ogóle obchodzi.

Jeśli nie czujesz się już tym wszystkim zmęczony.

Jeżeli jesteś.

\*

Wieczorem otwieram szeroko drzwi na werandę i z werandy – na ogród. Noce są jeszcze zimne, słowiki zdzierają gardła. Klawisze jak krople zaczynają kapać w zupełnej ciemności, przez otwarte drzwi, tak by nic ich nie wstrzymywało, by łatwiej mogły dolecieć. Nie ma kontrabas, saksofonu, perkusji z miotełkami, nie ma Feelinga, Bajki, Michała, Pioruna, jestem tylko ja i pianino, i gram dla niej na pożegnanie po kolei cały nasz repertuar, dziesięć kawałków, które nigdy nie będą żadną płytą, nie będą żadnym koncertem, dziesięć utworów, które nigdy już nie zabrzmiały w tym składzie, dziesięć piosenek, które stworzyliśmy i które utraciliśmy.

Gram dla Bemolki *Kamienie*, gram *Kołysankę*. I ona, i ja słyszymy między klawiszami mroczny, słodki głos, tak jakby Bajka stała tu przy pianinie i zegnała się z nią, po raz ostatni mówiła słowa, które są miłością i

wytłumaczeniem, czułością, marzeniem i tęsknotą, pamięcią, która nie zna czasu.

A potem już tylko kilka dźwięków, parę nut.

Zaśnij...

Śnij.

\*

Nie dzwoni nikt od Barskich. Ani pan Waniszewski. Ani Michał, Leszek... Jeżozwierz. Zastanawiam się, czy on wie. Ale skoro mama Michała powiadomiła szkołę, to pewnie wie. On też się nie odzywa. Tak, wtedy w barze to był koniec. Pewnie chciał przyjechać wieczorem, żeby się pożegnać. Myślę, że możemy sobie tego oszczędzić... A nawet gdyby było inaczej, to i tak w obliczu tego, co się stało, nie mogę dokładać Michałowi kolejnego ciosu. Po prostu mi nie wolno.

\*

Następnego dnia rozpalam w ogrodzie ogromne ognisko. Idę do pracowni, wyciągam białoszary obraz, jednorożca, utraconego Lincorna. Patrzę chwilę na niego. Delikatnie przeciągam palcem wzdłuż linii jego szyi. I grzbietu. Wynoszę obraz do ogrodu, siadam, patrzę w płomienie, Lincorn leży koło mnie. Wystarczy mój jeden ruch i zaraz go zrobię, bo przecież nie ma już Jeżozwierza.

Czy naprawdę miłość może umrzeć w taki sposób?

A jeśli nie miłość, to co stoi we mnie tak prosto, z podniesioną głową, w sukni z fioletoów i powiędłych zieleni?

\*

Stare, pociemniałe kolory, puste łąki, rząd drzew i niski dom... I tamta bolesna, niezłomna odwaga wobec życia, odwaga wzięcia odpowiedzialności, poświęcenia najdroższych rzeczy, gorzka odwaga wyboru, rezygnacji i cierpienia. Uzmysłowania sobie prawdy.

\*

Myślę o Jeżozwierz i przypominam sobie wszystko.

Jego ruch głowy, śmiałą linię ust, zarys podbródka. Jego dłonie. I ten dreszcz. Przypominam sobie, jak uczył mnie jeździć samochodem, jak mnie zawiózł do Leszka, awanturę o Michała, moje nieprzespane noce, gorączkę,

pragnienie, by wziął mnie w ramiona, jego ciągle ucieczki, puls naszych spotkań, przyspieszony, wciąż urywany. Jak podniósł mnie z podłogi i zaniósł do szkolnej lekarki. Jak się go bałam, kochałam i straciłam nadzieję.

Podsycam ogień.

Dlaczego straciłam nadzieję? Dlatego, że wszystkie moje marzenia kierowały się w próżnię, bez jednego odzewu z jego strony? Ale przecież zawsze wiedziałam, że nie dojście jest ważne, lecz droga. Dlaczego ta droga zaprowadziła mnie na manowce?

Trzymam w dłoniach Lincorna. Ogień buzuje jak jasna cholera. Czy mam to zrobić?

O, ciężka odwaga budowania i tracenia, jak nieomylnie wpisana jesteś w mój życiorys, wiem skąd – z zapachu maciejki i ciężkiej, ciemnej wody, z tamtego świerka, czarnego stołu w jadalni, krzaków róż na podjeździe... Z prostych, mądrych, bezcennych rzeczy. Trudnych, godnych i jedynych wartych szacunku. Cóż byłoby ze mną, gdyby nie to?

Kładę Lincorna w sam środek płomieni.

Ogień na chwilę przygasa, ale potem obejmuje Lincorna z wszystkich stron, palą się krawędzie obrazu, ogromny, ogarnięty płomieniami prostokąt zdaje się unosić w powietrzu, jak gorejący latawiec... To wszystko razem jest zbrodnią, popełniam zbrodnię na sobie i na nim, zabijam miłość, której nie chciał, miłość, o której mi już nawet nie wolno pomyśleć.

Nie chcę na to patrzeć, lecz nie umiem odwrócić wzroku. Siedzę na kłodzie drzewa i drzę, ale oczy mam zupełnie suche. Ręce lodowate. Boli mnie gardło. Czuję pod dłońmi chłodną, wilgotną korę. Patrzę w płomienie i czuję je na twarzy. Czuję je cały czas, aż do końca.

\*

Michał dzwoni do mnie następnego dnia.

– Chciałem się pożegnać – mówi.

Przełykam bez słowa ślinę.

– Wyjeżdżam zaraz po pogrzebie... Bemolki.

– Kiedy będzie pogrzeb? – udaje mi się spytać.

– Za tydzień.

– A gdzie jedziesz?

Michał chwilę milczy.

– Wyjeżdżam stąd. Na stałe.

Siadam na krześle i trzymam słuchawkę obiema rękami, żeby jej nie upuścić.

– Ojciec chce mnie zabrać do Francji. Kończy wcześniej kontrakt w Libii, będzie pracował w Paryżu. Chce, żebym tam studiował, na Académie des Beaux-Arts...

– A ty? – pytam ciężko. – Czego chcesz?

– Chcę zapomnieć.

– Zapomnieć... – mówię cicho.

– Chcę już więcej nie ranić ludzi.

– O czym ty mówisz?

– Przecież wiesz...

– Michał...

– Posłuchaj. Stałem Bemolce na drodze do szczęścia. Jak to się skończyło? Próbuję też stać na drodze do szczęścia... tobie. Nie chcę. Nie zrobię ci tego. Kocham cię.

Trzęsę się tak bardzo, że ledwie mogę utrzymać tę pieprzoną słuchawkę.

– Michał, przecież to nie ty byłeś przyczyną...

– Ja też – przerywa. – Ja o tym wiem i ty też.

– To nieprawda.

– Kochanie... na nic się nie zda zaprzeczanie. Taki byłem cholernie mądry. Tak wiedziałem, lepiej od niej, co jest dla niej dobre... Gdybym ją kochał jak należy, to wspierałbym ją... w każdej sytuacji. Ale nie. Ja byłem mądry... Nie chcę popełnić drugi raz tego błędu.

– Michał, na miłość boską, o czym ty mówisz?

– Aniu. Kochasz Potwora, a on kocha ciebie. Stoję ci na drodze, jak wyrzut sumienia. Miotasz się, czujesz się winna, odpowiedzialna... Trzeba było zrobić to już dawno temu.

– Ja... – urywam nagle.

Do tej pory mówiłam: ja go nie kocham. Zawsze. Za każdym razem. Czy teraz mam powiedzieć: ja go już nie kocham?

– Mylisz się – mówię wreszcie. – On nie jest mną zainteresowany.

– Chyba żartujesz.

– Nie żartuję. To nie jest temat do żartów.

– Nie jest – godzi się Michał. – On cię kocha, nie widzisz tego?

– Mylisz się – powtarzam. – Wydaje ci się. Cały czas ci się wydawało. Nic między nami nie ma. Nawet do mnie nie zadzwonił po maturze... po tym wszystkim...

- On nic nie wie o Bemolce.
  - Jak to? – pytam oniemiała. – Jak to, przecież twoja mama...
  - Mama rozmawiała z Andrzejewskim. I z panią Barską. Prosiła, żeby jeszcze nie rozgłaszać tej informacji. Żeby poczekać do pogrzebu. On nie wie. Tym bardziej że nie było go w szkole po maturze.
  - Dlaczego go nie było?
  - Nie wiem. Pojechałem do szkoły, bo chciałem się z nim spotkać... i porozmawiać. Podziękować za dopuszczenie do matury. Pożegnać się. Nie było go. Dyrektor powiedział mi, że jest na zwolnieniu.
  - Chciałeś z nim porozmawiać?
- Michał milknie. Po chwili mówi dziwnym głosem:
- Tak. Zakończyć tę partię. I powiedzieć mu świadomie: pas.
  - Jak... to?
  - I podziękować, że dał mi grać do końca. To jest przyzwoity człowiek. To jest porządny facet. Mam nadzieję, że będziesz z nim szczęśliwa.
  - Michał...
  - Ale pamiętaj. Gdyby cokolwiek poszło nie tak... gdybyś kiedykolwiek stwierdziła, że się pomyliłaś, że go... nie kochasz, gdyby... pamiętaj. Dajesz mi znać i wracam. Gdziekolwiek będę. Zawsze. Zawsze, bez względu na wszystko.
  - Dlaczego to robisz? – pytam bez głosu, trzęsąc się jak w febrze.
  - Bo cię kocham – mówi Michał i odkłada słuchawkę.

\*

Michał się myli. Przecież nie ma Potwora... nie ma Jeżozwierza. Nie dzwoni do mnie, nie przyjeżdża, zniknął. Ja też nie dzwonię, ani do niego, ani do Leszka. Muszę się pozbierać. Ze szczątków. Z kawałków. Z okruchów. Pojechać do Leszka i też się pożegnać. Trudno przecież utrzymywać z nim kontakt w takiej sytuacji... Jest najbliższym przyjacielem Jeżozwierza, byłoby to co najmniej niezręczne...

Bardzo źle się czuję. Okres zatrzymał mi się definitywnie jakieś dwa miesiące temu, potem była cała afera w Dworcu, pierwsza próba Bemolki, matura i to, co potem... Organizm zdecydowanie się sprzeciwił i trudno mu się nawet dziwić. Ten brak okresu powoduje we mnie okropne rozdrażnienie i dolegliwości, boli mnie dół brzucha, bolą piersi, to pewnie kwestia hormonów. Znów będę musiała pójść do tej lekarki, może mi coś przepisze... Coś, co pozwoli unormować te sprawy, mam, do cholery, osiemnaście lat, to niemożliwe, żeby ten okres wciąż był taki chwiejny, każda stresująca sytuacja powoduje jego zaniknięcie i ten stan totalnego rozwalenia wewnętrznego...

Prócz tego jestem przeziębiona, chyba doprawiłam się tej nocy, gdy paliłam ognisko w ogrodzie. Było wyjątkowo zimno, a ja siedziałam na mokrym pniu do późna... Mam katar i boli mnie gardło, pewnie przyplątało się też trochę gorączki. To wszystko są błahostki w porównaniu z tym, co się stało, ale potrafią porządnie upierdolić życie. Łykam dużo aspiryny, tłukę się po domu, staram się trochę sprzątać... Wiem, że to zachowania maniakalne, porządek wokół mnie zawsze dawał mi iluzję panowania nad swoim życiem, ale teraz nie daje.

Co będzie ze mną dalej?

Zdałam maturę, skończyłam szkołę. Jedną, bardzo mocną liną cumowniczą została odcięta. Czuję się jak łódź, która trochę dryfuje, szarpana przez fale. Drugą liną był Michał. Trzecią Jeżozwierz. Nie ma tych lin. Kolejnym osadzeniem w życiu była pani Barska i cała ta rodzina. Znów czuję pustkę. Nie jestem tam potrzebna. Gorzej – to ja im przyprowadziłam Bemolkę. To ja oddałam Sebastiana w jej ręce. Gdyby nie to i nie Dworzec... Dworca też nie ma. Jest samotność, niedająca się wprost opisać.

W oddali – egzamin na Akademię Sztuk Pięknych.

Wystawa w Nowym Jorku. Rzeczy z innego świata.

Bo to nie jest mój świat.

\*

W nocy śni mi się Bemolka, taka jak zawsze, jakby nie stało się nic straszego. Szary wilk na przegubie, płomienne włosy, oczy rozbawione, zielone, z łatką na tęczówce. Stoi w moim ogrodzie, tam, gdzie kiedyś stali rodzice, przy ostatnim drzewie. Tym razem się nie boję. Nie oszukują mnie zmysły. Wiem, że ona nie żyje. Zarazem jej obecność wydaje mi się zupełnie naturalna. Stoi bez ruchu, więc ja podchodzę do niej.

– Powiedz Michałowi, że dobrze robi – mówi Bemolka, patrząc na mnie.

Jej głos dochodzi z odległości, mimo że stoi tak blisko.

– Niech wyjedzie, niech zapomni.

– Kogo ma zapomnieć? – pytam. – Ciebie?

– Nie. Ciebie – mówi Bemolka i uśmiecha się. – Po twoim odejściu będzie mu jeszcze trudniej.

– Przecież ja nie odchodzę.

– Ale odejdiesz – mówi znów.

Patrzę na nią i chcę o coś spytać. Wtedy ona znika. Budzę się.

\*

Potem wszystko wydarza się jednocześnie.

Tego samego dnia okres wreszcie we mnie rusza, tak jakby rozmowa z Bemolką coś we mnie nieoczekiwanie uwolniła. Jestem w ogrodzie, gdy czuję pierwszy skurcz.

Natychmiast zawracam do domu i czuję, jak wiruje mi w głowie. Najgorsze przy okresie jest chyba to, że nie ma stopniowego narastania bólu, co dałoby czas na jakiegokolwiek przeciwdziałanie, ból tężeje natychmiast i to do wymiaru maksymalnego, nie zostawiając czasu na żadną, nawet najbardziej błyskawiczną akcję. Trzymam się ściany. W uszach mi dzwoni, przed oczami latają plamki. Widzę przez to niewyraźnie, ale boję się zamknąć oczy, bo mam wrażenie, że wtedy nie będę miała się czego trzymać i polecę. Gdzieś w pustkę. Jak wtedy. W uszach cyka. Nie mogę się wyprostować. Stoję zgięta z bólu, oczy otwieram tak szeroko, jak tylko mogę i słyszę swój własny przyspieszony oddech. Słyszę go, nie czuję, nie dociera do mnie, że to ja. Oddycham. Że to ja. A potem jest ciemno i lecę. Znów lecę. I nic. A potem leżę na podłodze. Boli mnie głowa i coś tam jeszcze i oczywiście boli mnie ból. Jest cały czas. Nie minął. Leżę

i nie mogę się podnieść. Leżę. Chyba już strasznie długo. Nie mogę się podnieść. I wtedy słyszę dzwonek do furtki. Boże, spraw, żeby ten ktoś nie odszedł. Żeby tam doszła. Więc może jeszcze tym razem mi się uda. Wyjść z tego. Z domu. Po tych czterech schodkach. I do furtki. Może dojdę. Idę. Właściwie prawie na czworakach. Nie mogę się wyprostować. Ale idę. Już prawie. Dzwonek znowu dzwoni. Jeszcze troszeczkę. Och, poczekaj. Jeszcze tylko troszeczkę. Troszeczkę. Drzwi. Odpycham je. Udało się. Już mnie widać. Już. Michał. To Michał. Jak to dobrze. Michał. Idę bokiem, centymetr po centymetrze. Oparta o poręcz. Trzymam ją jak brzytwę. Deskę. Ratunku. Ale poręcz gdzieś leci. I ja znów lecę. Michał, pomóż. Michał jest przy mnie. Nie wiem jak, przecież nie udało mi się otworzyć furtki. Chyba nie. Patrzę na swoją dłoń. Zaciśnięta na kluczu. Więc nie. Jak on wszedł. Nieważne. Michał próbuje mnie unieść. Pomaga mi wstać. Nie mogę nic powiedzieć. Ale on wie. Podtrzymuje mnie, powolutku idziemy do domu. Po czterech schodkach. Znowu. I przez drzwi.

– Aniu, kochanie, co się stało? – Michał jest strasznie blady. Ale ja nie mogę. Nic powiedzieć.

– Boli cię, tak? Połóż się.

Układa mi nogi. Ręce. Całą mnie układa. Na bok. Zwijam się jak embrion. Tak mi potwornie zimno. Z trudem rozrywam zęby.

– Zimno – mówię.

Nie wiem, czy on rozumie, bo słyhać tylko szcęk. Ale chyba rozumie. Leci do drugiego pokoju. I znowu jest. Z kołdrą. I leci. I znów jest. Koc. Znowu go nie ma. Dygocę z zimna. Nie mogę się ruszyć. Gdzie Michał? Jest. Kładzie na mnie kurtki.

– Lepiej? Aniu, gdzie masz proszki przeciwbólowe? W kuchni? Powiedz tylko gdzie, zaraz przyniosę.

Zęby mam już zaciśnięte, teraz zaciskam też oczy. Nie mogę powiedzieć. Nic nie mogę powiedzieć. Chyba jęcę. Ale nic o tym nie wiem.

– Tylko kiwnij głową. W łazience? W pracowni? W kuchni?

Kiwam głową. Udało się.

– W tych szufladkach z boku, koło szafek? Tak?

Znowu kiwam. Co za ulga. Na sekundę.

– Zaraz przyniosę. Wytrzymaj jeszcze troszeczkę.

Nie ma go. Trzymam w zębach poduszkę. Lecą mi łzy. Czemu lecą mi łzy? Przecież nie płacę. Tylko tak szybko oddycham. Zęby zaciskam na poduszce, ale bokiem oddycham. Raz za razem. Gdzie Michał? Najgorsze,



że nie czuję rąk. Mam ręce zdrewniałe do łokci. Nie czuję palców. Wszędzie mrówki. Chcę położyć rękę na brzuchu i nie mogę. Nie mam władzy w rękach. I nie czuję nosa. I czubków policzków. Ciagle mi zimno. Michał. Jest Michał. Znalazł. W szklance rozbijają się bąbelki panadolu. Och, kochany, dziękuję. Ale nie mogę pić. Nie mogę podnieść głowy. Pysk mam pełen poduszki. Nie mogę się ruszyć. Michał wyjmuje mi poduszkę z zębów. Nie mogę rozewrzeć szczęk. Chcę i nie mogę. Wyciąga po kawałeczku. Jeszcze trochę. I jeszcze. Już nie ma poduszki. Tylko jakieś piórka. Wyjmuje mi piórka. Podnosi głowę. Szklanka. Niedobrze. Boję się, że ją ugryzę. Odgryzę. Zęby mi latają. Michał wlewa mi wszystko powolutku, a ja staram się połykać. Powolutku. Jakoś idzie. Tylko te zęby. Cieknie mi trochę z boku policzka i po brodzie. To nic. Teraz już nic. Tylko doczekać. Tę chwilę.

– Połóż się. Zaraz ci przejdzie. Daj rękę.

Nie mogę. Ręki nie ma. Drugiej też nie. Michał coś ujmuje. Ale to nie moja ręka. Nie wiem co to. Coś dynda na moim ramieniu. Co to jest. Michał zaczyna to rozcierać, ale nic nie czuję. Palce mam bezwładne i rolują mi się pod jego dłońmi. Ale to są już palce. Chyba. Coś zaczyna w nie wracać. Tylko są takie zgrabiałe. I ten sam lód na nosie i policzkach. Wszystko trochę tępieje. Czy to ból tępieje? Troszeczkę cieplej. Tylko w nogi. Najgorzej. Michał mnie obejmuje. Kołysze mnie lekko w objęciach. Tak strasznie boli. Nie wiem, czy mi lepiej, czy wolę, żeby przestał. Ale za chwilę jest trochę lepiej. Trochę cieplej.

– Dałem ci na raz trzy panadole. Nie wiem, czy mogę dać więcej.

Chcę coś powiedzieć i nie mogę. Język mam cały zeszywniały. I wargi też są bezwładne. Ten lód tam jest. Też. Wreszcie jakoś układam wargi. Są rozciągnięte, mówię przez zęby. I głos też nie mój. Jak zza szyby. Z lodu. Mówię:

– Rozgrzej mnie. Brzuch.

– Już – podrywa się Michał. – Masz termofor?

Nie wiem, gdzie jest. Kręcę głową. Nie mam.

– Zaraz. Leż spokojnie. Zaraz.

Czekam. Czuję, że gdybym mogła się rozgrzać, wszystko wróciłoby do normy. Wraca Michał. Niesie coś owiniętego w ręcznik.

– Masz. Pokrywka. Rozgrzałem nad gazem.

– Pomóż.

Pomaga mi położyć ją na brzuch. Na wierzchu układa moje ręce.

– Trzymaj. Nie za gorące? – Kręcę głową. – Dobrze. Trzymaj tak. Idę rozgrzać następną, będziemy wymieniać. Lepiej?

Kiwam głową. Wciąż nie mogę mówić. Ten język. Jak obce ciało. Pokrywka grzeje. Tylko jeszcze stopy mam tak lodowate. I mokre. Strasznie mi zimno. W rękach wraca czucie. Tylko latają po nich mrówki. Całe stada mrówek. Powolutku odpuszcza też szron z policzków. Ale jeszcze mi zimno. Wraca Michał z pokrywką. Wymieniamy.

– Następną? – pyta.

Kiwam głową. Już jest lepiej. Ręce ciepłe i zaczynają się pocić na gorącej pokrywce. W nogach też mrówki. Boże. Wychodzę z tego. Dziękuję, że zesłałeś Michała. Michał znów wchodzi z pokrywką. Patrzę na niego. Jest okropnie blady. Zdeterminowany. Przerażony. Ale działa. Co za szczęście, że jest.

– Troszkę lepiej? – Uśmiecha się do mnie.

– Lepiej – mówię cicho i wtedy się zaczyna.

Czuję, że płynie ze mnie potok. Leżę w gorącej, mokrej plamie. Kałuży. Morzu. Płynie cały czas. Próbuję zdjąć pokrywkę. Michał zaczyna mi pomagać i nagle dostrzega. Twarz mu tężeje, oczy ma zupełnie czarne, pełne paniki.

– Michał... – mówię bezradnie. – Chyba mam krwotok.

Michał zrywa się na równe nogi. Jest upiornie blady.

– Dzwonię po pogotowie.

– Nie, proszę. Zaraz. Ten ból już chyba mija.

– Mija, bo wzięłaś proszki. Nie, Ania, dzwonię natychmiast.

– Michał... – Udaje mi się wyciągnąć rękę.

Chwytam go za rękaw. Mam jakiś palcościsk, nie mogę rozewrzeć dłoni. To chyba histeria.

– Proszę cię, Michał. Już troszkę lepiej. Rozgrzaliśmy chyba za bardzo. Może to nie krwotok. Po prostu rozgrzaliśmy.

– Aniu, czego się boisz? Przecież lepiej, żeby to obejrzał lekarz.

– Tak, wiem. Ale nie pogotowie. Nic mi nie jest, przecież nie umieram. Nie będą mnie żadne karetki wiozły na sygnale. Proszę.

– Chryste, ratuj. Aniu, przestań się wygłupiać. Pozwól mi zadzwonić. Ja cię nie odwiozę na pogotowie, bo nie prowadzę. Nie mam prawa jazdy. Wiesz przecież.

– Poczekaj. Nie panikuj. Zobaczymy, może to się uspokoi – mówię, ale czuję, że jest niedobrze.

Nic się nie uspokaja, wręcz przeciwnie. To chyba jednak krwotok. Ale to całe pogotowie... Z tą syreną, sensacją na całej ulicy... Wiem, że się wygłupiam. Michał ma rację, ale czuję gdzieś w głębi, że ból mija, wraca mi jaka taka przytomność, czuję otepienie i senność. Nie chcę, żeby mnie ktoś teraz szarpał. Nie mam siły. Właściwie się nie boję.

– Aniu, dzwonię po Potwora – mówi nagle Michał.

– Co?

– Słyszałaś. Daj mi jego numer. Niech tu przyjedzie, może przemówi ci do rozsądku. Poza tym lepiej, żeby tu był ktoś z samochodem.

– Michał – mówię słabo – proszę cię, nie chcę tu Potwora. Dajże spokój, już mnie raz odwoził do domu z okresem, czy naprawdę uważasz, że bez przerwy muszę go absorbować swoimi okresami?

– Ania – mówi Michał stanowczo – dość tych fiki-miki. Zrozum, tu nie chodzi o jakieś konwenanse, tylko o twoje zdrowie. A może życie. Ja się na tym nie znam. Ale czuję, że sytuacja jest zła. Już straciłem siostrę. Ciebie nie stracę. Rozumiesz? Dzwonię. Gdzie masz jego numer?

– Koło telefonu – mówię z rezygnacją. – Tam jest taki notes z wszystkimi numerami.

Długą chwilę trwa cisza. W dalszym ciągu nie boję się, tylko mi przykro. Że to się tak jednak musi skończyć. Przecież pożegnałam się z Jeżozwierzem. Krew nie bucha już tak jak wcześniej. Ale płynie strumykiem. Cały czas. Łóżko właściwie będę mogła wyrzucić. Boże, co za idiotyczne myśli.

– Pod czym masz go zapisanego? – Michał staje w progu, zdenerwowany, ręce mu się trzęsą. – Pod „Potwór” nie ma.

– Pod „Jeżozwierz” – mówię szeptem.

Michał odwraca się na pięcie i wychodzi. Po chwili słyszę jego głos.

– Panie profesoro, mówi Michał. Jestem u Ani, ona ma krwotok. Proszę niech pan szybko przyjedzie. – Chwila ciszy.

– Nie, nie wezwałem, Ania sobie nie życzy. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pan tu był. Pan ma samochód. – Znów cisza.

– Nie wiem – mówi Michał. – Znów zemdlą, jak przyjechałem miała okropne bóle.

– Tak. Furtka jest otwarta. Proszę się pospieszyć.

Michał znów stoi w progu. Ma zupełnie czarne oczy, widzę, że się trzęsie. Ale próbuje się do mnie uśmiechnąć.

– Jak się czujesz? Trochę lepiej?

– Lepiej – kłamię.

Strumyk, strumyk, cały czas strumyk. Głowa mi leci i oczy mi lecą. Michał siada koło mnie na podłodze, bierze mnie za rękę.

– No, już. Nie denerwuj się. On tu zaraz będzie.

Unoszę ciężkie powieki.

– Michał, mnie to krępuje...

– Cicho – szepcze, kładzie mi palec na ustach. – Bądź rozsądna, przecież to choroba jak każda inna.

– Wiem – przytakuje.

Ale czuję zażenowanie. Coś strasznego. Tu krwotok, a tu dwóch facetów. Powinnam dziękować Bogu, że jest ktoś.

– Myślałem, że uda mi się wyjechać, nie zobaczywszy cię – mówi Michał i patrzy na mnie okropnie czarnymi oczami. – Ale nie. Musiałem cię jeszcze zobaczyć. Dzięki Bogu, że tu dziś przyjechałem. Jakby mnie coś tknęło.

– Dzięki – mówię z wysiłkiem.

W domu jest cicho, jeszcze nic się nie dzieje. Ale zaraz przyjedzie Jeżozwierz i boję się spotkania z nim.

– Wiesz... – mówię znów z trudem, żeby o tym nie myśleć. – Wiesz, śniła mi się Bemolka. Kazała ci powiedzieć, że dobrze robisz.

Michał patrzy na mnie bez słowa, okropnie blady.

– Że... co dobrze robię? – pyta.

– Że wyjeżdżasz. Że chcesz zapomnieć. O niej. I o mnie.

– Nie zapomnę nigdy. Nie ma o czym mówić.

– Ale...

– To, że oddaję cię temu człowiekowi, nie oznacza, że się z tym godzę... Proszę cię. On tu zaraz będzie. Dla mnie to też bardzo trudne. Oddałbym wszystko, żeby nie musieć tego robić... Boję się...

– Czego?

– Tego, co zaraz nastąpi – mówi cicho i w tym momencie słyszymy oboje trzaśnięcie drzwi i szybkie kroki.

Jeżozwierz. Chyba pobił rekord trasy. Też jest okropnie blady, w drzwiach zatrzymuje się na moment, potem szybko podchodzi. Patrzy na mnie, twarz ma bardzo poważną. Mój widok wyraźnie go nie zachwyca, zaczynam się zastanawiać, jak muszę wyglądać.

– Jesteś cała zielona – mówi Jeżozwierz, jakby odpowiadając na moje pytanie.

Schyla się nade mną, dotyka mojego czoła.

– Gorączki nie masz. Możesz się podnieść? – Jest opiekuńczy i ciepły. Stara się nie okazywać strachu. Żeby mnie nie przestraszyć. Ale ja się przecież nie boję. Patrzę na niego z dołu. Jeszcze i to musi ze mną przeżyć. Naprawdę, czy niczego nie mogę mu oszczędzić?

– No jak, Aniu? Możesz wstać? Musimy pojechać do szpitala.

– Proszę... Może...

– Nie – mówi Jeżozwierz łagodnie, ale stanowczo. – Aniu, nie ma dyskusji. Powinnaś była pozwolić Michałowi na wezwanie pogotowia.

Milczę. Jeżozwierz patrzy na mnie przez chwilę, potem odwraca się do Michała.

– Pozwól – mówi.

Wychodzą z pokoju. Ale wszystko słyszę.

– Wiesz, co się stało? – To Jeżozwierz. Głos ma chłodny, mówi tak, jakby się spieszył.

– Nie wiem. Ania mówi, że okres, wygląda to na krwotok.

– Czemu nie wezwałeś pogotowia?

– Mówiłem już. Nie pozwoliła mi.

– W takiej sytuacji? Należało wezwać.

– Ona ma prawo decydować o sobie, rozumie pan? To nie kot, którego się nie pyta o zdanie, tylko bierze do koszyka i wiezie do weterynarza. – Głos Michała też jest lodowaty. Ładny numer. Chyba się nie pobijają?

– Michał, w pewnych sytuacjach nie ma żartów, a ta właśnie do nich należy. Ania może sobie nie zdawać z tego sprawy. Czasem się decyduje za kogoś, bo tak trzeba, nie ma innego wyjścia. Pomóż mi. Weź ten koc i zanieś do samochodu. Rozłóż tam na siedzeniu. Potem pomożesz mi ją przenieść.

Jeżozwierz wraca. Podchodzi szybko do mnie, pochyla się. Oczy w dalszym ciągu ma poważne, twarz bladą i spiętą.

– Aniu – mówi cicho. – Czy to jest poronienie?

W pierwszej chwili w ogóle nie rozumiem. Patrzę na niego z wysiłkiem, zaskoczona i nawet nie oburzona. Wśród wszystkich ludzi na świecie, tylko on ma prawo spytać.

– Nie – mówię i kręcę głową. – Na pewno nie.

– Jesteś absolutnie pewna? – pyta. Twarz zupełnie bez wyrazu.

– Jestem absolutnie pewna. To nie poronienie. Po prostu nie ma prawa być.

W twarzy Jeżozwiera coś odpuszcza.

– Naprawdę tak myślałeś? Z kim, na Boga?

– Z nim. Przepraszam. Przepraszam cię. Daj rękę, pomogę ci wstać.

Odkrywa kołdrę i mówi: „Boże”.

Patrzę na siebie. Leżę w czerwieni. Jak mój czerwony anioł. Morze krwi. Ból czy pogarda? A może jednak rzeźnia miejska? Jeżozwierz mówi uspokajająco:

– Nic, nic. Spróbuj się na mnie oprzeć.

Opieram się. Głowa mi leci. I ręce mi lecą. Strasznie jestem zmęczona.

– Słabo ci?

– Nie. Właściwie nie.

– Wstawaj pomalutku. – Ciągnie mnie do pozycji siedzącej. Siedzę.

– Boli?

– Nie.

– Trochę lepiej? Czy lepiej nie mówić?

Nie chcę kłamać, staram się uśmiechnąć.

Wraca Michał. Podchodzi z drugiej strony. Rzeźnia miejska też robi na nim wrażenie. Coś potwornego, nikogo nie oszczędzę. Pomagają mi wstać. Wstaję. Nogi mam mięciutkie, nie chcą mnie trzymać. Wiszę im na rękach. Powolutku zaczynają mnie prowadzić. Zaczynam iść. Też pomalutku. Ale idę.

– Chciałabym... chciałabym na moment do łazienki – mówię prawie bezgłośnie.

Prowadzą mnie do łazienki. Nie, najpierw do szafy, przecież muszę się w coś przebrać... To, co mam na sobie jest całe we krwi. Boże, czemu tu nie ma żadnej kobiety?

– Zaraz – próbuję znowu. – Poczekajcie.

Stoimy.

– Przecież muszę się jakoś przebrać. Michał... albo nie, sama dojdę.

Skąd Michał ma wiedzieć, gdzie trzymam bieliznę. Albo, co lepsze, Jeżozwierz. Co za okropna sytuacja.

– Stój, nie wygłupiaj się – mówi Jeżozwierz. – Powiedz, gdzie czego szukać.

– W szafie. Z prawej strony. Tam są takie szuflady. Coś... coś... jakieś...

– Dobra – mówi Jeżozwierz. – Michał, trzymaj ją. Zaraz przyniosę.

Stoimy z Michałem. Czuję, że Michał drży. Jeżozwierz jęczy drzwiami szafy, słyszę, że coś mu spada. Wraca wreszcie. Ubranie trzyma pod pachą.

Prowadzą mnie do łazienki. Wchodzą za mną, Jeżozwierz układa rzeczy na krzeselku, patrzy na mnie raptem zdezorientowany.

– No, ale chyba tu nie zostaniecie? – mówię słabo.

– Właśnie nie wiem, czy możemy cię zostawić.

Nie. Sytuacja jak z jakiegoś snu. Co mam zrobić? Przecież nie będę się przebierała przy nich...

– Dobrze – decyduje Jeżozwierz. – Chodź Michał. Jesteśmy pod drzwiami. Aniu, usiądź i pomalutku. Pamiętaj, bardzo pomalutku. Jakby co, to zawołaj.

Wychodzą. Jakby co? I tak nie zawołam. Na miłość boską, nigdy się nie rozebrałam przy mężczyźnie. Tym bardziej w takiej sytuacji. Wszystko jest przesiąknięte krwią. Majtki od razu do wyrzucenia, spodnie całe w zaciekach. Ale nagle zdaję sobie sprawę, że najgorsze już chyba minęło. Już tak ze mnie nie leci. Teraz wygląda to po prostu jak obfity okres. Odczuwam ulgę. Chyba jednak się bałam. Po kolei zdejmuję brudne rzeczy, staram się trochę obmyć. Samą wodą, bo nie będę się schylała po mydło. Czuję się trochę lepiej.

– Ania, wszystko w porządku? – słyszę Jeżozwierza.

– Tak. Jeszcze chwilę.

– Nie spiesz się. Czekamy.

Sięgam po ubranie. Wybrał nawet dość przytomnie. Wszystko jest. Majtki, luźne spodnie od dresu, skarpetki, buty. Co za szczęście, że to taki myślący facet. Powolutku zakładam sztuka po sztuce, do majtek wsuwam dwie podpaski. Butów nie zawiążę, mowy nie ma. Nie mogę się schylić.

Wychodzę z łazienki. Czuję się dużo lepiej. Najbardziej się cieszę, że udało mi się uniknąć spojrzenia w lustro. Jeżozwierz i Michał znowu mnie podtrzymują, powoli idziemy do samochodu. Siedzę już, otulona kocem, gdy Jeżozwierz mówi nagle:

– Aha, twoja książeczka zdrowia. I legitymacja. I dowód. Gdzie są?

Mówię mu gdzie. Jeżozwierz wraca do domu. Michał nachyla się nad moim ramieniem.

– Ania, zostanę u ciebie. Przypilnuję domu, posprzątam, dam kotu jeść. Nie wiadomo, czy nie będziesz musiała zostać w szpitalu. O nic się nie martw.

– Dziękuję – mówię i biorę go za rękę.

Michał szybko podnosi moją dłoń do ust.

– Potwór miał rację. Powinienem być wezwać pogotowie – szepcze zgnębiony jak zbity pies.

Czuję straszną złość na Jeżozwierz. Dlaczego tak pouczał Michała, tak go od razu zepchnął w szereg niedojrzałych szczeniaków?

– Michał. Byłeś cudowny. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Dziękuję ci. Pewnie mi uratowałeś to i owo z życia, jak możesz w ogóle gryźć się czymkolwiek? Byłeś niesamowity. I dziękuję ci, że nie zadzwoniłeś po pogotowie. Nie wiem do końca, czy Potwór ma rację.

– Ale jednak jemu pozwoliłaś podjąć tę decyzję. I jesteś jej posłuszna. Aniu, kochanie moje... moje kochanie... nie moje. Wybacz.

Jeszcze raz całuje moją rękę. Gorzko mi i wstyd. Patrzę na deskę rozdzielczą colta. Michał odsuwa się od samochodu, z drugiej strony wsiada Jeżozwierz.

– Zostanę tutaj – mówi Michał – i posprzątam. Niech pan tu później przyjedzie, oddam panu klucze. Proszę o nią dbać. – Odwraca się i idzie do domu.

Jeżozwierz włącza silnik. Pierwszy raz chyba nie patrzę na jego ręce. W ogóle na niego nie patrzę.

Ruszamy.

Przy wjeździe na Puławską colt przelatuje oba pasy jezdni, wciskając się z ryzykancką precyzją w jedyne wolne miejsce. Wiszę na pasie.

Prześladuje mnie wyraz twarzy Michała. Tak, jak powiedział – w tym właśnie momencie oddał mnie Jeżozwierzowi. Od śmierci Bemolki już nie walczył o mnie, a teraz w obliczu tego, co się stało, odstąpił definitywnie, uznał, że ważniejsze jest moje zdrowie, moje życie, niż jego miłość.

Jakże wielka musi być ta miłość...

Przypominam sobie niespodziewanie słowa, o których tata mówił, że są wyrazem miłości absolutnej i dlatego tak często przytaczane są na ślubach... Słowa z *I listu do Koryntian*, które tyle razy czytałam. „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie unosi się pychą, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma...”. Wszystko przetrzyma... coś we mnie otwiera się rozpaczliwie i boleśnie. Na dnie leży mały, twardy orzech. Nasiono zrozumienia.

To nie Jeżozwierz, to Michał był przez cały czas nierozwiązywalnym iksem w naszym dziwnym układzie. Śmierć Bemolki zmieniła wszystko.



Wszystko w Michale. Zrozumiał, że wikła mnie w coś nie do rozwiązania, więc odstąpił, dał mi przyzwolenie. Na moją miłość.

„Miłość nigdy nie ustaje, nie jest jak prorocтва, które się skończą lub jak wiedza, której zabraknie... Gdybym znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”.

Siedzę w samochodzie w absolutnym bezruchu. Czuję, że popadłam w dziwny stan, w którym myśl wyostrowiona jest do ostatecznych granic, jest czysta i bezbłędnie pewna, natomiast nie mam w ogóle władzy nad ciałem. Ciało zapada się w siebie, oddzielone od myśli, która raptem wynosi mi przed oczy z przerażającą, krystaliczną pewnością prawdę.

Tą prawdą jest imię PAWEŁ ...

Michał Michałem, ale przecież ja sama popełniłam zbrodnię przez zaniechanie. Dlaczego zwątpiłam? Nie wytrzymałam ciśnienia, nie doczekałam do końca? Dlaczego nie zaufałam, nigdy nie nazwałam tego faceta jego prawdziwym imieniem? Dlaczego nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham? Chcę to zrozumieć. Czepiam się pamięci, koniecznie chcę to zrozumieć. To prawda, daliśmy się uwikłać w grę, w teatr grany na ludzkich oczach. To, że nazywałam go Jeżozwierz, było jednym z elementów tej gry, zabawy, którą prowadziliśmy jak dzieci. Od pierwszej chwili, od momentu obłaskawiania się nawzajem prawie rok temu, właśnie w tym samochodzie, prowadziliśmy tę przedziwną grę w huśtawkę nastrojów, w ciepło-zimno, w blisko-daleko, wysyłaliśmy sygnały i udawaliśmy, że wcale ich nie było. I ponieważ do końca nie wiedzieliśmy, czy coś się dzieje naprawdę, więc skrupulatnie maskowaliśmy to wszystko, co się działo. A przecież przeżyliśmy tak wiele – rozmowy, szyfry, pełne porozumienie i cudowne momenty kompletnego braku porozumienia. I to ciepło, dotykające nas ufną dłonią... I biały jednorozec... Och, Lincornie, jak mogłam sądzić, że będę cię mogła kiedykolwiek utracić?

Siedzę w samochodzie, obsunięta w fotelu, zawieszona na pasie.

Paweł przy kierownicy jest absolutnie skupiony i bezbłędny. Widzę go, nie widząc, bo nie mogę odwrócić głowy. Coś we mnie odpływa, trzymam to wszystko kurczowo, ale czuję, że jestem już strasznie zmęczona i może przyjść taki moment, że nie będę miała sił trzymać, puszcze z zaciśniętych rąk i niech leci w cholerę... Często tak robiłam z ponoszącymi mnie końmi. Przychodzi taki moment, że trzeba odpuścić i poddać się żywiołowi. Ale teraz jeszcze trzymam. Jeszcze muszę trzymać. Nie mogę tak tego zostawić.

Myśl jest w dalszym ciągu intensywna i jasna jak halogenowy reflektor o wielkiej mocy.

I ta myśl mówi mi twardo: to twoja wina. Odepchnęłaś Pawła, bo podstawiałaś dumę, odpowiedzialność, poczucie winy, obowiązek, przegraną ... w miejsce miłości. Tymczasem one nie spełniają tego równania. Pomyliłaś się. Pomyliłaś się we wszystkim. Nawet nie chciałaś rozmawiać. Może pociągnął cię sceniczny efekt? Beznadziejna, książkowa reżyseria zdarzeń? Cudowny gest palenia miłości jak w kiepskiej literaturze. I dalej pewnie też tak miało być: ty pełna tragizmu i cierpienia nigdy go już więcej nie widzisz na oczy, ty idiotko, idiotko nad idiotkami, bez serca i bez mózgu, ckliwa, melodramatyczna pensjonarko. A tu takie zaskoczenie – los wziął się sam w swoje ręce, bo jest on ostatnią rzeczą, którą można przechytryć. A jeśli naprawdę myślałaś, że w jakikolwiek sposób można kreować swoje życie, to znaczy, że za dużo się naczytałaś powieściodeł, a poza tym masz pałę nie tylko z inteligencji, ale i z biologii, jak to mawia Pola.

W ustach mam cierpki smak. Cierpki smak zrozumienia i ulgę. Właśnie podjeżdżamy pod szpital.

Samochód hamuje, a ja odwracam głowę, właściwie coś we mnie ją odwraca i patrzę na Pawła.

Widzę go bardzo wyraźnie, każdy włos, każdy fragment skóry, nieogoloną brodę, przekrwione, zmrużone oczy, linie w kącikach ust.

Po raz pierwszy w życiu mówię:

– Paweł...

Głos mnie zawodzi, więc powtarzam jeszcze raz:

– Paweł.

Patrzy na mnie. Podejmuję ten morderczy wysiłek.

– Ja spaliłam Lincorna – mówię, nie zdając sobie sprawy, że on przecież nic nie wie o Lincornie, o miłości, o niczym.

Wyraz twarzy mu się nie zmienia. Mówi:

– Aniu, to potem, potem.

Nie mam czasu. Czuję, że zaczynam nie mieć czasu. Nic mnie nie boli, nie boję się i koniecznie chcę zdążyć. Mówię:

– Paweł, musisz to wiedzieć. Ja cię kocham, kochałam cię przez cały ten rok. Kocham cię.

Patrzę na niego z bolesnym napięciem, poprzez odległość między naszymi siedzeniami i poprzez odległość, w którą zabrało mnie to dziwne

coś we mnie, i widzę jak w ułamku sekundy twarz Pawła staje się zupełnie bezbronna. To twarz małego chłopca. W kącikach ust nabrzmiewają mięśnie wzruszenia, ten skurcz spowija całą twarz, raptem zupełnie otwartą i wydaną na moje oczy. Więc aż to mu zrobiłam. Więc aż to.

– Kocham cię – mówi Paweł. – Zakochałem się w tobie w momencie, gdy podniosłem cię z podłogi na korytarzu. I odtąd wszystko, co robiłem, podporządkowane było tej miłości. Kocham cię nad życie, kocham cię, kocham...

Zaczyna mnie powoli wyciągać z samochodu. Nie mogę mu pomóc, wszystko gdzieś ode mnie odlatuje. W ogóle nie czuję swego ciała, nie mam pojęcia, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Paweł bierze mnie na ręce.

– To straszne – mówię. – No popatrz, przecież to straszne. Naprawdę nie możemy się zachowywać w tak złym guście... Co za potworny melodramat.

– Potworny – mówi Paweł przez zaciśnięte zęby.

Niesie mnie na rękach, z jego powiek odrywają się dwie krople i prędko, bardzo prędko lecą przez twarz.

– Ale życie, Aniu, wygląda najczęściej jak kiepska książka. W najgorszym guście. – Jedna łza doleciała mu prawie do brody, druga zatrzymała się w kąciku ust.

– A ciebie nie przeraża ten kicz? – pytam.

Coraz ciężiej mi mówić. Czuję, że jasna dotąd myśl też gdzieś ode mnie ucieka. Jakbym wrzucała w studnię zielone kamienie. Ale jeszcze ich garść ciągle trzymam. Trzymam.

– Nie. Nam to nie zaszkodzi – mówi Paweł i wiem, że się uśmiecha. Całą twarz ma już mokrą. – Widzisz, termin „melodramat” jest dla tych dupków, którzy nigdy niczego nie przeżyli i dławią się swoją impotencją. My możemy śmiało balansować na krawędzi największego kiczu. I melodramatu. I tak się z tego uratujemy.

– Masz rację – mówię. – Uratujemy się.

Jesteśmy już w poczekalni. Wszędzie siedzi pełno ludzi, lecz Paweł przechodzi koło nich.

– Niech pan otworzy te drzwi – mówi do kogoś swym doskonale mi znanym tonem, nieznoszącym sprzeciwu. – Prędejj, do jasnej cholery.

Pokój jest niewielki i biały. Najpierw słyszę jakieś zamieszanie, potem pochyla się nade mną mężczyzna w bieli.

– Co jej się stało?

– Krwotok. Błagam, prędko.  
– Brałaś środki wczesnoporonne? – to do mnie.  
To samo, co Paweł, czy oni się wściekli? Nic nie mogę powiedzieć.  
Patrzę na niego.  
– To poronienie? – znów pyta.  
– Nie – mówi Paweł. – Nie, to nie poronienie. Nie jest w ciąży. Panie, rób pan coś, bo pana zabiję.  
– Do mnie ma pan pretensję? – mówi lekarz. – Czemuś pan jej wcześniej nie przywiózł?  
– Przywiozłem ją najszybciej jak mogłem.  
– Od kiedy to trwa?  
– Nie wiem. Od półtorej godziny, może dwóch...  
– Wystarczy. Proszę wyjść na korytarz. Natychmiast.  
– Aniu, będę cały czas pod drzwiami. Czekam. Błagam pana, panie doktorze... – Wychodzi.  
– Siostro! Kroplówka.  
Czuję, że mnie rozbierają, lekarz zaczyna mnie badać.  
– Panie doktorze... – mówię u kresu sił – Niech mi pan pomoże, nie mam sił już tego trzymać, zaraz... zaraz...  
Pochyla się nade mną. Ma bardzo poważną twarz.  
– Dziecko, trzymaj to – mówi. – Trzymaj jeszcze. Nie zamykaj oczu. Trzymaj, dobrze? Postaraj się. Jeszcze trochę. Trzymaj, słyszysz?  
Trzymam.

KONIEC

# PODZIĘKOWANIA

Tym razem podziękowań będzie dużo :) Zacznę po kolei.

Trzeci tom "Okruchów gorzkiej czekolady" nigdy by się nie ukazał, gdyby nie pani Kasia Łukaszczyk. Pani Kasiu, dziękuję z całego serca za bezinteresowną, wspaniałą, niedającą się z niczym porównać pomoc, za pomyślenie o mnie i mojej książce, a także o Czytelnikach, którzy czekali z niecierpliwością na zakończenie cyklu.

W następnej kolejności chciałam podziękować Wydawnictwu Videograf, że zdecydowało się na druk ostatniej części książki –kto zna realia rynku wydawniczego ten wie, że wydawnictwa niekoniecznie chcą drukować kontynuację cyklu, który zaczął wydawać ktoś inny. Wielkie brawa dla Videografu!

I ogromne podziękowania dla Ani Jeziorskiej, która prowadziła tę książkę – za ciepło, zrozumienie i przymykane oka na moje najgłupsze nawet pomysły interpunkcyjne, z także za sms-y, maile i rozmowy telefoniczne. Tak właśnie wyobrażałam sobie zawsze kontakt z redaktorem wydawnictwa, o tym marzyłam - dziękuję!

Piotrkowi Rychlickiemu dziękuję za masę szczegółów dotyczących broni palnej, a także za anegdotki i charakterne powiedzonka, za pozwolenie użycia swego wiersza (str. 278), a nade wszystko za to, że pomógł mi ogarnąć cały sensacyjny wątek książki, wymyślając szkielet intrygi. W tym miejscu składam też najserdeczniejsze podziękowania mojej córce Oli, która ten szkielet twórczo uzupełniła, dodając mnóstwo swoich rewelacyjnych pomysłów. To była bezcenna pomoc!

Za konsultacje z dziedziny broni chciałam również podziękować majorowi rezerwy, panu Sławomirowi Głosowi - byłemu żołnierzowi żandarmerii wojskowej, wykładowcy i instruktorowi w firmie AGVO Sp. z o.o.

Za wiedzę o komputerach i pisaniu programów dziękuję Marcinowi Haze (Haziowi). Hazio dał mi się zamęczać długie tygodnie, korygując moje najprzedziwniejsze pomysły fabularne i sprowadzając je na ziemię tak, by były choć trochę wiarygodne.

Podziękowanie chciałam złożyć także Temu, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać - informatykowi i programiście, który z racji swej pracy zastrzegł sobie pełną anonimowość, co niniejszym respektuję, a który doprowadził mnie niemal do zawału, gdyż zorientowawszy się w mojej

pełnej niewiedzy, usiłował nauczyć mnie w jedno popołudnie całej matematyki, poczynając od starożytnych Greków... Tym niemniej to jemu właśnie zawdzięczam pomysł backdooru, który odegrał niebagatelną rolę w mojej książce.

Szczególne podziękowanie chciałam złożyć Krzysztofowi Wysockiemu. Krzyś, nie znając mnie uprzednio wcale, zgodził się skonsultować wariacki pomysł szulerskiego rozdania pokerowego i gdy połapał się, że moja karciana wiedza jest równa zeru, usiadł i po prostu rozpiśał mi tę scenę, zadając tylko pytanie ile Paweł ma forsy, a ile musi wygrać! Ponieważ Krzysztof jest nie tylko świetnym pokerzystą, ale też pisarzem, więc musiałam mu wprost wrywać moich bohaterów, ognie latały po tej scenie i zabawa była przednia. Krzysiu, chorągwie przed Tobą noszę i rwące się konie trzymam za grzywy, jak również orły, wstęgi i roznegliżowaną Marsylianę (to już może sobie sam potrzyмай).

Wojtkowi Kapczyńskiemu dziękuję za samochody – za lochę, KJS-y, podrasowanie silnika i cudowny, lakoniczny, bezbłędny w swej prostocie opis zmiany amortyzatorów ("Bierzesz klucz siedemnastkę..."). Chciałabym mieć Twoją wiedzę!

Julicie Bogackiej-Rychlik i Magdzie Jasny za to, że jak zwykle pierwsze przeczytały ostatnią część książki i w dodatku powiedziały, co o niej myślą :) Dla osoby piszącej taki feedback ma nieocenioną wartość. Dziękuję!

Moim kochanym - Rodzinie i Przyjaciołom - za absolutne wsparcie i mobilizację do pracy, za zrozumienie, konsultacje i miłość.

A mojemu mężowi za to, że jakoś ścierpiął fakt, iż nad moim biurkiem przez prawie rok wisiał portret Pawła Jeża w ziemskiej postaci młodego Stephena Amella. No, który facet by się na to zgodził?

I na koniec chciałam najlepiej jak umiem podziękować wszystkim blogerkom i recenzentkom, piszącym o "Czekoladzie" - to cudowne wiedzieć, że istnieje wielka rzesza dziewczyn, które kochają książki i poświęcają swój czas, siły, pomysły i pasję na promowanie ich wśród Czytelników. Dziękuję za dobre słowa, za dzielenie się emocjami i odczuciami, za Wasze pisanie. Jesteście wielkie!

Ale nade wszystko - dziękuję Czytelnikom :) Dajcie mi wiarę w sens tego, co robię. Dajcie mi nadzieję. Dziękuję, że jesteście. I że czytacie.

Elżbieta Sidorowicz-Adamska

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)